KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach 2009

KULTURA KOSZALIŃSKA almanach 2009



5



KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach

2009

Koszalin 2010

„Kultura Koszalińska. Almanach 2009”
Wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina

Kolegium Redakcyjne:
Jupi Podlaszewski – przewodniczący
członkowie:
Maria Słowik-Tworke,
Jadwiga Koprowska,
Anna Marcinek-Drozdalska,
Andrzej Ciesielski

Małgorzata Kołowska – redaktor prowadzący

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 94 348 15 61
e-mail: kolowska@biblioteka.koszalin.pl

Opracowanie graficzne, druk:
Wydawnictwo „Alta Press”
ul. Zwycięstwa 168
75-612 Koszalin
tel./fax 94 346 51 77
www.altapress.pl

Kolegium Redakcyjne dziękuje koszalińskim
instytucjom kultury za udostępnienie fotografii
z zasobów archiwalnych

Projekt okładki:
Arkadiusz Docz

ISSN 1896-5504



Szanowni Państwo,

Jest mi niezwykle miło, że już po raz piąty trzymacie Państwo w ręku Almanach „Kultura Koszalińska". Mówiąc szczerze zawsze puszczają mi nerwy, kiedy słyszę głosy malkontentów, że „w tym Koszalinie to się nic nie dzieje". Tym „niedowiarkom", a nawet „dąsalskim" zawsze polecam Almanach. Bo wiem, że ich przekonania są najczęściej efektem nie tylko wrodzonej woli krytykanctwa, lecz również lenistwa.

Czytając bowiem treść rokrocznie zamieszczanych tu materiałów nie sposób nie zauważyć, że duchowy rozwój mieszkańców nie ustaje i – co równie ważne – idzie w dobrym kierunku. Świadczą o tym liczne imprezy, które z sympatią i zadowoleniem są przyjmowane przez koszalinian. Tym bardziej, że w kulturalny krajobraz na poważnie wpisał się nowy Teatr Muza Variete. Obok tego „noworodka" przypomnieliśmy sobie o stawiających pierwsze kroki pięciolatkach: Hanza Jazz Festiwal, Autorskiej Galerii Fotografii „Portret Świata" oraz Galerii „Scena", a także 15-letnim Muzeum Włodzimierza Wysockiego, czy o bardziej nobliwych instytucjach – 45-letnim Koszalińskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym, obchodzącym 55. lecie istnienia Bałtyckim Teatrze Dramatycznym oraz pięćdziesięcioletnim Teatrze Propozycji „Dialog". Istny rok jubileuszy!

Oprócz tego tradycyjna już gratka dla miłośników X muzy, czyli imprezy filmowe – mający swój wymiar i renomę Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film", a także wschodząca perełka kinematografii – Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja", tym razem po raz szósty. O zadowoleniu mogą też mówić melomani – niebawem będą mogli słuchać nowych koncertów w nowej siedzibie Filharmonii Koszalińskiej. Ratusz wydał bowiem pozwolenie na jej budowę.

Zawsze uważałem, że koszalińską kulturą możemy się chwalić. Bo jest czym. Otwórzmy stronice Almanachu i utwierdźmy się w tym. Na złość malkontentom.

Mirosław Mikietyński
Prezydent Koszalina

„Koszalin kulturą stoi. I niech to się nie zmienia, bo nasze miasto nie byłoby już tym samym, magicznym miejscem". Takimi słowami Prezydenta Mirosława Mikietyńskiego, przed pięcioma laty, opatrzone zostało premierowe wydanie Almanachu „Kultura Koszalińska 2005". W zawoalowanym żądaniu winniśmy dostrzec przede wszystkim przesłanie zobowiązujące do dalszej, wytężonej pracy na rzecz rozwoju koszalińskiej kultury.

Od pierwszej edycji „Almanachu" na naszej lokalnej scenie kulturalnej rozegrało się pięć sycących rozmaitością aktów. Inspirujących, pobudzających zmysły, a nierzadko zaskakujących w formie lub przekazie. Szeroki wachlarz ekspresji śmiało napędzający żagle audytorium, zarówno tego poszukującego świeżości, jak i delektującego się klasyką.

Wzorem poprzednich pięciu lat niniejsze wydawnictwo, poświęcone minionemu rokowi 2009, ma ocalić przed zapomnieniem ogrom niepowtarzalnych wydarzeń kulturalnych w mieście, które odbiły się echem także poza jego granicami. Naszej wspólnej pamięci szczególnie dedykujemy dokonania twórców i animatorów kultury, którzy odeszli do wieczności, żegnani ciepłym wspomnieniem.

Na okres dwunastu miesięcy 2009 roku przypadło wiele doniosłych jubileuszy: 55-lecie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, 50-lecie Teatru Propozycji „Dialog", 45-lecie Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, twórcze rocznice artystów: Zygmunta Wujka, Andrzeja Słowika, Bożeny Giedych, Ewy Miśkiewicz, 15-lecie Muzeum Włodzimierza Wysockiego, 10-lecie Telewizji Kablowej Koszalin „Max", 5-lecie Autorskiej Galerii Fotografii „Portret Świata". Nie wypada też pominąć 5-lecia Almanachu „Kultura Koszalińska", świętując ten skromny jubileusz nie tyle lampką szampana, co jego kolejnym wydaniem.

Z tej okazji chciałbym życzyć – i Państwu, i sobie – jeszcze wielu podobnych okoliczności i spotkań. Feerii artystycznych uniesień i wzruszeń. Kojącego piękna, ale i rozrywki niosącej uciechę. Palety barw pośród szarej codzienności i nieustającego podsycania potrzeb ducha. Jednym słowem: różnorodności, o którą nie tylko musimy dbać, ale i zabiegać. Powtarzając bowiem za mądrzejszymi: ciągłe zmiany, to jedyna pewna rzecz w życiu. Czerpiąc z przeszłości i odważnie patrząc w przyszłość nie bójmy się zmieniać naszą kulturową teraźniejszość... Wierzę, że wyłącznie na lepsze.

Edward Grzegorz Funke
przewodniczący Rady Kultury

MUZYKA





Kazimierz Rozbicki

Nadzieje się spełniają

Filharmonia Koszalińska w roku 2009

Filharmonią w 2009 roku nadal kierowali: dyrektor naczelny Robert Wasilewski i dyrektor artystyczny Ruben Silva. Był to przede wszystkim rok postępu w pracach przygotowawczych do budowy gmachu filharmonii. Przeżywamy zatem ostatnie już lata filharmonii bezdomnej. Rok 2009 był także okresem intensywnego wzbogacania oferty artystycznej zarówno w dziedzinie programowej, jak i wykonawczej. Skutkuje to stuprocentową frekwencją na wszystkich koncertach, co jest fenomenem w skali kraju. Rekord pobiła opera CARMEN George'a Bizeta, wystawiona w amfiteatrze przepełnionym po brzegi (ok. 7 tys. osób); kilkaset osób odeszło z kwitkiem. Ale jeszcze bardziej zadziwiające było przyjęcie koncertów listopadowego Festiwalu Muzyki Polskiej – muzyki zapomnianej, nieznanej. Zainteresowanie nią przeszło wszelkie oczekiwania. Oto szczegóły.

Cykl pięciu rozrywkowych programów (13 koncertów) filharmonicznego karnawału 2009 ozdobiło wykonanie scenicznej wersji operetki Franza Lehára *Kraina uśmiechu* (15, 16 stycznia). Wybrano utwór zalecający się szlachetną inwencją wysokich lotów, a zarazem świetnym librettem o wyrazistych, dramatycznych rysach – rzecz w świecie operetki bardzo rzadka – pogłębionych zderzeniem kultur europejskiej i orientalnej. Nic tu z owego Gombrowiczowskiego „boskiego idiotyzmu" operetki: po prostu boska muzyka na usługach wiarygodnej psychologicznie i sytuacyjnie, zawęźlonej akcji.

Oczywiście trzeba było zrezygnować z efektownych scen zbiorowych, może właśnie dzięki temu realizacja ta zyskała na artystycznej kondensacji wyrazu, sercowe perypetie protagonistów nabrały ostrości, akcja zyskała na wartkości i artystycznej prawdzie – rzadkiej w repertuarze operetkowym. Ale decydowali o tym przede wszystkim bardzo dobrzy wykonawcy. Obydwa soprany: **Gabriela Silva** (Luiza) i **Monika Rajewska** (Mi) błyszczały blaskiem głosów i ekspresją uczuć, świetnie kreowali swe postacie śpiewający partie tenorowe **Janusz Ratajczak** i **Marcin Naruszewicz**. Cała czwórka z wyrazem i dobrą dykcją przekazywała partie mówione. Orkiestra, pod niezawodną batutą **Rubena Silvy**, doskonale spełniała rolę muzycznego wehikułu całej akcji i znakomicie towarzyszyła śpiewom solowym. O atrakcyjności przedstawienia decydowała także warstwa wizualna, wyczarowana przez **Wandę Vogelsinger**: orkiestra w głębi sceny, za zasłoną z tiulu, pierwszy zaś plan wypełniały stylowe meble, tworząc z tiulowym tłem klimat buduaru. W romansową intrygę spektaklu świetnie wprowadzały komentarze **Andrzeja Zborowskiego**, któremu, nota bene, wręczono przed spektaklem Złotą Odznakę Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków – jakże w tym przypadku zasłużoną. Podkreślić trzeba świetną oprawę akustyczną firmy **Jerzego Sochala**.

Koncert wykonany 27 lutego, w całości poświęcony Piotrowi Czajkowskiemu, był trudnym powrotem do symfoniki, po karnawałowych doświadczeniach orkiestry ciągłego grania *full forte*. Pod batutą **Rubena Silvy** wykonano *Marsza słowiańskiego* i *I symfonię g-moll* – dzieła marginalne; *Koncert skrzypcowy*, pub-

liczności znany niemal na pamięć, grał świetnie **Maks Dondalski**, (student I roku Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, w klasie prof. Jadwigi Kaliszewskiej); arcytrudne dzieło w jego przypadku nie było wyborem na wyrost. Młody artysta sprostał temu wyzwaniu z łatwością. Jest jednym z czworga rodzeństwa, które kontynuuje muzyczne tradycje rodziny. Rodzice grali kilka lat w Filharmonii Koszalińskiej). Siostry i bracia, to skrzypkowie i skrzypaczki, **Natan** jest koncertmistrzem Filharmonii Koszalińskiej, zaś najstarsza z rodzeństwa **Katarzyna**, wykształcona skrzypaczka, jest także wybitną śpiewaczką, sopranem o rzadko spotykanej skali głosu. Piękny przykład rodzinnych uzdolnień oraz tradycji.

Koncert **6 marca** w całości wypełniła muzyka baroku: Vivaldi, Haendel, Albinoni. Ich dzieła łączyły dźwięki obojów, solo lub w duecie, wtopione w zespół smyczkowy. Obój był ulubionym instrumentem epoki, niezastąpionym zarówno w czułej kantylenie, jak i wirtuozowskich popisach zabarwionych humorem. Z racji precyzji rysunku bardzo trudny, a już wyjątkowo trudny dla obojowego duetu. Tym bardziej wyraziście jawiło się mistrzostwo gry obu solistów wieczoru: mistrza – **Jerzego Kotyczki** i jego ucznia **Arkadiusza Krupy**, artystów związanych z katowicką Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia. Ich wirtuozowskie, tercjowe figuracje w szybkich częściach koncertów Vivaldiego i Albinoniego, cudowne kantyleny w częściach wolnych – były czystą muzyczną ucztą, przyjmowaną przez publiczność niezwykle gorąco. Na czele orkiestry stał amerykański dyrygent **David Handel**, pamiętny z rewelacyjnie prowadzonego w Koszalinie koncertu muzyki amerykańskiej. Obecnie, już w obiegowym symfonicznym repertuarze, znów przedstawił się jako muzyk wybitny. W pierwszej części prowadził smyczki w idealnej koincydencji z solistami. A stara muzyka wcale nie jest łatwa w swej motoryce i ekspresji. Zespół, świetnie przygotowany, zdał ten egzamin doskonale, choć świat muzyki baroku nie jest jeszcze jego stuprocentową własnością; muzykę tę trzeba po prostu często grać. Pod bardzo oszczędną, a jakże sugestywną i celową gestykulacją dyrygenta muzycy czuli się świetnie.

Po przerwie zabrzmiał chyba najpiękniejszy wykwit romantycznej symfoniki: *III symfonia „Szkocka”* Mendelssohna. Sam początek był niefortunny, usłyszeliśmy obrazek kakofoniczny, harmoniczny chaos – choć dyrygent specjalnie pracował z zespołem nad tym fragmentem. Ale w 17. takcie weszły smyczki i dalej wszystko potoczyło się jak należy. Dyrygent, niezawodnie odczuwający dramatyczny puls utworu, szeroki oddech jego romantycznej frazy, dał świetną postać wielkiego dzieła, orkiestra grała jak w transie – było to wydarzenie artystyczne z rzędu najwybitniejszych w dorobku koszalińskich filharmoników.

Stulecie śmierci **Mieczysława Karłowicza** (8 lutego 1909) było także rocznicą wielkiej straty, jaką poniosła muzyka polska i muzyka w ogóle. Dla jej uczczenia widziałbym taki program: młodzieńczą, pełną uroku *Serenadę na smyczki*, wspaniały, a chyba niedoceniany *Koncert skrzypcowy* i *Odwieczne pieśni*. Jedynie te ostatnie dzieła znalazły się w programie piątkowego koncertu (**13 marca**). Otwierał go natomiast poemat *Kościelec 1909* Wojciecha Kilara (Karłowicz zginął w lawinie u stóp Kościelca); typowe Kilara ekspresyjnie powtarzane nuty i akordy nie były w tym wykonaniu dobrze zestrojone i raczej burzyły niż budowały nastrój i emocjonalny wyraz utworu. I oto po tych ekspresyjnych mękach proponuje się słuchaczom salonowy, bezproblemowy *Koncert d-moll* Wieniawskiego. Karłowicz chyba skręcał się w grobie, zwłaszcza, że wykonanie *Koncertu* było astronomicznie odległe od niuansów, wdzięku i elegancji właściwych epoce tej kompozycji i samemu dziełu, przebiegało zaś w myśl zasady: grać możliwie szybko; i w tym względzie wystawiam soliście, a przy okazji orkiestrze oraz dyrygentowi, notę wysoką: było szybko i razem. I tym gorzej, gdyż salonowy *Koncert* po „Kilarowych” ekspresjach, zapędzony i pozbawiony tożsamości, był w tym programie absolutnym

zgrzytem. Zresztą nawet doskonale wykonany też by nim był. Partię solowych skrzypiec grał brawurowo **Janusz Wawrowski**, młody artysta, który furorę zrobił nagraniem 24 kaprysów Paganiniego – tu oczywiście może być ważna liczba nut na sekundę, ale u muzyka liczy się także znajomość włoskich terminów muzycznych. Otóż Wieniawski życzy sobie w III części *Koncertu* tempa *Allegro moderato* (umiarkowanie żywo), zaś młody artysta grał *Presto possibile* (możliwie szybko). Fałsz. Podziwiam orkiestrę i dyrygenta piątkowego koncertu, **Rubena Silvę**, że dotrzymywali biegu soliście. Ale to jedyny możliwy tu komplement.

Smutny zatem i nieco groteskowy byłby ten hołd złożony Karłowiczowi, gdyby po przerwie nie zwyciężyła jego muzyka: poemat symfoniczny *Odwieczne pieśni*. Muzyka piękna i sugestywna, której artystyczne idee odnoszą się do wyższych sfer psychiki, wrażliwości, intelektu. Dyrygent skupił się przede wszystkim na dobrym zsynchronizowaniu przebiegu, rzeczy niełatwej w skomplikowanej i gęstej fakturze tego utworu, ale nadał mu także należytą emocjonalność i dynamikę. Orkiestra grała w pełnym porozumieniu z dyrygentem, dała wykonanie naznaczone pietyzmem, a publiczność przyjęła *Odwieczne pieśni* niezwykle gorąco.

20 marca zawitała do Koszalina opera włoska w swoim doskonałym, choć minimalistycznym kształcie: tylko solistka (sopran) i dyrygent. Arie z dzieł wielkiej trójki autorów włoskiej opery: Rossiniego, Verdiego, Pucciniego śpiewała **Francesca Pedaci**, artystka występująca w najbardziej renomowanych teatrach świata, współpracująca z najwybitniejszymi dyrygentami. Jej sztuka to *belcanto* w najszlachetniejszej postaci; nie oszałamiające mocą i blaskiem, lecz czarujące subtelnie wysmakowanymi i modulowanymi frazami, głosem o czystej, bardzo bogatej i ciepłej barwie – po prostu wielka kultura i muzykalność na usługach artyzmu, w uczcie zestawionej z najsmaczniejszych „dań" włoskiego repertuaru. Nad stroną instrumentalną czuwał na czele orkiestry **Andrea Rossi**, muzyk, który na swej drodze do podium dyrygenta miał także istotny epizod polski. Pierwsze takty otwierającej program uwertury do *Nabucca* Verdiego, zdawały się zbyt stonowane w tempie i brzmieniu, dalej także brakowało spontaniczności, – jednak w dalszym biegu programu wątpliwości mijały; artysta bardzo dobrze towarzyszył solistce; nie wychodząc poza służebną swą rolę efektownie prowadził pozycje orkiestrowe (Intermezzo z *Rycerskości wieśniaczej*, finał uwertury *Wilhelm Tell* Rossiniego). Orkiestra zaś grała i brzmiała bardzo dobrze – także dzięki pięknym dźwiękom harfy pod palcami **Grażyny Janus**. W sumie było to jedno z ważnych wydarzeń w historii Filharmonii Koszalińskiej.

Adam Klocek jako młodziutki wiolonczelista grał w Koszalinie wielokrotnie, a zawsze znakomicie. Ogromny talent i temperament roznosiły go – i zawiodły na podium dyrygenta. Po dwóch występach w roli dyrygenta, jakie widziałem, wydało mi się, że brak regularnych studiów, kształtujących psychofizyczną sylwetkę dyrygenta, nie pozwoli muzykowi na karierę dyrygencką adekwatną do wybitnych zdolności. Umocnił te odczucia kolejny jego występ w Koszalinie (**3 kwietnia**), zwłaszcza że wybrał dwa najbardziej ryzykowne, bo nudne dzieła wiedeńskiej symfoniki, żyjące w repertuarze dzięki wielkim nazwiskom Brahmsa i Schuberta. Dokonując takiego wyboru trzeba zrobić wszystko, aby całą retorykę tych dzieł uczynić strawną, a nawet interesującą. Tymczasem wykonanie *Uwertury tragicznej* Johannesa Brahmsa sprowadzało się do zewnętrznej synchronizacji, zaś we wnętrzu ginęły wątki i piękności – bo i tu one są, wszystko zaś grzęzło w ciężkim przebiegu. To samo zdarzyło się kończącej program *VII symfonii* Franciszka Schuberta. Cały utwór, mimo dziarskiego tonu, grany był jednak za wolno (w *Scherzo* Schubert chce: *Allegro vivace*, w Finale także: *Allegro vivace*, a są to oznaczenia temp bardzo szybkich). Każde niemal wejście puzonów powodowało zagłuszenie reszty orkiestry, a taneczny w zamyśle ruch zamiast biec lekko, tonął w ciężkich nutach *mar-*

cato; to nie była radość życia tylko przygnębiający znój. Nie mówię już o „mgiełkach melancholii", ani o „wiedeńskości" – nie miały szans zaistnieć w tym wykonaniu.

I oto w obramowaniu wiedeńskiego „zakalca" pojawił się rarytas: *Koncert skrzypcowy e-moll* Mendelssohna. Obok dyrygenta stanął **Natan Dondalski**. Artysta wykonywał dotąd dzieła spoza repertuaru obiegowego, tym razem wziął utwór znany i ograny – i zwyciężył. Grał z wielką swadą, a zarazem dyscypliną i kulturą, przekazując w doskonałej harmonii romantyczną ekspresję i klasyczną niemal logikę przebiegu, narracji i wirtuozerii, problemy techniczne zdawały się nie istnieć. Przy tym była to interpretacja na wskroś osobista. Adam Klocek świetnie synchronizował tu partię orkiestry z fantazją solisty, zaś orkiestra, choć czasami za głośna, tworzyła temu utworowi właściwe tło i klimat. Był to świetny występ.

*

17 kwietnia w Filharmonii Koszalińskiej po raz trzeci zabrzmiała muzyka Wschodu; tym razem, po muzyce hinduskiej i chińskiej, wykonano program poświęcony muzyce Azerbejdżanu, prezentowanej przez wybitnych artystów: solistę **Ramiza Guliyeva** (ojca) i dyrygenta **Ayyuba Guliyeva** (syna). Usłyszeliśmy utwory na narodowy instrument azerski „tar" i orkiestrę symfoniczną. Wykonano *I koncert na tar* kompozycji Hadji Khanmamedova, oraz *Rapsodię* Hasana Rzayeva. Oba utwory łączyły w sobie europejski sposób rozwijania przebiegu muzyki, z tanecznymi, narodowymi korzeniami, które silnie przemawiały w długich solowych kadencjach, prowadzących do bachicznych kulminacji. Rola solisty, grającego rewelacyjnie, była bez porównania ważniejsza, niż w kompozycjach europejskich. Orkiestra nasza świetnie znajdowała się



Jedną z gwiazd roku 2009 była włoska śpiewaczka **Francesca Pedaci**. fot. archiwum FK

w tym nowym dla niej świecie, w czym pomagał jej czujnie dyrygujący Ayyub Guliyev.

Do niego też całkowicie należały dwa arcydzieła europejskiej symfoniki: wstęp do opery *Lohengrin* Wagnera oraz *VII symfonia* Beethovena. Sam wstęp do *Lohengrina* trudno byłoby rozpoznać. Zaczynał się niemal niesłyszalnym szmerkiem smyczków, gubiąc rozkosze jasnego A-dur unoszącego się do serafickiego fis-moll; cały przebieg tego symfonicznego arcydziełka rozpływał się w niewiedzy orkiestry co jest w jej partiach ważne, a co nie, zaś jedyna kulminacja w fortissimo z blachą (brzmiącą okropnie), skłaniała do wdzięczności Wagnerowi, że napisał tak krótką uwerturę.

Czekałem z ciekawością na *VII symfonię*. Trzeba przyznać: dyrygent znakomity, grał „na orkiestrze" jak wirtuoz, gesty czytelne, niezwykle oszczędne, celowe, bardzo sugestywne, świetna szkoła, absolutna muzykalność – i żywiołowość, ale tu znowu to samo: niewiedza muzyków po co grają swoje partie, kto z nich prowadzi wątek, bardzo szybkie tempa zamazują szczegóły, szesnastki w finale zupełnie niesłyszalne, nie było czasu na wyraźną realizację Beethovenowskich cech, jak sforzata, subito forte, subito piano, przejrzysta artykulacja, nie wiadomo dlaczego nie powtarzano ekspozycji w I części, w ogóle biedna *Siódma* zatraciła cechy swego stylu, choć zyskała niebagatelną lekkość i radość muzykowania. Dyrygent może być dumny, że orkiestrę do takiej stylistycznej metamorfozy zmusił, że muzycy w tych tempach grali świetnie, ale było to jednak klasyczne nieporozumienie.

*

Jako wielkie wydarzenie w życiu muzycznym Koszalina trzeba odnotować występ **Grigorija Żyslina (24 kwietnia)**, artysty z najściślejszej światowej elity wiolinistycznej, wirtuoza zarówno skrzypiec jak i altówki, przy tym równie wybitnego pedagoga. U nas grał tylko na altówce w *Koncercie na altówkę* Krzysztofa Pendereckiego, utworze sławnym właśnie dzięki wykonaniom Żyslina. Była to gra pod każdym względem znakomita (na wspaniałym włoskim instrumencie), bardzo emocjonalna, a zarazem z pewnym dystansem – co jest cechą tylko tych największych. Dobrze sekundowała orkiestra; przejrzysta choć skomplikowana i nietypowa struktura tej kompozycji stawiała zespołowi bardzo duże wymagania. Na brawa zasłużył dyrygent **Mirosław Jacek Błaszczyk**, prowadzący partię orkiestry z wielką precyzją i spokojem. Drugim utworem koncertowym było arcydzieło Mozarta: *Symfonia koncertująca Es-dur* na skrzypce, altówkę i orkiestrę. W jej partii skrzypcowej wystąpiła – obok **Grigorija Żyslina** – **Agnieszka Tobik**, koncertmistrz naszej orkiestry, a zarazem wychowanka i współpracownica Mistrza. Oboje grali Mozarta jak jeden artystyczny organizm, była to zachwycająca projekcja wzajemnego zrozumienia i piękna. Orkiestra, tak rzadko obcująca z Mozartem, wydawała się nazbyt konkretna, zwłaszcza w forte. Niskie smyczki były zawsze za głośne, brakowało lekkości i miękkości adekwatnych do gry solistów. Zawiniła tu chyba zbyt ciężka ręka dyrygenta, choć partnerował solistom w bardzo dobrej synchronizacji. Wykonanie przyjęto niezwykle gorąco. Po przerwie *II symfonia h-moll* Aleksandra Borodina – dawno w Koszalinie nie grana (ostatnio w 1980 roku); chyba dlatego, że jest utworem trudnym, a przy tym nie zaleca się tak bezpośrednio do słuchacza, jak na przykład dzieła Czajkowskiego czy Rachmaninowa – jeśli pozostawać w obrębie muzyki rosyjskiej. Mirosław Błaszczyk nadał dziełu Aleksandra Porfiriewicza niezwykłą zwartość, ostrość, prowadząc szybkie części bardzo szybko (jak chce Borodin – może jednak w tym nieco przesadzając). Przydałoby się więcej płynności, łagodności, liryki, rytmicznej giętkości. Nasycona dyscypliną rytmiczną, parciem naprzód, porywającą dynamiką przebiegu interpretacja Błaszczyka odkryła w dziele Borodina rysy zaskakujące, jak na czas powstania (1876). Orkiestra grała świetnie.

Program koncertu symfonicznego **8 maja** zaznaczył się ważnymi wydarzeniami: solo-

wym debiutem jednego ze skrzypków filharmonii, Adama Vogelsingera, wykonaniem *Fantazji szkockiej* Maxa Brucha, która w Koszalinie nie była jeszcze grana, oraz wykonaniem kilku utworów Stanisława Moniuszki dla uczczenia 190. rocznicy jego urodzin – w obecności praprawnuczki twórcy opery narodowej, pani Elżbiety Moniuszko-Janowskiej. **Adam Vogelsinger** na swój solowy debiut wybrał utwór w życiu koncertowym prawie nieistniejący (w każdym razie w Polsce), co o tyle jest dziwne, że pod tytułem *Fantazja* kryje się koncert skrzypcowy, wyjątkowej urody, ale też wielkich trudności. Wybranie tego utworu na debiut świadczy o ambicjach, estetycznej wrażliwości i niemałych już umiejętnościach młodego muzyka, a także o jego odwadze, gdyż dzieło to stawia wymagania daleko wykraczające poza zwykłą normę trudności czołowych dzieł koncertowego repertuaru. Jest to bowiem wielki fresk muzyczny, bardzo rozmaity w swym wyrazie, narracji i urzekającej melodyjności. Adam Vogelsinger znalazł się tu doskonale, jak wytrawny artysta. To było nie tylko bardzo dobre wykonanie, ale także pełna pasji ekspresja własnych wzruszeń solisty. Współuczestniczyli w tym koleżanki i koledzy z orkiestry prowadzeni przez **Mieczysława Nowakowskiego**, wśród nich przede wszystkim solowo traktowana harfa we władaniu świetnej **Grażyny Janus**. Wielki zespół wykonawców grał dobrze, choć na ogół nieco za głośno w stosunku do solisty i dość bezbarwnie w programowym i nierzadko ludycznym (szkockie melodie ludowe) utworze. Dyrygent prowadził akompaniament pewnie, w dobrej synchronizacji, brakowało jednak trochę owego wyrazowego „czegoś więcej", jakiego, w sytuacji śmiałego debiutu i bardzo wymagającego utworu, można by oczekiwać.

Część Moniuszkowska wieczoru problemów nie stwarzała, Mieczysław Nowakowski ma tę muzykę „w małym palcu" i w sercu – choć w *Bajce* przydałoby się więcej szlifu, pogłębienia i udramatyzowania tak znanego przebiegu. *Prząśniczka* i operowe mazury – piękne, natomiast uwertura do *Halki*, podobnie jak *Bajka*, także zbyt była naznaczona wykonawczym stereotypem. Ale czy w przypadku dzieł Moniuszki łatwo da się odejść od stereotypu interpretacyjnego? W każdym razie był on wysokiego gatunku.

Muzyczny wieczór **22 maja** rozpoczęły dzieła Edwarda Elgara, dość rzadko pojawiające się w programach symfonicznych. Wykonany na początku *Marsz wojskowy D-dur*, „okolicznościowy i paradny", jak go nazwał kompozytor, cieszy się w Anglii wielką popularnością, zaś trio marsza ulokowało tę kompozycję o wiele wyżej w hierarchii muzycznej, niż wskazywałyby użytkowe serwituty wojskowej muzyki – ta piękna, szeroko rozpostarta melodia natchnęła nawet Brytyjczyków do połączenia jej z pieśnią patriotyczną: „Land of Hope and Glory". Dyrygujący tego wieczora **Ruben Silva** chyba jednak nieco przesadził, rozciągając owe *trio* ponad miarę. **Marcin Zdunik** w trudnym muzycznie i technicznie *Koncercie wiolonczelowym* Elgara pokazał świetny warsztat, wielką muzykalność i wrażliwość, korespondującą szczególnie z poetycką, liryczną warstwą utworu. W partiach wirtuozowskich brakło nieco wyrazistości, jednak było to wykonanie bardzo dobre – i piękny sukces dzielony z orkiestrą.

Po przerwie zabrzmiała *I symfonia c-moll* Brahmsa. Ruben Silva prowadził monumentalne dzieło chyba zbyt „na kolanach", z respektem. *Symfonia* jawiła się jako wielki fresk, ale niedoświetlony, w mroku. Wszystko przebiegało sprawnie, tempa dobre, zacierały się jednak kształty, linie, wątki, barwy, a więc i ekspresja. Oczywiście wiemy, że orkiestra źle słyszy się nawzajem na sali prób i na estradzie, jednak zdarzają się wykonania dobrze skontrastowane, czytelnie eksponujące myśli i piękności partytury. Czyli można. Tego zabrakło w dobrym poza tym wykonaniu tej symfonii.

Abonamentowy, 53. sezon filharmonii dobiegł końca. Na jego ostatnim koncercie (**5 czerwca**) uraczono wierną koszalińską publiczność iście po królewsku: **Jakub Jakowicz**

w *Koncercie skrzypcowym* Beethovena, oraz **Ruben Silva** w bliskich swemu sercu klimatach hiszpańskich dwóch arcydzieł Ravela.

W pierwszej części dojrzała klasyka 36-letniego Beethovena zetknęła się z młodzieńczą brawurą **Jakuba Jakowicza**. To wspaniały skrzypek i wielka indywidualność artystyczna. Ograny na wszelkie sposoby *Koncert* Beethovena brzmiał zaskakująco świeżo, konserwatoryjny konserwatyzm interpretacji okopał się w partii orkiestry – i tak owa wielka symfonia koncertująca z solowymi skrzypcami zadziwiała słuchaczy koegzystencją starego z nowym, żywiołowego ze statecznym; koegzystencją harmonijną i twórczą w rozwijaniu genialnych myśli tego dzieła. Stąd wysłuchanie po raz enty *Koncertu* Beethovena było tym razem okazją do świeżego spojrzenia na dzieło i rzadką okazją do dzielenia radości słuchania z radością muzykowania solisty. Dyrygent i orkiestra też w tej radości uczestniczyli. Przyjęcie było entuzjastyczne, brawurowy bis – *Kaprys polski* Grażyny Bacewicz – ukoronował długotrwałe owacje. Po przerwie wykonano najpiękniejszą kompozycję Ravela – fragmenty baletu *Dafnis i Chloe*: dwoje zakochanych pasterzy w antycznym gaju, pląsy, zabawy, porwanie przez rozbójników, interwencja bożka Pana, bachiczne tańce dziękczynne – takie sceny wyczarował Ravel Anno Domini 1912. Nie ma dla nich innej nazwy, jak czyste piękno. Ruben Silva i cały wielki zespół dali z siebie wszystko, aby ową fantastyczną wizję malować dźwiękami. Rzadko słyszymy na estradzie filharmonii takie bogactwo barw, nastrojów, rytmów, rzadko też orkiestra widzi na pulpitach tak trudne nuty. Dyrygent poprowadził to świetnie, wciągnięci w niezwykłą wizję muzycy dali z siebie więcej niż wszystko, bo także poczucie uczestniczenia w niezwykłym wydarzeniu. Wydawać by się mogło, że po tej feerii dźwięków czar *Bolera* straci swą moc, ale kiedy **Małgorzata Kobylarz-Wasilewska** zaintonowała na flecie pierwsze wejście tematu – powtarzanego potem w coraz to bogatszej postaci – a zrobiła to wspaniale, głębokim, namiętnym tonem, czar wrócił ze zdwojoną siłą. Zespół grał bardzo dobrze, **Robert Kwiatkowski** na werblu niezawodnie odmierzał rytm bolera, Ruben Silva świetnie dawkował narastanie napięcia, aż do pełnego determinacji przerwania tego upojnego biegu. A także zakończenia bardzo udanego sezonu. Owacje wymusiły bisowanie obszernego, końcowego fragmentu *Bolera*.

*

Opera *CARMEN* George'a Bizeta z pewnością jest najsmakowitszym daniem francuskiej muzyki z owego specyficznego gatunku „Hiszpania à la française", a przy tym krwistym dramatem scenicznym, oszałamiającym urodą i wspaniałą muzyką. Wystawienie jej pełnej wersji w amfiteatrze (**3 lipca**) było przedsięwzięciem tyle trudnym, co śmiałym. I okazało się wielkim artystycznym zwycięstwem. Ogromna widownia odebrała spektakl harmonijny we wszystkich planach artystycznych: muzycznym, wokalnym, wizualnym, aktorskim. Akcja rozwijała się naturalnie w sytuacjach dramaturgicznie logicznych. 170 jej uczestników – scena i orkiestra – dało z siebie wszystko co najlepsze, zmiany dekoracji błyskawiczne, scenografia (wizja **Wandy Vogelsinger**) funkcjonalna i sugestywna, piękne kostiumy, zespołowa, ad hoc realizowana, logiczna reżyseria, efektowny ruch sceniczny, świetna praca zespołu technicznego, oświetlenie, przygotowanie i wyświetlanie tekstów (**Adam Paczkowski**) – słowem: wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku.

Wokalna strona spektaklu należała do świetnych artystów **Opery NOVA** w Bydgoszczy. Oczywiście błyszczały role główne: **Małgorzata Ratajczak** w brawurowej kreacji partii Carmen, znakomita wokalnie i aktorsko, prawdziwa i zachwycająca aż do ostatniej nutki, oraz jej partner **Janusz Ratajczak** (Don José) o identycznych walorach; już taka para bohaterów stawiała spektakl na najwyższym poziomie. A przecież był jeszcze znakomity **Leszek Skrla** – idealny wprost toreador o pięknie, dynamicznie rzeźbionym głosie, obok nich subtelnie liryczna,

pełna uroku i wyrazu Micaela **Marty Wyłomańskiej** – oraz odtwórcy pozostałych ról: **Aleksandra Pliszka**, **Dorota Sobczak**, **Bartłomiej Tomaka**, **Dominik Sierzputowski**, **Wojciech Dyngosz**, **Marcin Naruszewicz** – wszyscy oni śpiewali bardzo pięknie. Mieli też doskonałe tło: wspaniały **chór bydgoskiej opery** (dzieło **Henryka Wierzchonia**) oraz bardzo dobry w śpiewie i w ruchu scenicznym chór dziecięcy **Śpiewająca Polska** (Koszalin i Manowo, przyg. **Ewa Szereda** i **Bożena Cienkowska**). Ozdobą był doskonały balet Opery NOVA z jego solistami (**Anna Bebenow**, **Piotr Kobierzyński**, **Andriej Terechow**). To na scenie. A w fosie orkiestrowej 60 muzyków filharmonii i prowadzący cały ten barwny tłum wykonawców **Ruben Silva** w swym operowym żywiole. Jego panowanie nad przebiegiem i ekspresją dzieła, idealne synchronizowanie akcji na górze i na dole, były godne podziwu. Orkiestra grała tak, jakby opera była jej naturalnym żywiołem. Na sukces wykonania *Carmen* składały się także świetne nagłośnienie – odpowiedzialna sfera Jerzego Sochala, oraz niezastąpione słowo wiążące **Andrzeja Zborowskiego**; dzięki niemu ok. 7 tysięcy słuchaczy mogło w sposób pogłębiony uczestniczyć w odbiorze dzieła Bizeta. Była to niewątpliwie najlepsza z dotychczasowych realizacji letnich spektakli operowych w koszalińskim amfiteatrze – rezultat wysiłku filharmonii i jej organizacyjnej czarodziejki, Wandy Vogelsinger, która przeszła tu samą siebie. Tłum kilkuset osób szturmował wejście do amfiteatru – zamknięte, bo nie było już miejsc! Rzecz nie-



Wystawienie opery „Carmen" w amfiteatrze pobiło wszelkie koszalińskie rekordy frekwencji.
W roli tytułowej wystąpiła Małgorzata Ratajczak, partnerował jej Janusz Ratajczak jako Don José – oboje (na zdjęciu) znakomici.

fot. Paweł Mielcarek

słychana i zaskakująca organizatorów, nie był to przecież jakiś kabareton czy występ międzynarodowych sław show-biznesu. Filharmonia, nieco skonfudowana zamieszaniem przy wejściu, mogła sobie raczej gratulować: to rezultat i świadectwo jej upartej, długoletniej pracy promieniującej na całe środowisko środkowopomorskie, a owe szturmujące tłumy to – jak mówią Francuzi – *embarras de richesse*.

*

53. sezon artystyczny zamknął koncert symfoniczny 5 czerwca, ale to nie przerwało pracy orkiestry, nadal trwały próby do CARMEN. W tym także czasie **Bogdan Narloch**, dyrektor artystyczny Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie, dopinał jego program. Festiwal ten jest niejako letnim sezonem, poszerzającym promieniowanie filharmonii na pięć miejscowości regionu: Białogard, Darłowo, Dźwirzyno, Karlino, Sarbinowo. W tym nurcie dominuje muzyka organowa, ale jest także dużo kameralistyki. To nawiązanie do historycznych tradycji tego regionu, wykorzystanie jego kościołów do prezentacji ogromnych obszarów muzyki nieobecnej w programach filharmonicznych. Podziwu godzien wysiłek organizacyjny, a nade wszystko manifestacja artystyczna i dystrybucja muzyki najwyższych lotów dla tysięcy wypoczywających nad morzem i dla mieszkańców odciętych od dobrodziejstw życia koncertowego – i w ogóle kulturalnego.

W lecie 2009, w ciągu dwóch miesięcy (lipiec, sierpień) odbyło się w terenie 19 koncertów muzyki organowej i kameralnej, wszystkie przy wielkiej frekwencji – to także wyrazisty przejaw kulturowego posłannictwa i oddziaływania Filharmonii Koszalińskiej na obszarach nadmorskich Środkowego Pomorza. Do tego należy dodać 9 koncertów w katedrze koszalińskiej, z czterokrotnym udziałem filharmoników, wszystkie koncerty także z udziałem chórów i zespołów instrumentalnych. Cały niezwykle bogaty 43. Festiwal, zaprogramowany i zorganizowany przez Bogdana Narlocha, to oczywiście efekt jego wielomiesięcznej – właściwie całorocznej – pracy i kontaktów z całą organową Europą. Drugim bohaterem tego projektu jest **Andrzej Zborowski**, który od lat towarzyszy wszystkim koncertom festiwalowym swym słowem wiążącym, komentującym, uczącym – zawsze celnym.

To dzięki takim ludziom, dzięki 60 muzykom orkiestry i administracyjnym pracownikom filharmonii, można mówić o wyjątkowo intensywnym promieniowaniu muzyki w Koszalinie i okolicy. Dodajmy: muzyka, koncerty – to nie zwyczajowe fanaberie, to najżywsze źródło kultury; pokarm dla duszy.

*

200. rocznica śmierci Josepha Haydna (zmarł 31 maja 1809) była nie tylko pretekstem dla okazjonalnych koncertów we wszystkich filharmoniach, także koszalińskiej, ale nade wszystko impulsem do estetycznych rozrachunków w epoce, kiedy sztuka muzyczna stała się dźwiękową igraszką, polem do eksponowania brzydoty w pseudointelektualnym sosie. Warto wrócić do dorobku Haydna, do uroku, do głęboko ludzkiego ciepła i radości życia jego muzyki – połączonych z przeżyciem estetycznym. Refleksje takie wzbogacały odbiór muzyki Haydna w poświęconym jemu w całości programie inaugurującym 54. sezon filharmonii (**2 października**). Miejsce na podium dyrygenckim należało do **Rubena Silvy**, orkiestra zaś zrazu wystąpiła w skromnym, smyczkowym składzie, we wstępie do komicznej opery *Aptekarz*. Wykonanie staranne, ot pogodna uwerturka, która przygotowuje uwagę i wrażliwość słuchaczy do bogatszych przeżyć. Tych dostarczył już *Koncert na trąbkę* nienagannie wykonany przez **Igora Cecocho**, świetnego muzyka i pedagoga, który całkowicie narzucił sobie klasyczny gorset; trąbka domagała się może nieco większej wyrazowej swobody w popisowej partii – i w dźwięku. Uwaga o swobodzie odnosi się zresztą do całego programu. **Barbara Karaśkiewicz**, pianistka świetna, o lekkiej, perlistej

technice, grała *Koncert fortepianowy D-dur* również jak w owym gorsecie – dźwiękiem filigranowym, uroczym, ale już finałowe Rondo „po węgiersku" (All'Ungarese) zyskałoby na wyrazistości dynamicznej dźwięku i dobitnej artykulacji. Tych wszystkich cech (broń Boże nie mankamentów) była pozbawiona *Symfonia G-dur nr 96*. Ruben Silva prowadził to znakomite dzieło zachwycająco – lekko, w świetnych tempach, orkiestra zaś grała doskonale. Jeśli już można by mieć jakieś życzenia, to chyba odrobinę większej płynności, zwłaszcza w zamaszystym *Menuecie*; w akustyce tej sali przebiegi były nieco zbyt staccato, w forte zaś marcato. Ale w ogóle cały koncert był popisem orkiestry (także świetne akompaniamenty) i dyrygenta.

Koncert **9 października** wziął w swe ręce **Jerzy Kosek**, przez kilka lat szef koszalińskich filharmoników. Rozpoczął poematem Sibeliusa *Finlandia*, muzyką odwołującą się do patriotycznych uczuć zniewolonych przez Rosję Finów. Patetyczny wstęp dętych instrumentów zabrzmiał raczej jak krzyk rozpaczy – swymi niezamierzonymi przez kompozytora dysonansami (szczególnie niskiej blachy). Ale dalej sławny utwór pod zdecydowaną ręką dyrygenta znalazł swój właściwy ton, wyraz i odegrał artystyczną rolę w programie równie skutecznie, jak w patriotycznych uczuciach Finów (wolność odzyskali).

Koncert fortepianowy a-moll Griega to nieprzemijający szlagier koncertowy, żelazna pozycja w repertuarze koncertujących pianistów. **Adam Wodnicki** grał już w Koszalinie kilka wielkich dzieł, przyszła zatem nieuchronnie kolej na *Koncert* Griega. I w tym dziele zaprezentował się jako muzyk wielkiego formatu, o wspaniałym warsztacie i wyobraźni, choć owa łatwość wydawała się tu skłaniać artystę do czegoś, co nazwałbym przeinterpretowaniem romantycznej narracji, a nawet do pewnej manieryczności. Ale w warstwie czysto pianistycznej górowała porywająca brawura – przy bardzo dobrym towarzyszeniu Jerzego Koska. Po przerwie nadal Grieg: muzyka do *Peer Gynta* – i popis Jerzego Koska. Cykl ośmiu obrazów symfonicznych to wielkie wyzwanie dla dyrygenta i orkiestry. Zmienność nastrojów, temp, charakteru jest tu oszałamiająca. Dyrygent czytelnie wydobył zarówno programowe bogactwo tej partytury, jak i jej poezję, uczuciowość i kolory. Prowadził ją niezwykle czytelnie, orkiestra grała świetnie, był to doskonały występ w jednym z najpiękniejszych dzieł symfonicznego repertuaru.

W programowaniu życia koncertowego wykorzystuje się ewenement muzykujących rodzin, zawsze ciepło przyjmowany przez słuchaczy. Publiczność koszalińska zetknęła się z nim dowodnie, kiedy to występowała razem na estradzie sześcioosobowa rodzina państwa Cwojdzińskich. **30 października** usłyszeliśmy „tylko" rodzinny duet, ale jakże znakomity: ojca i syna, **Jerzego** i **Huberta Salwarowskich**, w bardzo pięknym programie rozpoczętym uwerturą Webera do *Wolnego strzelca*. Dobrze, w dobrych tempach wykonana muzyka, oszczędny i bardzo skuteczny sposób dyrygowania Jerzego, świetnie przygotowały publiczność do przyjęcia rodzinnego duetu w arcydziele Mozarta: *Koncercie fortepianowym B-dur KV 595*, utworze, którego niezwykły format artystyczny stawia wykonawcom najwyższe wymagania. Dlatego też chyba owo ostatnie dzieło (z roku 1791) niezwykłego, fortepianowego wątku twórczości Mozarta, jest tak rzadko wykonywane. W Koszalinie było to wykonanie pierwsze – i bardzo dobre. Obaj muzycy świetnie czuli Mozartowski styl. Lekkość, barwa i przejrzystość gry uwiarygodniały legendę tego dzieła, o którym Alfred Einstein pisze, że spotyka nas u wrót raju. Sercem *Koncertu* była oczywiście partia fortepianu. Hubert grał ją doskonale, spod palców płynęło ponadczasowe piękno, przy świetnym towarzyszeniu orkiestry pod wrażliwą ręką dyrygenta. Publiczność przyjęła wykonanie gorącym aplauzem. Pięknie zagrany na bis *Mazurek op. 17 nr 4* Chopina zabrzmiał jakby kontynuacja Mozarta, pozostawiając słuchaczy w tym boskim świecie.

Jerzy Salwarowski sprowadził nas na ziemię

za sprawą *92. symfonii, „Oxfordzkiej"*, Haydna. Nie bał się soczystych barw i zwrotów, prowadził ją jednak z szacunkiem i zachwytem dla klasycznej jasności i harmonii. Słuchając wykonania takiej muzyki można najbardziej wnikliwie ocenić walory gry orkiestry. Tu wszystko było bardzo dobre; dyrygent i orkiestra bawili się tym uroczym dziełem, a z nimi słuchacze. Wielki sukces bez wielkiej obsady – tak można by podsumować ten niezwykle udany wieczór.

Swego nie znacie (12-27 XI 2009)

Festiwal Muzyki Polskiej

Idea festiwalu muzyki polskiej narodziła się w rozmowie Jana Jarnickiego – właściciela Wydawnictwa Muzycznego Acte Préalable oraz miesięcznika Muzyka21, wielkiego miłośnika i propagatora muzyki polskiej – z dyrektorem Filharmonii Koszalińskiej, Robertem Wasilewskim, i szybko przybrała formę konkretów. Robert Wasilewski dodał jej bardzo trafne, istotne hasło: „swego nie znacie", bowiem intencją było wykonywanie dzieł nieznanych. Na realizację festiwalu poświęcił cały koncertowy listopad, a także organizacyjny potencjał swej firmy. Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania, a sukces imprezy był ogromny.

Festiwal obejmował trzy koncerty kameralne w studiu Rozgłośni Koszalińskiej Polskiego Radia oraz trzy koncerty symfoniczne. W czwartek **12 listopada** studio rozgłośni Radia Koszalin wypełniło się po brzegi. Wykonawcą inauguracyjnego recitalu był **Tomasz Kamieniak**, młody pianista ze środowiska śląskiego. Program komentowały dziennikarki z Redakcji Muzycznej: **Beata Młyńczak** i **Maria Słowik-Tworke**. Artysta grał trzy nieznane polskie kompozycje z XIX wieku autorstwa Juliana Fontany, Edwarda Wolffa i Józefa Wieniawskiego, poza nimi w programie był Chopin oraz... Tomasz Kamieniak. Pianista zaprezentował swój doskonały warsztat techniczny, natomiast wytwory tego warsztatu: interpretacje utworów XIX-wiecznych, były w charakterze i w duchu dość dalekie od ich romantycznej inspiracji oraz poetyki. Najlepiej wypadło *Scherzo b-moll* Chopina oraz *Tarantella* Wieniawskiego, jako popis brawurowej techniki. Utwory własne artysty, należące do śląskiej szkoły repetycyjności, miały, oczywiście, wykonanie w pełni kompetentne, natomiast ich ocena zależała od gustu słuchaczy.

W piątkowy wieczór **13 listopada** publiczność wypełniła salę filharmonii również do ostatniego miejsca. Program zawierał: Andante z *I symfonii* Władysława Żeleńskiego, *Koncert fortepianowy g-moll op. 20* Józefa Wieniawskiego oraz *I symfonię A-dur* Zygmunta Noskowskiego – utwory nieobecne w życiu koncertowym Polski. Dyrygowała **Monika Wolińska**. Utwór Żeleńskiego wypadł dość blado, choć dyrygentka i orkiestra starali się wlać w jego przebieg treści stosowne do tytułu (*Pienia żałobne*); na pewno lepiej funkcjonuje on w całości symfonii, wyrwany z jej kontekstu nie mógł poruszyć słuchaczy. Poruszył ich jednak *Koncert fortepianowy* Wieniawskiego – kompozycja świetna, z fantazją wpisująca się w nurt wirtuozowskiej literatury XIX wieku. Solista, Tomasz Kamieniak, grał doskonale, narrację prowadził pewnie i płynnie; miał świetny akompaniament orkiestry pod wytrawną ręką Moniki Wolińskiej – tym bardziej więc dziwiła pewna emocjonalna wstrzemięźliwość jego interpretacji.

Po przerwie *I symfonia* Noskowskiego – dzieło zapomniane, podobnie jak jego pozostałe dwie symfonie. I oto stał się cud: już od pierwszych dźwięków kotłów sala zamarła w zachwyceniu. Zaczęła się historia niezwykła, misterium dźwięków, melodii, barw, jakże silnie tętnią-

cych polskością; duchowa emanacja narodu, a zarazem wspaniała, pyszna muzyka pisana mistrzowską ręką. Ten urzekający obraz rozwijała przed słuchaczami Monika Wolińska rewelacyjnie, w absolutnym porozumieniu z orkiestrą. Był to dyrygencki majstersztyk – oraz satysfakcja dla słuchaczy oglądających tak znakomitą, natchnioną pracę dyrygentki. I absolutne zwycięstwo muzyki Noskowskiego. Po długotrwałych brawach nasuwała się refleksja: cóż można powiedzieć o sytuacji, kiedy jego trzy wspaniałe symfonie, jedne z najlepszych w skali międzynarodowej, leżały zapomniane na regałach bibliotek?

Drugi koncert kameralny (**19 listopada**) należał do duetu: **Andrzej Gębski** – skrzypce, **So-Yeon Lim** (Korea) – fortepian; w programie znalazły się nazwiska znane: Elsner, Noskowski, Melcer, Fitelberg, Twardowski – natomiast ich utworów słuchano po raz pierwszy. W tym gronie znalazł się mniej znany kompozytor Joachim Kaczkowski. Duet grał wspaniale. Andrzej Gębski prezentował świetne opanowanie instrumentu, piękny ton, wyrazistą artystyczną osobowość, So-Yeon Lim wielką muzykalność, precyzję, doskonałość. Było to wysmakowane przeżycie muzyczne, wszystkie utwory znakomite, świetnie dobrane, kameralistyka na najwyższym poziomie.

Piątkowy koncert symfoniczny (**20 listopada**), prowadzony przez **Piotra Sułkowskiego**, otworzyła tradycyjnie *uwertura* – tym razem było to Opus pierwsze Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego z 1824 roku, wówczas jeszcze ucznia Gimnazjum Podolskiego w Winnicy – formalnie nieco rozwlekłe, ale urocze, naznaczone dyskretnie stylem Rossiniego, pozbawione naiwności czy prowincjonalizmu. I dobrze, starannie wykonane. **Andrzej Gębski** na estradzie filharmonicznej wystąpił w *Koncercie skrzypcowym* Romualda Twardowskiego z 2006 roku – kompozycji odległej od typowej literatury tego gatunku, dalekiej także awangardowym eksperymentom. Andrzej Gębski grał ją znakomicie, koszalińskie smyczki świetnie sekundowały artyście pod doświadczoną batutą Piotra Sułkowskiego. Wielki sukces.

Po tej niemal kameralnej muzyce absolutnym kontrastem była monumentalna *II symfonia c-moll* Zygmunta Noskowskiego. Dzieło mistrzowskie, oryginalne, o wielkim ciężarze gatunkowym, zachwycające pod każdym względem. Przeplatające się wątki, operowanie arcybogatą harmonią i kolorystyką, wszystko to w ciągłym, dynamicznym ruchu, w kalejdoskopowych zmianach nastroju i wyrazu – czynią symfonikę Noskowskiego zjawiskiem wyjątkowym nawet wśród wielkich, współczesnych mu symfoników, stawiają też wykonawcom ogromne wymagania. Piotr Sułkowski poprowadził dzieło doskonale, wykonanie było zwycięstwem orkiestry, a nade wszystko odkryciem wspaniałej polskiej muzyki, co publiczność niezawodnie odczuła i dała temu wyraz w żywiołowej owacji.

Ostatni koncert kameralny(**26 listopada**) opromieniło swą wysokiej próby urodą oraz sztuką **Poznańskie Trio Fortepianowe**, złożone z trzech młodych artystek (**Anna Ziółkowska** – skrzypce, **Dagny Musielak** – wiolonczela, **Laura Sobolewska** – fortepian). Wykonały doskonale *Trio fortepianowe* 18-letniego Chopina – urocze brillant, zogniskowane na partii fortepianu (co zrozumiałe), bardzo dobre *Trio* Andrzeja Koszewskiego oraz – sugestywnie argentyńskie –*Tango* Romualda Twardowskiego (bisowane). Świetny występ Tria, miły nastrój generowany przez gospodynie programu (**Beata Młyńczak** i **Maria Słowik-Tworke**). Następnego dnia (**27 listopada**) finałowy koncert symfoniczny. *Polonez koncertowy* Moniuszki statyczny, swojsko nijaki. Natomiast *Koncert na 2 flety* Franciszka Dopplera znakomity. Wzorcowy niemal przykład wirtuozowskiej, XIX-wiecznej literatury wiedeńskiej proweniencji. **Agata Kielar** i **Łukasz Długosz** grali brawurowo, ze smakiem, muzykalnością, wzajemną perfekcją, oraz pięknie i bogato modulowanym brzmieniem. Towarzyszenie smyczkowej orkiestry z harfą, pod batutą **Janusza Powolnego**, kompetentne, reak-

cja publiczności entuzjastyczna.

Po przerwie ukoronowanie festiwalu: *III symfonia F-dur „Od wiosny do wiosny"* Zygmunta Noskowskiego. Po ponad stu latach ożyła na estradzie koszalińskiej wspaniała programowa wizja, bezprzykładna w muzyce polskiej, uderzająca niewyczerpaną inwencją, bogactwem myśli, współgraniem wielorakich wątków, niemal impresjonistyczną kolorystyką. Niestety, filharmonia dostała materiały orkiestrowe z licznymi błędami, usuwanie ich zabierało mnóstwo czasu na próbach, niweczyło skupienie. A jest to dzieło bardzo trudne, o dużym stopniu komplikacji, wymaga więcej prób, niż repertuar obiegowy. Tego zaś zabrakło i to się słyszało. Poprawny kształt ogólny *symfonii* pozwolił odczuć artystyczną wielkość i doskonałość tego narodowego fresku. Janusz Powolny dwoił się i troił, prowadził skomplikowaną narrację naturalnie, były piękne miejsca, piękne solówki, brakowało zaś głównie czytelnego zestawiania planów dynamicznych – to jednak wina akustyki sali. W każdym razie muzyka Noskowskiego niezawodnie oddziaływała swą urodą, artystycznym formatem, artystyczną ideą, była wspaniałym zwieńczeniem festiwalu. Cały zaś festiwal – wielkim zwycięstwem muzyki polskiej czasów niewoli i czasów jej milczenia na półkach. I zarazem jej odkryciem – na razie przez publiczność koszalińską, wypełniającą sale koncertowe do ostatniego miejsca.

*

Każdy słyszany przeze mnie występ **Beaty Bilińskiej** – czy to na Festiwalach Pianistyki Polskiej, czy na estradzie Filharmonii Koszalińskiej – zapisał się w pamięci jako wydarzenie radosne; właśnie: radosne, gdyż wśród wielu cech pianistycznej sztuki tej artystki – znakomitej techniki, absolutnej muzykalności, pięknego dźwięku, stylistycznej wierności epoce i autorowi, jasności i naturalności narracji – właśnie owa spontaniczność, radość muzykowania, brały publiczność w posiadanie przede wszystkim. Każde wykonywane dzieło wydawało się skomponowane dla niej i jej specjalnie bliskie. A gra utwory z najtrudniejszego repertuaru.

Wydawałoby się, że młodzieńczy *Koncert fortepianowy B-dur* Beethovena (jego pierwszy *de facto*) to jakiś moment oddechu twórcy, powrót do źródeł – ale nic bardziej błędnego. To muzyka bardzo trudna, a zarazem przejrzysta we wszystkich swych elementach i może dlatego tak rzadko grana. Beata Bilińska grała ją zachwycająco(**4 grudnia**): klasyczny wdzięk i uroda tej kompozycji, przejrzystość faktury i perlistość techniki, brawura i dyscyplina, urzekający dźwięk, radość i urok dojrzałej klasyki, znalazły swoje wspaniałe spełnienie. Wykonanie przyjęto długotrwałą owacją. Na bis artystka zagrała przejmująco ostatni *Mazurek* Chopina, *f-moll op. 68*; było to piękne zaakcentowanie mijającej właśnie 160. rocznicy jego śmierci. W artystycznym zwycięstwie solistki miała swój dobry udział orkiestra prowadzona przez **Czesława Grabowskiego**. Doświadczony dyrygent dał interpretacji solistki doskonały wtór, orkiestra brzmiała bardzo dobrze.

Wykonana na początku wieczoru uwertura do *Oberona* Webera, rozpoczęta przez **Grzegorza Serwańskiego** pięknie brzmiącym solowym sygnałem rogu, była – jak zazwyczaj uwertura grana na początku koncertu – wykonana zaledwie poprawnie, w romantycznym dziele zabrakło nieco fantazji i emocjonalnego wyrazu. Na orkiestrowy fajerwerk trzeba było poczekać do drugiej części wieczoru. Tu dopiero zabłysły walory dojrzałej sztuki Czesława Grabowskiego – i możliwości orkiestry. A miały w czym zabłysnąć. *Symfonia C-dur Bizeta*, napisana przez 17-letniego wówczas studenta Konserwatorium, odkryta w 1935 roku, jest dziełem uroczym, pełnym fantazji, efektownie wyrazistym, ujmującym oryginalną inwencją. Dyrygent prowadził je w doskonałych tempach, pewnie, klarownie, orkiestrze grało się wyraźnie dobrze – i brzmiała bardzo dobrze. W II części, Andante, wyróżniło się eksponowane solo oboju, pięknie wykonane przez **Janusza Vogelsingera**, w fi-

nale zaś cała grupa skrzypiec popisała się biegłością w efektownych, brawurowych figuracjach. Było to najlepsze z licznych wykonań tej symfonii, jakie miały u nas miejsce. I efektowne zakończenie bardzo dobrego koncertu.

Koncert symfoniczny **11 grudnia**, ostatni w 2009 roku, opanowała magia śpiewu operowego, która objawiła się za sprawą **Elżbiety Kaczmarzyk-Janczak**, solistki Opery Wrocławskiej. Artystka wystąpiła w Koszalinie po raz pierwszy, i od pierwszych arii z *Trubadura* Verdiego podbiła słuchaczy swą sztuką, ciepłym, bogatym w barwach, szlachetnym i niezwykle giętkim mezzosopranem. To rodzaj głosu, który służy kompozytorom oper do wyrażania uczuć głębokich, ważkich, dramatycznych. Solistka wspaniale rysowała liryczne postaci bohaterek oper Verdiego, Donizettiego, Saint-Saënsa, Bizeta, Johanna Straussa. Znalazła dla swych interpretacji świetnych partnerów w dyrygującym tego wieczora **Andrzeju Knapie** i muzykach orkiestry – doskonale jej towarzyszących. Pięknie zabrzmiały fragmenty orkiestrowe programu, zaś otwierająca wieczór uwertura do *Nabucca* Verdiego pod ręką Andrzeja Knapa była prawdziwym wykonawczym majstersztykiem. Koncert wzbogacało słowo wiążące **Andrzeja Zborowskiego** – świetnego komentatora muzycznego, a w przypadku opery jej wielbiciela, który zna dogłębnie cały żelazny repertuar operowy i w dodatku świetnie, z wielką kulturą słowa o nim mówi. Koncert operowy z Andrzejem Zborowskim to swoisty substytut przedstawienia operowego. I tym razem zachwycona publiczność zgotowała bohaterce wieczoru oraz jej współwykonawcom długotrwałą owację.



Wizualizacja gmachu Filharmonii Koszalińskiej,
powstała w poznańskiej Autorskiej Pracowni Architektonicznej Jacka Bułata.

Sylwester Podgórski

Jazzowa złota jesień

V Hanza Jazz Festiwal

Jedną z naszych narodowych przywar jest narzekanie. Na wszystko dookoła: a to, że woda mokra, piasek suchy, zima zbyt zimna a lato za ciepłe. Tak naprawdę każdy powód jest dobry. Przyznaję się bez odrobiny zażenowania, że przy okazji ostatniej edycji „Hanza Jazz Festiwalu" też początkowo chciałem ponarzekać. Przecież mogło być lepiej, prawda? Plejada gwiazd rodzimego i światowego jazzu na scenie, tłumy jazzfanów oblegające „CK 105" oraz koszalińskie kluby i puby, czy też wybitnie uzdolniona młodzież biorąca udział w warsztatach z całej Europy. Zawsze może być lepiej, tyle tylko, że nie zawsze jest to możliwe. Trzeba liczyć siły na zamiary i tę z kolei prawdę zrozumiałem przy okazji jubileuszowej, piątej edycji „Hanza Jazz Festiwalu". Wszędobylski kryzys, brak dodatkowych funduszy z Unii Europejskiej musiał odbić się na tak zwanej „liście płac", a organizatorzy zacisnęli pasa, czego przykładem brak choćby Pawła Brodowskiego, redaktora naczelnego „Jazz Forum", publicysty i krytyka jazzowego, który już swoim nazwiskiem podnosił o jeden stopień rangę festiwalu. Całe szczęście, że organizatorom udało się uzyskać dotację z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (imprezę współfinansował Urząd Miasta w Koszalinie i, oczywiście, sponsorzy).

Za każdym razem, kiedy pada hasło „Hanza Jazz Festiwal", trzeba pamiętać, że to także warsztaty jazzowe i kto wie, czy ten właśnie aspekt festiwalu nie jest najistotniejszy. Owszem, prawie wszystko w tej materii dzieje się bez błysku fleszy, mikrofonów i kamer, ale wiedza praktyczna, którą otrzymują młodzi muzycy, wydaje się nieoceniona. Niewiele jest bowiem w Polsce bezpłatnych warsztatów jazzowych, gdzie pod fachowym kierunkiem można posiąść wiedzę, w normalnych warunkach zdobywaną latami. Wskazówki, porady, również te życiowe, często są dla młodych muzyków istotniejsze, niż pochwała za perfekcyjne wykonanie standardu jazzowego. W tym roku warsztaty wokalne poprowadziły dwie damy polskiej piosenki: **Krystyna Prońko** i **Danuta Błażejczyk**. To z pewnością świetny wybór, bo postawiono na doświadczenie i osobowość. Krystyna Prońko tak mówi o własnej pracy z młodzieżą: *„głównie staram się zwrócić uwagę na sprawy związane z techniką oddychania i techniką artykulacji dźwięku. Niestety, jest to u nas tak lekceważony problem, że właściwie nikt na to nie zwraca uwagi. Poczynając od ludzi, którzy bardzo dużo mówią i chrypną, bo nie potrafią oddychać, a kończąc na młodzieży, która bardzo często na szkolnych korytarzach porozumiewa się krzykiem. Można jednak „wydzierać" się i nie „zdzierać" i to jest różnica, którą pokazuję na warsztatach. Młodzi ludzie przychodzą z potrzebą zasięgnięcia świeżej informacji na temat śpiewania i podejścia do tej trudnej sztuki. Mam nadzieję, że się nie rozczarowują. Zawsze staram się podkreślać dobre momenty i staram się tłumaczyć co robią źle i dlaczego. Tylko wtedy jest z tego pożytek, ze wskazania i wytyczenia określonej drogi"*.

Grupy instrumentalne też były w tym roku prowadzone przez znane i cenione nazwiska. „Czarodziej fortepianu" **Artur Dutkiewicz** służył swoją pomocą i radą w klasie instrumentów klawiszowych, niezwykle wszechstronny **Krzysztof „Puma" Piasecki** w klasie gitary, znany z ze-

społu „Sami Swoi" **Zbigniew Lewandowski** w klasie perkusji, **Stan Michalak**, który ma na koncie współpracę z Omarem Sosą czy Earthą Kitt – w klasie kontrabasu oraz saksofonista **Adam Wendt**, znany przed wszystkim z zespołu „Walk Away", w klasie instrumentów dętych.

Uwieńczeniem kilkudniowej pracy młodych muzyków tradycyjnie był koncert finałowy. Pierwsi zaprezentowali się wokaliści, naprawdę rzetelnie przygotowani przez Krystynę Prońko i Danutę Błażejczyk. Szkoda tylko, że w grupie wokalnej znalazły się – z małym wyjątkiem – same wokalistki. Część instrumentalistów pokazała niezły warsztat i poprawne interpretacje jazzowych klasyków. Bez fajerwerków czy choćby błysku, ale z szansami na dalszy rozwój. Bo przecież pokazać się na takiej scenie i w takim towarzystwie na początku swojej drogi artystycznej – bezcenne. Dobór repertuaru był dość zróżnicowany, od standardów Duke'a Ellingtona, Milesa Davisa, George'a Gershwina po np. piosenkę z repertuaru nieżyjącej znakomitej wokalistki Evy Cassidy.

Druga część koncertu finałowego należała do „profesorów", poczynając od fortepianowego solo Artura Dutkiewicza. Krystyna Prońko, w towarzystwie pianisty Przemka Raminiaka (z formacji „RGG") i grającego na saksofonie tenorowym Adama Wendta, zaśpiewała temat Tomasza Furmanka „Dążenie". Następnie na scenę wkroczył „The Teacher's Quintet", który zaprezentował ciekawą kompozycję Adama Wendta pt. „Mój hotel zostawiłem w pokoju" oraz autorski temat perkusisty Zbigniewa Lewandowskiego. Danuta Błażejczyk w niebanalny sposób zinterpretowała nieśmiertelny temat Richarda



Hanza Jazz Festiwal w „Centrali Artystycznej". fot. archiwum CK 105

Rodgersa i Lorenza Harta z musicalu „Babes In Arms" – „My Funny Valentine". Orkiestra Festiwalowa pod wdzięczną nazwą „The Profesors Band", złożona *ad hoc* z profesorów i wyróżnionych uczniów, wykonała żywiołowy, funkowy temat „Pick Up The Pieces" z lat 70., pochodzący z repertuaru Average White Band (niektórzy miłośnicy jazzu pamiętają ten utwór również w wersji pięknej saksofonistki Candy Dulfer). Na wielki finał zagrał gość specjalny festiwalu, o którym w dalszej części tego festiwalowe *resumée*.

Jednym z celów festiwalu, postawionych u jego zarania, było zacieśnienie współpracy z państwami Unii Europejskiej, a szczególnie z Niemcami. Na piątej edycji festiwalu pojawiło się tylko kilku młodych muzyków zza naszej zachodniej granicy (w poprzednich edycjach bywało ich nawet dwadzieścioro) i tę sytuację na następnych festiwalach należałoby poprawić. Nawet jeśli głównym celem miałby być efekt marketingowy – promocja Koszalina – to wydaje się, że warto utrzymać międzynarodowy charakter imprezy.

O ile w warsztatach uczestniczyło około sześćdziesięciorga młodych muzyków, to koncerty zarówno te w CK 105 jak i w koszalińskich pubach i klubach – przyciągnęły blisko 5 tysięcy miłośników muzyki synkopowanej. To naprawdę dobry wynik, który pokazuje, że wbrew obiegowej opinii publiczność przychodzi tłumnie nie tylko na koncerty „gwiazd" muzyki popularnej. Każda „niszowa" sztuka (w tym przypadku muzyka jazzowa), dobrze wypromowana i podana, znajdzie swoją, jak się okazuje, liczną widownię, także w takim niewielkim przecież ośrodku, jak choćby Koszalin. Dodatkowym magnesem z pewnością okazały się bezpłatne wejściówki na koncerty, co też jest wielkim atutem „Hanza Jazz Festiwalu".

Koncert inauguracyjny odbył się w środę 21. października w sali kina „Kryterium". Z wdziękiem i, co najistotniejsze, ze znajomością tematu wieczór poprowadziła **Beata Młyńczak** z Radia Koszalin. Prócz muzycznych atrakcji nie zabrakło bardzo sympatycznej ceremonii, jaką jest uroczyste ślubowanie kadry profesorskiej: *„My, wykładowcy Hanza Jazz Festiwalu, przysięgamy uroczyście, że będziemy uczyć do końca – czasami zupełnie nieznanego, adeptów muzyki improwizowanej. Tak mi dopomóż Miles Davis i Wszyscy Święci".*

Po wielu ciepłych słowach zagrała muzyka, która nieczęsto już gości w salach koncertowych. Niewielu jest bowiem wykonawców, zarówno w Polsce jak i Europie, którzy nawiązują do popularnej *fusion* z lat 70. tak, jak reaktywowany trzy lata temu zespół „Laboratorium". Dla starszego pokolenia było to z pewnością spotkanie po latach z żywą legendą polskiego jazz-rocka, dla młodych zaś fanów jazzu – nowe, ciekawe i z pewnością inspirujące doświadczenie. Tym bardziej, że skutki upływu czasu szczęśliwie zespół omijają. Popularna niegdyś „Laborka", z **Markiem Stryszowskim** na saksofonach, **Krzysztofem Ścierańskim** na basie, **Januszem Grzywaczem** na klawiszach i **Grzegorzem Grzybem** na perkusji, pokazała to swoje niepowtarzalne i bogate brzmienie oraz zabawę dźwiękiem. Janusz Grzywacz równie chętnie korzystał z nowego, jak i „starego" instrumentarium, nie zapominając też o vocoderze.

Udana koncertowa inauguracja festiwalu kontynuowana była w klubie „Rezerwat" w CK 105, gdzie koszalińskiej publiczności pokazał się świetny kwintet jazzowy z Krakowa „New Bone". W jego muzyce czuć było ducha zespołów Milesa Davisa z lat 50. oraz przedstawicieli „konserwatywnego" jazzu. Poszanowanie dla tradycji połączone z nową energią, improwizacje, nienaganna technika, szczerość wypowiedzi – to główne atuty „New Bone". Po koncercie odbyło się tradycyjne, conocne podczas „Hanzy" , jazz session, dla wielu będące kwintesencją jazzowych festiwali.

Drugi wieczór wypełniły koncerty uczestników w „Kredensie" i „Centrali Artystycznej", oraz koncert w klubie „Rezerwat" kwartetu kontrabasisty **Piotra Kułakowskiego** (syn Leszka Kułakowskiego, słupszczanina, jednego z najlep-

szych polskich pianistów jazzowych). Trzeciego wieczoru odbyły się kolejne koncerty uczestników warsztatów, ale tym razem w „BeWuA" i „Irish Pubie". W klubie „Rezerwat" odbył się koncert formacji „Trio A3", która zagrała jazz w jego bardzo przystępnej formule.

Na koncert galowy ostatniego, czwartego dnia festiwalu, wielu ostrzyło sobie zęby. Sala kina „Kryterium" wypełniła się po brzegi poubllicznością, która ze szczególnym napięciem czekała na występ saksofonisty **Raya Blue** z polskim zespołem „The Polish Fire". W naszym kraju **Ray Blue t**o muzyk niezbyt znany, ale za oceanem wysoko jest ceniony, przede wszystkim za indywidualny styl gry. Praktykował zresztą u takich mistrzów jak Ornette Coleman i Arthur Blythe. Współpracował z takimi tuzami jazzu, jak Eddie Henderson, Gary Bartz, Sun Ra, Ed Cherry czy Larry Willis. Wiadomo również, że żywiołowe i dynamiczne koncerty Raya Blue robią na słuchaczach ogromne wrażenie. I rzeczywiście, koncert okazał się bardzo energetyczny. W nieco już zmęczoną koszalińską publiczność (koncert galowy mógłby być ze względu na naszą percepcję odbioru muzyki odrobinę krótszy), nagle wstąpiła nowa energia i witalność, co zaprocentowało znakomitą reakcją na potężną dawkę mainstreamowego jazzu najwyższej próby. Lider grał z wigorem i polotem, a towarzyszący mu „polski ogień" był naprawdę godnym partnerem. „The Polish Fire" tworzą: trębacz **Jerzy Małek**, basista **Krzysztof Ciesielski** i perkusista **Roman Ślefarski**. Jest to młode pokolenie muzyków, ale z całkiem już pokaźnym dorobkiem artystycznym. Coraz częściej zdarza się, że giganci jazzu zza oceanu stawiają na polskich muzyków, podobnie rzecz ma się z triem pianisty Michała Tokaja, które współpracuje z saksofonistą Bennie Maupinem. To również przykład na to, że muzyka nie zna granic, że ten wspólny dla wszystkich język wypowiedzi jest jedną z najpiękniejszych form integracji między ludźmi. Jubileuszowy „Hanza Jazz Festiwal" jest tego najlepszym przykładem.

Festiwal powoli staje się marką, dobrą marką, o czym świadczy III miejsce w konkursie „Najlepszy produkt turystyczny Pomorza Środkowego". Celem konkursu jest popularyzacja i wsparcie promocyjne najbardziej atrakcyjnych i przyjaznych turyście produktów lub wydarzeń turystycznych. Udała się trudna sztuka promocji regionu poprzez działania artystyczne, które dodatkowo sprawiają niemałą radość (i przysparzają całkiem wymierne korzyści) zarówno branży hotelarskiej jak i restauratorom. I to nie w sezonie letnim, tylko jesienną porą, która podczas festiwalu jest dla Koszalina z pewnością „złotą jesienią". Trzymam mocno kciuki za kolejne edycje i kolejne jubileusze.

Izabela Nowak

Jubileuszowe święto polonijnej pieśni

Ubiegłoroczne Polonijne Lato trwało od 2 do 25 lipca, zorganizowane tradycyjnie przez koszaliński Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Miało ono szczególnie uroczysty charakter, wpisało się bowiem w obchody ważnego jubileuszu – czterdziestej rocznicy polonijnej działalności w Koszalinie. Polonijne Lato – wielka, edukacyjno-artystyczna impreza o światowym zasięgu – zgromadziła w ubiegłym roku 650 uczestników z Białorusi, Belgii, Brazylii, Czech, Kazachstanu, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rosji, Uzbekistanu, Ukrainy i Węgier. Mieszkający w tych krajach rodacy przyjechali do Koszalina, by uczestniczyć w wydarzeniach składających się na program Polonijnego Lata: Międzynarodowym Plenerze Malarskim „Osieki 2009", Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych, XIII Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych oraz w Polonijnych Warsztatach Edukacyjno-Artystycznych dla Dzieci i Młodzieży.

- *Czujemy się zaszczyceni, iż właśnie Koszalin już od czterdziestu lat gości wspaniałych, utalentowanych ludzi, tak bardzo kochających Polskę i polską pieśń chóralną* – mówi prezes Koszalińskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", **Zbigniew Ciechanowski.** – *Dla nas, organizatorów polonijnej tradycji, największą radością jest świadomość, że dzięki koszalińskim, edukacyjno-artystycznym działaniom, liczba polonijnych chórów wciąż rośnie, a polska pieśń rozbrzmiewa na całym świecie.*

Ta tradycja narodziła się w 1969 roku. Wówczas trójka koszalińskich entuzjastów śpiewu chóralnego – **Bogusław Planutis**, **Zbigniew Ciechanowski** – dyrektor i wicedyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego oraz kompozytor **Jan Kowalczyk**, postanowili zorganizować w Koszalinie spotkanie polonijnych zespołów chóralnych. Ich marzenia urzeczywistniły się już w 1970 roku wraz z pierwszym Festiwalem Chórów Polonijnych. Od tamtego czasu Koszalin odwiedziło ponad dwadzieścia tysięcy rodaków z Europy, Ameryki Południowej i Północnej oraz z Azji, uczestniczących w 24 polonijnych imprezach. Minione lata przyniosły wzbogacenie koszalińskich spotkań rozśpiewanych Polaków z czterech stron świata o Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych, w którym tajniki sztuki dyrygentury zgłębiało ponad 400 słuchaczy oraz o Warsztaty Edukacyjno-Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży, z udziałem ponad 1500 najmłodszych polonijnych gości.

Dzięki uczestnikom koszalińskich imprez polonijnych polska pieśń chóralna rozbrzmiewa we wszystkich zakątkach świata – od mroźnej Syberii po słoneczną Brazylię, Koszalin zaś cieszy się zasłużoną sławą „Stolicy Polonijnej Pieśni".

Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych „Czerpiemy i z tradycji i ze współczesności"

Integralną częścią programu Polonijnego Lata są kolejne sesje **Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych**. Ubiegłoroczna, już dwudziesta pierwsza sesja, odbyła się w dniach 6-20 lipca 2009 roku. Ponownie przyjechali do Koszalina pełni muzycznej pasji, znakomicie wykształceni ludzie. Są nauczycielami muzyki w szkołach artystycznych, studentami, wykładowcami wyższych uczelni. Prawie wszyscy śpiewają w zespołach chóralnych, najczęściej parafial-

nych. Wielu z nich prowadzi także własne chóry lub zespoły wokalne. Niektórzy nie tylko pięknie śpiewają – nawet w zespołach profesjonalnych, lecz są także znakomitymi instrumentalistami, najczęściej pianistami. Działają aktywnie w stowarzyszeniach i organizacjach popularyzujących polską kulturę zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie Europy i poza Starym Kontynentem. Organizują imprezy artystyczne i festiwale. Często uczestniczą również w działaniach na rzecz polonii, realizowanych przez kościoły, przy których najchętniej gromadzą się Polacy.

Mieszkają w różnych, nieraz bardzo odległych od Polski krajach. Dzielą ich życiowe doświadczenia i wiek, jest jednak coś, co łączy wszystkich słuchaczy Studium: talent, pasja, wrażliwość i pragnienie, by we wszystkich zakątkach świata słychać było polskie pieśni.

Przez dwa, wypełnione zajęciami tygodnie, słuchacze – pod okiem znakomitych profesorów z polskich akademii muzycznych, tworzących Radę Artystyczną Polonijnego Lata – zgłębiali tajniki dyrygentury, emisji głosu, aranżacji i metodyki prowadzenia zespołów chóralnych. Poznawali również bardzo bogatą polską literaturę muzyczną:

- *Każdy dyrygent jest indywidualnością i tak musi być* – mówi prof. **Przemysław Pałka** z Akademii Muzycznej w Poznaniu, kierownik dydaktyczny Studium. – *Ale w wachlarzu zaproponowanych przez nas pozycji repertuarowych, nad którymi wspólnie pracujemy, każdy z pewnością znajdzie coś interesującego dla siebie. Czerpiemy i z tradycji i ze współczesności. Oczywiście, pracujemy nad kanonem polskiej literatury chóralnej, ale każdego roku przywozimy do Koszalina nowe utwory współczesnych polskich kompozytorów. Ostatnio wielkim zainteresowaniem cieszą się kompozycje młodego bydgoskiego artysty Piotra Jańczaka. Poznawane w Koszalinie utwory wzbo-*



Połączone chóry polonijne zawsze imponują swym brzmieniem… fot. Paweł Mielcarek

gacają następnie repertuary polonijnych chórów w różnych krajach.

Słuchacze Studium, prócz umiejętności dyrygenckich, posiadają również piękne głosy. Można się o tym przekonać słuchając chóru „**Ojczyzna**", złożonego właśnie ze studentów koszalińskiej polonijnej uczelni muzycznej. Ten unikatowy w skali świata zespół, wyróżniający się także oryginalnym repertuarem, od piętnastu lat dodaje blasku koszalińskim polonijnym imprezom. „**Ojczyzna**" pracuje pod artystycznym kierownictwem prof. **Elżbiety Wtorkowskiej**.

- Jestem pod ogromnym wrażeniem i szczerze podziwiam wszystkich słuchaczy Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych – przyznaje prof. **Marta Wierzbieniec** z Instytutu Muzyki Uniwersytetu Rzeszowskiego. – *Corocznie podejmują trud dalekich często podróży, by spędzić w Koszalinie dwa tygodnie, bardzo ciężko pracując. Ale efekty zasługują na wielkie uznanie. Bardzo pozytywnie oceniam ich umiejętności i ogromnie się cieszę, że w swoich krajach zamieszkania będą kontynuować artystyczną pracę z prowadzonymi przez siebie chórami.*



„Polonijne dzieci miastu" – koncert w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. fot. Paweł Mielcarek

XIII Światowy Festiwal Chórów Polonijnych - czas pieśni i wzruszeń

Kolejnym wielkim artystycznym wydarzeniem, składającym się na program Polonijnego Lata'2009, był **XIII Światowy Festiwal Chórów Polonijnych**, który odbył się w dniach od 15 do 25 lipca z udziałem piętnastu zespołów chóralnych. Z Belgii przyjechał chór „**Antwerpia**" z Antwerpii, z Białorusi – chóry „**Czerwone Maki**" z Mińska, „**Głos znad Niemna**" z Grodna, „**Iwianka**" z Iwia i „**Kraj Rodzinny**" z Baranowicz. Kolejnym uczestnikiem był „**Chór im. Jana Pawła II**" z Kurytyby w dalekiej Brazylii. Z Czech przyjechały dwa znakomite zespoły – chór „**Gorol**" z Jabłonkowa i chór „**Hutnik**" z Trzyńca, a z Litwy – **Chór Polskiego Zespołu Artystycznego Pieśni i Tańca „Wilia"**. Młode śpiewaczki tworzące chór „**Saratowska Polonia**" przyjechały z Saratowa w Rosji. Licznie reprezentowane były również środowiska polskie na Ukrainie – w festiwalu uczestniczyły: **Chór im. Juliusza Zarębskiego** z Żytomierza, chór „**Serafin"** z Równego i chór „**Wołyń**" z Łucka. Po raz pierwszy Koszalin gościł rozśpiewaną polonię węgierską, skupioną w **Chórze pw. św. Kingi z Budapesztu**. Listę uczestników XIII Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych zamykała „**Ojczyzna**" złożona ze słuchaczy Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych.

Dla polonijnych gości organizatorzy przygotowali bardzo bogaty program, rozpoczęty uroczystą inauguracją. Po powitaniu przez władze i mieszkańców Koszalina na Rynku Staromiejskim, uroczystości kontynuowane były na placu Polonii, przed jedynym na świecie Pomnikiem Więzi Polonii z Macierzą. Od 1976 roku w tym właśnie miejscu – niczym u źródła polskości – spotykają się uczestnicy kolejnych edy-

cji Polonijnego Lata. Tę piękną tradycję przypomniał prezes Koszalińskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", **Zbigniew Ciechanowski**, który mówił podczas inauguracyjnego spotkania: – *Koszalin jest miastem uświęconym Polonią. To od czterdziestu lat stolica polonijnej pieśni i centrum światowej chóralistyki.*

Wiele ciepłych słów skierowali do polonijnych gości Prezydent Miasta Koszalina, **Mirosław Mikietyński** i Senator RP **Piotr Zientarski.** Przypomniano także postać niedawno zmarłego **prof. Andrzeja Stelmachowskiego**, Marszałka Senatu i wieloletniego prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Końcowym, bardzo pięknym akcentem inauguracyjnych uroczystości, był koncert powitalny „Koszalin-Polonii" z udziałem Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze", który sztukę ludową wzniósł na wyżyny artyzmu. Trudno wyobrazić sobie piękniejszy artystyczny prezent – zarówno dla polonijnych gości, jak i dla mieszkańców Koszalina, tym bardziej, że „Mazowsze" wystąpiło w naszym mieście po raz pierwszy od trzydziestu sześciu lat!

Koncert poprzedziło wręczenie Medali Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" dla chórów, szczególnie zasłużonych w promowaniu polskiej pieśni chóralnej na świecie. To zaszczytne wyróżnienie trafiło do rąk przedstawicieli chórów: „Hutnik" w Trzyńca (Czechy), Chóru im. Jana Pawła II z Kurytyby (Brazylia), „Kraj Rodzinny" z Baranowicz (Białoruś), „Wołyń" z Łucka (Ukraina) i „Saratowska Polonia" z Saratowa (Rosja).

Dużym przeżyciem – zarówno dla uczest-



Podczas koncertu inauguracyjnego XIII ŚFChP wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze" - jak zawsze zachwycając publiczność. fot. Paweł Mielcarek

ników, jak i dla publiczności – okazały się dwa koncerty przeglądowe w Centrum Kultury 105, które nie tylko umożliwiły polonijnym gościom prezentację własnego dorobku artystycznego przed Radą Artystyczną, ale także pozwoliły im na zapoznanie się z twórczością innych zespołów. Polonijni śpiewacy zaprezentowali szeroką panoramę polskiej pieśni chóralnej. W ich programach królowały bliskie sercu, swojskie ludowe nutki w artystycznych opracowaniach. Nie zabrakło też wzruszających pieśni religijnych, chwytających za serce utworów patriotycznych i pieśni żołnierskich, tak poruszających jak „Czerwone maki na Monte Cassino", „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", czy „Rozkwitały pąki białych róż". Ze sceny płynęły również pieśni kresowe – dynamiczny, pięknie wykonany „Czerwony pas", czy pełen nostalgii „Kraj rodzinny". Usłyszeliśmy także śpiewaną opowieść o wielkiej miłości naszego romantycznego wieszcza, czyli piosenkę „Adam i Maryla". Obok bogatego, różnorodnego i ambitnego repertuaru na uznanie zasługiwała także technika wokalna wielogłosowych chóralnych zespołów.

- *Nie ukrywam, że wzruszyłem się, słuchając chóralnych prezentacji* – mówi prof. **Jerzy Kurcz** z Akademii Muzycznej w Krakowie. – *Myślę, że na przeglądowe koncerty warto spojrzeć przez pryzmat repertuaru prezentowanego przez uczestników XIII Światowego Festiwalu Chórów Polonijnych. Zauważyliśmy, że śpiewaków interesują przede wszystkim pieśni o ludowym lub patriotycznym rodowodzie. Znają je doskonale i widać, że troskliwie pielęgnują polską tradycję, przechowują w pamięci jej najpiękniejsze elementy i przekazują je młodym pokoleniom. Dla mnie polonijne chóry są więc „szafarzami skarbów polskiej kultury", części naszego narodowego dziedzictwa.*

Każdy chór przywiózł swoje najpiękniejsze, czasami bardzo trudne technicznie utwory, każdy pragnął pokazać się z jak najlepszej strony. Czuję się usatysfakcjonowany klimatem artystycznym tegorocznego Polonijnego Lata. Ponadto ogromnie cieszy mnie fakt, iż wśród dyrygentów znaleźli się absolwenci koszalińskiego Studium, w a repertuarach prowadzonych przez nich zespołów słyszałem pieśni, nad którymi niegdyś wspólnie pracowaliśmy. To kolejny dowód potwierdzający ogromne znaczenie Studium w rozwoju polskiej chóralistyki na świecie.

Kolejnym ważnym elementem programu Polonijnego Lata była tradycyjna, niosąca głębokie duchowe przeżycia msza św. w intencji Ojczyzny i Rodaków na Świecie, odprawiona w Kościele pw. Ducha Świętego. Mszę zaszczycił swoją obecnością **Ks. Biskup Paweł Cieślik**.

Atrakcyjnym punktem programu były także wyjazdy przybliżające polonijnym gościom Ziemię Koszalińską i Pomorze środkowe. Koszalińscy włodarze tradycyjnie spotkali się z przedstawicielami zespołów uczestniczących w Polonijnym Lecie, podejmując gości w ratuszu. Tę sympatyczną uroczystość wzbogaciła ceremonia uhonorowania medalami „Za Zasługi dla Koszalina" osób, związanych od wielu lat z koszalińskimi imprezami polonijnymi. Zaszczytne odznaczenie wręczono wykładowcom Koszalińskiego Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych **prof. Przemysławowi Pałce** z Akademii Muzycznej w Poznaniu i **prof. Elżbiecie Wtorkowskiej** z Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Kolejnym Medalem została odznaczona Grażyna Ney z wrocławskiej Państwowej Szkoły Muzycznej, znakomita pianistka towarzysząca od wielu lat koszalińskiemu Studium jako akompaniatorka. Medalem „Za Zasługi dla Koszalina" uhonorowano również Sekretarza Koszalińskiego Oddziału „Wspólnoty Polskiej" **Edwarda Romańskiego**.

Było więc wiele okazji, aby cieszyć się urokami staropolskiej gościnności. Wspaniały relaks zapewnił natomiast uczestnikom Polonijnego Lata udział w Polonijnym Ognisku, odbywającym się tradycyjnie w Rosnowie, słynącym z malowniczych lasów i jezior.

Polonijne warsztaty Edukacyjno-Artystyczne – siła młodości i siła talentu

Wraz z polonijnymi chórami przejechały do Koszalina dziecięce i młodzieżowe zespo-

ły uczestniczące w **Polonijnych Warsztatach Edukacyjno-Artystycznych** – Młodzieżowy Chór „**Sursum Corda**" z Grandzicz na Białorusi, Zespół „**Wołyńskie Słowiki**" z Łucka na Ukrainie i grupa młodzieżowa Polskiego Zespołu Artystycznego „**Wilia**" z Wilna na Litwie. Kolejny już raz młodzieży zza wschodniej granicy towarzyszył – w charakterze grupy warsztatowej – Zespół Pieśni i Tańca „**Algi**" z Kołobrzegu.

Przez dziesięć lipcowych dni roztańczona i rozśpiewana młodzież uczyła się języka polskiego, poznawała polskie tańce narodowe i ludowe oraz nowe polskie piosenki. Swoje artystyczne talenty prezentowała również podczas licznych, ciepło przyjmowanych przez publiczność, koncertów. Jedną z prezentacji był udział młodych gości w III Letnich Spotkaniach z Folklorem, bardzo udany okazał się również występ w koszalińskim Centrum Handlowym „FORUM". Pełnię swych artystycznych talentów warsztatowa młodzież zaprezentowała podczas koncertu „Dzieci Polonijne-Miastu", zorganizowanego w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym i wyreżyserowanego przez **Grażynę Mulczyk-Skarżyńską**, kierownika artystycznego Warsztatów. Zgromadzona w teatrze publiczność miała okazję podziwiać najpiękniejsze piosenki i tańce wybrane z bogatego repertuaru uczestniczących w Warsztatach zespołów. „Wołyńskie Słowiki" z Łucka zachwyciły nie tylko swoim śpiewem, ale także efektownie zaaranżowanymi układami choreograficznymi. Perfekcją



Rada Artystyczna. Od lewej: prof. Marek Jasiński, Wiesława Krodkiewska – Narodowe Centrum Kultury w Warszawie, prof. Jerzy Kurcz – AM w Krakowie, prof. Marta Wierzbieniec – Uniwersytet Rzeszowski, prof. Przemysław Pałka – AM w Poznaniu, dyrektor artystyczny, Grażyna Ney – PSM we Wrocławiu, prof. Elżbieta Wtorkowska – AM w Bydgoszczy, w głębi: Maciej Grosz – AM w Poznaniu, w głębi: Paweł Łuczak – UM w Poznaniu. W składzie rady jest także, nieobecny na fotografii, Bogumił Gewartowski z koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska".

fot. Paweł Mielcarek

wykonania polskich tańców ludowych, lekkością, wdziękiem i pięknem scenicznych strojów zdumiewali młodzi tancerze z zespołu „Wilia" z Wilna. Godna podziwu była również czystość i harmonia brzmienia młodziutkich wokalistów z chóru „Sursum Corda" z Grandzicz.

„Podajmy bracia dłonie..."
Finał Polonijnego Lata

Artystycznym zwieńczeniem Polonijnego Lata był koncert galowy w koszalińskim amfiteatrze, odbywający się w ubiegłym roku pod hasłem „Podajmy bracia dłonie…" Tytuł koncertu jest cytatem zaczerpniętym z „Hymnu Chórów Polonijnych", od wielu lat towarzyszącego polonijnym imprezom w Koszalinie.

Barwne i wzruszające widowisko wyreżyserował **Marian Wiśniewski** z Bydgoszczy. Na scenie podziwialiśmy wszystkich uczestników Polonijnego Lata, którzy wystąpili razem z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej. Podczas pełnego śpiewu i tańca koncertu usłyszeliśmy monumentalne pieśni patriotyczne i emanujące radością, artystycznie opracowane piosenki ludowe. Nie zabrakło też muzycznych niespodzianek, a jedną z nich – bardzo gorąco przyjętą przez publiczność – była zaaranżowana na połączone chóry wiązanka wielkich muzycznych przebojów z polskich seriali telewizyjnych. Usłyszeliśmy więc muzyczne wspomnienia ze „Stawki większej niż życie", „Czterech pancernych", „Jak rozpętałem II wojnę światową", „Janosika", „Nocy i dni" i „Pana Wołodyjowskiego". Kolejne wokalne prezentacje widzowie wypełniający koszaliński amfiteatr nagradzali gromkimi brawami. Prawdziwy zachwyt budziły krystalicznie czyste, pięknie zharmonizowane głosy młodych chórzystek z zespołu „Saratowska Polonia" z Saratowa w Rosji, a także polifoniczne brzmienie Chóru im. Juliusza Zarębskiego z Żytomierza na Ukrainie. Równie entuzjastycznie przyjęto występ męskiego chóru „Gorol" z Jabłonkowa w Czechach. Gorącymi brawami nagradzano także prezentacje najmłodszych uczestników Polonijnego Lata.

W programie koncertu zaakcentowana została 190. rocznica urodzin Stanisława Moniuszki; połączone chóry przypomniały fragmenty „Strasznego Dworu".

*

Jubileuszowej edycji Polonijnego Lata towarzyszyły dwie wystawy. Od 8 do 24 lipca w galerii „Ratusz" można było oglądać wystawę prac artystów-plastyków polskiego pochodzenia, uczestniczących w Międzynarodowych Plenerach Plastycznych „Czas i miejsce dla sztuki" w Osiekach w latach 1998-2008. Natomiast od 17 do 30 lipca 2009 roku, w Centrum Kultury 105, eksponowano wystawę fotografii, plakatów i dokumentów pt. „40 lat polonijnej działalności w Koszalinie".

Izabela Nowak

Muzyka i pedagogika

Życiowe pasje Małgorzaty Wozaczyńskiej

14 października 2009 roku, w Dniu Edukacji Narodowej, Małgorzata Wozaczyńska – dyrektor Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie – została uhonorowana tytułem Profesora Oświaty. To zaszczytne wyróżnienie jest ukoronowaniem obecnego etapu życia, które Małgorzata Wozaczyńska poświęciła swoim wielkim pasjom – muzyce i pedagogice. Pierwsza z nich pojawiła się już w dzieciństwie. Mobilizowana przez tatę, mała Małgorzata zgłębiała tajniki gry na skrzypcach, fortepianie, a nawet na trąbce. Uczyła się też śpiewu solowego, ale swoją przyszłość pragnęła związać z medycyną. Jednak – wierna rodzinnym tradycjom, bez wielkiego przekonania zdała egzaminy na muzykologię Uniwersytetu Warszawskiego. Właśnie tam odkryła swoją drugą pasję i życiowe powołanie – pedagogikę. Teraz już wie, że zawodu nauczyciela nie zamieniłaby na żaden inny...

A jak ułożyły się moje losy po studiach? Pierwsza praca w Ognisku Muzycznym w Policach była dosyć zabawna – aby uczyć dzieci gry na akordeonie, musiałam sama poznać ten instrument, który nigdy nie budził mojego szczególnego entuzjazmu... Następnie pracowałam w Szkole Muzycznej II stopnia w Szczecinie jako nauczyciel przedmiotów ogólnomuzycznych, a po ośmiu latach otrzymałam propozycję z Koszalina i rozpoczęłam pracę w Punkcie Konsultacyjnym Akademii Muzycznej. To był bardzo ciekawy okres w moim życiu – wspomina Małgorzata Wozaczyńska.

W tym czasie intensywnie rozwijała swoje muzyczno-pedagogiczne zainteresowania. Pracowała także nad swoim charakterem, próbując zwalczyć tremę, przeszkadzającą jej podczas publicznych wystąpień. Znakomitym pomysłem okazała się współpraca z Krajowym Biurem Koncertowym, a następnie z filharmoniami w Szczecinie i Koszalinie. Trema przeszła do historii. Jako prelegent jeździła po Polsce, poznając wielu wspaniałych muzyków. Ta praca okazała się znakomitą praktyką w ukochanym zawodzie nauczyciela, pozwoliła jej również zapoznać się ze sposobem organizacji dużych imprez kulturalnych. Po likwidacji Punktu Konsultacyjnego Małgorzata Wozaczyńska została dyrektorem Szkoły Muzycznej w Miastku.

- *Znakomicie czuję się w roli nauczyciela* – mówi. – *Praca z młodzieżą sprawia mi ogromną przyjemność. Zawsze tak było, jest i będzie. Ponieważ zagadnienia związane z nowoczesną metodyką bardzo mnie pasjonowały, tworzyłam i współtworzyłam programy nauczania, napisałam doktorat z zakresu pedagogiki muzycznej, jestem także autorką dwóch skryptów dla studentów Akademii Muzycznych. Jeden z nich poświęcony jest muzyce średniowiecza, drugi – renesansu.*

Od 25 maja 1992 roku dr Małgorzata Wozaczyńska jest dyrektorem Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie. Wspomina, że początki jej pracy odbierano jako swoistą rewolucję, burzącą odwieczny porządek tej artystycznej szkoły. Dlaczego?

- *Miałam po prostu swoją wizję, którą pragnęłam zrealizować. Byłam pewna, że po tak długim stażu w szkolnictwie wiem, jakie organizacyjne zamiany powinnam wprowadzić. Nie zdawałam sobie wówczas jeszcze sprawy, jak bardzo działal-*

ność szkół artystycznych ograniczona jest przepisami Ministerstwa Kultury. A moje wizje? Cóż, doszłam do wniosku, że wprawdzie nowatorskie koncepcje często wygrywają konkursy, ale raczej trudno wprowadzić je w życie...

Mimo nieuniknionych trudności dyr. Wozaczyńska przeforsowała swoje zamierzenia. Pomysły, uznawane za rewolucyjne, zmierzały w kierunku realizacji – oczywiście obok priorytetowej w działalności szkoły dydaktyki – także wielu form, umożliwiających młodym artystom praktykę w zakresie warsztatu scenicznego. Inspirowała również powstawanie wciąż nowych grup artystycznych – chórów, orkiestr, zespołów kameralnych. Przecież im większa konkurencja, tym lepsze rezultaty! Organizowała imprezy artystyczne, pozyskiwała sponsorów współfinansujących te działania. Wprowadzała również zmiany organizacyjne. Na efekty nie trzeba było długo czekać:

– *Po pięciu latach wydarzyło się coś, co mogę nazwać moim wielkim zawodowym i życiowym sukcesem* – mówi Małgorzata Wozaczyńska. – *A właściwie nie tylko moim, lecz wszystkich współpracujących ze mną ludzi, oddanych swojej pracy. Otóż nasz koszaliński Zespół Szkół Muzycznych znalazł się wśród dziesięciu najwyżej ocenianych przez Ministerstwo Kultury szkolnych placówek artystycznych! Nie musieliśmy mieć więc już kompleksów wobec szkół z tak dużych ośrodków jak Warszawa, Kraków i Poznań. Byliśmy równie dobrzy! A jakie stosowano kryteria? Badano na przykład losy naszych absolwentów i stopień aktywności szkoły na zewnątrz. Byliśmy tacy dumni! To były naprawdę wspaniale lata.*

Potwierdziła się więc słuszność koncepcji, które pani dyrektor Wozaczyńska – wciąż wierna swojej muzycznej i kulturalnej pasji – konsekwentnie realizowała. Z jej poparciem organizowanych było i jest wiele artystycznych projektów, realizowanych między innymi pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Centrum Edukacji Artystycznej. Do najbardziej prestiżowych należą Międzynarodowe Dni Muzyki Perkusyjnej „Perkusja solo i w zespole", Ogólnopolskie Warsztaty Interpretacji Muzyki Organowej oraz Ogólnopolski Konkurs Gitarowy dla uczniów Szkół Muzycznych II stopnia. Rocznie w koszalińskim Zespole Szkół Muzycznych odbywa się kilkanaście imprez artystycznych.

Małgorzata Wozaczyńska znacznie rozwinęła również współpracę koszalińskiego Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych z zagranicą, głównie w ramach programów Unii Europejskiej Socrates-Comenius i Wyszehrad. Konsultacje zagranicznych muzyków i pedagogów oraz udział koszalińskich uczniów w zagranicznych koncertach i konkursach, realizowane są w Anglii, Austrii, Czechach, Francji, Danii, Kanadzie, Niemczech, Holandii, Norwegii, Ukrainie, Rosji, Słowacji, Szwajcarii, Włoszech, a nawet w dalekich Indiach.

Wysoki poziom dydaktyczny koszalińskiego Państwowego Zespołu Szkół Muzycznych potwierdzają liczne sukcesy uczniów, biorących udział w zagranicznych i ogólnopolskich konkursach, a także otrzymywane przez nich stypendia oraz duża liczba absolwentów, którzy kontynuują naukę na wyższych uczelniach. Kierowana przez Małgorzatę Wozaczyńską kuźnia muzycznych talentów może również poszczycić się wychowaniem artystycznych osobowości, promujących Koszalin daleko poza granicami Polski. Do najbardziej znanych należy z pewnością Agata Szymczewska, laureatka I nagrody i złotego medalu na XIII Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Kolejnym, bardzo znanym absolwentem jest Adam Sztaba, popularny i bardzo lubiany przez publiczność dyrygent i aranżer muzyki rozrywkowej, a także kompozytor muzyki symfonicznej. W roku 2007 w finale europejskiego konkursu Młody Muzyk Roku Polskę reprezentowała skrzypaczka z Koszalina Marta Kowalczyk, w 2009 roku wśród siedmiu finalistów polskich eliminacji znalazł się gitarzysta Adam Woch, wielokrotnie wcześniej nagradzany. Fortepianowy duet Katarzyna Gołofit i Aleksandra Bałdys także mają już na

swoim koncie wiele międzynarodowych sukcesów. To tylko niektórzy absolwenci i uczniowie koszalińskiej szkoły, odnoszący spektakularne sukcesy w świecie.

Działalność dydaktyczno-artystyczna Zespołu Szkół Muzycznych prowadzona jest również latem. Szkoła, która pełni także funkcję Ośrodka Edukacji Artystycznej, tradycyjnie już organizuje w lipcu kursy dla nauczycieli przedmiotów ogólnomuzycznych, a w sierpniu – kursy dla nauczycieli gry na instrumentach dętych.

Czy w wypełnionym po brzegi obowiązkami zawodowymi życiu pani dyrektor znajdzie się jeszcze czas na wypoczynek? *– Przez pierwsze lata wcale nie odpoczywałam* – przyznaje Małgorzata Wozaczyńska. *– Czasami zdarzały się krótkie i bardzo nietypowe urlopy w ciągu roku szkolnego. Wakacje musiałam przecież przeznaczyć na organizację letnich kursów. Spokoju i ciszy w nielicznych wolnych chwilach szukałam w moim wiejskim domu. Potem zaczęłam wyjeżdżać za granicę. Wyłączałam telefon komórkowy i bez reszty oddawałam się swojej kolejnej pasji – turystyce. Dodam, że mam na swoim koncie trzy odznaki – brązową, srebrną i złotą – zdobyte za osiągnięcia w górskiej turystyce. Obecnie staram się odwiedzać takie miejsca na świecie, które związane są z historią muzyki. Właśnie ten przedmiot wykładam w naszej szkole i mogę uzupełniać swoje lekcje zdjęciami i swoimi wrażeniami. To bardzo ułatwia przekazywanie wiedzy!*

Osiemnaście lat, które profesor Małgorzata Wozaczyńska poświęciła koszalińskiej Szkole Muzycznej, przynosiło jednak nie tylko sukcesy i satysfakcję. Liczne obowiązki związane z zarządzaniem placówką, kształcącą około 600 uczniów przez 120 nauczycieli, stawały się także źródłem wielu problemów. Wciąż nowe przepisy, wprowadzane przez niestrudzone w swych reformatorskich zapałach Ministerstwo Kultury, nie dawały nadziei na rychłą stabilizację. Brakowało i wciąż brakuje podręczników i nagrań niezbędnych do zajęć z literatury muzycznej. Należało także wciąż rozwiązywać problemy finansowe, z którymi – tak jak całe polskie szkolnictwo – boryka się także i koszaliński Zespół Szkół Muzycznych. A poszukiwanie sponsorów nie należy, niestety, do najprzyjemniejszych zajęć... Dyrektor Wozaczyńska uzyskała więc zezwolenie na założenie Gospodarstwa Pomocniczego, prowadzącego dochodową działalność. Zyski przeznaczone są na remont internatu, wymianę okien, zakup instrumentów, nut wzbogacających szkolną bibliotekę i dofinansowanie imprez artystycznych. Oczywiście, dochody z Gospodarstwa Pomocniczego nie zaspokajają wszystkich potrzeb. Konieczne były więc dodatkowe fundusze, które szkoła zdobywała z programów operacyjnych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Małgorzata Wozaczyńska fot. Miłosz Wozaczyński

Powodów do satysfakcji jest więc bardzo dużo. Najwięcej radości pani profesor przynosi jednak praca z utalentowanymi młodymi ludźmi: – *Są cudowni, bardzo aktywni i pełni wciąż nowych pomysłów na życie – mówi. – Wielu z naszych absolwentów kontynuuje edukację muzyczną, następnie czynnie uczestniczy w życiu artystycznym. Zdobywają estrady na całym świecie jako soliści, kameraliści, czy wszelkiego rodzaju muzycy, podbijają sceny operowe. Część absolwentów wybiera jednak inną drogę zawodową. Zostają prawnikami, czy dyrektorami teatrów muzycznych, a więc są świetnymi organizatorami. Myślę, że te umiejętności także zdobyli w naszej szkole.*

Znaczący dorobek zawodowy Małgorzaty Wozaczyńskiej został potwierdzony licznymi nagrodami. Otrzymała Nagrodę Rektora Akademii Muzycznej w Gdańsku oraz Nagrodę Rektora Akademii Muzycznej w Poznaniu, Nagrodę Wojewody Szczecińskiego oraz – dwukrotnie – Nagrodę Wojewody Koszalińskiego. Trzykrotnie została uhonorowana nagrodą indywidualną Dyrektora Centrum Edukacji Artystycznej, otrzymała również Medal Komisji Edukacji Narodowej. Tytuł Profesora Oświaty, przyznany w 2009 roku, jest ukoronowaniem obecnego etapu w jej życiu zawodowym: – *Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że otrzymałam ten tytuł* – mówi Małgorzata Wozaczyńska. – *Głównie dlatego, że konkurencja była bardzo silna. Z naszego resortu tylko jedna osoba w roku może być uhonorowana tytułem Profesora Oświaty, a wielu nauczycieli może poszczycić się znaczącymi osiągnięciami. Pracują bardzo ciężko, by ich uczniowie mogli zdobywać laury na konkursach i festiwalach. Natomiast moje możliwości są zdecydowanie mniejsze, ponieważ uczę przedmiotów ogólnomuzycznych. Moi uczniowie nie koncertują, nie uczestniczą w festiwalach, a przecież trudno zdobywać nagrody na przykład z historii muzyki... To zupełnie inna dziedzina. Tak naprawdę sukcesy odnoszą tylko moi studenci za prace magisterskie pisane pod moim kierunkiem, co mnie bardzo cieszy.*

Najwspanialszy relaks przynosi pani Małgorzacie muzyka. W swoim mieszkaniu zgromadziła imponująco bogatą płytotekę. Wciąż uzupełnia prywatne zbiory. Najchętniej słucha muzyki dawnej. Uwielbia Jana Sebastiana Bacha. Miłość do tego genialnego kompozytora przekazuje swoim studentom z Akademii Muzycznej w Poznaniu, gdzie prowadzi zajęcia. Dwoje z nich wygrało nawet konkursy na najlepszą pracę magisterską dotyczącą twórczości Bacha. To kolejny z licznych sukcesów, które wciąż przynoszą pani Małgorzacie Wozaczyńskiej jej wielkie życiowe pasje – muzyka i pedagogika.

TEATR



Małgorzata Kołowska

Papis-owy sezon, czyli... jak wam się (nie) podoba

Po ubiegłorocznym, wrześniowym, Kongresie Kultury Polskiej dyskutowano m.in. o projekcie ustawy, która każdemu nowo mianowanemu dyrektorowi instytucji kultury gwarantowałaby co najmniej trzyletni kontrakt. Nie wiem, czy projekt dotyczył tylko „naczelnych", czy także artystycznych szefów, z jednym trudno się nie zgodzić: w ciągu jednego roku (czy raczej sezonu należy mówić) nikt nie stworzy instytucji kultury naznaczonej (wierzymy, że szlachetnym, a co najmniej interesującym) piętnem indywidualizmu artysty, którego kierownictwu powierza się muzeum, filharmonię czy teatr. Zaznaczona z sygnalizowaną obecnością nawiasów nieśmiałością wiara w predyspozycje kandydata musi wszak towarzyszyć każdej decyzji o powołaniu właśnie jego na kierownicze stanowisko! Nie inaczej musiało być, kiedy u progu sezonu 2008/2009 kierownictwo artystyczne Bałtyckiego Teatru Dramatycznego zostało powierzone Jackowi Papisowi.

Jacek Papis, absolwent krakowskiej reżyserii i warszawskiego WOT-u (Wydziału Wiedzy o Teatrze w PWST, będącej dziś Akademią Teatralną), asystent prac reżyserskich Mai Komorowskiej, Macieja i Jana Englertów a także Krystiana Lupy, w 2005 roku współtworzył offowy warszawski teatr „Wytwórnia". Ta artystyczna biografia nikomu nie mogła dawać podstaw do złudzeń, że będzie on tworzył „po Bożemu" teatr repertuarowy, opierając się na klasycznie odczytywanej klasyce, w formie – nie daj Boże! – szkolnego bryku, co nie jest wcale rzadką praktyką polskich scen, zwłaszcza tych na prowincji, które przede wszystkim kierują swoją ofertę do szkolnej dziatwy i młodzieży, podsuwając w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób „przerobione" lektury.

W latach 2007-2008 Papis parał się dziennikarstwem w Londynie, co z pewnością przysłużyło się celności spostrzeżeń na temat najnowszej angielskiej polonii, jakie zawarł w swej sztuce „Eksportowcy". Jej premiera (w reżyserii Agnieszki Błońskiej) odbyła się w styczniu 2009 roku na małej scenie BTD i została dobrze przyjęta zarówno przez publiczność, jak i (miejscową) krytykę. W swej sztuce Jacek Papis mówi o młodych Polakach, którzy (jak wielu w rzeczywistości) postanowili na Wyspach szukać swojego miejsca, a przede wszystkim możliwości pracy. Osią konstrukcyjną dramatu (bo, mimo przejawów prześmiewczego dystansu przecież nie komedii) jest opisana w brytyjskiej prasie tragedia, kiedy to na farmie truskawek w Marden (jakżeż dalekiej od psychodeliczno-idylicznych „strawberries fields forever" Beatlesów) powiesiło się dwóch Polaków. Wśród bohaterów Papisa są: Agnieszka i Daniel – dziennikarze polskiej gazety w Londynie (to środowisko Jacek Papis zna z autopsji), to w każdym wcieleniu podszyty prostaczkiem, tyle że mniej lub bardziej cwany, Andrzej Kmiot/Marian Zbychu (dobra rola Leszka Żentary), w pretensjach (także do show biznesu) Barbara Kmiot/Żana/Brygida czyli (brawurowa) Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, przyjaciel Agnieszki/Michał/Paweł, czyli Jacek Zdrojewski. Tych przedstawicieli najnowszej, bo już XXI-wiecznej emigracji Jacek Papis w sztuce zderza ze „starą", przedwojenną polonią, tu: w osobie Cioci granej (nieco w duchu ciotki-idiotki) przez Ewę Nawrocką.

Spektakl rozpoczyna się od przywołania profetycznej wizji ks. Czesława Klimuszki, który widział w Polsce enklawę przyszłej szczęśliwości i bezpieczeństwa pośród chaosu świata. A później, w poczekalni któregoś z lotnisk – może Gatwick, może Heathrow – spotykają się bohaterowie, snując swoje historie, które są opowieściami o mniej lub bardziej zawiedzionych nadziejach. Leitmotivem jest padający z umieszczonego nad sceną ekranu tekst Blogera, który przedstawia się: „Cześć. Jestem burakiem z Polski. Właściwie wystarczy powiedzieć: z Polski – na jedno wychodzi. Zwłaszcza tutaj". Jacek Papis w sztuce rozprawia się z polskimi mitami (np. Matki-Polki i Polski-Chrystusa Narodów). Reżyserująca sztukę Agnieszka Błońska (od kilku lat tworząca zarówno w Londynie, jak i w Polsce) konstruuje poszczególne sceny w wideoklipowym skrócie.

Powodzenie „Eksportowców" wśród publiczności było niewątpliwym sukcesem całego biorącego w spektaklu udział zespołu aktorskiego i, rzecz jasna, reżyserki, która zbudowała wartko toczące się, błyskotliwe, efektowne, ale też pobudzające do (smutnej raczej) refleksji przedstawienie. Każdemu aktorowi przypadło w udziale po kilka ról i wszyscy potrafili odnaleźć się w nich z powodzeniem. Na szczególne słowa uznania zasługuje Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, m.in. w kapitalnej parodii Dody Elektrody.

To przedstawienie zostało też wybrane, i słusznie, na benefis Ewy Nawrockiej, związany z 55-leciem pracy scenicznej i uhonorowaniem jej Złotym Medalem „Gloria Artis". Benefis ten odbył się 16 kwietnia, dając sposobność koszalińskiej publiczności, by okazać Nestorce z wszech miar zasłużone uznanie i przyjaźń, tym ważniejsze w tym czasie, że w przeddzień benefisu Ewa Nawrocka przeżyła osobistą tragedię. Jako wielka aktorka na przekór smutkowi pokazała widzom uśmiechniętą twarz. Scenicz-



„Jak wam się podoba" – Dorota Papis (z prawej) i Beata Niedziela. fot. Wojciech Grela, archiwum BTD

ne niespodzianki przy tej okazji przygotowane przez kolegów-aktorów (nie wyłączając udziału w nich dyrektora artystycznego) pozwalały odczytywać całość wieczoru jako przejaw prawdziwie zespołowego działania, wynikającego z poczucia artystycznej wspólnoty.

„Eksportowcy" to kolejne przedstawienie w historii BTD pokazujące, że tutejsi aktorzy dobrze się czują w spektaklach o wyrazistej stylistyce, opartych na grze konwencjami, myślowym skrócie, teatralnym znaku, wykraczających poza ramy realizmu psychologicznego. Dość przypomnieć bardziej odległe w czasie inscenizacje Krzysztofa Galosa („Gdyby", „Studio paniki Rolanda Topora") czy ostatnie spektakle Piotra Ratajczaka („Wodzirej" i „Szewcy"). „Eksportowcy" pozwolili też koszalińskiej publiczności poznać (z dobrej strony) Jacka Papisa – dramaturga.

Jako reżysera poznaliśmy go dwa miesiące później, kiedy to z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru odbyła się premiera Szekspirowskiego „Jak wam się podoba". Przedstawienie podzieliło koszalinian na (umiarkowanych) zwolenników i (gorących) przeciwników. Tych drugich głosem był tekst byłego redaktora naczelnego „Głosu Pomorza" Andrzeja Mielcarka, który na internetowym forum GK 24 bezlitośnie zrecenzował spektakl, ogłaszając mianowicie „katastrofę w BTD". O samej premierze „Jak



Na pierwszym planie Beata Niedziela, w głębi: Jacek Zdrojewski, Ewa Nawrocka, Aleksandra Padzikowska.

fot. Jakub Ruszkowski, archiwum BTD

wam się podoba" napisał, że „lepiej, aby jej nie było", może bowiem „zohydzić teatr..."

Powiem od razu: mnie przedstawienie się podobało, choć nie bez zastrzeżeń. Lubię teatr świadomy konwencji, do jakiej się odwołuje i konsekwentnie ją realizujący. Teatr oparty na znaku scenicznym, dający pożywkę dla wyobraźni i intelektu widza. Grzechem głównym był czas trwania spektaklu, przekraczający trzy godziny! Inna rzecz, że coraz częściej spektakle wydają mi się zbyt długie, przegadane nad miarę (cokolwiek by to znaczyło, przy czym uczciwość nakazuje mi przyznać się, że wcale nie mam pewności, czy wina po mojej, czy Melpomeny leży stronie). Dla spektaklu Jacka Papisa na pewno byłoby lepiej, gdy trwał z godzinę krócej i dzięki temu mógł obejść się bez antraktu, który rozbił mozolnie i – każdy chyba to przyzna – konsekwentnie budowaną atmosferę tej quasi baśni, quasi – przypowieści o władzy i miłości, także seksualności, czy może po prostu – władzy miłości i uwikłaniach w nie zawsze prostą i oczywistą cielesność... Na scenie są to wciąż tematy ryzykowne (choć eksplorowane przez teatr od stuleci), zwłaszcza gdy pojawia się kwestia homoseksualności, dziwnie prowokująca do niestosownych (czytaj: prostackich) żartów. A jednak w swojej inscenizacji Jacek Papis na pewno nie przekroczył granic dobrego smaku.

Recenzenci, nawet gdy zachwycili się (a byli tacy!) aktorstwem, nie zostawili suchej nitki na „dyrektorowej" – Dorocie Papis, choć wcale nie odstawała od pozostałych aktorów. Gdyby jednak kogoś szczególnie chwalić, to na pewno nieodparcie komicznego Leszka Żentarę i drapieżne w swych songach trzy (świetnie) śpiewające aktorki: Małgorzatę Wiercioch, Katarzynę Ulicką-Pydę i (znów!) Żanettę Gruszczyńską-Ogonowską. Co najważniejsze: oglądając to przedstawienie miałam rzadkie (niestety) poczucie, że aktorzy bawią się sytuacjami, że przydzielone im zadania napawają ich radością, a to wszystko nadaje tak pożądaną w teatrze lekkość – tę samą, o której w „Kształcie mosiądzu" pisał Bertolt Brecht że jest przezwyciężonym trudem. Podobno praca nad spektaklem nie była ani łatwa ani przyjemna, reżyser pokonywać musiał opór nie tylko materii, ale i psychiczne bariery i myślowe schematy, w jakich zamyka się Szekspir jako jedna z tych „świętości", których się szargać nie godzi. A jednak dla mnie było to zwycięstwo teatru – takiego, który potrafi mówić za pomocą scenicznych znaków, formy, nawet (a może właśnie wtedy), gdy jest tak ascetyczna, jak w Papisowym „Jak wam się podoba".

Koszalin po jedynym, moim zdaniem wcale obiecującym, sezonie Jacka Papisa powiedział dyrektorowi artystycznemu BTD: „panu dziękujemy". Jednoosobowo kierownictwo naczelne i artystyczne w BTD na powrót sprawuje od wielu lat związany z koszalińską sceną Zdzisław Derebecki. Przez wiele lat był on przede wszystkim aktorem (dodajmy – czołowym), potem całkowicie zarzucił pracę sceniczną, by powrócić do niej w 2007 r. jako dyrektor koszalińskiego teatru. Z powodzeniem przeprowadził on BTD przez trudne dwa sezony poza własną siedzibą (scena „Muza" okazała się zresztą zaskakująco przyjazna Melpomenie). Zgodnie z zapowiedzią, że po powrocie do stałej siedziby da szansę młodym – twórczym, sprawy artystyczne powierzył on Jackowi Papisowi, który, pokoleniowo rzecz ujmując, mógłby być synem dyrektora naczelnego. Jak widać nie znaleźli jednak pokrewieństwa ani duchowego ani artystycznego, skoro po roku rozstali się.

„A mnie tak i żal...", bo w artystycznych rządach Jacka Papisa dostrzegłam szansę na stworzenie w Koszalinie ciekawego teatru, odbiegającego od (nie obrażajmy się na to słowo) prowincjonalnej sztampy, nie bojącego się artystycznego eksperymentu. Cenna bez wątpienia współpraca z reżyserem Piotrem Ratajczakiem, czy gościnny udział w spektaklach BTD „gwiazdy serialu" Stanisława Górki nie dają dość mocnych podstaw do ugruntowanej wiary w świetlaną przyszłość Melpomeny nad Dzierżęcinką. Wizja artystyczna BTD wydaje się dość mglista.

A formy promowania teatru niepokoją: fatalny ostatnio kształt graficzny i słaba wartość merytoryczna strony internetowej BTD (nie wiedzieć czemu zniknęło z niej archiwum) i teatralnych wydawnictw nie mogą nie boleć, tym bardziej, że koszaliński teatr właśnie na tym polu ma znakomite tradycje. Ale też miewał świetnych kierowników literackich, a od lat nie ma żadnego! Nawoływanie gawiedzi do teatru przez jeżdżącą po mieście „krzykaczkę" kojarzy się raczej z cyrkiem, aniżeli wysoką (przynajmniej w porywach) sztuką teatru.

Zawsze jednak wyrażałam pogląd, że dopóki jest zespół teatralny – aktorzy i wszyscy inni specjaliści od prac scenicznych wszelakich – jest nadzieja na dobry teatr. Na SZTUKĘ. Jakże więc teraz jej nie mieć... Tylko, że zawsze może być lepiej.



Jacek Papis.

Bałtycki Teatr Dramatyczny, Jacek Papis, „Eksportowcy", reż. Agnieszka Błońska, scenografia – Małgorzata Krzemień, oprawa muzyczna – Sean Palmer, tekst piosenki „Polska jest fajna" – Jacek Papis, muzyka Hanna Kayser-Klepacka. Występują: Beata Niedziela, Aleksandra Padzikowska, Ewa Nawrocka, Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska, Jacek Zdrojewski, Leszek Żentara, Jacek Piotrowski, Artur Poczesny, Artur Czerwiński. Premiera 10 stycznia 2009 r.

Bałtycki Teatr Dramatyczny, William Shakespeare, „Jak wam się podoba", reżyseria, tłumaczenie tekstów piosenek – Jacek Papis, scenografia i kostiumy – Małgorzata Krzemień, muzyka – Hanna Kayser-Klepacka, ruch sceniczny – Mikołaj Mikołajczyk. Występują: Wiesław Zanowicz (gościnnie), Piotr Krótki, Artur Czerwiński, Jacek Zdrojewski, Artur Poczesny, Leszek Żentara, Katarzyna Ulicka-Pyda, Wojciech Rogowski, Małgorzata Wiercioch, Helena Tuliszewska, Dominik Stroka (gościnnie), Sebastian Stafecki (gościnnie), Dorota Papis, Beata Niedziela, Aleksandra Padzikowska, Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska. Premiera 28 marca 2009.

Jadwiga Koprowska

Witkacy Show

Odkąd „Szewcy" Stanisława Ignacego Witkiewicza są w kanonie lektur szkolnych, dla teatrów (może poza Warszawą i Krakowem) istnieje spora pokusa, by przygotować przedstawienie, które będzie miało zapewnioną publiczność. Wielu reżyserów dało się uwieść takiej motywacji, nie oglądając się na tradycję wystawień „Szewców", na trudności z interpretacją Witkacego w ogóle, czy „upolitycznienie" inscenizacji – zwłaszcza w roku 1971, czyli po „wydarzeniach grudniowych" i 1982 – w czasie stanu wojennego, była to jedna z najczęściej grywanych sztuk w polskich teatrach. Ba, nawet złe recenzje, krytycznie oceniające pracę takich mistrzów, jak Jerzy Jarocki (za przedstawienie w krakowskim Starym Teatrze z 2002 r.) nie powstrzymywały inscenizatorów.

Co ciekawe, większość przestawień po 2000 roku miała już dobry odbiór i czasami wręcz entuzjastyczne recenzje, a to sugeruje, że wielu cenionych reżyserów (tak znanych, jak Jan Klata czy mniej znanych, jak Bartłomiej Wyszomirski) znalazło współczesny klucz do Witkacego. Bo oto okazało się, że „Szewcy" niosą wiele pytań wciąż żywych i istotnych, i że niezmiennie można przez ten tekst spojrzeć wnikliwie na kondycję współczesnego Polaka. Jest tylko kwestią wyobraźni teatralnej i samodyscypliny reżysera, czy wykorzysta „Szewców" do realizacji własnej wizji przedstawienia czy też da się ponieść temu tekstowi w sposób niekontrolowany?

Piotrowi Ratajczakowi w koszalińskich „Szewcach" udało się stworzyć przedstawienie żywe i wciągające widza w rozmowę o dzisiejszym świecie. Młody reżyser uniknął też podstawowej pułapki, jaką kryje ten dramat – nudy i przegadania nieuchronnie czyhających podczas próby wiernej pierwowzorowi inscenizacji.

Przedstawienie „Szewców" w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym jest wizualnie atrakcyjne, zagrane z nerwem, choć niepozbawione w kilku miejscach pęknięć. Nie jest to spektakl oparty li tylko na dramacie Stanisława Ignacego Witkiewicza, ale sporo tu tekstu Jana Czaplińskiego – de facto współautora scenariusza przedstawienia, który często posługuje się cytatami lub przeróbkami, a to z Miltona Friedmana, a to Jana Pawła II, Francisa Fukujamy, Davida Bowie i innych znanych postaci XX w. Dramaturgiczno-literackie zabiegi pozwoliły Ratajczakowi na świeżo opisać fobie i fascynacje człowieka początku XXI wieku, stojącego w obliczu przemian społeczno-gospodarczych, a poza tym bardzo uatrakcyjnił formę przedstawienia. Reżyser śmiało sięgnął po muzyczne hity, które budzą określone skojarzenia lub komentują współczesność, nie pogardził telewizyjnymi gatunkami, takimi jak talk-show czy teleturniej, oraz zasobami archiwów dźwiękowych drugiej połowy XX wieku. Wszystko po to, by nadać przedstawieniu tempo i przydać różnorodności.

A co z Witkacowską wizją rewolucji, która jest podstawowym tematem dramatu „Szewcy"? Ratajczak wykorzystuje koncepcje trzech rewolucji Witkacego, ale ubiera je we współczesny kostium. Nawet pojawiające się na scenie „czarne koszule" bardziej przypominają zachowania dzisiejszych neonazistów niż hitlerowców sprzed półwiecza; rewolucja komunistyczna Sajetana Tempe odbywa się przy akompaniamencie pokrzykiwań Gomułki i fragmentów wystąpienia Gierka, a przewrót Abramowskiego to już czytelne odniesienie do przemian 1989 roku – nie tylko zresztą w Polsce. Reżyser podziela sceptycyzm Witkacego dotyczą-

cy człowieka „porewolucyjnego": nowy porządek albo go niszczy, albo daje władzę, która z kolei nieuchronnie deprawuje. Rewolucja niczego więc nie naprawia, nie tworzy lepszego świata. Zmienia się tylko sceneria, kostium, entourage...

Już początkowa scena spektaklu – pokaz mody, w którym biorą udział między innymi Papież, Hitler i Gandhi – sytuuje nas w świecie, w którym na równi autorytetami mogą być duchowni, politycy, modelki czy gwiazdy popkultury. Następnie na telebimie ukazują się „gadające głowy" i wypowiadają wyrwane z kontekstu teorie, opinie czy pseudo aforyzmy. Pogrążamy się w dzisiejszym, „medialnym" szumie... Zewsząd płynie bełkot, który nic nie znaczy, niczego też nie tłumaczy. No, i wreszcie pojawiają się szewcy! Pracują w hip-hopowym rytmie w tym samym rytmie wypowiadając słynne „...już nic gadać nie trzeba, wszystko jest wygadane do cna..." To raczej estradowe show, które Scurvy ucina wymownym gestem „heil". Tu zaczyna się część spektaklu dość wierna dramatowi Stanisława I. Witkiewicza, choć przerwana na moment fantastycznym monologiem Scurvego, dopisanym przez Czaplińskiego, o współczesnym upadku demokracji, pomieszaniu ideałów i ideologii, przenikaniu się światów showbiznesu, mediów i polityki, niezwykle ekspresyjnie wykonana przez Roberta Zawadzkiego grającego rolę Scurvy. Zaraz potem następuje powrót do tekstu Witkacego i klasyczna już scena z Iriną Wsiewołodowną (to kolejna znakomita rola Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej), która nie tylko łączy erotyzm z arystokratycznymi manierami, ale także jakże dzisiejsze tęsknoty do bycia gwiazdą, bycia w centrum zainteresowania mediów, słowem – bycia CELEBRYTĄ. Ekran telewizyjny gra zresztą w tym spektaklu szczególnie ważną rolę, na nim bowiem reżyser



fot. Roman Wnuk, archiwum BTD

pokazuje nam to, co się dzieje na scenie. W ten sposób kamera telewizyjna wzmacnia i uwiarygodnia sceniczną rzeczywistość.

I tak na przemian, już prawie do końca przedstawienia, przeplatają się fragmenty dramatu Witkacego z tekstem Czaplińskiego. Jesteśmy świadkami wzniecania rewolucji i zmian, jakie wywołuje ona w ludziach; permanentne nienasycenie nowym życiem, seksem, popularnością, coraz większe tempo (znakomicie wkomponowany ruch sceniczny Arkadiusza Buszko), ciągłe „przebieranki", nowe kostiumy... a wszystko okraszane zaledwie strzępami Witkiewiczowskiego tekstu: „praca byle jaka, byle była... nie docenialiśmy jej gdy była", „jak kto co ma to się tego nie wyrzeknie! Trzeba mu to wyrwać!"; gdzieś z offu słychać głos przemawiających Gomułki i Gierka. Powoli dopala się rewolucja szewców, którzy zmęczeni śpiewają przebój Lombardu „Przeżyj to sam..."

Im bliżej końca przedstawienia, tym mniej tekstu Witkacego, a więcej sloganów, życiowych pseudomądrości w stylu: „chodzi o to, by się dobrze bawić", „trzeba iść na skróty", „bohaterem dzisiejszych czasów jest Harry Potter; po co pracować, kiedy można czarować?". Ale tym dobitniej brzmi powrót choćby na chwilę do oryginału, na przykład w scenie, kiedy siedzący na tronie Sajetan (bardzo dobra rola Wojciecha Rogowskiego) pyta: „czy to aby nie złudzenie, że my nowe życie tworzymy?". To jest zresztą jedno z możliwych zakończeń spektaklu, nieco przydługiego i mającego takich zakończeń jeszcze kilka.

Na przykład: po scenie z arabskim terrorystą, kiedy ten zdejmując galabiję mówi: „rządźcie tak, rządźcie tak dalej...", albo po obłędnym tańcu wokół sceny, narzucającym oczywiste skojarzenia z chocholim tańcem Wyspiańskiego...

Piotra Ratajczaka zgubiła w końcówce przedstawienia pazerność na ilość odniesień do „gorących wydarzeń". Scena z pola golfowego, w której maklerzy giełdowi cynicznie rozmawiają o kryzysie i żyjących na kredyt społeczeństwach jest może efektowna, ale napięcie, z jakim widz oglądał do tej pory przedstawienie, już opadło i wszyscy czują, że zobaczyliśmy w nim wystarczająco dużo brudów tego świata. Kolejne, choć są szczytem perwersji i cynizmu, nie robią już wrażenia. No, i ta końcowa scena z założeniem masek... Przytłacza swą dosłownością, co, na szczęście, nie przesłania wrażenia, że oto obejrzeliśmy ważne, zmuszające do refleksji przedstawienie.

Wielkim walorem spektaklu jest aktorstwo. Poza wymienionymi już aktorami wyróżnić trzeba też Artura Paczesnego i Artura Czerwińskiego, którzy znakomicie wyczuwają tempo dramatu i specyfikę granych postaci. Na podziw zasługuje kondycja fizyczna, prezentowana przez cały zespół podczas przedstawienia granego non stop, z elementami tańca, układów rytmicznych i bieganiną do upadłego. Całość dopełnia nowoczesna, ascetyczna scenografia Matyldy Kotlińskiej, która chyba wyrobiła już sobie markę w koszalińskim teatrze.

Mam nadzieję, że takie odczytanie Witkacego i jego „Szewców" skutecznie zachęci młodych (i nie tylko młodych) widzów do lektury Ostatniego Wielkiego Romantyka Polski Odrodzonej, jak nazwała go Anna Micińska.

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Szewcy", reż. Piotr Ratajczak, opracowanie dramaturgiczne Jan Czapliński, scenografia – Matylda Kotlińska, kostiumy – Grupa Mixer (M. Ulańska, Dorota Gaj-Woźniak, Robert Woźniak) opracowanie muzyczne – choreografia Arkadiusz Buszko. Obsada: Żanetta Gruszczyńska-Ogonowska – Irina Wsiewołodowna, Aleksandra Padzikowska – Dziwka Bosa, Artur Paczesny – Towarzysz Abramowski, Hiper-Robociarz, Wojciech Rogowski – Sajetan Tempe, Artur Czerwiński – Grzegorz Puczymorda, Towarzysz X, Robert Zawadzki (gościnnie) – Robert Scurvy, Jacek Zdrojewski – Czeladnik I, Filip Perkowski (gościnnie) – Czeladnik II . Bałtycki teatr Dramatyczny, premiera 17 października 2009

Ewa J. Kwidzińska

Gorzki kambek

Gabriel Gietzky – reżyser, który wystawia swoje spektakle w różnych miejscach w Polsce, postanowił powrócić do teatru, w którym zwykł przed laty rządzić sceną jako aktor – do Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie (na deskach którego odegrał ponad dwadzieścia ról). Znany raczej z reżyserii dzieł klasycznych (choć – rzecz jasna – nie jedynie), podjął tym razem pracę nad debiutem dramaturgicznym współczesnego koszalińskiego pisarza i polityka – Ryszarda Ulickiego (najczęściej kojarzonego z „Kolorowymi jarmarkami").

Mowa tu o „Kambeku", monodramie, który podjęła się zagrać Katarzyna Ulicka-Pyda, znana z muzycznych pasji (absolwentka Państwowej Akademii Muzycznej w Katowicach) i brawurowych kreacji scenicznych, aktorka BTD.

Godzinna opowieść o zderzeniu pragnień i ambicji z rzeczywistością, o artystycznym niespełnieniu, o zagubieniu w materialnym świecie i samotności człowieka, który nie potrafił spełnić oczekiwań wobec samego siebie i innych. A dosłowniej – opowieść o niemłodej już piosenkarce, która w pogoni za pieniędzmi i sławą, zmuszona była wyemigrować z kraju. Dziś ledwo opłaca wynajmowany pokój, nie ma z kim zamienić kilku słów, a nie mogąc się pogodzić z odejściem w cień – okłamuje siebie i najbliższych, że czeka ją jeszcze nagranie fantastycznej płyty. Po latach puste ściany wynajmowanego mieszkania i brak zainteresowania ze strony publiczności, o którą przez lata walczyła, zmusza ją do dokonania naprawdę gorzkiej analizy swojego życia – do podjęcia tytułowego kambeku do wydarzeń z przeszłości, które doprowadziły ją do tego punktu, w jakim się znajduje. Katarzyna Ulicka-Pyda swoją grą wprowadza widza w bardzo intymny świat nieszczęśliwej kobiety, która zagubiła się i zatraciła w pragnieniach nieustannego odbijania się w drugim człowieku.

Kameralna przestrzeń sceny wprowadza poczucie bliskości z bohaterką. Widz fizycznie czuje jej samotność. Pełna emocji i autentyzmu gra aktorki przekonuje widza do tego stopnia, że wchodzi on w bałagan pokoju piosenkarki (dość oszczędna i pragmatycznie przyswojona na potrzeby spektaklu scenografia Dominiki Skazy) jak przyjaciel z dawnych lat albo ten najbliższy nieznajomy, któremu zagubiona może wypłakać swoje żale. I Ulicka-Pyda wypłakuje. Widz poznaje przeszłość bohaterki, jej sukcesy i porażki. By udowodnić, że była naprawdę dobra i jej sława miała mocne podstawy – śpiewa nawet kilka swoich piosenek (w tych momentach Ulicka-Pyda wykazuje się niezłym głosem, tworzy estradowy klimat i dość umiejętnie manipuluje emocjami widza. Subtelnym opracowaniem muzycznym zajęła się Aleksandra Gryka). Wychylając kolejne kieliszki wódki, rozpościera przed odbiorcą coraz to szerszy horyzont tragizmu jej nieudanego życia. Na przemian zakłada i zdejmuje szpilki, wtula się w niemodne różowe boa i przymałe wieczorowe sukienki. Chwilami żałosna, walczy jednak o godność człowieka. Brak tu rozpłyniętych w oniryzmie reminiscencji, piosenkarka sama przed sobą opowiada swoje życie, przesuwa je konkretnie jak klatki filmu. Widz jest świadkiem tej spowiedzi, wszystko, co dzieje się podczas niej to cierpienie lub radość piosenkarki na wspomnienie przeszłości.

Praca nad tekstem Ulickiego zaowocowała niemęczącym spektaklem, który skróconą historią pewnego życia otwiera szereg kontekstów, zadaje wiele niełatwych pytań. Chociaż-

by o to, jak człowiek naprawdę istnieje – czy zawsze we Wzajemności, czy jest w stanie funkcjonować i istnieć bez odbijania się w lustrze; o to, jak wygląda prawdziwa relacja twórcy i jego dzieła; o to, jak działają mechanizmy kreujące artystę i decydujące o jego istnieniu. Pytania te, choć istotne, w monodramie – przez ich wielość – jedynie zostają zasygnalizowane, żadne z nich nie zostało tak naprawdę rozwinięte. Wychodzi się z tego spektaklu zaangażowanym emocjonalnie, o głębszą refleksję widz musi jednak zadbać sam w teatrze swojego umysłu.

Tekst publikowany na stronie e-teatr, Nowa Siła Krytyczna



Bałtycki Teatr Dramatyczny, „Kambek", Ryszard Ulicki, reż. Gabriel Gietzky, scenografia Dominika Skaza, opr. muzyczne Aleksandra Gryka. Monodram Katarzyny Ulickiej-Pydy. Premiera 26 kwietnia 2009

fot. Wojciech Grela, archiwum BTD

Aleksandra Barcikowska

Słodko-gorzka „Zazdrość”

(...) Sztuka Esther Vilar „Zazdrość” jest stworzona do grania. Nie wymaga wymyślnej scenografii i wielu kostiumów. Broni się samym tekstem. Siedząc na widowni, miałam wrażenie, że dobrze bawią się nie tylko widzowie, ale także aktorki, choć treść wymagała od nich dużego zaangażowania.



„Zazdrość”. fot. Kamil Jurkowski, archiwum BTD

„Zazdrość” to sztuka słodko-gorzka. Chwilami śmieszna, chwilami ironiczna, a czasem smutna. Opowiada o trzech kobietach, które mieszkają w ekskluzywnym apartamentowcu. Każda na innym piętrze. Łączy je mężczyzna, 55-letni Laszlo, mąż prawniczki Helen, która pewnego dnia dostaje maila z informacją, że jest zdradzana. Jej ślubny ma płomienny romans z 40-letnią architektką Yaną, nadawczynią maila, którą po kliku miesiącach rzuca dla 25-letniej studentki i buddystki Iris.

Mimo, że panie nigdy się nie spotkały, nawiązują ze sobą wirtualną więź. Przed ekranami komputerów rozpoczyna się wyścig o względy jednego mężczyzny.

W role głównych bohaterek wcieliły się: Małgorzata Wiercioch, która świetnie zagrała opanowaną i uporządkowaną prawniczkę, do której przemawiają jedynie suche fakty i liczby. Jej rywalkę – wyrachowaną i cyniczną Yanę zagrała Katarzyna Traczyńska, a łagodną wielbicielkę buddyzmu Iris – Kornelia Angowska. Wszystkie bardzo dobrze oddały klimat sztuki, a miały przed sobą trudne zadania, bo przedstawienie grane jest na Małej Scenie i cała uwaga widzów skupiona tylko na nich.

Tekst publikowany w: „MIASTO – Dziennik Koszaliński”; 16 czerwca 2009 r.

Marek Kołowski

Skąd nasz (dialogowy) ród

50-lecie Teatru Propozycji „Dialog"

Mało kto wie, że obchody jubileuszu sto pięćdziesiątych urodzin Juliusza Słowackiego w 1959 miały dla koszalińskiego życia teatralnego szczególne znaczenie. Otóż właśnie wtedy idea teatru żywego słowa krakowskiego Teatru Rapsodycznego została przeszczepiona do Koszalina. A to za sprawą Henryki Rodkiewicz, która, na prośbę Wojewódzkiego Domu Kultury, wraz z gronem młodych recytatorów zrealizowała widowisko poetyckie złożone z poezji i prozy wieszcza pt. „Godzina myśli". Wydarzenie to zapoczątkowało działalność artystyczną Teatru Propozycji „Dialog".

Rapsodyczny rodowód

Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku Henryka Rodkiewicz przyjeżdża do Koszalina i angażuje się w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Jest już aktorką z wieloletnim stażem, i kiedy dostaje propozycję zrealizowania z recytatorami montażu poetyckiego, przyjmuje ją bez wahania, posiada już bowiem duże doświadczenie w pracy na scenie z żywym słowem. Wcześniej przez dwa lata (1950-52), będąc jednocześnie słuchaczką studia aktorskiego i aktorką w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie, zdobywała wiedzę teoretyczną i praktyczną. Tam, jak czytamy w książce poświęconej historii Teatru Rapsodycznego pt. „...trzeba dać świadectwo" (ArsNova – Zjednoczeni Wydawcy, Kraków 1991), poznaje wywiedzioną z historii koncepcję teatru żywego słowa, głoszoną przez założyciela teatru i dyrektora Mieczysława Kotlarczyka, który: „Słupami milowymi w tej historii uczynił teatr stanisławowski i literaturę dramatyczną wielkiej emigracji romantycznej; to Słowacki chciał z życia narodu stworzyć cykl dramatyczny – udało to się dopiero Wyspiańskiemu".

W tym samym czasie Henryka Rodkiewicz, w ramach praktyk aktorskich, wraz z czternastoma innymi słuchaczami studia „gra" tłum w spektaklu „Rozkaz 269" Majakowskiego i Kirsamowa. To kontrowersyjna próba połączenia realizmu psychologicznego i materializmu dialektycznego, na scenie zrealizowana przez Mieczysława Kotlarczyka. Spektakl o pierwotnym tytule „Towarzysz Prometej", przez samych twórców nazwany „Czerwonym rapsodem", miał zdecydowanie rewolucyjny charakter i schlebiał gustom ówczesnych polityków. W tym samym czasie Henryka Rodkiewicz jest obserwatorem prób wznowieniowych poetyckiego spektaklu, inscenizacji rapsodu „Beniowski" Juliusza Słowackiego – poematu, z którym nie rozstanie się bodaj nigdy...

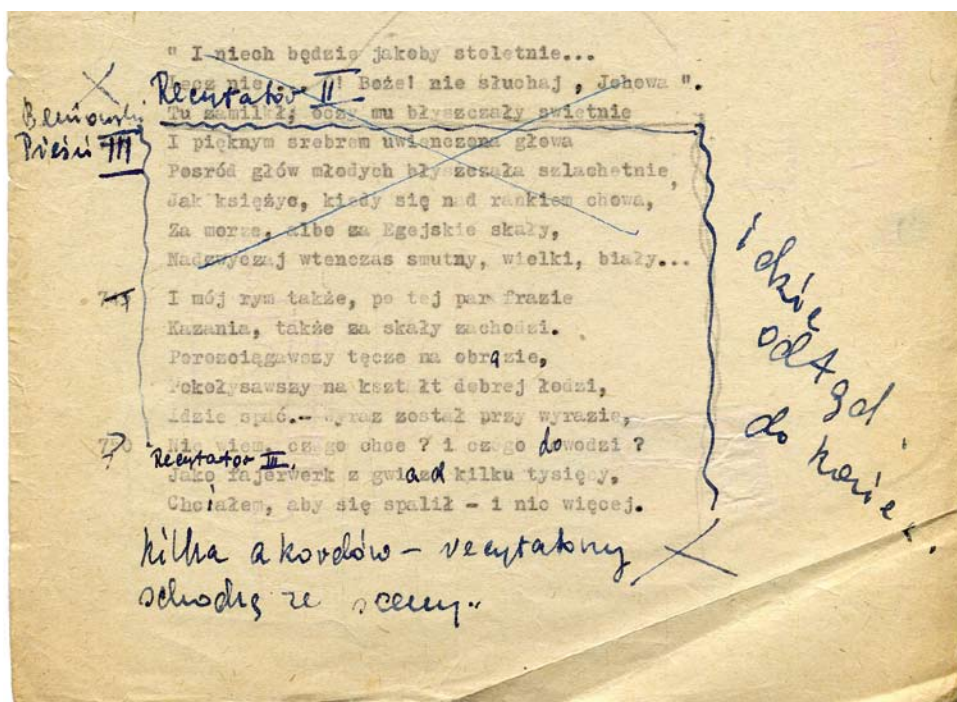
Bardzo ważnym, pozostającym na pewno na wiele lat w pamięci, doświadczeniem była premiera „Aktorów w Elsynorze" – spektaklu złożonego z wielu tekstów Szekspira, w opracowaniu dramaturgicznym, inscenizacji i reżyserii, jak zwykle, dyrektora Teatru Rapsodycznego. Wiele lat później, już w Koszalinie, dzieła Szekspira stają się inspiracją w pracy nad spektaklem pt. „Aktor", zrealizowanym z „dialogowcami" w połowie lat siedemdziesiątych. – *Słowa Szekspira, że „świat jest teatrem", to jest truizm, ale niemniej, to jest chyba oczywista prawda, na którą my chcemy szczególną zwrócić uwagę* – mówi w wywiadzie udzielonym red. Irenie Bieniek

dla Polskiego Radia – Rozgłośni w Koszalinie 18 marca 1975 r. (Cała ta wypowiedź zachowała się w radiowym archiwum i jest odtwarzana jako prolog do spektaklu pt. „Słowacki").

Ostatnim i, być może jednym z najmilszych doświadczeń z całego dwuletniego pobytu Henryki Rodkiewicz w krakowskim teatrze, była praca przy realizacji spektaklu dla dzieci pt. „Kruszynka" – bajki Andersena „Calineczka". Była to wspólna reżyseria z inną „rapsodyczką", zarazem muzykiem – Krystyną Niżyńską.

Lato 1959 roku był to dla Henryki Rodkiewicz okres, jak pisze Tadeusz Byrski we wspomnieniu „10 lat Teatru Propozycji „Dialog" („Dialog", 5/1970 r.), w którym, poczuła „brak zadowolenia z pracy" na scenie zawodowej. Pojawiającą się wówczas propozycję zajęć z amatorami przyjęła więc jako wyzwanie. Wiedząc zapewne o obchodach Roku Słowackiego w Teatrze Rapsodycznym i wieczorze z 12 kwietnia 1959 r., na którym aktorzy Kotlarczyka zaprezentowali już czwartą wersję „Beniowskiego", nie mogła odmówić sobie przyjemności powrotu do krakowskich doświadczeń.

30 sierpnia, wraz z gronem skupionych wokół siebie młodych recytatorów, na scenie Wojewódzkiego Domu Kultury w Koszalinie prezentuje, we własnym opracowaniu i reżyserii, montaż poezji i prozy pt. „Godzina myśli". Co najważniejsze, scenariusz kończy się Pieśnią III z „Beniowskiego". O ile krakowski spektakl był przede wszystkim wydarzeniem artystycznym, to koszaliński – głównie wydarzeniem społecznym. Pisze o tym Jadwiga Ślipińska w liście do redakcji „Dialogu" z 24 lutego 1960 r. „Cały montaż i inscenizacja tego widowiska zelektryzowały Koszalin". Jubileusz urodzin wieszcza i ambicja, potrzeba zrobienia czegoś niezależnego


" I niech będzie jakoby stoletnie...
Lecz nie... Boże! nie słuchaj, Jehowa ".
Tu zamilkł; oczy mu błyszczały świetnie
I pięknym srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa,
Za morze, albo za Egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały...
I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy na kształt dobrej łodzi,
Idzie spać.– wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce ? i czego dowodzi ?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił – i nic więcej.

Recytator II
Beniowski Pieśń III
Recytator III
kilka akordów – recytatorzy schodzą ze sceny.

Fragment scenariusza przedstawienia „Godzina myśli".

od zawodowego teatru, uczyniła Henrykę Rodkiewicz prekursorką idei teatru żywego słowa w Koszalinie. Owocem krakowskiego przeszczepu jest Teatr Propozycji „Dialog".

Dwa scenariusze

Przede mną tekturowa teczka związana tasiemkami. Na niej odręczne napisy: cyfra „1" i obok „1959 r." Poniżej autor i tytuł. „Dialogowa" świętość. Mam niewiele więcej lat – pomyślałem. Ciekawość długo nie pozwala czekać. Rozplątuję tasiemki. W środku plik kartek spięty kawałkiem drutu. Zdejmuję spinacz. Pod nim rdzawy ślad wilgoci. Dawno nikt tu nie zaglądał. Rozkładam rozpięte dwa egzemplarze scenariuszy. Pierwszy to kopie tekstów z charakterystycznym niebieskim cieniem kalki; opatrzony nagłówkiem – ma charakter oficjalny. Każda jego kartka w prawym górnym rogu ma małą czerwoną pieczątką. To niewielki prostokąt z inicjałami urzędu, numerem akt, kolejnymi numerami stron scenariusza, z datę i nieczytelnym podpisem urzędnika. To znak cenzury – piętno minionych lat. Drugi egzemplarz pożółkły, bardziej zużyty; pozaginane brzegi... Jedna z kartek przecięta, nieudolnie sklejona, inne pokreślone, trochę poplamione – pewnie herbatą – i, co od razu zauważam, jest nieco cieńszy od tego pierwszego. Sprawia wrażenie biedniejszego brata urzędowej wersji i może przez tę swoją „miękką niedoskonałość" budzi od razu moją sympatię. Mam wrażenie, że zachował jeszcze ciepło rąk autorki scenariusza. To reżyserski egzemplarz Henryki Rodkiewicz, a każdy w nim zapis jest piętnem Jej pracy.

Historia uwolniona – pomyślałem jeszcze raz patrząc na czerwone pieczątki. Do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, do czasu, kiedy



Henryka Rodkiewicz. fot. archiwum

działał jeszcze urząd cenzury, twórcy tzw. montaży poetyckich, później nazywanych po prostu spektaklami poetyckimi, korzystali z pewnego rodzaju przywileju, który polegał na tym, że do scenariusza składanego do ocenzurowania dodawali zazwyczaj większą liczbę tekstów, niż to było potrzebne. Zapas materiału pozwalał na swobodniejszy dobór utworów na etapie prób; o wiele łatwiejsze stawało się przenoszenia całych fragmentów, odrzucanie ich w całości lub części, łączenie w całość z fragmentami innych dzieł itd., itp. W zależności od potrzeb inscenizacyjnych i zamierzeń artystycznych. Takie „gospodarowanie" materiałem dawało jednym realizatorom spektakli poczucie wolności twórczej, innym – złudne poczucie wolności politycznej. Urząd cenzorski tolerował taki proceder, bo i tak próba generalna była odbierana osobiście przez urzędnika w teatrze, a ten, często przy „wzmocnionej" herbatce „zwalniał spektakl", jak to wtedy mówił jeden z cenzorów: „bo z poezją się nie dyskutuje" i oddawał wcześniej złożony, ten obszerniejszy egzemplarz. Stąd różnica w liczbie stron dwóch scenariuszy. Każdy należał do dwóch innych, obok siebie istniejących wówczas, rzeczywistości.

Sięgam po egzemplarz Henryki. Wypatruję notatek, zapisów. Analizuję podziały tekstów, skreślenia, podkreślenia, widzę poprawki – korektę maszynopisu. Analizuję każde przeniesienie tekstu i próbuję wyobrazić sobie widowisko. Szukam wskazówek, uwag inscenizacyjnych – zaledwie kilka słów. A jaka obsada? Tropię ślady; znajduję na marginesie nazwisko i zapisany numer telefonu – czterocyfrowy – zapewne do jednego z recytatorów – później jeszcze jeden numer. Ostatnia nota zapisana ręką Henryki niemal zabrzmiała w uszach – dotyczy muzyki na żywo, granej w widowisku na fortepianie. Na odwrocie scenariusza skromny szkic. Scena; z prawej jej strony jakby podesty, kubiki, a z lewej narysowany trójkąt; to może być pochylnia, a może schody?

Wczytuję się w teksty. Zastanawiam się nad ich doborem i układem. Kordian na szczycie Mont Blanc ma tu zasadnicze znaczenie – czy na pewno? Zauważam, że w kilka miejscach powtarza się zapis: „Wyjdzie stu robotników" – tytuł, lecz wiersza nie ma. W innym miejscu, mniej więcej w połowie scenariusza, dostrzegam ręcznie dopisany dwuwiersz:

Bije godzina ranna
masy rzekły – Hosanna!

Jest. Dlaczego tak niewiele z wiersza zostało? Ten fragment jednak mocnymi pociągnięciami pióra został przekreślony, jakby potępiony – decyzja zapewne późniejsza. Intryguje mnie coraz bardziej brak tekstu. Czyżby doszło do ingerencji cenzury? Sięgam do urzędowego egzemplarza. Przeglądam ponumerowane strony w czerwonych pieczątkach. Tu jest – lecz w zupełnie innym, niż w egzemplarzu reżyserskim, miejscu. Dwie rzeczywistości?

Muszę spotkać się z Jerzym Dominem, zadać pytania – postanowiłem i dostrzegam między wersami „Beniowskiego", zapisane ręką Henryki, małe słowo, jedno małe słowo „wszyscy". To już końcówka widowiska. Scena zbiorowa, jak w greckim teatrze – wyobrażam sobie – na koniec tragedii chór śpiewa *exodos*. Przewodnik chóru woła: *„...Czujecie? ja wam piszę/ Z ciemnego duchów świata list przestrogi/ Ludy, bo wkrótce będziecie jak bogi..."* – a chór odpowie: *„Czujcie! bo tętno już waszego chodu – W uszach... wysokich ludzi grzmi wyraźnie"*. Tu zapewne nastąpił moment ciszy, bo teraz, jak „Prometeusz" z tragedii Ajschylosa, wychodzi na proscenium aktor – recytator, by „robić" ciszę: *„Wyjdzie stu robotników,/ Oborzą miasta grunt,/ Wyrzucą łokieć – funt./ Klatki pełne wróblików/ Otworzą – i przed tłuszczą/ Ptaszki na wolność puszczą.../ Muzyka nieustanna:/ Wolność! Wolność! – Hosanna."* A chór, być może, jak echo powtarza: *„Bije godzina ranna,/ Mary znikły: Hosanna!".* Scena o niezwykłej ekspresji. „Zaginiony" wiersz znalazł swoje miejsce w widowisku.

Scenariusz kończy fragment Pieśni III „Beniowskiego", a po nim już tylko „kilka akordów

– recytatorzy schodzą ze sceny". To ostatni zapis Henryki. Ostatnie słowa, wybrzmiewa muzyka... Składam powoli egzemplarze do tekturowej teczki. Druciany spinacz wraca na miejsce. Emocje pozostają.

*

„Spektakl miał charakter polityczny?" – zaczepnie pytam Jerzego Domina na spotkaniu rozpoczynającym próby „Słowackiego". „Niewątpliwie, była to robota przemyślana" – odparł.

*

„Godzina myśli". Montaż poezji i prozy Juliusza Słowackiego. Wieczór poezji Słowackiego. Układ, tekst i opracowanie literackie Henryka Rodkiewicz. Opracowanie muzyczne: Adam Chmielewski. Udział wzięli: Henryka Rodkiewicz, Janina Domin, Henryka Mołoń, Zofia Bohuszewicz, Tadeusz Mielniczuk, Adolf Domin, Jerzy Domin. Scenografia Alina Jakubowska. Premiera 30 sierpnia 1959 r.

„Słowacki". Spektakl poetycki przygotowany na 50-lecie Teatru Propozycji „Dialog". Opracowanie scenariusza i reżyseria Marek Kołowski, muzyka Maria Dąbrowska. Udział wzięli: Stefania Tomaszewska jako Matka Poety, Jerzy Domin jako Dojrzały Poeta, Wacław Dąbrowski jako Pierwszy Aktor i Komentator i Jerzy Litwin jako Drugi Aktor i Komentator. W spektaklu wystąpili gościnnie Kasia Jędrychowska w roli Laury i Dawid Kasprzyk w roli Kordiana – Młodego Poety; oboje ze Studia Poezji i Piosenki im. Haliny i Krzysztofa Ziembińskich, działającego przy Centrum Kultury 105 w Koszalinie pod kierunkiem Ewy Czapik-Kowalewskiej.



Cały zespół aktorski „Słowackiego", czyli spotkanie teatralnych generacji.
Od lewej: Wacław Dąbrowski, Dawid Kasprzyk, Katarzyna Jędrychowska, Stefania Tomaszewska, Jerzy Litwin i Jerzy Domin.

fot. Ilona Łukjaniuk

Premiera 6 października 2009 r. w Teatrze Propozycji „Dialog".

Program obchodów 50-lecia
Teatru Propozycji „Dialog"
realizowanych pod patronatem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
6-9 października 2009 roku.

6 października
„Wieczór Jubileuszowy"
część oficjalna
spektakl STP „Dialog". Premiera „Słowacki". Wieczór twórczości Juliusza Słowackiego, inspirowany autorskim scenariuszem „Godziny myśli" Henryki Rodkiewicz z 1959 roku.

7 października
François Villon, „Wielki testament" – reż. Maria Ulicka, wyk.: Krystyna Chudzikiewicz-Kuczewska, Jerzy Litwin, spektakl STP „Dialog".
„Brecht, Cave, Nohavica i reszta świata" – recital Elżbiety Okupskiej, aktorki Teatru Rozrywki w Chorzowie.

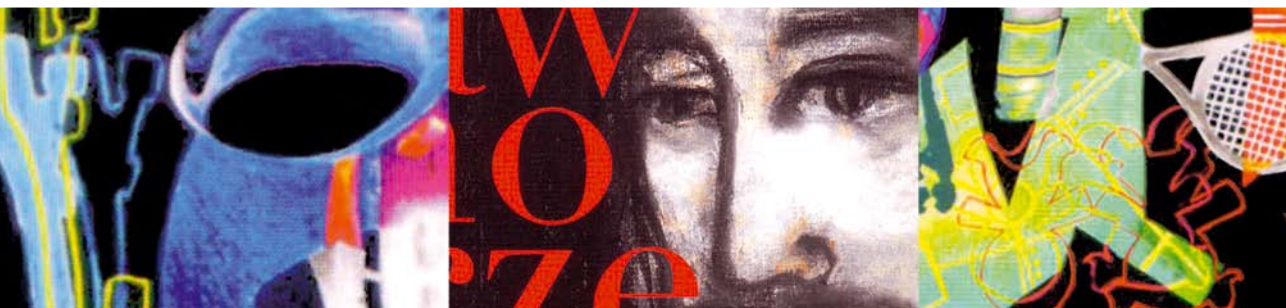
8 października
Wieniedikt Jerofiejew, „Moskwa-Pietuszki" – reż.: Stanisław Miedziewski, scenografia Zbigniew Maciej Cygler, wykonanie: Jerzy Bokiej, spektakl STP „Dialog".
Sławomir Mrożek, „Moniza Clavier"
reż. i wyk.: Edward Żentara.

9 października
„Złote ballady o miłości" – recital Pawła Orkisza.



Podczas wieczoru jubileuszowego nagrody odebrali Stefania Tomaszewska i Jerzy Domin – w „Dialogu" od 50 lat. Ustępujący z funkcji prezesa Bogdan Gutkowski otrzymał medal „Za zasługi dla Koszalina".

LITERATURA



Ryszard Hetnarowicz

Tryptyk z Samotni

czyli Przypisy do rzeczywistości

Wydawać się może, że rok 2009 był w życiu twórczym Andrzeja Turczyńskiego wyjątkowy. Trzy opublikowane książki muszą budzić szacunek. Wcześniej jednak zdarzały się lata, w których jego twórczość była równie okazale wydawniczo doceniana. A nie jest to proste w sytuacji autora piszącego – z wyboru – z dala od wielkomiejskich koterii i tak zwanego bywania wśród jej przedstawicieli. Jest też dodatkowa okoliczność skazująca takich twórców jak A. Turczyński na marginalizację, by nie powiedzieć życie w odosobnieniu. W rozbieganiu dnia, wiecznym zamęcie i natłoku informacji trudno jest funkcjonować człowiekowi, którego natura obdarzyła zdolnością pojmowania pełni tego świata. Tym trudniej, gdy dar ten pielęgnuje się i o niego dba. A jeszcze trudniej, gdy darowi temu towarzyszą wyobraźnia, inteligencja, wiedza, pokaźny bagaż doświadczeń i niezniszczalne pragnienie dociekania istoty rzeczy w każdym przejawie jej istnienia. Eksponując to bardzo łatwo narazić się na śmieszność, jeszcze łatwiej na szyderstwo i niezrozumienie. Nie mówiąc już o posądzeniu o wywyższanie się czy wymądrzanie. Co pozostaje, by tego uniknąć? Dystans do rzeczywistości, jej obserwacja, a jako towarzyszka – nieodrodna siostra mądrości – samotność. Choćby najpiękniejsza w swoim istnieniu i owocach, ale zawsze samotność.

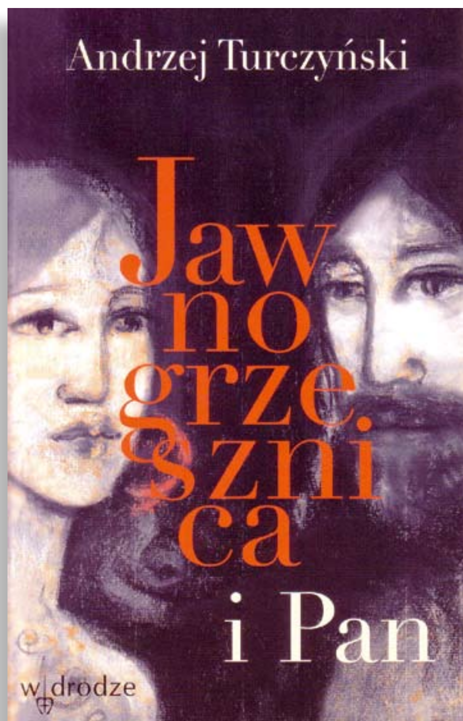
Cóż jednak po pięknie, gdy pod korcem stoi? Właśnie! Nawet eremici odczuwali potrzebę kontaktu ze światem. Potrzebę podzielenia się z nim przemyśleniami, odczuciami, doświadczeniami, swoim widzeniem zewnętrzności i odczytaniem jej istoty. Interesowała ich konfrontacja tego, co w nich nagromadzone z tym, co zgromadził pod ich nieobecność świat. Każde takie wyjście stawało się bolesnym zderzeniem z rzeczywistością! Szybko okazywało się, że ta zewnętrzność jest powierzchowna i próżna. Łapczywie pożera darowane im dobra, zachłystuje się nimi i... natychmiast zapomina! Nie tylko o ofiarodawcy! Również o jego darze, który w krótkim czasie powszednieje, trywializuje się, a w najlepszym wypadku ostaje w postaci kilku sloganów. I jest to kolej rzeczy, która dotknęła największych! Jedyną ich radością, przyprawioną jednak bolesną wiedzą o skazywaniu na podobieństwo losów, było postrzeganie rozkwitania pochwyconych i przekazanych myśli w tych, którzy zechcieli się nad nimi pochylić, zrozumieć i z wdzięcznością przyjąć. I samotności w różnych postaciach ten rok 2009 został przez Andrzeja Turczyńskiego poświęcony.

Milcząca samotność objawienia

„Jawnogrzesznica i Pan" jest opowiadaniem o szczególnym charakterze. Wydawca (Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów „W drodze") chciał w nim widzieć współczesny apokryf i – co trzeba przyznać – jego intencje były w tej mierze wyjątkowo usprawiedliwione. W pierwszej kolejności tematyką biblijną, dotykającą mało znanego epizodu ewangelicznego. Natomiast w drugiej – znajomością rynku czytelniczego. Ten rodzaj literatury stosunkowo łatwo trafia w zapotrzebowanie społeczne. W zanadrzu był jeszcze argument nie do przecenienia – przypowieściowy charakter tekstu i pełen

niedopowiedzeń, (również intelektualnych zagadek) sposób obrazowania rzeczywistości literackiej. Jeśli jednak głębiej przyjrzeć się strukturze tego opowiadania, ale przede wszystkim postaci głównej bohaterki, użycie określenia apokryf uznać trzeba będzie za zabieg jedynie promocyjny. A to z podstawowego powodu. Postać opisująca bieg wydarzeń, stanowiąca narracyjne alter ego, oś akcji i podstawowe źródło wiedzy o okolicznościach i reperkusjach zdarzenia była, co sama przyznaje, niepiśmienna. Żaden przekaz ani jej, ani jej współczesnych – a jej dotyczący – nie pretendował do miana pism odrzuconych przez Kościół jako „nienatchnione". Wręcz przeciwnie. Ewangelia Łukasza przywołuje zdarzenie w domu Szymona i dalej nie zajmuje się losami bohaterki skandalu, będącego ilustracją powiedzenia „komu mało się odpuszcza, mało miłuje". Przez wiele wieków – za sprawą papieża Grzegorza Wielkiego – jawnogrzesznicę kojarzono z Marią Magdaleną, a później z Marią z Betanii, mimo to, że nigdzie nie można znaleźć wzmianki o ich nierządnym prowadzeniu. Tak czy inaczej, postać jawnogrzesznicy nie została w żaden sposób pominięta w pismach tworzących biblijny kanon, chociaż różnie została zauważona przez pozostałych ewangelistów.

Inspiracją do powstania opowiadania było zdarzenie opisane przez Łukasza Ewangelistę. I tylko przez niego, chociaż pamiętać należy, że świadkiem tego nie był. Ale i to jego „nieświadczenie" znajduje swoiste continuum w tym opowiadaniu. Nabiera znaczenia wręcz kluczowego. Andrzej Turczyński czyni z niego osobowość dociekającą istoty gestu jawnogrzesznicy i reperkusji tegoż w jej życiu. Z niego! Autora relacji i jedynego, który wagę zdarzenia dostrzegł! Dostrzegł jego zewnętrzność i odniesienie Pana do niej. Istota pozostała dla niego tajemnicą. Nie stał się Mistrzem Niewidzialnej Strony. A przecież wszystko miało bardzo czytelny przebieg i trwało wyjątkowo krótko. Opis tego zdarzenia z życia Jezusa przytacza autor (jakżeby inaczej, za Ewangelią Łukasza) już w introdukcji. „Jeden z faryzeuszów zaprosił go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku i stanąwszy z tyłu u nóg jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała jego stopy i namaszczała je olejkiem". Oczywiście przypowieść nie byłaby przypowieścią, gdyby nie miała ciągu dalszego. Ten jednak obywa się już bez aktywnej postawy jawnogrzesznicy i pozornie nie jej dotyczy. Pozostaje jednak na scenie i to jej Pan odpuszcza „liczne grzechy", i do niej kieruje słowa: „Twoja wiara Cię ocaliła. Idź w pokoju!" To zdarzenie, te słowa będą miały już nieodwracalne konsekwencje.



Andrzej Turczyński, Jawnogrzesznica i Pan. Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów „W drodze", 2009

W opowiadaniu Turczyńskiego stara już kobieta wraca wspomnieniami do wydarzeń, które całkowicie zmieniły jej życie. Przywołuje w pamięci rozmowy z apostołami (przede wszystkim Andrzejem i Łukaszem), z Mariam, matką Joszui, postaciami o nieznanych imionach, odtwarza słowa i zdarzenia związane z innymi świadkami ziemskiej obecności Pana... Jej wewnętrzne dialogi rozbrzmiewają starotestamentowymi pieśniami, psalmami, listami apostolskimi, wersetami Tory i przypowieściami Talmudu... Wraca do Tej Chwili i poszukuje jej sensu, prawdy o niej. A „po drodze" zdziera z siebie coraz to inne maski przeszłości. Aż do obnażenia najboleśniejszej prawdy o sobie, a tym samym dokonania ostatecznego aktu oczyszczenia.

Przyjmując taką konstrukcje wydarzeń, łatwo można było wpaść w pułapkę analizy psychologicznej postaci kobiety rozliczającej się ze swoim życiem. W kolejne odkrywanie mroków ludzkiej duszy i stadiów otwierania się jej na światło dobra. Nie tego jednak należy doszukiwać się w autorskich intencjach, chociaż opowiadanie to czytane i pod takim kątem, dostarcza wiele nietuzinkowych refleksji. Przemiana, która się w Jawnogrzesznicy dokonała, postrzegana jest przez nią jako fakt. On nie podlega rozbieraniu na czynniki pierwsze. Czym innym natomiast jest odnajdowanie w sobie kolejnych pokładów wpływu tego mistycznego zdarzenia. One mają charakter widzialny, stają się namacalne, odczuwalne... To, co się objawiło jedynie poszerza obszary swego panowania, przebija się przez kolejne zasłony, by w końcu objawić się pełnią. Ale czy dla wszystkich zrozumiałą?

I być może nie mielibyśmy powodu do medytacji nad istotą tej prawdy, gdyby nie Ewangelia wg św. Łukasza. I jego postać w opowiadaniu. To on staje się swoistym katalizatorem „rozbierania" Jawnogrzesznicy. To on, autor opisu zdarzenia, wydaje się nie rozumieć! Istota przeżyć, przemian zachodzących na jego oczach... w nim samym domaga się wyjaśnienia! Samotność aktu objawienia, miłosierdzia nie jest jednak możliwa do pojęcia rozumem. Tym bardziej, że niemal wszystkie pytania Łukasza zbywane są przez tytułową bohaterkę milczeniem, uśmiechem lub zwróceniem uwagi na... sens pytania. Do Jawnogrzesznicy należą słowa, które pozwalają nam widzieć w opowiadaniu Turczyńskiego literacką ikonę. W rozmowie z reb Łukaszem mówi: „Słowa i opowieści z nich złożone [...] nie pochodzą z ciebie ani od ciebie, a tylko przez ciebie przepływają. Jesteś jak koryto rzeki utrzymujące bieg i porządek toczących się wód".

W tym cytacie odnajdujemy sens opowiadania o Jawnogrzesznicy. Jest ona centralną postacią ikony pisanej przez Turczyńskiego, ikony zaświadczającej o łasce objawienia miłosierdzia. Bo taki przecież był sens tworzenia wszystkich ikonopisów, jaki wykłada bohaterka opowiadania. I nie jest przypadkiem przywoływanie w nim postaci apostoła Andrzeja, jego mitycznych wędrówek po krajach słowiańskich, subtelnych odniesień do prawosławnych pism Jana Chryzostoma czy greckiej estetyki. Wszystko to pozwala na czytanie porządku ikony pisanej przez Andrzeja Turczyńskiego. Ikony, w której samotność doświadczonej łaski zyskuje wymiar uniwersalny, ale nie należy stosować do jej pojmowania narzędzi o rodowodzie racjonalnym. Stąd tak misternie, po mistrzowsku dobierane przez Andrzeja Turczyńskiego postaci, ich wywody, opisy scenerii zdarzeń i przytoczenia, by ikonie przydać wartości kontemplacyjnych. W efekcie nadać wymiar modlitwy o łaskę objawienia, miłosierdzia.

W pojmowaniu ikony nie ograniczajmy się wszakże do sensu jej bytu w prawosławiu. Tym bardziej, że powszechny odbiór tego zjawiska w kulturze europejskiej jest zbliżony do pojmowania pięknie, acz nieco prymitywnie, namalowanego przez mistrza „obrazka świętego". Ikona tworzona przez Turczyńskiego zyskuje wymiar dialogu prowadzonego w samotności przez człowieka. Któż jest jego interlokutorem? Ten, do Którego zwraca się z prośbami o trwanie, zrozumienie, litość, miłosierdzie... Jakże często nawet on sam! Poprzez koegzystencję religij-

nej myśli judaistycznej i chrześcijańskiej, błąkające się cienie platońskiej ułudy życia i arystotelesowskiej duszy Turczyński wiedzie czytelnika ku filozofii dialogu. Może przede wszystkim tego wewnętrznego, który otwiera przed człowiekiem pełnię fenomenu objawienia. Ikona Jawnogrzesznicy może pretendować do miana wcielenia myśli Franza Rosenzweiga, w której w filozoficzny sposób zawarł relacje pomiędzy Bogiem, człowiekiem i objawieniem w swej „Gwieździe Zbawienia". Nade wszystko jest jednak poruszającą opowieścią o poświadczaniu dobra swoim istnieniem. Istnieniem bezimiennym, obdarzonym jakże wymownym mianem – znajdującym szereg teologicznych odniesień – Jawnogrzesznicy.

Tęskna samotność zrozumienia

Eseje złożone przez Andrzeja Turczyńskiego w zbiór zatytułowany „Moskwa 'na Krwi'" (Biblioteka Telgte, Poznań) porównać można jedynie z jego wcześniejszymi, prestiżowo honorowanymi „Rzekami popiołu". Stanowią kolejny krok w próbach zrozumienie fenomenu rosyjskości i pogmatwanych relacji Polaków z ich wschodnim sąsiadem. Rozumienie nie jest jednak dane wszystkim. A w tej dziedzinie napotyka na niemałe trudności. Zasadniczą jest antyrosyjska fobia, budowana wiekami wzajemnych zależności i potwierdzająca biblijną prawdę o starciach najbardziej krwawych, bo braterskich. Prawdę o nienawiści najbardziej jadowitej, bo siostrzanej. Prawdę o wojnie najbardziej niszczycielskiej, bo domowej, podszytej spiskami i jątrzeniem.

Każda lista wzajemnych żalów i pretensji byłaby wyjątkowo długa. I nie znalazłaby zrozumienia żadnej ze stron. Bo też nie są to żale wzajemne, lecz... osobne! Wyzute całkowicie z pojmowania sytuacji i zwykłej wiedzy o wzajemnych właśnie uwarunkowaniach. Dyktowane stereotypami, politycznymi intencjami, budowane na populizmie i reakcjach mas! Nie jest żadnym odkryciem, że tłum stojący naprzeciwko innego tłumu na szarym końcu posłuży się rozumem i ludzkimi odruchami. Andrzej Turczyński dostrzega to w całej jaskrawości zjawiska i nie chce utożsamiać się z osobnością tych krzywd. I nie może! I zasadniczej roli w przyjęciu takiego stanowiska wcale nie odgrywają związki krwi autora tych esejów, chociaż nie są one bez znaczenia, lecz ponadprzeciętna zdolność dostrzegania, rozumienia i odczuwania innego człowieka. W całej jego krasie i brzydocie. Bez względu na narodowość, pochodzenie i pozycję społeczną. Świata Turczyńskiego nie zaludniają postaci czarno-białe. W nim nie ma podziału na dobrych i złych, pomiędzy którymi istnieje wyraźna cezura. Są ludzie i sytuacje, w które zostali wplątani. Są różnorodne konteksty i takież reakcje. Możliwe jest to dlatego, że to człowiek próbuje zrozumieć drugiego człowieka! W pełnym samotności geście pochylenia się nad nim i jego losem.

Już esej otwierający „Moskwę 'na Krwi'" musi skłaniać do refleksji. Postacią w nim wiodącą jest wprawdzie Andriej Rublow, ale prawdziwą bohaterką Stolica, bo tak powszechnie nazywano w Rusi głębokiej najważniejsze miasto Księstwa Moskiewskiego, a potem Carstwa Wszechrusi. Tutaj też znajdujemy najprostsze z możliwych wyjaśnienie tytułu tych esejów. „Moskwa płonęła tak często i do trzewi, że tytuł tej książki powinien raczej brzmieć Moskwa 'w Ogniu', Moskwa 'na Popiołach' lub Moskwa 'na Żarze'. Ogień nie darowywał nigdy Moskwie, więc paliła się często, jak chyba żadna ze stolic europejskich. Lecz chociaż ogień i krew mają podobne sensy i znaczenia symboliczne, to krew jest znakiem życia, którą, bywa, w najwyższej składa się ofierze, tedy i Moskwa jest dla tych, co za nią przelewali krew i dla ich następców właśnie świątynią wzniesioną na Krwi żywej i świętej". I krew ta, „żywa i święta", będzie obecna w tej książce aż do jej ostatniej karty. I chociaż nigdzie u Turczyńskiego nie pojawia się porównanie losów Stolicy, trwających w niej ludzi do Jerozolimy, to jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że tragizm dziejących się w tych miastach zdarzeń – we wszystkich uniesieniach

i podłościach – miał wyjątkowo męczeński charakter. Z całym szacunkiem w tym porównaniu dla różnic w skali i uniwersaliów.

Wraz z Andrzejem Turczyńskim przemierzamy ulice Moskwy, śledzimy powstawanie białokamiennego Kremla, obserwujemy wznoszenie kolejnych cerkwi, leżące u ich podwalin intencje fundatorów, podziwiamy architektoniczne piękno i stylistyczny eklektyzm specyficznej architektury, pochylamy się nad przemyślanym planem miasta... Ale nie jest to spacer z przewodnikiem po mieście pełnym zabytków. To pielgrzymka do umęczonego, krwawiącego wnętrza Moskwianina, które doświadczyło licznych plag i nieszczęść, zanim stało się cząstką tego skrawka Świętej Ziemi. Moskwianina skazywanego na pogardę i niezrozumienie nie tylko przez obcych – bo to łatwiej znieść – ale przede wszystkim przez swoich. Wędrując zakamarkami duszy Iwana Groźnego, krętymi ścieżkami udręki Lermontowa czy zagłębiając się w otchłań świata w ślad za ojcem Pawłem Florenskim nawet nie dostrzegamy, że przewodnik tej pielgrzymki wiedzie nas dobrze sobie znaną drogą! Znaną z nie zawsze uświadamianego sobie wówczas dramatu dzieciństwa, z bolesnego zderzenia krańcowych rzeczywistości i ideologii, z konieczności przełamania szalonej indoktrynacji i z zaplątania w Ruski Węzeł bogato krwią znaczony. Tylko niekiedy zaskakuje nas okruch wspomnień, mimo woli rzucone skojarzenie z przeszłości, powidok z dzieciństwa... Ale próżno byłoby szukać śladów osobistej martyrologii autora, jego udręki czy poczucia krzywdy. Pielgrzymujemy ku Zrozumieniu! I mimo poczucia wspólnoty z losami innych ludzi, pielgrzymkę tę każdy musi odbyć w samotności. I wbrew pozorom jej sensem nie będzie odkrywanie duszy Rosjanina. Istotą tych esejów jest odczytywanie rosyjskości w nas samych.



Andrzej Turczyński, Uzurpacje. Wydawnictwo Millennium 2009.

fot. Dorota Lesiak

Czytając „Moskwę 'na Krwi'" Andrzeja Turczyńskiego – ze szczególnym uwzględnieniem błyskotliwych uwag do „Sztuki bez tytułu" Czechowa czy analizy przemian, nie tylko twórczych, Andrieja Płatonowa – trudno jest się wyzwolić od analogii do współczesności. Bo też zrozumienie faktu istnienia w jednym zdarzeniu zwycięstwa i klęski, w jednym człowieku zbrodniarza i dobroczyńcy, kata i ofiary lub zdrajcy i strażnika idei staje się kamieniem węgielnym w stosunkach między Polakami i Rosjanami. A wydawać by się mogło, że to nic prostszego, bo jakże blisko od tego do tak dobrze nam znanych (i hołubionych) pojęć honorowej klęski, moralnego zwycięstwa, mniejszego zła czy – szczytowego osiągnięcia romantyzmu w dziedzinie strategii wojennej – wallenrodyzmu. Jest tylko jeden szkopuł, który sprowadzić można – po obu stronach – do wydźwięku bardzo chętnie powtarzanego porzekadła: co wolno wojewodzie...

Moskwa Turczyńskiego nie ma jednorodnego oblicza. W zależności od rodzaju cierpienia i kultywowanych wartości przybiera twarz Remizowa, Puszkina, Iwana Groźnego lub Czechowa, a niekiedy i Stalina. W zależności od czasu i miejsca jej postrzegania jawi się jako obiekt przetargów, władczej zachłanności, miejsce

kaźni, zdarzeń niezwykłych, dobrowolnego lub przymusowego więzienia, trwania mimo bólu i wiecznego odradzania. Nie są też jej obcy humor, autoironia i prześmiewczość, za którą to zmiennością nastrojów mistrzowsko podąża język i styl autora. Nie można jednak nie dostrzec w niej swoistej osobności, której największą wartością jest zrodzone z jej krwi piękno. Zarówno to poświadczane życiem wybitnych osobowości – a przecież tylko one stanowią rozpoznawalne znaki w pejzażu człowieczym – jak i tworzonymi przez nich dziełami.

Jest jednak jeszcze coś, co nie umyka autorowi tych esejów. Moskwa to nie tylko obszar na mapie obwiedziony granicami miasta. To stan świadomości, by nie rzec mistyczny stan duszy tych, którzy ze Stolicą złączyli swe losy. I bez względu na to, czy dane im było znosić Sołowki, czy służbę na dalekim Krymie, pozostawali Moskwianami. W sposobie rozumienia rzeczywistości, podejścia do drugiego człowieka czy pojmowaniu zmienności losów. Tę tajemnicę istnienia Moskwy można w esejach A. Turczyńskiego odnaleźć, ale trzeba pochylić się nad nimi w samotności, gwarantującej poznanie i dającej nadzieję na zrozumienie innego w nas.

Barwna samotność wyobraźni

Ta książka przyciąga wzrok w księgarskich witrynach. Na okładce duże, wyraźne litery znaczące autora i tytuł. Andrzej Turczyński „Uzurpacje. Eseje paraboliczne" (Millennium, Koszalin). Nadto podobizna głowy Afrodyty dłuta Praksytelesa. Już to sugeruje, że będziesz miał, drogi czytelniku, do czynienia z mitami, starożytnością i antykiem tchnącymi – jak wiedza i tradycja każą wnioskować – pięknem, mądrością, ponadczasowością... Z namaszczeniem otwierasz więc tę pokaźnych rozmiarów księgę i jakoś wyraźniej dostrzegasz podtytuł: Eseje paraboliczne. Aha! Więc będą i przypowieści wysnute z tropów pozostawionych przez praojców kultury europejskiej. Następna przewrócona karta również zmusza do zastanowienia. Autor dedykuje tę książkę Halszce... A więc takie imię nosi autorska Afrodyta, a to grecki powidok nie tylko piękna, ale – co by nie mówić – kobiecości! Bogini Śmierci-w-Życiu! Jak na początek tych spostrzeżeń sporo, ale nie masz już wyjścia. Musisz je odnotować i dać się ponieść nurtom tej wzbierającej rzeki myśli. I nie możesz liczyć na ożywcze tylko strumienie! Przyjdzie ci, czytelniku, i pod prąd płynąć, a niekiedy ze zdziwieniem odkryjesz, że dałeś się porwać prądowi fałszywemu. Ciepły on i przyjazny, nośny niewypowiedzianie ale tak naprawdę to tylko złudzenie płynięcia. Uśmiechnij się wtedy, pokłoń mistrzostwu, które stworzyło tę piękną ułudę i wróć do nurtu prawdziwego. Z energią pobudzoną wyobraźnią.

W szarzyźnie codzienności pragniemy odrobiny baśni. Uciekamy w nią w chwilach zmęczenia tempem życia i niewiary w pomyślny ciąg dalszy. Na swój sposób tej baśni potrzebują także mądrość, wiedza i nauka. Znużone roztrząsaniem spraw istotnych – bardziej lub mniej, ale zawsze brzemiennych w konsekwencje – pogrążone w samotności dociekań nagle tworzą utopię, która pozwala im odkryć... marność dotychczasowych dokonań i konieczność zmierzania do celów wręcz nieosiągalnych. Andrzej Turczyński doskonale to zrozumiał. Jego „Uzurpacje" są esejami przepełnionymi erudycją i reinterpretacjami wątków mitologicznych. Poruszają tematy zdawałoby się odlegle od otaczającej nas rzeczywistości, ale w swej wymowie... kuszące aktualnymi odniesieniami. Zresztą uprawnia do nich autor, który co i rusz każe nam odwoływać się do naszych błahych, codziennych doświadczeń. By kilka wierszy dalej zaprosić na salony myśli, w których przychodzi nam prowadzić dialog z arystokracją słowa. I tak trwa ta zabawa wywiedziona z samotniczej wędrówki ostępami mądrości. Byśmy nie mieli złudzeń co do prawdziwości serwowanych nam szczodrze intelektualnych dań, autor z przekornym uśmiechem stwierdza, że zmyślanie jest formą rozrywki, która ubarwia... poszukiwanie prawdy. Jednocześnie podkreśla, że jego teksty nie pretendują do miana traktatów filozofic-

nych i nie ma co doszukiwać się w nich żadnych ambicji, chociażby metafizycznych! Traktować je należy na równi z liryką, która rządzi się prawami innymi niż nauka.

A wszystko toczy się na płaszczyźnie, którą zwyczajowo przywykło się traktować jak... wiarygodne zmyślenie podparte tradycją i wiarą. Mitologie, jakkolwiek by je rozpatrywać, zawsze tworzyły byty samoistne, które im bardziej krytykowane i wyśmiewane, tym więcej znajdowały zwolenników i tym większą cieszyły się popularnością. A i wykorzystywane były przez naukowe autorytety. By nie być gołosłownym, przytoczę choćby antropologiczne poszukiwania istoty archetypu czy psychologiczne penetracje ludzkiego wnętrza umysłem mistrza Freuda (wraz z późniejszymi uczniami) czynione. Andrzej Turczyński z premedytacją wykorzystuje tę materię, wzmaga panujący w niej chaos i na tyle w nim mąci intelektualnym kaduceuszem, że podświadomie doszukujemy się w nim ukrytego porządku. Skłonni jesteśmy uwierzyć nawet w to, że tylko autorowi dane było ten porządek dostrzec, a to co dla nas jest tajemne, wynika jedynie z naszego braku przenikliwości, niewiedzy i zbyt ciasnych horyzontów. W zapamiętaniu tropienia ukrytego porządku zapominamy o tytule, który przecież jednoznacznie kieruje nas w stronę uzurpowania sobie przez autora prawa do głoszenia ułudy, blagi i perfidnego posługiwania się kłamstwem! Na dodatek ujętym w formę najbardziej pokrętną i zwodniczą, bo w esej.

Nie wszystko jest tutaj utopią, blagą i zmyśleniem. Bo ta tylko towarzyszy, ubarwia wszystko, co jest twórczą rzeczywistością autora. Czytając te eseje odnosi się wrażenie, że powstały one również z potrzeby wypełnienia miejsc pustych treściami dla nich koniecznymi, a nie wiedzieć z jakiego powodu pogubionymi. W trakcie borykania się z materią słowa, zamykania w nią sensów i znaczeń wynikających z przemyśleń, doświadczeń i odczuć, zawsze pojawia się Brak. Ten wielki Niewidoczny w każdym dziele, który odbiera autorowi pełnię satysfakcji z aktu tworzenia! Niedostatek źródeł, próżne poszukiwania wiedzy, nieodczytane powidoki, niezidentyfikowane postacie... Brak szczególnie dokucza twórcy dążącemu do precyzji słowa, formy, obrazu, myśli... Wtedy to przychodzi czas na Panią Wszechdzielną, Wyobraźnię! Chociaż nie każdemu dane jest z nią bliskie obcowanie i jej rozumienie, potraktowana z szacunkiem potrafi odwdzięczyć się książkami nienapisanymi, traktatami i dyskursami, które istnieć powinny i tylko przez lenistwo umysłów twórczych nie ujrzały ich oczy egzegetów! Andrzej Turczyński naprawia te błędy! I w swej prawdziwości uczonej blagi jest aż do bólu uczciwy. Każdej prawdzie zmyślonej towarzyszy mrugnięcie okiem. Że nie dla wszystkich zauważalnym, nie jest to winą autora. Wymaga on od swojego czytelnika podążania ścieżkami swoich myśli z precyzją podobną tej, z jaką zostały wytyczone. A jeżeli skupienie i samotnia intelektualnych zagadek jest mu obca, zawsze pozostaje urok manowców, ostępów i bezkresów wyobraźni własnej. W końcu błądzenie jest rzeczą ludzką! A Turczyński szelmowsko dodaje: nie tylko autorską!

Czemu to wszystko ma służyć? Czy tylko pysznej intelektualnej zabawie? Na pewno nie! Nie mogłoby to być dzieło Andrzeja Turczyńskiego! „Uzurpacje" to barwny pejzaż samotnych dociekań istoty spraw najważniejszych, bo dręczących człowieka od jego początków. Takimi są nasze atawistyczne lęki przed ogromem Kosmosu, zamieszkałego przez siły nie do okiełznania, a na dodatek boleśnie ingerujące w nasze życie. Bóstwa i ich personifikacje zadomowione obok nas, domagające się szacunku i zrozumienia dla swoich licznych fanaberii i przemian. Mieniące się nieśmiertelnymi i konstytuującymi wszystko, ale nieustannie podlegające prawom Natury, włącznie z tym najważniejszym – prawem odradzania! I temu poświęcona jest najważniejsza część „Uzurpacji" – „Przemiany nieśmiertelnych". W niej odnajdujemy istotę prawdziwego uzurpowania sobie prawa do rozumienia najistotniejszych tropów mitologicznych jakie pojawiły się w kulturze europejskiej. Turczyński

dokonuje reinterpretacji mitów z tym – jak zdaje się to podkreślać obszernością i wnikliwością oglądu – najważniejszym, bo prowokującym niezliczone odniesienia alegoryczne (symboliczne) do późniejszych zjawisk kulturowych. Chodzi o Minotaura i sensy jawiące się wraz z labiryntem, „człowiekiem w masce byka", nicią, Ariadną, postacią Tezeusza, kapłankami z Knossos... Chyba niewiele się pomylę, jeżeli stwierdzę, że autor w tym to micie dostrzega kondensację niemal wszystkich wątków pozostawionych przez Greków jako spadek kulturowy swoim następcom. Znakomicie z nim korelują, dopełniając jednocześnie ten swoisty katalog tropów fundamentalnych, analizy mitów o Tantalu z jego ciągłym dopełnianiem swej istności i Afrodyty, której przemiany w obrębie samej kultury antycznej zasługują na coś więcej niż czynienie z niej ideału piękna i miłości. „Przemiany nieśmiertelnych" Andrzeja Turczyńskiego stają się niezmierzonym pokładem optyk, pozwalających spoglądać na nasze dziedzictwo kulturowe z niezwykłą świeżością i... aktualnością. Już ta część „Uzurpacji" mogła stanowić samoistną książkę, która stałaby się nadzwyczaj istotna dla współczesnej kultury, ale w złożeniu z poprzedzającą ją i po niej następującą pozwoliła na konfrontację niemal wszystkich pierwiastków wiedzy i wyobraźni w nas samych. Dającą nam wiedzę jak najbardziej prawdziwą i rzetelną, ale też odwołującą się do naszych możliwości poznania.

Bo zjawiskiem nade wszystko tajemniczym jesteśmy jednak my sami, nasza obecność wśród innych, nasza istność w sobie i dla siebie, nasze początki i życie „po", nasze możliwości poznawcze, ograniczenia... Wieki kwerend ksiąg i pism, niezmierzone pokłady kolejnych odkryć, doświadczeń i przemyśleń ani na jotę nie zbliżyły nas do prawdy o nas samych. Wciąż stanowimy dla siebie zagadkę. Wciąż, w wyniku naszych starań, otrzymujemy obraz w takim samym stopniu prawdziwy, jak i fałszywy. I na nic zdaje się penetrowanie sferycznych kręgów piekła, czyśćca i nieba, donikąd prowadzi cała mądrość wkładana w rozwikłanie zawęźlonych w ludzkiej istocie trzech czasów (ta trójdzielna sferyczność znalazła odbicie w konstrukcji książki), niczym kończy się wnikanie w największą z tajemnic – istotę kobiecości, fenomenu Śmierci-w-Życiu! A przecież dotarcie do jądra tej tajemnicy tak kusi, mami doznaniami nieznanymi, że trudno się temu oprzeć. I Turczyński, świadom nicości swoich starań, odkrywa wciąż nowe pierwiastki tego bytu tajemnego. Odkrywa je w prapoczątkach i teraźniejszości. Wieszczy niezniszczalny byt przyszłości... Pojąć to wszystko może najwierniejsza z czytelniczek, najbardziej wnikliwa! Ta, której książka została zadedykowana i ta, która była jej pierwszą czytelniczką, bo redaktorką – Halszka. Ale czy nawet ona zdoła przybliżyć autora do Tajemnicy? Tę rolę Turczyński powierzył innej istocie o kobiecym charakterze – Wyobraźni. Zmiennej i kapryśnej, a na dodatek tym bogatszej, im większą wiedzą, mądrością może dysponować. I z nią prowadzi autor nieustający dialog, którego tylko etapem są „Uzurpacje".

Jakie będą następne etapy? Czy będą? Co przyniesie rok 2010? Z zapowiedzi wiadomo, ale treści pozostają tajemne. Bo w twórczości Andrzeja Turczyńskiego, a i w nim samym, nawet banalne zdarzenie zmusza do uważnego przyjrzenia się mu i samotnego rozpoznania jego miejsca w sobie. Dopiero efekt tej egzegezy połączonej z współodczuwaniem pozwoli nam na włączenie się do tego nigdy niekończącego się dialogu.

Nowe książki księdza Henryka

Duszpasterz koszalińskich środowisk twórczych przyzwyczaił już nas do corocznej obecności w „Almanachu", a to za sprawą systematycznie – rok w rok – wydawanych kolejnych tytułów książkowych. Także podsumowując rok 2009 nie sposób pominąć nowych edycji, sytuujących się zarówno po stronie literatury pięknej – jak poetycki tomik „Siostra" jaki i literatury religijnej. Nowe tytuły potwierdzają wierność ks. Henryka jego umiłowanym bohaterom i upowszechnianym przez nich ideom.

O wydanej w 2009 r., kolejnej książce ks. Henryka Romanika, poświęconej świętemu Pawłowi, czytamy we wstępie: „To już trzecia część jubileuszowej trylogii *Rok św. Pawła*. Pierwsza poświęcona była nauce Apostoła, druga skupiała się na duchowym wymiarze podróży misyjnych i życiowych dróg Jubilata z Tarsu. W obecnej chcemy zająć się modlitewnym skarbcem w Dziejach Apostolskich i Listach. Wydaje się bowiem, że taki jest cel samego Nauczyciela: odnowa życia w Chrystusie i zaproszenie do wspólnoty wolnych ludzi w Kościele, bez granic etnicznych i kulturowych. (...) Ufamy, że przedstawienie środowiska dojrzewania talentu modlitwy Szawła – Pawła i przybliżenie tematyki tekstów modlitewnych w Listach pomoże w pochyleniu się nad wybranymi fragmentami, które będą stanowiły jakby zręby duchowego sanktuarium, w którym wzywany jest Ojciec, Syn i Duch Święty. Propozycja zgłębienia wybranych fragmentów Psałterza dla czytelników Pisma Świętego ma być pomocą w duchowej mobilizacji do osobistego i wspólnotowego zmagania się z wyżynami i głębinami Objawienia. Wreszcie poetyckie próby szukania odpowiedzi na pytania o najserdeczniejsze tajemnice Apostoła (?) niechaj nie łudzą, że już wiemy, ale raczej podpowiadają, iż potrzeba stawiać trudne pytania."

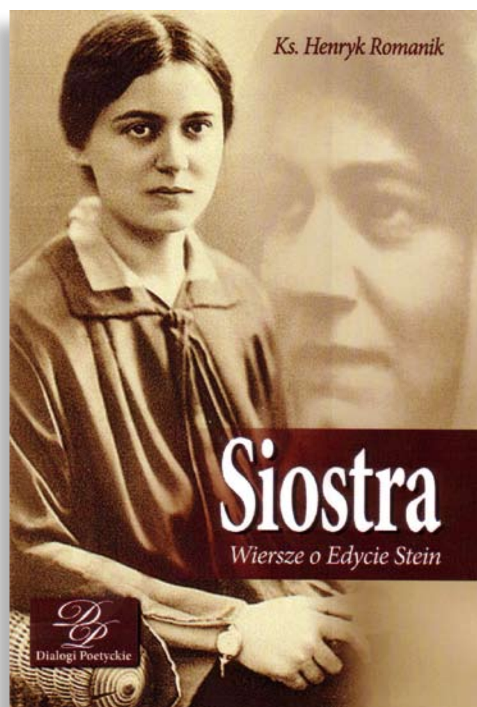
Czy będzie nadużyciem w kolejnej książce upatrywać kontynuację intelektualnego (i literackiego) podążania szlakiem myśli Papieża Polaka, po „Modlitewniku za Wstawiennictwem Jana Pawła II"? „Proces beatyfikacyjny naszego wielkiego Papieża zbliża się do szczęśliwego finału. Kolejna rocznica śmierci skłania do refleksji, że nadszedł czas, kiedy wszyscy powinniśmy rozpocząć przygotowania do tego wielkiego wydarzenia. Taki cel przyświecał twórcom i autorom tej zupełnie wyjątkowej publikacji. Przygotowana ona została w pięknej oprawie graficznej w formie rekolekcji do prywatnego rozważania, a uzupełniona historią procesu beatyfikacyjnego i propozycją duchowej pielgrzymki do grobu Jana Pawła II. Wzruszającym i cennym dodatkiem do książki jest płyta, na której słyszymy Ojca Świętego w jego bardzo ważnych wypowiedziach skierowanych do Polaków. Jest wśród nich homilia wygłoszona w Kaliszu w 1997 roku, którą szczególnie zaleca się wiernym do refleksji w obecnym roku duszpasterskim, przebiegającym pod hasłem „Otoczmy troską życie." – czytamy na stronie internetowej krakowskiego wydawcy.

Nikt, kto zna księdza Henryka, a nade wszystko jego twórczość literacką, nie zdziwi się, że kapłan znajduje szybką odpowiedź na pytanie o... kobietę jego życia. Niezmiennie odpowiada, że jest to Edyta Stein. Jej też, Świętej Teresie Benedykcie od Krzyża, kolejny raz poświęcił tomik poetycki, zatytułowany *Siostra*.

„Ks. Henryk Romanik, wyświęcony 26 maja 1985 roku poeta, duszpasterz koszalińskich środowisk twórczych, biblista, erudyta, wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Koszalinie i Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od trzydziestu lat Edyta Stein jest towarzyszką życia ks. Henryka Romanika. Żydówka, nawrócona na chrześ-

cijaństwo ateistka, feministka i filozof. A także wyniesiona na ołtarze karmelitanka – męczennica, patronka Europy – Edyta Stein, św. Teresa Benedykta od Krzyża" – takim tekstem słupski Ośrodek Teatralny „Rondo" zapraszał na spotkanie promujące nowy tomik wierszy ks. Henryka Romanika. To drugie jego literackie spotkanie z Edytą Stein, której wcześniej poświęcił książkę „Przewodniczka po Europie" (pisaliśmy o niej w „Almanachu 2007" – dop. red.).

Poniżej publikujemy fragmenty tekstów poświęconych tomikowi *Siostra*. Oto, co mówi o niej sam autor: „Losy tej kobiety stały się w naszym pokoleniu fascynującym przykładem ludzkiego poszukiwania i bycia poszukiwanym. Zanim „panna doktor" wyszeptała pewnego świtu: *To jest prawda*, przeszła długą drogę zaglądania za zasłony zjawisk tego świata. Kiedy jako siostra karmelitanka za kratą wagonu w drodze do Auschwitz recytowała ostatnie psalmy swego życia, wiedziała już o cenie swojego wyboru...



Dzisiaj próbujemy razem z nią rachować ziarna prawdy o sobie, o naszym wieku, o bycie nieskończonym i wiecznym, dodajemy też tajemniczy znak: a Cruce. Powoli zbliżamy się do jedności, do Jedynego".

Odwaga bycia poetą i kapłanem to egzystencjalny wybór, ale jednocześnie wyzwanie stawiane człowiekowi przez Boga. Sprostanie temu wyzwaniu częściowo tylko zależy od samego poety. Tworzy on bowiem na miarę swych poetyckich umiejętności, ale też na miarę Światła „z góry".

Henryk Romanik – poeta i kapłan z wyboru, prowadzony jest także przez swą Świętą Siostrę i Boga. Stąd jego poezja nie jest li tylko sprawą poetyki słowa, bo ważniejsze od tego, co słowo nazywa jest to, co sprawia. Wiersze Henryka Romanika przywołują Słowo, które wciela się w rzeczywistość; które jest odsłonięciem rzeczywistości poza „grą językową", bowiem Słowo, które jest świadectwem, wyłączone zostaje z puli retorycznych środków i zobowiązuje zarówno poetę, jak i czytelników do odwagi bycia świętymi – jedynej prawdziwie realnej ludzkiej egzystencji. Dlatego też przywołajmy „słowo wstawiennicze" z Litanii o św. Teresie Benedykcie od Krzyża Henryka Romanika, umacniające jego i nas w tej odwadze, abyśmy nie lękali się wierzyć:

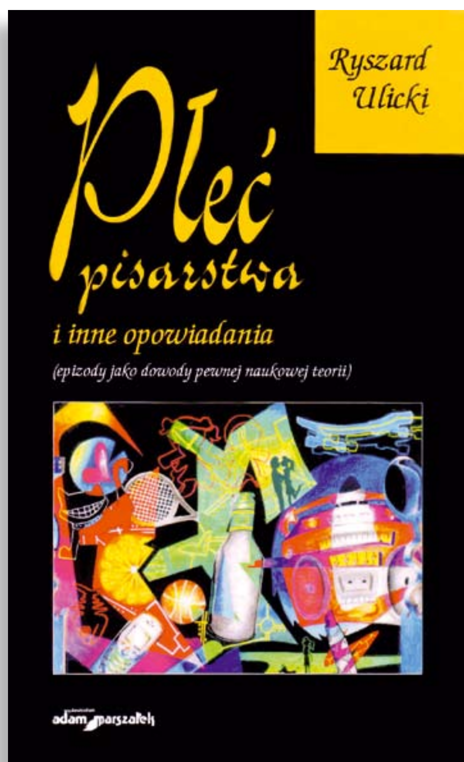
Skało płonąca od uderzeń
Urodzona na dzień pojednania
Judejko niemieckiego Śląska
Beniaminko wrocławska
Dziecko cywilizacji Europy...
Tropicielko zagubionej wiary...
Obserwatorko stwórczego Słowa
Prochu na śladach Golgoty...
Módl się za nami

Anna Grzegorczyk
www.floscarmeli.poznan.pl

Krzysztof Gąsiorowski

Czy my też...?

Takie opowiadania to ja, na swój prywatny użytek uczenie nazywam – prozą implozyjną. Na powierzchni fabuły nic szczególnego, nic ważnego, nic wzniosłego niby się nie dzieje. Nic nie wzburza. Nie dziwi. Takie ploty. A jednak raz po raz ta manifestacyjna codzienność zapada się, imploduje i z diabolicznym chichotem odsłania się przed nami... kondycja ludzka. Odsłania i uwiarygodnia dopiero wtedy, gdy potwierdzą ją losy meneli, drobnych naciągaczy, nieudaczników...; ludzi bez powinności. Pielgrzymujemy w dół, twierdził Novalis. To nie jest już owa „polska sytuacja literatury", o której pisał Żeromski. Banalność ludzkich dramatów. Rzeczywiście, coś tu ze Szwejka, wielki pisarz, ale nie bohater; coś z Gogola, też wielki pisarz, ale ruski. Ten „Człowiek podobny do wszystkich" to nie tylko tytuł anegdoty, to definicja antropologiczna. Ci biedni ludzie uprzytamniają nam, kim, czym naprawdę jesteśmy, a przynajmniej możemy być.



Pomińmy tę czy też tą Tamarę (wszystkie Tamary budzą respekt). I tę, tą, starą pijaczkę z Nowego Światu, wciąż tam pracuje. I narratora, który z jakichś powodów nie umie odmawiać (na co liczę). Najważniejszy jest tu ów człowieczek z przystanku. To od jego nijakości wieje zgrozą. Nawet w łagodniejszej wersji zdarzeń: jakiś facet klepie cię po plecach i woła: – Cześć, Tadku; jakaś panienka rzuca się na szyję... Oto XXI wiek. Oto społeczeństwo masowe. Te tłumy tak podobnych do siebie ludzi pędzących gdzieś ulicami, co drugi szamoce się w sieci komórkowej. Aby to zobaczyć, nie trzeba już lecieć do Wietnamu. To nasze tu i teraz. Czy my – ja i ty, czytelniku, mój bliźni, mój bracie – też niczym się tu nie wyróżniamy? Ryszard Ulicki próbuje nas ostrzec. W niektórych dziedzinach chciałbym być do niego podobny. (tekst zamieszczony na okładce książki)

Ryszard Ulicki, Płeć pisarstwa i inne opowiadania (epizody jako dowody pewnej naukowej teorii), Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009

SZTUKA I ARCHITEKTURA



Ryszard Ziarkiewicz

Zdzisława Pacholskiego heroiczne tu i teraz

„Artysta jest naznaczony heroizmem i nie ma powrotu"

18 czerwca 2009 roku Zdzisław Pacholski otworzył w Galerii Scena wystawę pod zagadkowym tytułem „Heroizm widzenia". W galerii zawisło kilkanaście fotografii czarno-białych w formacie 100 x 70 cm, na których dominowały czarne i białe puzzle układające się, przy spojrzeniu z większej odległości, w rozpoznawalne fragmenty rzeczywistości. Na rondzie Solidarności zawisł w tym samym czasie czarno-biały bilbord pod hasłem *Nikt mi nie wmówi, że czarne nie jest czarne, białe nie jest białe.*

Zarówno fotogramy w galerii jak i bilbord zostały wykonane znaną i stosowaną wcześniej przez różnych artystów techniką konstruowania obrazu rzeczywistości poprzez piksele. Jak wiadomo, obraz fotograficzny zbudowany jest z pikseli, które po powiększeniu zamieniają się w abstrakcyjną, geometryczną strukturę. Czy jest ona nadal obrazem rzeczywistości? Odpowiedź na to pytanie jest ważna, bo prokuruje odpowiedź na pytanie, czym jest obraz rzeczywistości? I czy jest on obiektywny i prawdziwy? A jeśli tak, to kiedy, w jakich warunkach? Artysta poprzez zastosowanie techniki powiększenia fotografii i pokazania jej „prawdziwych" elementów i „prawdziwego" obrazu pokazuje dwuznaczność języka sztuki i niejednoznaczność postawy „bycia artystą". To ostanie znaczy nic innego, jak „bycie kreatorem" nowej rzeczywistości.

Na kreatorach spoczywa jednak odpowiedzialność. Heroizm ich postawy polega na konsekwencji postępowania i wykluczeniu odwrotu. Czy to szczęście, że w naszym wypadku chodzi tylko o heroizm widzenia? Niekoniecznie. Pacholski przypisuje heroizm autentycznej postawie artysty. Artysta jest więc naznaczony heroizmem i nie ma powrotu. Idzie przed siebie pokonując opory rzeczywistości, odsłaniając jej tajemnice, ukazując jej zaskakującą, często nieprzyjazną strukturę. Artysta jest uwikłany w rzeczywistość, jest na nią skazany. Heroizm znaczy w tej sytuacji podjęcie wyzwania i zmaganie się z rzeczywistością nie tylko z okazji otwarcia wystawy.

Sztuka wkracza w sferę polityki, która jest bliska Pacholskiemu. Wystawa w Scenie była w rezultacie ingerencją, akcją artystyczną w politykę. Piksele, które pozornie nie układają się w znajome obrazy, są zakamuflowanymi pospolitymi obrazami rzeczywistości, symbolem jej dwuznacznej gry. Wykorzystując abstrakcyjną technikę fotografii artysta opowiada o niemożności dialogu pomiędzy podmiotem i światem zewnętrznym. Więcej, sugeruje, że wszystko może być grą, że nie ma podstaw, na których można się oprzeć zwłaszcza dziś, w pierwszej dekadzie XXI wieku, w Koszalinie.

O fotografii i wystawie w Scenie Pacholski pisze: >W latach 80. w Polsce nurt „fotografii socjologicznej" był rezultatem presji ówczesnej rzeczywistości na fotografów. Sztuka, w tym i fotografia, podejmowały wówczas autentyczny dyskurs z rzeczywistością. Epoka lat 70. i 80. miała jeszcze jedną zadziwiająca cechę – alu-



Wystawa „Heroizm widzenia" w koszalińskiej Galerii „Scena". Maj 2009 r. fot. Zdzisław Pacholski

zyjność. Aluzyjne było wszystko, zwłaszcza politycznie, i wbrew pozorom, artystom z tego powodu nie było łatwiej. Dziś żyjemy w nowej, innej rzeczywistości, więc można dostrzec zarówno różnice jak i zmiany. Z mojej perspektywy dostrzegam dwie: w Polsce zanika dyskurs sztuki z potoczną rzeczywistością, a przestrzeń społeczna na nowo staje się aluzyjna. Kończy się pierwsza dekada XXI i można odnieść wrażenie, że sztuce trudno znaleźć miejsce dla siebie w przestrzeni zaanektowanej przez biznes i politykę. Chcę własną twórczością wrócić „do przeszłości" i skorzystać z obydwu nadarzających się okazji. Tak mogę uzasadnić pojawienie się bilbordu „Nikt mi nie wmówi, że czarne nie jest czarne, białe nie jest białe", który towarzyszy mojej wystawie „Heroizm widzenia" w Galerii SCENA w Koszalinie<.

Znaczy to ni mniej ni więcej, że sztuka nowoczesna, której Pacholski jest aktywnym uczestnikiem, jest jednym z nielicznych narzędzi oporu wobec nieprzejrzystości rzeczywistości, a heroiczne piksele są jej przewrotnym oczyszczeniem.

Pacholski nie jest obojętny, więc każda jego wystawa jest próbą wywołania dyskursu. Jest wezwaniem do dialogu przekraczającego wąską sferę sztuki nowoczesnej. Zresztą artysta posługuje się w sztuce nie tylko językiem sztuki.

10 grudnia 2009 r. Pacholski otworzył w Mielnie wystawę „Tutaj – Here – Hiere". Jej organizatorem była Mieleńska Lokalna Organizacja Turystyczna. Pokaz w Mielnie, nie dość że daleko od „centrum", wykracza poza ramy tradycyjnej wystawy. Zbudowana ona została na kanwie barwnych fotografii wykonanych przez artystę w okolicach Koszalina. Fotografie mają charakter przyrodniczo-krajoznawczy. W większości przedstawiają pomorskie pejzaże, z charakterystyczną północną florą, architekturą i światłem. To, co nietypowe, to połączenie każdej fotografii z tekstowym komentarzem, o który artysta poprosił cztery osoby związane dalej lub bliżej z Koszalinem i Pomorzem Środkowym. Są to: Lesli Baruch Brent z Anglii, Ute Hoschele z Austrii, Martin Rehkopp z Niemiec i ks. Henryk Romanik z Koszalina.

Mielno, choć nie ma bezpośrednich związków z autorami komentarzy, jest miejscem wyjątkowym poprzez bliskość emocjonalną. Ta cecha wydaje się być najważniejszym elementem spajającym projekt „Tutaj-Here-Hiere". Historia tych ziem, często bolesne wspomnienia, w Mielnie nie dzielą, lecz łączą. Przynajmniej w projekcie Pacholskiego. Wszystkie podziały mentalne i kulturowe znikają. Jest wzruszające piękno TUTAJ. Miejsce otwarte dla każde-

go. Pacholski przekracza barierę językową i kulturową na rzecz budowania nowej tożsamości, tożsamości „ponad podziałami". To ważna inicjatywa w regionie, który z mozołem buduje własną tożsamość powojenną, tym ważniejsza, że wyprzedza oficjalne deklaracje pojednania i oficjalne inicjatywy polityczne. Z tych powodów wystawa mieleńska ma inne znaczenie niż tylko artystyczne i formalne. Sztuka jest tu na drugim planie, a na pierwszym dyskurs mentalny, którego celem jest pojednanie w duchu zrozumienia i tolerancji. To spokojna perswazja, wskazywanie palcem krajobrazu, który jest najlepszym tłem pojednania. Wystawa Pacholskiego jest głosem politycznym oczywiście, ale bez politycznego nadęcia. Przemawiają do nas po cichu i w skupieniu osoby niemal prywatne. Czytamy wspomnienia, ale znajdujemy uznanie i zachwyt dla dnia dzisiejszego.

Ten głos w trzech językach – polskim, angielskim i niemieckim – jest głosem obywatela w sprawie wagi globalnej. Pacholskiemu udało się skromnymi zasobami formalnymi osiągnąć *porozumienie*. Przekroczył w tym znaczeniu sztukę.



Wystawa „Tutaj – Here – Hiere" w Centrum Kultury i Spotkań Europejskich w Białogardzie. Marzec 2010 r.

fot. Zdzisław Pacholski

Anna Mosiewicz

Leon Wyczółkowski w Muzeum w Koszalinie

Malarz, rysownik i grafik, którego studia nad sztuką przypadły na czas monachijskiego realizmu i nurtu historycznego, a działalność twórcza na epokę zdominowaną przez dwa wielkie nurty sztuki europejskiej – impresjonizm i modernizm (*młodą Polskę*), ostatnie kilkanaście lat swego życia spędził w ciszy i spokoju w Gościeradzu pod Bydgoszczą. Gdy zmarł w 1936 roku, jego żona, spełniając ostatnią wolę malarza, przekazała na rzecz tego miasta kolekcję różnorodnych prac i osobiste pamiątki po Leonie Wyczółkowskim. Taki był początek muzeum, poświęconego twórcy, którego wieloletnia aktywność artystyczna, przejawiająca się w wielu technikach i różnorodnej tematyce, ciągle jednak niedoceniana, stawia go w rzędzie najlepszych polskich malarzy, nie tylko Młodej Polski. Ten największy zbiór twórczości artysty jest od tego czasu pieczołowicie opracowywany i popularyzowany.

Muzeum Okręgowe w Bydgoszczy przygotowało i zrealizowało ekspozycję prac swego patrona, Leona Wyczółkowskiego, którą można było zobaczyć w salach wystawowych Muzeum w Koszalinie w czerwcu 2009 roku. Wystawa ukazuje wszechstronność dawnego mistrza – malarstwo olejne, akwarelowe, pastelowe, wykonywane technikami mieszanymi, rysunki ołówkiem i piórkiem oraz grafiki, wśród których dominuje bardzo bliska malarstwu litografia. Ale też Wyczółkowski był wszechstronnie wykształconym artystą, – studiował w Szkole Rysunkowej Gersona, malarstwa uczył się w Akademii Monachijskiej, a także u Jana Matejki w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie. Przyjaźnił się z Józefem Pankiewiczem i Władysławem Podkowińskim, dzięki którym – a także dzięki dwukrotnym pobytom w Paryżu – zainteresował się impresjonizmem, malując przez pewien czas w charakterystyczny dla tego nurtu sposób. W malarstwie Leona Wyczółkowskiego znaleźć można elementy symboliczne, nurt historyczny, impresjonizm, realizm. Artysta wykorzystywał wiele różnorodnych technik i coraz to nowe nurty w sztuce. Był piewcą piękna gór, a przede wszystkim Tatr – pozostawił kilkadziesiąt pejzaży, malowanych w różnych technikach, głównie ulubionymi pastelami.

Ważny okres w życiu artysty zamyka się w latach 1895-1929, które Wyczółkowski spędził w Krakowie, gdzie był profesorem na Wydziale Malarstwa tamtejszej Szkoły Sztuk Pięknych. Dzięki niemu oraz bliskiemu impresjonizmowi Janowi Stanisławskiemu stała się centrum nowej sztuki polskiej.

Zafascynowany zabytkową architekturą i pięknem starego Krakowa artysta tworzył w wielu różnorodnych technikach, często mieszanych (tusz, tempera, akwarela) widoki zaułków, pomników, ołtarzy, kościołów i zamku królewskiego, których dokładność i wierność szczegółom ułatwiała konserwatorom ich renowację lub też wykonywanie replik poszczególnych elementów.

Wielką pasją tego malarza była przyroda – stąd też liczne obrazy kwiatów, malowane także w wielu technikach – oleju, akwareli, pastelach i tuszu, oraz – najbardziej chyba znane – rogalińskie dęby, uwieczniane nie tylko w grafikach. Za cykl dębów francuskie stowarzyszenie arty-

stów przyznało Leonowi Wyczółkowskiemu najwyższe w tej dziedzinie odznaczenie, co – zważywszy na środowisko – trzeba uznać za najwyższy hołd złożony naszemu rodakowi przez zagranicznych kolegów.

W twórczości tego artysty wielką rolę odegrał prawie dziesięcioletni pobyt na Ukrainie, gdzie powstały ciekawe, impresjonistyczne sceny rodzajowe z życia i pracy chłopów. Malował je nie tylko w technice olejnej, ale także pastelami, kredką i akwarelami. Chociaż w pierwszym etapie swej twórczości Wyczółkowski malował ciemne, historyczne kompozycje, w latach dziewięćdziesiątych stał się jednym z propagatorów nowego nurtu, stwarzając – właśnie tam, na Ukrainie – wiele przesyconych światłem obrazów, stosując w nich nowe, formalne zdobycze impresjonistów. W kwietniu 1893 roku w krakowskim Salonie Krywulta artysta pokazał kilka swych impresjonistycznych obrazów.

Wyczółkowski był także znakomitym portrecistą; przez pewien czas miał nawet znaną firmę portretową. Uwiecznił wiele postaci warszawskiej i krakowskiej bohemy, nadając każdemu portretowi swoisty charakter i oddając „ducha" każdej postaci. Stworzył konterfekty wielu znanych ludzi sztuki – Konstantego Laszczki, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego. Wyczółkowski często malował siebie i nie wynikało to wcale z próżności, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie jest mężczyzną o typie adonisa – interesował go upływ czasu i ślady, jakie zostawia na ludzkim obliczu. Na jednym z najbardziej znanych autoportretów, który powstał w 1925 roku, nieomal siedemdziesięcioletni, łysy starzec siedzi zadumany na tle wzburzonego morza...

Chociaż był świetnym malarzem, uczniem Wojciecha Gersona i Jana Matejki, pod wpływem Feliksa Jasieńskiego i jego zbiorów japońskich grafik zainteresował się tą szlachetną tech-



fot. Ilona Łukjaniuk

niką. Tworzył akwatinty, eksperymentował we fluorofortach i algrafii, w miękkim werniksie, najbardziej odpowiadała mu jednak litografia, którą przez lata doskonalił i uszlachetniał. Stworzył dziewięćdziesiąt tek graficznych o różnorodnej tematyce, w których zgromadził litografie poświęcone pejzażom i widokom różnych zakątków kraju – Tatr, Krakowa, Gdańska, Warszawy. Interesowała go głównie architektura, przyroda i portret. Był malarzem – więc grafiki były kolorowe, lub też odbijane na kolorowych papierach. Kamienie litograficzne niszczył po wykonaniu trzydziestu odbitek, eksperymentował z rylcami, wprowadzał do grafik kredę, piórko, tusze i akwarele. W jego rękach technika litograficzna osiągnęła wyżyny – nikt po nim, ani przed nim nie zgłębił tylu jej sekretów.

Kilka lat przed śmiercią, w roku 1930, Leon Wyczółkowski namalował obraz, który trudno porównać do wszystkich innych, jakie wyszły spod ręki tego wszechstronnego artysty. Jest to „Niebo gwieździste", stworzone w technice tempery na kartonie. Granatowe niebo, przecięte ukośnie bladoróżowymi mgławicami, rozjaśniają smugi spadających gwiazd – czyżby to było „memento mori" liczącego wówczas prawie osiemdziesiąt lat artysty?

Na niezmiernie interesującej ekspozycji można było zobaczyć nie tylko znakomite obrazy, rysunki i grafiki Leona Wyczółkowskiego, ale także zachowane w muzeum jego imienia archiwalne fotografie oraz narzędzia malarskie i grawerskie. Środowiska artystyczne Koszalina – dzieci i młodzież z ogniska i zespołu szkół artystycznych oraz studenci wzornictwa mieli okazję do spotkania z prawdziwie wielkim, chociaż nieco zapomnianym artystą.



fot. Ilona Łukjaniuk

Anna Mosiewicz

Niezwykły świat

Wystawa rysunków i plakatów Stasysa Eidrigevičiusa w Muzeum w Koszalinie

Minęły już trzy dekady od chwili, gdy na warszawskim dworcu wysiadł z pociągu relacji Wilno – Warszawa młody człowiek z litewskim paszportem i głową pełną artystycznej wizji otaczającego go świata. Te świetne pomysły, jakie przez następne trzydzieści lat będzie przenosił na papier, nazwane przez niego *„poetyckim komentarzem szarego dnia”,* staną się z czasem desygnatem, znakiem rozpoznawczym Stasysa Eidrigevičiusa. Litwina, urodzonego na litewskiej wsi, absolwenta Szkoły Rzemiosł Artystycznych w Kownie i Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie, który osiadł na stałe w Polsce i jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków.

Z okazji jubileuszu sześćdziesięciolecia swych urodzin właśnie tu, w koszalińskim muzeum Stasys zainaugurował cykl ekspozycji swych plakatów i rysunków, które – mając charakter wybitnie satyryczny – ukazują świat brudnej polityki, zakłamania, fałszu, dewocji, obłudy i cwaniactwa, lecz w bardzo charakterystycznym dla artysty klimacie życzliwego zrozumienia. Te rysunki, nazwane przez autora poetyckim komentarzem tego, co nas otacza i jest zwykłe, codzienne, są zarówno w treści jak i w formie wyjątkową kwintesencją rzeczywistości. Przy pomocy oszczędnych środków wyrazu pokazują to, czego nie widać na pierwszy rzut oka, a co widzi taki obserwator jak Stasys. Rysowane oszczędną, cienką kreską, tworzącą karykaturalne postacie, odsłaniają je przed naszymi zdziwionymi oczami jak walczą ze złym losem, z innymi ludźmi, a także ze sobą. Takie przesłanie daje nam artysta wówczas, gdy na rysunku mały człowieczek z trudem toczy koślawą taczkę z własnym, wielkim jęzorem (*Plotka),* a także i wtedy, gdy lekarz stomatolog wybiera dla siebie całą żuchwę do wymiany spośród kilku, leżących przed nim na stole.

Pierwsze rysunki Stasysa, które tworzył po przybyciu do Polski, a w których komentował naszą rzeczywistość z tamtego okresu – kolejki po mięso, brudne środowisko, trudy niepotrzebnej pracy, mitręgę biurokracji – zaczęły ukazywać się cyklicznie w „Literaturze”. Stałe „okienko” zaproponowała artyście redakcja „Polityki”, w której – dość regularnie – ukazywały się tak dla niego charakterystyczne, pełne satyry, ironii i inteligentnej złośliwości rysunkowe komentarze. A było wówczas (teraz zresztą też!) co krytykować, od siermiężności codziennego życia i nie tylko naszych narodowych przywar począwszy, na impotencji i indolencji władz skończywszy. A casus Stasysa był przecież szczególny – przyjechał z jednej z republik radzieckich, w której codzienne życie wcale nie było lepsze...

Stwarzałem swój teatr piórem na papierze – napisał artysta w krótkim tekście, zamieszczonym w zaproszeniu na koszalińską wystawę, którą zatytułowano „Stasys i polityka”. Na zaproszeniu umieszczono fotograficzny portret Stasysa, którego głowę zdobi cierniowa korona. Jej ciernie to różnokolorowe kredki – czy może być lepsze, krótsze i bardziej wymowne „kredo” takiego artysty?

Charakterystyczna uroda Stasysa Eidrigevičiusa stała się pierwowzorem jego samotne-

go bohatera, którego prosty nos i okrągłe oczy są świadomym nawiązaniem do manekina lub marionetki, a rekwizyty, którymi walczy z przeciwnościami losu – łopata, drabina, łyżka, kij, walizka i komin – wskazują na status i miejsce w społeczeństwie, niekoniecznie na samym jego szczycie.

Sztuka tworzenia plakatu, artystycznego nośnika informacji i elementu społecznej komunikacji, zastępowanego przez wszechobecne billboardy, składające się z fotografii i liternictwa z komputera, zajmuje w twórczości Stasysa ważne miejsce. Artysta identyfikuje się ze swymi plakatami i zawartym w nich światem w sobie tylko właściwy sposób – bo czy ten zagubiony, smutny, zdziwiony człowieczek z okrągłymi, guziczkowatymi oczami i długim nosem nie jest lustrzanym odbiciem, czy też wręcz wizerunkiem autora? Reklamując festiwal sztuki lalkarskiej jest bajkowym Pinokiem w czerwonej czapeczce, a gdy zapowiada spektakl teatralny „Mewa", w połowie jego twarzy pojawia się ptasi dziób i okrągłe oko, tworząc jak gdyby półmaskę. Na jednym z plakatów o tematyce społecznej zatytułowanym *Miej własną politykę* ten typowy dla Stasysa człowieczek, uniwersalny manekin, wali małym młoteczkiem w swoją głowę, która także jest młotem. Nie tylko gra słów i znaczeń, lecz także skrót myślowy, dowcip i krytyka głupoty. Wszystko w jednym plakacie...

W twórczości tego artysty zwierzęta odgrywają wielką rolę – noszą z wielką dumą i godnością nasze grzechy, trapią je ludzkie przywary, często są wobec nich bezradne. Ulubionym plakatem Stasysa jest ten z kotem, który ma na głowie maskę składającą się z dwóch ptaków o kontrastowych kolorach. Jest on – być może –



fot. Ilona Łukjaniuk

finezyjną aluzją do częstych zmian barw partyjnych, lub też symptomem obawy przed światem i chowania się pod postacią innego gatunku. Plakat ten był i jest dodrukowywany nielegalnie i nieustannie powielany, na co artysta – jak sam stwierdził – już nie reaguje, traktując to jako wyraz uznania dla plakatu i czerpiąc stąd swego rodzaju satysfakcję.

...*Emblematem Stasysa E. jest ludzka głowa wyglądająca jak błazeńska maska karnawałowa. Maska pokrywa całą twarz i sprawia wrażenie ulepionej z papier-maché... Ma tę tajemniczą twarz zakryć i dosłownie zamaskować* – tak o twórczości Stasysa Eidrigevičiusa pisał w jednym z katalogów Tadeusz Nyczek. W tym przypadku kamuflaż przybrał formę piętrową – człowiek pod postacią kota schował się za maską ptaków...

Na innym plakacie, reklamującym dni kultury w Kołobrzegu, kotara teatralna, rozsuwana i zawieszona na kółkach jest – dzięki fantazji artysty – wielkim białym łabędziem, nawiązującym do historycznego, wielkiego herbu tego miasta a także do świętego ptaka Apollina, patrona morskich podróży, tak ważnych onegdaj dla tego hanzeatyckiego miasta.

Plakaty i rysunki polityczne Eidrigevičiusa złożyły się na interesującą ekspozycję, którą w czerwcu 2009 roku otwarto w Muzeum w Koszalinie. Obecność podczas wernisażu tego znakomitego artysty, który z Litwy przybył do Polski i który stał się sławny w wielu, nie tylko europejskich krajach, była okazją do poznania drobnego wycinka prac tej fascynującej osobowości. Wenecja, Paryż, Japonia, Izrael, Maroko, Meksyk, Szwecja, Stany Zjednoczone i Grecja – wszędzie tam gościły wystawy Stasysa Eidrigevičiusa. Dobrze się stało, że dzięki inicjatywie Muzeum w Koszalinie mogliśmy poznać twórczość tego znakomitego rysownika i grafika.



Stasys Eidrigevičius. fot. Ilona Łukjaniuk

Marzena Sutryk

Pomysły na Koszalin

To ludzie i przestrzeń są ważni, a nie samochody

O konkursach architektonicznych, planach na zagospodarowanie przestrzeni miejskiej i kierunkach rozwoju z Iwoną Stepanow, dyrektorem Wydziału Architektury i Urbanistyki w Urzędzie Miejskim w Koszalinie rozmawia Marzena Sutryk.

Marzena Sutryk: Niedawno w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej została zorganizowana debata poświęcona rozwiązaniom komunikacyjnym w śródmieściu. Co można powiedzieć o ogólnych założeniach, nad którymi pracujecie?

Iwona Stepanow: W chwili obecnej czekamy na wyniki zleconej analizy uwarunkowań komunikacyjnych w śródmieściu Koszalina, które będą podstawą do podjęcia decyzji w sprawie zmiany organizacji ruchu w centrum miasta, w kontekście zagospodarowania Rynku Staromiejskiego oraz pobliskich ulic. Zakładamy, że w pierwszym etapie nastąpi ograniczenie ruchu na ul. Młyńskiej na wysokości Rynku Staromiejskiego, natomiast drugi etap obejmie ul. Zwycięstwa. Przewidujemy wprowadzenie utrudnień i ograniczeń, które w pewnym sensie mają zniechęcić ludzi do przejeżdżania ulicą Zwycięstwa. Można to rozwiązać w różny sposób, np. poprzez eliminację ruchu na jednym pasie i przygotowanie na nim miejsc postojowych, bądź namalowanie linii na jezdniach, czy postawienie donic z zielenią, by wydzielić w ten sposób większe przestrzenie dla ruchu pieszego. Zamierzenia te nie wymagają dużych nakładów inwestycyjnych. Spróbujemy i zobaczymy, na ile to się sprawdzi. Celem tych działań jest uspokojenie ruchu, a jednocześnie ożywienie serca miasta. I to na tyle, by mieszkańcy chcieli tu przebywać, spacerować.

M.S.: Czy nie ma ryzyka, że, wbrew założeniom, te rozwiązania spowodują paraliż komunikacyjny?

I.S.: Tak jak już powiedziałam zostanie to poddane ocenie fachowców. Naszymi działaniami chcemy m.in. sprowokować kierowców, by korzystali z jazdy pierścieniem drogowym, m.in. ulicą Stawisińskiego, by nie wjeżdżali, jeżeli nie muszą, do centrum. Odżegnujemy się natomiast od całkowitego zamknięcia ruchu na ul. Zwycięstwa, bo to faktycznie wywołałoby paraliż drogowy.

M.S.: A plan ograniczenia ruchu, czy nawet zamknięcia części ul. Młyńskiej?

I.S.: Chcemy zacząć od tego, by ograniczyć ruch i zwiększyć jednocześnie przestrzeń dla pieszych. Ale nie chcę dziś przesądzać, czy na tym odcinku odbywałby się ruch w jednym, czy w dwóch kierunkach. Takie ograniczenia spotyka się w większych miastach. Tak naprawdę to nic nowego. Z czasem zobaczymy, czy takie ograniczenie na Młyńskiej nie zostałoby przesunięte aż do ul. Zawiszy Czarnego. Powtarzam: zależy nam na tym, żeby wprowadzić życie do śródmieścia, wykreować dodatkowe przestrzenie publiczne. To spowoduje, że automatycznie partery w okolicznych kamienicach zostaną wykorzystane np. na usługi gastronomiczne. Gdy coś się będzie działo, to przyciągnie to do centrum mieszkańców. Soren Jylling, który mieszkał w Danii, a obecnie mieszka w Koszalinie,

podczas prezentacji w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej dowodził, że w duńskim mieście Horsenes, które jest podobnej wielkości, co Koszalin, to się sprawdziło. Soren przekonywał nas, że tam, dzięki niskokosztowym zabiegom w pierwszym etapie, śródmieście naprawdę ożyło.

M.S.: Czy opracowanie Sorena Jyllinga będzie dla miejskich architektów punktem odniesienia przy pracy nad rozwiązaniami komunikacyjnymi w koszalińskim śródmieściu?

I.S.: Ono pozwoli nam skorzystać z pewnych rozwiązań. Mam na myśli np. ustawianie donic, organizowanie ogródków. Trzeba mieć jednak świadomość, że nie uda się tego wprowadzić w krótkim czasie. To potrwa.

M.S.: Jak chcecie zatrzymać ludzi w Śródmieściu?

I.S.: Przede wszystkim na kanwie konkursu architektonicznego na zagospodarowanie Rynku Staromiejskiego, chcemy zrealizować obiekt wielofunkcyjny, który miałby stanąć przed ratuszem. To byłaby rewelacyjna sprawa. Oferta z nim związana jest różnorodna, głównie skierowana do młodych, bo to oni przede wszystkim pojawiają się na placu. Będziemy szli w kierunku tej koncepcji, bo ona jest warta uwagi. Nie chodzi o to, by stanął tam obiekt o dużej kubaturze. To ma być niewielka architektura, o lekkiej konstrukcji. Z tym obiektem zejdziemy w dół, pod ziemię. Część naziemna obiektu będzie w formie pawilonu. Jego zewnętrzny taras będzie stanowić na czas organizowanych na Rynku imprez zadaszoną estradę. Wewnątrz obiektu, na parterze projektant przewidział informację turystyczną oraz czytelnię multimedialną. Na kolejnej kondygnacji, poniżej poziomu terenu, zlokalizowana będzie m.in. gastronomia, może Empik. Na samym dole jest planowana przestrzeń wielofunkcyjna; na codzień stanowić to będzie przestrzeń rekreacyjno-gastronomiczną ze stolikami i siedziskami, którą w razie potrzeby będzie można przekształcić w salę ekspozycyjną czy kameralną salę koncertową. Dodatkowo z góry będzie można obserwować to, co się tam będzie działo. Z kolei na placu pojawią się ogródki, ławki, siedziska, fontanna. Rynek powoli przekształci się w ciekawe, chętnie odwiedzane miejsce. Plac, na większości swej powierzchni, zostanie wolny od zabudowy, by można go było wykorzystać na imprezy masowe. W podziemiach Rynku Staromiejskiego przewidziano lokalizację dwupoziomowego parkingu. Ludzie, którzy zostawią auta w podziemiach, będą mogli spędzić przyjemnie czas na placu albo w przewidzianym w projekcie obiekcie wielofunkcyjnym. Dodam, że wjazd na parking był wstępnie planowany od strony ul. Asnyka. Obecnie jest jednak rozważany wjazd od strony ul. Młyńskiej.

M.S.: Ta inwestycja to niemałe wyzwanie dla miasta.

I.S.: Tak. Ważne jest teraz, abyśmy znaleźli chętnego inwestora, który wziąłby na siebie realizację naszych planów. Dodam, że w pracę nad zmianą wizerunku Rynku Staromiejskiego i okolic bardzo zaangażowało się dwóch młodych architektów Łukasz Adamczyk, pracownik Wydziału Architektury i Urbanistyki Urzędu Miejskiego oraz Gall Podlaszewski, pracownik Politechniki Koszalińskiej. Planujemy, przy współudziale kolegów urbanistów, mieszkańców Koszalina, urzędników UM i przedsiębiorców zorganizować w Koszalinie warsztaty urbanistyczne – tzw. gry uliczne. To sposób na otwarcie się na propozycje mieszkańców i spytanie ich o to, jak widzą rozwiązania komunikacyjne dla centrum, co chcieliby zrobić na tych wolnych przestrzeniach, które planujemy pozyskać. Podobne gry były prowadzone w Poznaniu, także w Warszawie na Targówku. To świetny pomysł, by włączyć mieszkańców do realizacji naszych planów.

M.S.: Czy można mówić o wizji, o pomyśle na centrum Koszalina?

I.S.: Jak najbardziej. Zdecydowanie trzeba tak zadziałać, aby przestrzenie publiczne stały się przyjazne dla pieszych. W centrum musi się coś dziać, np. malowanie na asfalcie, mogą pojawić się jakieś figurki, jak krasnoludki we Wrocławiu – u nas mogą to być koszalińskie żaby, które pamiętamy z okresu walki o 17. województwo.

W naszym centrum musi się coś sympatycznego zacząć dziać, bo dziś nie ma tu niczego, co przyciągnęłoby mieszkańców. Przy tym zamierzamy skorzystać z funduszy unijnych na zagospodarowanie pobliskiego parku. To też będzie magnes dla ludzi. Bo to ludzie i przestrzeń są ważni, a nie samochody.

M.S.: Jest też kolejny pomysł. Chodzi o projekt Przystanek Koszalin. Za nami kolejny konkurs architektoniczny. Co dalej?

I.S.: Realizacja tego projektu da ciekawe i funkcjonalne rozwiązanie zintegrowanych dworców PKP i PKS oraz właściwe ich skomunikowanie ze śródmieściem. W projektowaniu będziemy się opierać na wytycznych pokonkursowych oraz na pracy, która została najwyżej oceniona. Bo przypominam, że nie było nagrody pierwszego stopnia w tym konkursie, na który wpłynęło ponad 30 prac. Nie było jednak takiej, która spełniłaby wszystkie oczekiwania władz miasta i sądu konkursowego. Jednocześnie prace dały bardzo wartościowy materiał analityczny i możliwość spojrzenia, jak to powinno funkcjonować. One uzmysłowiły nam problemy, z jakimi musimy się zderzyć w planowaniu przestrzeni w tym rejonie.

M.S.: Jak więc powinna wyglądać przestrzeń w tym kwartale miasta?

I.S.: Dworce powinny być połączone z ulicą Dworcową na tym samym poziomie, bez potrzeby korzystania z przejścia podziemnego. To połączenie może być bezkolizyjne lub kolizyjne, np. w grę wchodzi organizacja przejścia przez ulicę z wykorzystaniem sygnalizacji świetlnej. W konkursie pojawił się też pomysł, by zbudować most nad ulicą Armii Krajowej. Autorzy najwyżej ocenionej pracy zaproponowali, by na terenie dworca PKS stanął obiekt usługowo-handlowo-biurowy z parkingiem podziemnym, natomiast przed dworcami zaprojektowali ogólnodostępną przestrzeń publiczną. Konieczne jest też usprawnienie ruchu w rejonie skrzyżowania przy zbiegu ulic Zwycięstwa i Szczecińskiej.

M.S.: Na jakim etapie są prace nad tym projektem?



Dyrektor Wydziału Architektury Iwona Stepanow ostrzega: – Mieszkańcy muszą jednak wykazać dużo cierpliwości, by doczekać realizacji naszych zamierzeń... fot. Ilona Łukjaniuk

I.S.: To był konkurs studialny, który pokazał nam rozwiązanie problemu i przede wszystkim potrzebę zintegrowania dworców PKP i PKS w jednym miejscu, na jednym poziomie. Pracujemy teraz nad tym materiałem. Musimy opracować wytyczne, a następnie strategię dla zagospodarowania tego terenu. Temat jest jednak trudny z uwagi na złożoną strukturę własnościową. Konieczne jest też wypracowanie sposobu finansowania przedsięwzięcia. Są podpisane porozumienia o współpracy z PKP, PKS i Pocztą Polską. Szukamy możliwości realizacji. Szansą są tutaj fundusze unijne. Trudno jednak cokolwiek powiedzieć o konkretnych terminach realizacji.

M.S.: A co z planami zagospodarowania dzielnicy zwanej potocznie Trójkątem Bermudzkim? Kilka lat temu pojawiła się koncepcja stopniowego wyburzania starych budyn-

ków i zabudowania wolnych miejsc nowoczesnymi obiektami.

I.S.: W Wydziale Nieruchomości powstaje koncepcja zagospodarowania kwartału między ulicami Krakusa i Wandy oraz Barlickiego, która będzie podstawą do przygotowania warunków zabudowy dla terenów będących własnością miasta i przewidzianych do sprzedaży. W ten sposób stopniowo będzie się dokonywała rewitalizacja tego obszaru. Do tego dochodzi sprawa zagospodarowania rejonu ulicy Połtawskiej. Wystąpiliśmy do właścicieli obiektów usługowo-handlowych, by przedstawili swoje potrzeby programowe, które zostaną ujęte przy opracowaniu koncepcji zagospodarowania tego ważnego dla wizerunku miasta terenu. Nie chcemy puszczać tego na żywioł, dlatego niezbędne jest opracowanie koncepcji architektoniczno-urbanistycznej. Wg mnie najlepszą formą uzyskania najlepszych projektów jest konkurs.

M.S.: Jednocześnie miasto chce się rozwijać w stronę Jamna, w kierunku morza.

I.S.: Tak. To też jest dla nas bardzo ważny kierunek. Trwa opracowanie studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego. Przewidujemy zagospodarowanie terenów wzdłuż jeziora. Ma tam powstać bulwar, ogólnodostępna przestrzeń usługowo-rekreacyjna. Jedna z firm chce tam zbudować marinę z hotelem i zespołem domków letnich. Pragniemy przyciągnąć ludzi z Mielna i Unieścia do nas. Powstanie mariny, przystani, będzie niewątpliwą atrakcją. Pamiętajmy też o planach budowy aquaparku – z tego przecież nie rezygnujemy. Inwestycja doskonale wpisuje się w zagospodarowanie rejonu u stóp Góry Chełmskiej. W sąsiedztwie powstaje też hala widowisko-sportowa. Fragment Góry Chełmskiej ma być ponadto atrakcyjnie zagospodarowany. I choć z zewnątrz może to sprawiać wrażenie chaosu, to mamy konkretną wizję rozwoju miasta. Wszystko spina studium, w oparciu o które robimy plany zagospodarowania. Mieszkańcy muszą jednak wykazać dużo cierpliwości, by doczekać realizacji naszych zamierzeń. To plany na wiele lat.



Wizualizacja Rynku Staromiejskiego autorstwa Jakuba Pszenicznego.

Jadwiga Koprowska

Debata

Czy w Koszalinie jest miejsce dla sztuki współczesnej?

W jakim mieście chcemy żyć za 10, za 20 lat?

Kiedy kolegium redakcyjne almanachu „Kultura Koszalińska" podejmowało decyzję o zorganizowaniu społecznej dyskusji wokół miejsca dla sztuki współczesnej w naszym mieście nie sądzono, że, po pierwsze: tak mało osób tu właśnie tworzących sztukę zechce wziąć udział w debacie, a po drugie: jej data zbiegnie się z usunięciem Ryszarda Ziarkiewicza ze stanowiska szefa Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie.

Oba fakty zaciążyły, niestety, na jakości i temperaturze debaty. Bo jak tu merytorycznie dyskutować i postulować do władz, kiedy liczne skądinąd środowisko koszalińskich artystów-plastyków reprezentowane było przez kilka ledwie osób, a środowisko akademickie Politechniki Koszalińskiej z jej Instytutem Wzornictwa kompletnie zlekceważyło zaproszenie? Cieniem na debacie położył się również konflikt personalny w koszalińskim muzeum, bo to właśnie w tej placówce i z inicjatywy Ryszarda Ziarkiewicza, podczas konferencji wieńczącej wydanie opracowania „Awangarda w plenerze. Osieki i Łazy 1963-1981" pierwszy raz głośno i publicznie zadano pytanie: czy Koszalin wykorzystał szansę, jaką stworzył miastu Marian Bogusz, darując w 1963 roku część kolekcji grupy Krzywe Koło? Przed prawie pół wiekiem nie było klimatu do tworzenia muzeum w całości poświęconego sztuce współczesnej, ale i następne dekady nie przyniosły konstruktywnych rozwiązań; zbiorom M. Bogusza i „kolekcji osieckiej" przypadło deprecjonujące sztukę miejsce w piwnicach koszalińskiego muzeum, zlikwidowano Biuro Wystaw Artystycznych, a po transformacji ustrojowej walka Walentyny Orłowskiej – ówczesnego kierownika Działu Sztuki Współczesnej – o docenienie osieckich zbiorów poplenerowych przypominała zmagania Syzyfa.

Pojawienie się w Muzeum w Koszalinie Ryszarda Ziarkiewicza zaowocowało powstaniem wspomnianej wyżej monografii Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki. Multimedialna (książkę dopełniają materiały audiowizualne) publikacja reasumuje historię „plenerów osieckich" oraz zasoby sztuki współczesnej w tzw. Kolekcji Osieckiej, będącej magnesem dla młodych teoretyków sztuki, którzy dla tej kolekcji przybywali do Koszalina.

To z myślą o tym zbiorze sztuki współczesnej (pisał o nim historyk sztuki związany z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza dr Marcin Szeląg, w artykule „Kolekcja osiecka – nie do przecenienia", w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2005" – dop. red.) i w uznaniu zasług Ryszarda Ziarkiewicza dla rozwoju współczesnej krytyki artystycznej zaproszenie na debatę zorganizowaną 25 listopada 2009 r. przyjęli: **Edyta Wolska** – dyr. Bałtyckiej Galerii Sztuki w Słupsku; **Agnieszka Wołodźko** – kurator Centrum Sztuki Współczesnej „Łaźnia" w Gdańsku; **Jan Szewczyk** – wiceprezes Stowarzyszenia Zachęta Sztuki Współczesnej w Szczecinie; **Daniel Muzyczuk** – kurator Centrum Sztuki Współczes-

nej ZNAKI CZASU w Toruniu; obecność Andrzeja Ciesielskiego, artysty i założyciela galerii MOJE ARCHIWUM, a zarazem członka kolegium redakcyjnego almanachu „Kultura Koszalińska" od pierwszego wydania rocznika w 2005 r., i jego wystąpienie podczas debaty już choćby z tego względu uznać trzeba za oczywiste.

Organizatorzy spotkania celowo zaprosili do dyskusji gości z ościennych miast, gdzie istnieją i dobrze działają placówki zajmujące się sztuką współczesną, aby pokazać, że ich powstanie i trwanie wiązało się zawsze z szeroko rozumianą współpracą z władzą lokalną, lobbingiem na rzecz sztuki współczesnej i ogromnymi pokładami dobrej woli. Dopiero na końcu mowa jest o pieniądzach.

Niestety, przed rozpoczęciem debaty jej uczestnicy i organizatorzy zostali zaskoczeni wystawą zorganizowaną z premedytacją przez anonimowego autora, która miała ośmieszyć wybrane obiekty sztuki współczesnej, poddać w wątpliwość kryteria ocen tych dzieł i zasiać w debatujących niepewność, czy aby jest o co walczyć szukając miejsca dla sztuki współczesnej w Koszalinie? Na z rzadka wypełnionej sali konferencyjnej Koszalińskiej Biblioteki Publicznej był to powód do pierwszych sporów i komentarzy, ale debatę rozpoczęły wystąpienia zaproszonych gości. **Agnieszka Wołodźko** podkreślała, że **gdańska „ŁAŹNIA"** powstała z oddolnej inicjatywy grupy artystów skupionych wokół Galerii – Pracowni WYSPA i **Grzegorza Klamana** w połowie lat 80. Artyści ci nie chcieli wystawiać swych prac ani publikować swych wypowiedzi o sztuce współczesnej w oficjalnych mediach, galeriach, ani też nie czuli się związani z Kościołem, stworzyli więc własne miejsce w spartańskich warunkach byłej łaźni miejskiej. Programowo skupiali teoretyków sztuki, artystów plastyków, poetów a nawet muzyków, którzy chcieli tworzyć w „otwartych atelier", pokazując, często jednorazowo, swe dzieła czy prezentując muzykę niszową podczas tylko jednego koncertu. Nie przygotowywali żadnej promocji, wszystko wykonywali sami, bez dofinansowania. Kiedy rozrosła się kolekcja sztuki (a także poświęcona nowej kulturze biblioteka) przyszedł czas na stworzenie fundacji – głównie po to, by mieć oficjalną reprezentację wobec władz miasta.

– Przez lata, nawet już po 1989 r., władze traktowały nas z podejrzliwością, upatrując w naszych działaniach elementów anarchizmu. Postrzegano nas jako ludzi niebezpiecznych, którym nie można pozwolić na swobodne działanie. Powstała fundacja OPEN ATELIER, o bardzo odważnych założeniach programowych, która zwróciła się do władz o bezpłatne przekazanie budynku dawnej łaźni. Jednak nie mogliśmy pozbyć się odium „zbuntowanych" i „niebezpiecznych". Tak postrzegały nas władze i decydenci z ratusza. Długie zmagania z administracją miasta zniechęciły wielu artystów, w efekcie Grzegorz Klaman wraz z Anetą Szyłak utworzyli nową fundację WYSPA PROGRESS, o nieco innych celach artystycznych. To spowodowało, że władze miasta oddały fundacji łaźnię. W 1998 roku powstało w niej Centrum Sztuki Współczesnej, choć do dziś trwa remont i przebudowa budynku. Program centrum obejmuje nie tylko sztukę wizualną, ale również film eksperymentalny, muzykę, filozofię i edukację.

Ta ostatnia funkcja pozwoliła bardzo zmienić otaczającą nas dzielnicę i mieszkających tam ludzi. Prowadzimy dla nich warsztaty, wychodzimy na zewnątrz realizując projekty rewitalizacyjne dla dzielnicy Dolne Miasto, w której znajduje się centrum. Wszystko po to, by ludzie nie bali się do nas przychodzić, byśmy się wzajemnie rozumieli. Na koniec chcę się zwrócić do władz Koszalina. Od początku naszej walki o „Łaźnię" pomiędzy artystami a władzami Gdańska było dużo nieufności; strach przed skandalami paraliżował działania władz. Dziś prezydent Gdańska deklaruje, że lepiej, aby mówiło się o ŁAŹNI przy okazji skandalu, niż żeby w ogóle się nie mówiło; traktuje nas bardzo pozytywnie, docenia nasze osiągnięcia artystyczne, a na dowód zaufania ostatnio dostaliśmy kolejny obiekt do remontu. Chyba udowodniliśmy, że pełnimy ważną rolę w strukturze miasta.

Szczecińska Zachęta

Jan Szewczyk, który reprezentuje Stowarzyszenie ZACHĘTA Sztuki Współczesnej w Szczecinie, wprost odpowiedział na pytanie o potrzebę stworzenia w Koszalinie miejsca dla sztuki współczesnej: – *To oczywiste, że miasto tej wielkości co Koszalin musi mieć miejsce na poligon artystyczny, gdzie będą się ścierały postawy i poglądy młodych i starszych artystów*.

Opisując sytuację artystów tworzących sztukę współczesną w Szczecinie nie wskazał prostej recepty na stworzenie takiego miejsca w Koszalinie, bo nawet w zamożniejszej od Koszalina stolicy województwa Stowarzyszenie ZACHĘTA wciąż nie ma swojego miejsca. Kolekcja przechowywana jest w Centrum Sztuki Współczesnej Muzeum Narodowego w Szczecinie, a korespondencja trafia do Klubu 13 Muz. Szczecińscy artyści są jednak o krok dalej, niż koszalińscy, bo mają przychylność władz miasta, które użyczyły (wstępnie) starą transformatorownię.

– *Chcielibyśmy ją wyremontować z myślą o tworzącej się w Szczecinie wyższej uczelni artystycznej; nasza działalność, także kolekcjonowanie obiektów sztuki współczesnej, postrzegane jest jako przyczółek do jej powstania*.

Słupskie galerie

– *To jest kwestia bezdyskusyjna, żeby w stutysięcznym mieście funkcjonowało takie centrum* – z jeszcze większą żarliwością o konieczności powołania w Koszalinie Centrum Sztuki Współczesnej mówiła **Edyta Wolska** – dyrektor Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej w Słupsku. – *Zwracam się do władz miasta. Panowie! Rola takiego centrum jest nie do przecenienia. Fachowców, artystów już macie. Trzeba ich tylko zatrzymać!*

Opisem działalności słupskiej placówki, istniejącej w trzech odrębnych budynkach, posiadającej trzy odrębne salony wystawiennicze, a finansowanej po trosze przez administrację lokalną, władze województwa i ze środków z UE, przekonywała przede wszystkim obecnych na sali przedstawicieli koszalińskiego samorządu, że warto zaufać artystom i nie bać się skandali: – *To wcale nieprawda, że sztuka współczesna jest niezrozumiała! Gdybyście państwo posłuchali młodzieży przychodzącej do naszej galerii, biorącej udział w naszych warsztatach, zmienilibyście zdanie.* Inna sprawa, że wszyscy decydenci wspierający BGSW zgodnie współpracują m.in. przy pozyskiwaniu środków unijnych, nie bojąc się rozmachu w projektowaniu pracowni, sal audiowizualnych czy zaplecza multimedialnego.

Toruńskie „Znaki Czasu"

Wystąpienie **Daniela Muzyczuka** – kuratora CSW ZNAKI CZASU w Toruniu, wprowadziło dyskutantów w tajniki funkcjonowania placówki stworzonej z pieniędzy głównie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Kujawsko-Pomorskiego, choć także dotowanej przez władze Torunia. Dziś jest to najnowocześniejsza tego typu placówka w Polsce, z największą powierzchnią wystawienniczą, z rocznym budżetem sięgającym 6 milionów zł i bardzo nowatorskim, autorskim programem



Edyta Wolska – dyrektor Bałtyckiej Galerii Sztuki w Słupsku. fot. Ilona Łukjaniuk

artystycznym stworzonym przez **Joannę Zielińską,** która kieruje toruńskim CSW.

Instytucja powstała na bazie ministerialnego programu „Znaki Czasu", z którego też wynikają jej cele: tworzenie kolekcji sztuki współczesnej, baz danych i archiwaliów prac, prowadzenie działalności wystawienniczej w dziedzinie sztuki współczesnej. Jako, że placówka ma dużą powierzchnię (ok. 1000 m. kw.) i zatrudnia sporo pracowników, 46% dotacji pochłaniają koszty wynagrodzeń i umów, a 30% koszty utrzymania budynku. Na faktyczne działania programowe przeznacza się zaledwie dwadzieścia kilka procent budżetu. – *Założenia programowe Joanny Zielińskiej organizują naszą działalność na kilku polach* – mówił Daniel Muzyczuk – *z jednej strony realizujemy różne projekty wystawiennicze, nie schlebiające gustom przeciętnego obywatela, z drugiej – realizujemy projekty szeroko rozumianej edukacji dla dzieci i młodzieży. Inny, bardzo ważny nurt naszej działalności kryje się pod szyldem „Pokój z Kuchnią" – to niebiletowana część parteru z biblioteką i miejscem „twórczego lenistwa". Jest to przestrzeń przeznaczona na działania procesualne, wykłady, spotkania i wizyty. Wspiera inny typ komunikacji międzyludzkiej; jest to przestrzeń partycypacji, która pomaga zasypywać głębokie pęknięcia pomiędzy sztuką nowoczesną i niemożnością jej odbioru przez nieprzygotowanego lub zaskoczonego widza. Dyskusje i akcje w „Pokoju z Kuchnią" sprawiły, że po półtora roku działania programu Joanny Zielińskiej coraz więcej dotychczasowych sceptyków przekonuje się do sztuki współczesnej.*

Koszalińskie doświadczenia

Głos w dyskusji Daniela Muzyczuka dawał nieco nadziei tym, którzy mimo wielu trudności widzą w Koszalinie jakąś jaśniejszą perspektywę dla sztuki współczesnej. Nie dało podstaw do takiego optymizmu wystąpienie **Andrzeja Ciesielskiego**, który przywołał dzieje galerii MOJE ARCHIWUM: – *Pragnę przedstawić, a niektórym z państwa przypomnieć trzydziestoletnią działalność na rzecz miejsc, w których mogłaby się ujawnić sztuka współczesna, aktualna. Chciałbym przedstawić zatem specyficzną działalność miejsc artystycznych, w które byłem osobiście zaangażowany jako współorganizator, a często organizator* – mówił Andrzej Ciesielski. – *Warto uświadomić sobie, że choć środowisko artystyczne w Koszalinie nie jest wielkie, to wyczuwało się tu piętno największego wydarzenia artystycznego, które to środowisko tworzyło i podtrzymywało przez 19 lat. Spotkania Osieckie, bo o tym niezwykłym wydarzeniu mowa, musiało narzucić swoje piętno. Trudno też było nie ulec „piętnu osieckiemu" w latach 80. – latach szczególnie trudnych dla wszelkiej działalności artystycznej. Jednak lata te wymuszały już inaczej rozumianą działalność artystyczną tak, by jej ciągłość i tradycja nie zostały przerwane. W Koszalinie, podobnie jak w wielu innych, także większych, ośrodkach w Polsce działalność artystyczna wpisała się w nurt tzw. „sztuki prywatnej", który tak znacząco i prężnie się rozwijał, tworząc faktyczną, oryginalną wartość nie mającą wówczas odpowiednika w sztuce zachodniej. To tutaj, w Koszalinie, odbyło się tak wiele udanych i ważnych nie tylko dla regionu spotkań – prezentacji pod wspólnym tytułem „Po Roku", które przerodziły się z inicjatywy regionalnej w ogólnopolską. Tutaj też w 1984 roku „Kolęda Artystyczna – bez hasła" gościła ponad 60 artystów z całej Polski. To tutaj odbywały się ogólnopolskie wystawy sztuki z okazji Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, ważne ogólnokrajowe spotkania i sympozja „Sztuka jako gest prywatny", „Wideoperformance" czy też do dziś podtrzymywane i inspirowane przez Zdzisława Pacholskiego i Martina Rehkoppa kontakty wieńczone wystawami artystów koszalińskich z artystami z Westfalii.*

Właśnie „piętno Osiek" ośmieliło mnie i pozwoliło w 1986 roku powołać do życia stałe miejsce spotkań artystycznych, jakim była galeria „Na Plebanii". Jej pięcioletnia (do końca 1990 r.) działalność umożliwiła prezentację 35 spotkań – wystaw, pokazów tak indywidualnych jak i zbiorowych, gdzie swą twórczość prezentowało ponad 80 artystów z kraju i z zagranicy. Za tę działalność

uhonorowany zostałem w 1990 roku nagrodą Fundacji Polcul w Sydney w Australii.

To moje ponad trzydziestoletnie uczestnictwo w życiu artystycznym siłą rzeczy doprowadzić musiało do powstania niemałej kolekcji dokumentacji w formie zbiorów wydawnictw o sztuce: katalogów, zaproszeń, książek, druków ulotnych, dokumentacji fotograficznej itp. Jak i również pokaźnej kolekcji dzieł sztuki stworzonych przez kilkudziesięciu ważnych artystów. W 1993 roku, przy ulicy Grunwaldzkiej w Koszalinie, w trzech wynajmowanych pomieszczeniach, znalazła swoje miejsce biblioteka z czytelnią i sporym miejscem wystawienniczym. Oczywistym było, że miejsce to musiało przyjąć nazwę galerii „Moje Archiwum". Artysta i jego sztuka wymagają od odbiorcy przede wszystkim współuczestnictwa, a zatem wymagana jest obustronna aktywność, otwartość i twórcza postawa. Dlatego w galerii „Moje Archiwum" prezentowana sztuka funkcjonowała tylko w kontakcie z odbiorcą, uzależniając się od regularnych pokazów, tzw. „wernisaży". Korzystając z własnych bogatych zbiorów przygotowywane były też niejednokrotnie wystawy problemowe. Gromadzenie i stała aktualizacja zbiorów dokumentacji to równie ważna działalność galerii, bo służyła odwiedzającym powstałą tu czytelnię uczniom, pedagogom i studentom. Stąd czerpano materiały do wielu prac magisterskich. (...). Wielu nauczycieli koszalińskich szkół średnich mogło tu prowadzić zajęcia. Tutaj warsztaty artystyczne prowadzili znani i uznani w kraju artyści – pedagodzy. To tutaj też odbywały się warsztaty i spotkania koszalińskiej sekcji INSEA (Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania przez Sztukę). Swoją działalność galeria opierała również na współpracy z ówczesnym Muzeum Okręgowym i jego Działem Sztuki Współczesnej, czego



Debatę poprowadziła red. Jadwiga Koprowska (w środku). Prócz widocznych na fotografii gości spoza Koszalina: Agaty Wołodźko z Gdańska i Jana Szewczyka ze szczecińskiej „Zachęty" zaproszenie przyjął Daniel Muzyczuk z toruńskiego Centrum Sztuki Współczesnej i Edyta Wolska z Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej w Słupsku.

fot. Ilona Łukjaniuk

najwymowniejszym przykładem było czterokrotne współorganizowanie Europejskich Spotkań Artystów w Bornem Sulinowie.

Prowadzona jednoosobowo przeze mnie galeria była miejscem prywatnym, korzystającym głównie ze środków własnych, sporadycznie tylko wspieranym przez lokalne władze. W 1998 roku, podczas sympozjum środowisk twórczych z ówczesnych województw koszalińskiego i szczecińskiego, jakie odbyło się w Kołobrzegu, tak sygnalizowałem niebezpieczeństwo rysujące się przed tym miejscem dla sztuki: „...z każdym nowym pokazem w galerii przybywa więcej widzów i to widzów młodych. To z myślą o nich i o tych starszych, pamiętających spotkania „Na Plebanii" i tych właśnie młodszych, którzy tutaj po raz pierwszy zetknęli się ze sztuka współczesną – (galeria „Moje Archiwum" – dop. red.) *została powołana i dalej trwa. Miejsce i jego coraz bogatsze zbiory co roku, z każdym nowym przedsięwzięciem artystycznym, stają przed poważnym zagrożeniem. Skromne warunki i środki, jakimi dysponuje galeria, mogą utrudnić, a nawet zagrozić jej istnieniu".*

I stało się. Dwa lata później, po siedmiu latach intensywnej pracy, kłopoty finansowe doprowadziły do zamknięcia „Mojego Archiwum". Znikła galeria, która nigdy nie uległa pokusie wspierania się jakąkolwiek działalnością komercyjną, by nie zatracić wyróżniającej i ważnej roli edukacyjnej i popularyzatorskiej. Od ośmiu lat galeria „Moje Archiwum" nie istnieje. Znikło jeszcze jedno miejsce dla sztuki aktualnej. Pozostały zbiory dokumentacji i kolekcja sztuki gromadzona od lat 80., dokumentująca twórczość ponad 50 artystów nie tylko polskich. Pociechą niech będzie fakt, że w ciągu kilkunastu lat mogłem je prezentować w wielu ważnych miejscach w Polsce. Wymienię te miejscowości, w których odbyły się największe pokazy: Wrocław, Stargard, Konin, Szczecin, Przemyśl, Białystok, Ustka, Bydgoszcz, Lublin, Warszawa i ostatnie dwa pokazy w lutym 2009 roku – w Muzeum Narodowym w Szczecinie i w marcu w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Dzisiaj, dzięki uprzejmości dyrektora Koszalińskiej Biblioteki Publicznej zbiory spoczywają w magazynie, w tym gmachu. Nadzieja w tym, że może warstwa kurzu, która od lat równomiernie pokrywa papierowo-tekturowe bogactwo w jakiś sposób uchroni je przed całkowitym zniknięciem.

Mnie pozostaje pytanie: Co dalej?

Głosy zaproszonych gości dopełniło wystąpienie **Ryszarda Ziarkiewicza**, świeżo zwolnionego z kierowania Działem Sztuki Współczesnej w Muzeum w Koszalinie, który na pytanie postawione w tytule debaty odpowiedział: – *Nie! Nie ma w Koszalinie miejsca na sztukę współczesną. To miejsce jest w naszej mentalności, ale fizycznie, w przestrzeni publicznej takiego miejsca nie ma.* W uzasadnieniu Ryszard Ziarkiewicz opowiadał o miejscu składowania zbiorów Galerii SCENA, które nie spełnia żadnych standardów, o lokum galerii, które jest niepewne i być może za pół roku znajdzie się ona na bruku: – *Taka niepewność oznacza, że nie można zaplanować wystaw czy happeningów, nie można pozyskiwać obiektów czy dotacji.* Zdaniem Ziarkiewicza trudno poważnie brać pod uwagę Muzeum w Koszalinie jako miejsce dla sztuki współczesnej, skoro polityka dyrekcji zmierza do organizowania wystaw zachowawczych. Natomiast budynek dawnego BWA, oddany architektom w celu ratowania obiektu – paradoksalnie – jest w katastrofalnym stanie, przez co Koszalin stracił profesjonalne miejsce do prezentacji sztuki współczesnej. A szkoda, mówił Ziarkiewicz: – *Bo my, w Koszalinie, mamy wielkie tradycje sztuki współczesnej. To jest siedzący obok mnie Andrzej Ciesielski i jego MOJE ARCHIWUM, to jest „plener osiecki" i jego ogromne zbiory – taka tradycja to nie jest błaha sprawa. Mamy obowiązek ją chronić, pomnażać i kultywować. To musi być działanie wielotorowe, dość skomplikowane, wymagające nakładów pracy, ale i szacunku. I tu nie chodzi o walkę dwóch kierunków: tradycji i nowoczesności. Chodzi o pełne poszanowanie praw jednych i drugich. Nasi goście pokazali przed chwilą, że to się może udać i warto to robić z co najmniej trzech powodów: po pierwsze jest to ratowanie tradycji, po drugie: budowanie tożsamości na bazie sztuki i*

po trzecie: najzwyklejsza inwestycja w przyszłość. Są strategie rozwoju oparte na sztuce współczesnej, już sprawdzone w świecie: np. w Newcastle w północnej Anglii, gdzie w starych elewatorach stworzono centrum sztuki współczesnej BALTIC, obok wyrosły nowe osiedla, gdzie zamieszkali ludzi, którzy zmienili oblicze miasta. Dlaczego nie powielić tych doświadczeń w Koszalinie? Był pomysł stworzenia w dawnym kinie MUZA zalążka centrum sztuki współczesnej, ale nie zyskał akceptacji władz. Poszukajmy więc innego miejsca. Jest też druga możliwość: powołanie w ramach Muzeum w Koszalinie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, co nawiązywałoby do pomysłu Mariana Bogusza z 1963 roku. Moim zdaniem obydwa sposoby funkcjonowania sztuki współczesnej w Koszalinie są warte przedyskutowania.

Spojrzenie młodego architekta

Zanim rozgorzała dyskusja wokół tych propozycji, zebrani wysłuchali ciekawej refleksji teoretycznej **Galla Podlaszewskiego**, młodego architekta z Koszalina, który mówił o relacji ekspresji kulturowej do rozwoju miasta.

„Czym jest sztuka współczesna i nowoczesna? JEST DOCHODZENIEM PRAWDY O NAS SAMYCH ORAZ O KSZTAŁTUJĄCYCH NAS WSPÓŁCZEŚNIE PROCESACH I KONTEKSTACH."

Jako architekta, interesują mnie w szczególności bardziej przyziemne procesy kształtowania przestrzeni miejskiej oraz towarzyszący im w demokratycznym ustroju najbliżej kontekst społeczny, […] W instytucjach kultury widzę rolę współtworzenia związków pomiędzy tymi sektorami. Jeden z badaczy pojęcia kreatywnego miasta – Brytyjczyk Charles Landry podkreśla potrzebę docenienia miejskiej kultury – ekspresji wartości – tożsamości jako kluczowych dla możliwości reagowania na zmiany cywilizacyjne, które będą nas dosięgać niezależnie od tego, jak dobrze schowamy się w naszej prowincji. Objawiają się chociażby w nowych formach komunikacji (Internet, reklama wielkoformatowa). Przede wszystkim jednak chodzi o zmiany w kulturze organizowania się – czyli kulturze współżycia w jednym mieście – dzisiaj tożsamej z kulturą demokracji, oznaczającą uczestnictwo w życiu miasta częściej niż tylko w trakcie wyborów lokalnych.

Ta kultura oznacza możliwość wolnej wypowiedzi i wymóg dochodzenia do trwałych rozwiązań miejskich na drodze zbiorowego konsensusu. Warto podkreślić, że konsensus może oznaczać rozwiązania przełomowe i odważne, wychodzące od mniejszości również. Tożsamość i identyfikacja z miastem buduje się poprzez uczestnictwo w jego życiu lub wręcz poprzez fizyczne kształtowanie tego miasta. Znany polski architekt Oskar Hansen dostarczył nam teorię Struktur Oddziaływania Wizualnego, która w prosty sposób tłumaczy przełożenie istotnych dla ośrodków władzy wartości na zjawiska wizualne i przestrzenne. Dzisiaj, czy tego chcemy czy nie, w dużej części władzą jesteśmy my sami – użytkownicy miasta. To, co widać za moimi plecami [slajdy] to dowód niskiej kultury komunikowania się mieszkańców Koszalina między sobą – wobec braku jakiejkolwiek kontroli społecznej nad tym, co dzieje się w mieście, wynikającego z braku konsensusu co do wartości, których mielibyśmy strzec – mamy obraz akceptowanej przez nas wszystkich przestrzennej anarchii. Często naiwny komunikat – czy to w postaci agresywnej kolorystyki, czy naiwnego budownictwa – świadczy o niskim poczuciu mocy komunikatów wizualnych. Tymczasem skromna architektura krzyczy w przestrzeni chyba z taką samą mocą, jak kalejdoskop banerów i reklam (budynek BOŚ jest najmocniejszym akcentem w okolicy, pomimo braku bogatej kolorystyki).

Nie napotykające oporów przenoszenie wzorców z pobliskich wsi do miasta świadczy o braku różnorodnej, współczesnej oferty jakie to miasto – Koszalin – ma do zaoferowania swoim mieszkańcom. Dla zapobieżenia temu pogarszaniu jakości przestrzeni miejskiej, nie dość jest postawić na siłę sprawczą organizowania się społeczeństwa w Internecie w formie chaotycznych i anonimowych forów oraz indywidualnych stron internetowych. Muszą powstawać fizyczne miejsca, w których będziemy się kultury wyższej uczyć od siebie nawzajem i od odwiedzających miasto

osób, w których będziemy mogli trafniej artykułować istotne dla nas współcześnie wartości.

Koszalińskie Centrum Sztuki Współczesnej, o którego powstanie się postuluje, powinno stać się nie tylko miejscem odwiedzanym od czasu do czasu przez mieszkańców. Równie ważne jest wytworzenie platformy, na której zawiązywać by się mogły nieformalne związki zarówno sektora publicznego, jak i prywatnego i pozarządowego z animatorami i twórcami sztuki najnowszej.

Dzisiejsze spotkanie jest wg mnie zalążkiem szerszej publicznej debaty o tym, w jakim mieście chcemy żyć za 10, za 20 lat, która na razie, być może, toczy się za zamkniętymi drzwiami pokojów ratusza. Do rozwinięcia tej debaty na całe miasto będą nam przydatne nie tylko antykwaryczne ślady przeszłości, ale również energia społeczna, którą poprzez podnoszenie świadomości może wyzwalać między innymi kultura/sztuka współczesna.

Podsumowując: relacja ekspresji kulturowej do rozwoju miasta jest to wyraz postawy, jaką reprezentujemy jako mieszkańcy, żyjąc biernie w naszych wygodnych bastionach, bądź ucząc się wypowiadania na forum miejskim dla tworzenia wkładu w zbiorową świadomość miejsca – po to, by miasto jutra odpowiadało coraz pełniej naszym potrzebom jako współczesnego europejskiego społeczeństwa i by było wartością dodaną do naszego życia, nie tylko dzięki otaczającym lasom i morzu, ale również dzięki temu, co tworzy je w środku, co jest częścią nas tu i teraz, czego chyba wszyscy nie możemy się doczekać.

Dyskusja

Po tych wystąpieniach rozgorzała dyskusja. Rozpoczął ją **Krzysztof Urbanowicz**, który jednoznacznie stwierdził, że dziwi go tak postawione pytanie w tytule debaty oraz diagnoza Ryszarda Ziarkiewicza, że, poza tym co pokazuje Galeria SCENA i „zdemolowany" w koszalińskim Muzeum Dział Sztuki Współczesnej, sztuki współczesnej w Koszalinie nikt nie pokazuje. Zdaniem Urbanowicza to nieprawda! W mieście działa ponad 30 różnych miejsc, w których można spotkać sztukę współczesną. Połowa wystaw w Muzeum w 2008 roku to była sztuka współczesna, którą on – K. Urbanowicz – rozumie szeroko, jako sztukę odpowiadającą na pytania współczesnych odbiorców, a nie tylko eksperymenty i instalacje. Następnie stwierdził, że być może temat debaty powinien być inaczej sformułowany: czy jest w Koszalinie potrzeba stworzenia Centrum Sztuki Współczesnej? Jego zdaniem nie ma takiej potrzeby, bo sztuka współczesna nie jest w stanie nas wyróżniać spośród innych miast, ale dla przykładu sztuka jamneńska – owszem, tak!

To stwierdzenie niezwykle poruszyło, zwłaszcza gości; **Jan Szewczyk** skonstatował, iż kolekcje sztuki mogą i odróżniają miasta, a liczba miejsc wystawienniczych nie świadczy o ich poziomie, nie daje pewności, że są one miejscem na dyskusję, eksperyment i nowatorstwo.

W podobnym tonie ripostowała Edyta Wolska: – *Mieszkam 70 km stąd i żadnej z wymienionych przez pana galerii nie znam. To daje do myślenia: dlaczego te liczne wystawy nie odbijają się echem w regionie czy w Polsce? Trzeba stworzyć miejsce, które będzie rodzajem drożdży artystycznych dla całego środowiska, także poza Koszalinem*.

Pierwszym przedstawicielem samorządu Koszalina, który zabrał głos, był przewodniczący Komisji Kultury Rady Miasta **Ryszard Tarnowski**, który nawiązał do kampanii medialnej wokół zwolnienia z pracy Ryszarda Ziarkiewicza, wytykającej władzom Koszalina prowincjonalność. Był oburzony tym przytykiem prasy, zwłaszcza, że – jego zdaniem – władze Koszalina nie skąpią środków na kulturę, czyli nie ma mowy o prowincjonalności. Zgodził się z K. Urbanowiczem, że w Koszalinie jest mnóstwo miejsc na wystawianie sztuki współczesnej, a Koszalina nie stać na stworzenie Centrum Sztuki Współczesnej z prawdziwego zdarzenia, bo nie mamy tak przychylnych władz wojewódzkich jak Szczecin czy Słupsk, ani siły przebicia, jak Toruń. – *Poza tym Koszalin jest nieco inny w swych gustach, niż Szczecin czy Gdańsk i nie wiem, czy takie Centrum Sztuki Współczesnej tra-*

fiłoby w oczekiwania artystyczne koszalinian?

Taka pointa sprowokowała bardzo emocjonalne wystąpienie artysty-fotografika **Zdzisława Pacholskiego**, który stwierdził, że jest sceptykiem jeśli chodzi o miejsce dla sztuki współczesnej w Koszalinie. Utwierdzają go w tym przekonaniu dwie oficjalne wypowiedzi dyrektorów placówek kultury: Jerzego Kalickiego dla Radia Koszalin i Anny Mosiewicz dla wydawnictwa „Kultura Koszalińska. Almanach 2007". – *Obie wypowiedzi charakteryzują się ostentacyjnym lekceważeniem dla sztuki współczesnej* – mówił Zdzisław Pacholski – *a teraz jeszcze w podobnym tonie wypowiada się przewodniczący Komisji Kultury. Stawiam pytania koszalińskim władzom: jakie są próby wyjścia miasta z zaściankowości? Czy nadal władze miasta będą schlebiały imprezom kulturalnym „wszystko dla wszystkich"? Czy poglądy wyrażane prze dyrektora Jerzego Kalickiego na temat sztuki współczesnej są również stanowiskiem Urzędu Miasta? Jaka jest merytoryczna zależność między szefami instytucji kultury a Zarządem Miasta i kto nad tym panuje? I na koniec słów parę o tym, co mnie spotkało dziś przed wejściem do tej sali, w miejscu używanym do wystaw czasowych. To, co tam zobaczyłem, jest skandalem! Zestawienie prac uznanych artystów z czymś, co ma odebrać im wartość dzieła sztuki, przypomina najgorsze praktyki nazistów. Przypomnę wszystkim pewną wystawę z 1937 roku pod nazwą „Entartete Kunst", gdzie naziści odmówili prawa do nazywania sztuką dziełom np. Oskara Kokoschki. To, co wisi przed drzwiami tej sali, nie jest nawet podpisane, ale skoro wisi w jednostce podległej władzy samorządowej, to widać, że ta władza na to pozwala, jednocześnie uzurpując sobie prawo do oceny co jest, a co nie jest sztuką. Jednocześnie oświadczam państwu, że jutro składam doniesienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa, nie dlatego, że artyzm niektórych dzieł postawiono pod znakiem zapytania, ale dlatego, że większość pokazanych tu artystów nie ma zielonego pojęcia do czego wykorzystano ich dzieła...*
Ta wypowiedź poruszyła dyskutantów, sprowokowała też do zadania publicznie pytania: kto jest autorem wystawy „To jest sztuka, to nie jest sztuka", obok której musieli przechodzić wszyscy uczestnicy debaty. Przyznał się do niej Krzysztof Urbanowicz, który tak tłumaczył motywy jej przygotowania: – *Chciałem włożyć kij w mrowisko i uświadomić widzom, jak trudno ocenić co jest, a co nie jest tzw. sztuką współczesną. I jestem ciekaw jak wielu z państwa udało się bezbłędnie ocenić, które obiekty na wystawie to tzw. dzieła sztuki współczesnej?*

Uznano jednak, że ten nurt dyskusji nie wnosi niczego konstruktywnego do rozmowy o miejscu dla sztuki współczesnej w Koszalinie, więc głos zabrał odpowiedzialny w samorządzie Koszalina za sprawy kultury zastępca prezydenta **Przemysław Krzyżanowski**. Na jego opinię i refleksje czekała cała sala, zwłaszcza ci artyści, którzy chcieliby powstania Centrum Sztuki Współczesnej w Koszalinie. Niestety, wystąpienie ostudziło nadzieje na wsparcie pomysłu. Prezydent Krzyżanowski, oceniając politykę swych poprzedników w sprawach kultury, wiele uwagi poświecił wydatkom na kulturę poczynionym po roku 1999, kiedy miasto straciło status wojewódzkiego i aby nie stać się „zaściankiem" postawiło na kulturę. – *Pozostawiliśmy teatr, filharmonię, muzeum, Centrum Kultury 105, Teatr Propozycji „Dialog", wiele innych instytucji i inicjatyw. Jest też miejsce dla Działu Sztuki Współczesnej w Muzeum, choć to wyjątek w skali kraju. My możemy się zastanawiać, czy sztuka współczesna powinna tam być gromadzona i propagowana, ale w mieście, które ma na swych barkach i kulturę, i edukację, i sport i wiele innych dziedzin ludzkiej aktywności, a niewielu sponsorów, nie ma możliwości stworzenia jeszcze jednej instytucji całkowicie zdanej na budżet miasta. Obiecuję, że Galeria SCENA będzie funkcjonować i nie będziemy jej cenzurować, nigdy zresztą tego nie czyniliśmy. A skoro wszyscy tu dziś stawiają* pytania, *to ja też je zadam: czemu wy, panowie artyści – zwracam się do pana Ziarkiewicza i pana Ciesielskiego – nie próbujecie zogniskować dwóch zatomizowanych i niewykorzy-*

stanych środowisk twórczych, jakimi są studenci i wykładowcy Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej oraz uczniowie i nauczyciele Liceum Plastycznego w Koszalinie? Czemu nie zarażacie ich ideą Centrum Sztuki Współczesnej? Niedługo Politechnika wyprowadzi się z ulicy Racławickiej, mało tam obiektów do zagospodarowania? Myślę, że to kwestia podejścia i wysłania impulsu do szerszych kręgów zainteresowanych sztuką współczesną. Dopiero wtedy jest szansa na stworzenie Centrum Sztuki Współczesnej z prawdziwego zdarzenia. Bo inaczej będziemy się spotykać i wzajemnie zadawać sobie pytania „Co dalej?". Tymczasem to ja pytam, panowie: co dalej ze sztuką współczesną w Koszalinie?

Obaj panowie: Ziarkiewicz i Ciesielski, zaprotestowali przeciw takiemu odwracaniu pytań, które rzucili w przestrzeń społeczną. Szczególnie bolesne było to dla Andrzeja Ciesielskiego, twórcy jednej z najciekawszych galerii sztuki współczesnej w Polsce, zlikwidowanej wskutek braku wsparcia finansowego. I chociaż galeria MOJE ARCHIWUM zyskała grono licznych sympatyków nie tylko w Koszalinie, ale i w Polsce, w tym również studentów, to władza samorządowa do dziś nie postrzega tej likwidacji jako straty. Ryszard Ziarkiewicz, podpisując się pod tym, co powiedział A. Ciesielski, przekonywał zebranych, że w tej dyskusji chodzi też o wspólną refleksję decydentów i mieszkańców nad kierunkiem rozwoju placówek kultury w Koszalinie w dłuższej perspektywie, o określenie polityki kulturalnej miasta. – *Dziś synonimem nowoczesności społeczeństwa* – mówił Ziarkiewicz – *jest jego stosunek do sztuki nowoczesnej, do współczesnej kultury w ogóle. Jeżeli chcemy budować nowoczesny model demokracji w naszym mieście, to musi być on oparty na nowoczesnej kulturze. Tu chodzi o wybór modelu porozumiewania się ze społeczeństwem i jeżeli będzie to model oparty na języku sztuki współczesnej, to przestrzeń społeczna będzie nastawiona na przyszłość, a nie ciągłe oglądanie się wstecz. W gruncie rzeczy władze miasta podejmują przy określaniu polityki kulturalnej decyzję polityczną, jak będą budować swoje relację ze społeczeństwem. Więc nie odwracajcie, panowie, pytania w naszym kierunku „co dalej ze sztuką współczesną w Koszalinie?, bo my, jako artyści, robimy swoje. Chodzi o to, by władze wzięły na siebie swoją część odpowiedzialności i abyśmy wspólnie stworzyli w mieście nową jakość. I nie chodzi tylko o miejsce, lokum dla sztuki współczesnej, jak podkreślał Daniel Muzyczuk, ale o przestrzeń dla eksperymentu, obszar mediacji miedzy artystą i jego wizją a publicznością, o przestrzeń archiwum, która jest podstawą budowania profilu intelektualnego tego typu miejsca oraz miejsce przygody intelektualnej tak dla artysty, jak dla odbiorcy.*

Zamiast podsumowania

Przytoczę na koniec przypowiastkę ks. Henryka Romanika – wypowiedzianą przezeń na zakończenie debaty: – *Niedawno odwiedził mnie pewien znajomy z zagranicy, któremu przypadkowo pokazałem dzisiejsze miejsce po Placu Papieskim. Jak wszyscy wiedzą, jest tam ogromna dziura – wybrano hektar ziemi, miejsce ogrodzono i pozostawiono samo sobie. Mnie to miejsce wydało się raczej powodem do wstydu, ale mój kolega był nim zachwycony. Na moje nieśmiałe sugestie, że już czas coś z nim zrobić, odpowiedział: absolutnie nie! Raczej wzmocnić ogrodzenie i pokazywać światu. Stąd mój apel do władz (dosłownie i metaforycznie) Wzmocnić płot i rozgłosić po świecie...*

FILM







Agnieszka Prokopowicz

„Galerianki" kontra reszta kina

28. Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film"

Zaskakujący był ostatni festiwal „Młodzi i film". Nie dość, że laureatką Grand Prix została autorka najbardziej kontrowersyjnego filmu, to jeszcze punkt ciężkości w dyskusji nad polskim kinem przeniósł się na pole dywagacji: co nagradzać – temat czy dojrzałość twórczą. Stąd wielu gości festiwalu przyklasnęło „Galeriankom", które zdecydowanie poruszają ważny problem prostytucji wśród nastolatek i osamotnienia współczesnej młodzieży. Reszta zaś pozostała oburzona, bo były w konkursie filmy zrealizowane lepiej, nawet po mistrzowsku. Każdy wyrażał swoje zdanie, ale przewodniczący jury Radosław Piwowarski miał opinię wyrobioną i główną nagrodę za najlepszy debiut przyznał Katarzynie Rosłaniec za „Galerianki".

Konkurenci

„Galerianki" stanęły w szranki z kilkoma poważnymi kandydatami do Grand Prix. Na wszystkich duże wrażenie zrobił debiut długometrażowy (wcześniej reżyser zrobił 30-minutowy film pt. „Człowiek magnes") Marcina Wrony „Moja krew" z Erykiem Lubosem w roli byłego boksera, który, dowiedziawszy się o śmiertelnej chorobie, postanawia pozostawić po sobie jakiś ślad. A że w życiu chłopaka same zgliszcza i nie ma do kogo wracać, szuka dziewczyny, która urodziłaby jego dziecko. I znajduje taką na bazarze warszawskiego Stadionu Dziesięciolecia. Młoda kobieta jest... Wietnamką. „Moja krew" to mocny i bolesny film o zetknięciu z obcością, leczeniu głębokich ran, znieczulicy i braku miłości. Marcin Wrona, który ukończył kurs reżyserski w Mistrzowskiej Szkole Andrzeja Wajdy, a także jest wykładowcą w katowickiej szkole filmowej, pokazał perfekcyjny warsztat. Faktycznie, nie mogła z nim konkurować Rosłaniec, która szkoły filmowej nie kończyła. Może dlatego jury nie dało Wronie głównej nagrody, co z tego punktu widzenie patrząc można by uznać za niesprawiedliwe. Za to swoje wyróżnienie przyznali mu dziennikarze.

Podobnie było z filmem Michała Rogalskiego „Ostatnia akcja". Reżyser pokazał, że kino może być też inteligentną rozrywką, taką, jaką kiedyś tworzył Juliusz Machulski. Zresztą ślad mistrza komedii jest w filmie Rogalskiego widoczny, a sam twórca „Va banque" wyprodukował jego film. „Ostatnia akcja" to zabawna opowieść o emerytach, dawnych żołnierzach AK, którzy, poruszeni głęboką niesprawiedliwością współczesnego świata (pobicia, przestępstwa, kradzieże, mafia), postanawiają przeprowadzić „odwetową akcję". A wszystko w oparach absurdu i czarnej komedii. I pewnie dlatego, że temat tak lekki i nie wyciskający łez, co najwyżej wywołujący serdeczny uśmiech, film nie przypadł do gustu jury. Kompletnie bez echa przeszła też reżyserska (dłuższa) wersja „Drzazg" Macieja Pieprzycy i opowieść o niechcianej ciąży „Jak żyć?" Szymona Jakubowskiego. Ale tak to już na festiwalach bywa. Nie ma demokracji. Zawsze ostateczną decyzję podejmuje przewodniczący jury.

Dyskusje aż po świt...

...miały być. Ale nie było. Sława cyklu rozmów „Szczerość za szczerość" odchodzi już chyba



fot. Kamil Jurkowski
archiwum CK 105

w przeszłość. Niegdysiejsze rozmowy do białego rana po pierwszych seansach filmowych, otwarte dla każdego, funkcjonują dziś zupełnie inaczej. Co prawda każdy może zadać dowolne pytanie i podyskutować z twórcami, ale albo atmosfera bardziej letnia, albo publiczność mniej zainteresowana. A może mniej odważna? Widzowie pytają o szczegóły realizacji filmów, sposób pracy, pomysły inscenizacyjne. Nie ma jednak żarliwych rozmów o przyszłości kina i przyszłości debiutów. Może już nie są potrzebne? Dziś, kilka lat po powstaniu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, sytuacja debiutantów zdecydowanie się polepszyła. Wzrosła liczba filmów debiutanckich, niektóre z nich zdobywały nawet najwyższe laury na festiwalu filmowym w Gdyni („Pręgi" Magdaleny Piekorz, „Warszawa" Dariusza Gajewskiego). A jednak po każdej ukończonej dyskusji z twórcami kolejnych filmów, które obserwowałam w Koszalinie, pozostawał niedosyt. Może dzięki temu niedosytowi właśnie nagraliśmy dla Weekendowego Magazynu Filmowego wiele ciekawych rozmów o kinie.

A jednak

Mimo wszystko festiwal w Koszalinie ma swoją niepowtarzalną atmosferę. Rezygnacja z „międzynarodowości", która i tak wydawała się przypadkowa na tym festiwalu, pozwoliła zacieśnić więzy z rodzimymi twórcami. Poszerzyła krąg zainteresowań, wzbogaciła imprezę o muzykę i sztuki wizualne. Naprawdę, trudno odnotować choćby wszystkie pozytywne wrażenia. Nie zawsze ilość przechodzi w jakość, ale warunkiem jest, by mieć z czego wybierać.

Żałuję jedynie, że tegoroczny – czyli w 2010 roku organizowany – festiwal „zamienił się" terminami z gdyńskim festiwalem. Teraz debiuty pokazane i zauważone w Gdyni zawsze będą już „opieczętowane" tym festiwalem. To może wpływać na opinie, budować nastawienia i uprzedzenia. A dotąd do Koszalina jechało się by zobaczyć pierwsze jaskółki kina z kolejnego roku. Tu rozpoczynał się filmowy sezon w Polsce. Teraz będzie go zamykał. Ale może dyskusje bardziej ożyją. I staną się „jesienną kropką nad i".

Iwona Kucharska

Tak można zmienić świat

VI Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja"

Projekcje poza konkursem filmów głośnych i nagrodzonych na prestiżowych festiwalach i warsztaty filmu animowanego, spektakle teatralne, wernisaże i wystawy rękodzieła oraz prac plastycznych twórców niepełnosprawnych, warsztaty graffiti, warsztaty wikliniarskie, pokazy i warsztaty nasenne – dźwięki i wibracje mis tybetańskich, pokazy sztuki makijażu i wiele innych imprez towarzyszących zaproponowali gościom i uczestnikom organizatorzy VI Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja Ty i Ja", czyli Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne i Koszalińska Biblioteka Publiczna. Podczas festiwalowych dni od 8 do 12 września Koszalin gościł też twórców filmowych, których dzieła zakwalifikowano do konkursu promującego ideę społecznej integracji osób z niepełnosprawnościami z resztą społeczeństwa.

Konkurs podzielony został na trzy kategorie: film fabularny, film dokumentalny oraz film amatorski. O nagrodę „Motyla 2009" rywalizowało 6 filmów fabularnych, 22 dokumentalnych i 9 amatorskich. Różne konwencje i gatunki filmowe połączyli ich bohaterowie – osoby niepełnosprawne. Dyskusje o problemach ludzi na różne sposoby i w różnym stopniu upośledzonych, spotkania z aktorami i reżyserami pozwoliły zaprezentować ich szerszej publiczności i docenić ich artystyczne dokonania.

Preludium

do festiwalu stanowiła wystawa fotografii „Downtown Collection Oiko Petersena" i „Listy do syna" Chrisa Niedenthala, zorganizowana w galerii „Region" w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej. Jednak główny wernisaż tej wystawy odbył się jeszcze w sierpniu, w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie.

– *Tak układaliśmy ofertę programową i formułowaliśmy założenia merytoryczne festiwalu* – mówi **Barbara Jaroszyk**, dyrektor festiwalu „Integracja Ty i Ja", mózg i serce tego przedsięwzięcia – *by propozycje były atrakcyjne dla współczesnych młodych ludzi. Mamy też nowość na festiwalu – mianowicie drugi rok pokazujemy filmy amatorskie, tworzone przez osoby niepełnosprawne lub z ich znacznym udziałem. To ma ogromną wartość. Były festiwale adresowane do dorosłych i festiwale adresowane do dzieci, które integrowały się poprzez bajkę. Ten festiwal jest adresowany przede wszystkim do młodzieży. W tym roku „wychodzi" niejako poza miejsca pokazów filmowych. Są happeningi, wystawy plastyczne w różnych częściach miasta, spotkania z młodzieżą. Wierzymy, że w ten sposób skonstruowany program zainteresuje nie tylko tych, którzy pasjonują się przede wszystkim filmem – bo to jest festiwal filmowy i rządzi się swoimi prawami – ale jednocześnie można tutaj spotkać osoby niezwykłe. Próbujemy co roku pokazać ludzi, którzy w wyjątkowy sposób żyją i w wyjątkowy sposób przełamują różne bariery.*

Zdobyć własne Kilimandżaro

W tym roku grupa niepełnosprawnych zdobywców Kilimandżaro, podczas licznych spotkań w szkołach średnich, opowiadała koszalińskiej młodzieży o swojej wyprawie na afrykań-

ski „dach świata". Pięciu wspaniałych jej uczestników to: **Krzysztof Głombowicz** (prowadzący, moderator spotkań), **Jarosław Rola**, **Piotr Truszczyński**, **Piotr Pogon** i najmłodszy – **Jasiek Mela**, w towarzystwie **Małgorzaty Wach** – autorki książki o nich i ich wyprawie pt. „Każdy ma swoje Kilimandżaro". Mówili oni o sobie i swoich, traumatycznych często, przeżyciach w sposób bardzo naturalny, zajmujący i nie pozbawiony poczucia humoru i dystansu do samego siebie i własnych słabości, budząc zaciekawienie, uznanie i oczywisty szacunek młodych ludzi. Ekipie towarzyszył także gość z Francji, **Franck Festor**, który stracił nogę w wyniku wypadku – sportowiec i członek Stowarzyszenia „Życie", które w sposób całkowicie niekonwencjonalny opiekuje się ludźmi po nagłych chorobach czy wypadkach, zakończonych amputacjami. Po wielu bardzo znojnych, wyczerpujących miesiącach ćwiczeń fizycznych i pracy psychologicznej uczestnicy takich zajęć uprawiają sporty wyczynowe, a nawet ekstremalne. Franck zaprezentował film o działaniach stowarzyszenia, którego uczestnicy, testując nowoczesne „inteligentne" protezy kończyn i zupełnie nowe rozwiązania technologiczne, stają się często bardziej sprawni, niż ich „zdrowi" rywale sportowi i koledzy.

Dzięki takim ludziom i takim spotkaniom zmienić można świat, pokonać bariery mentalne i stworzyć podstawy realnej integracji, wzajemnego szacunku i akceptacji. Każdy z uczestników wyprawy na Kilimandżaro dedykował ten heroiczny wysiłek swoim najbliższym lub szedł dla siebie, by spełnić własne marzenie. Gdy urządzenia wspomagające nie sprostały wymaganiom, wspinali się siłą woli lub... na rękach. Dla każdego z nich był to inny wysiłek, inny cel, inne wyzwanie i inny szczyt możliwości. Tak jak na co dzień... – *Każdy z was ma potencjalne możliwości, by pokonywać trudności, zdobywać codzienne „szczyty". Na przykład poprawienie „jedynki" z nielubianej matematyki może*



fot. archiwum EFF

być tym pierwszym wyzwaniem, dla którego warto podjąć wysiłek. Może być waszym pierwszym zdobytym szczytem – przekonywali młodych słuchaczy.

– *Ludzie niepełnosprawni wychodzą do sprawnych. Wszystko na tegorocznym festiwalu dedykowane jest młodzieży, a oferty są na tyle interesujące, że – mam nadzieję – po tych spotkaniach młodzi pojawią się przy organizacji następnych festiwali* – z przekonaniem twierdzi Barbara Jaroszyk.

Ile terapii, a ile sztuki?

Potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem, poszukiwanie sensu w cierpieniu czy zaproszenie do wspólnego odczuwania świata, wymiany myśli i wrażeń są stałymi elementami koszalińskiego festiwalu. Służą temu m.in. dyskusje panelowe „Bez barier", a także różnorodne spotkania – zarówno te przewidziane w programie, jak i te niespodziewane, kuluarowe. Po projekcji filmów amatorskich np. rozgorzała emocjonująca dyskusja na temat roli osoby niepełnosprawnej w filmie, ustanawianiu i przekraczaniu granic wolności myślenia.

– *Ile jest terapii, a ile jest sztuki w tym wszystkim, co robimy?* – pytała obecnych **Maria Piterusza-Budzyńska**, kierowniczka znanego w środowisku Warsztatu Terapii Zajęciowej „Teatroterapia" z Lublina. – *Nie zastanawiajcie się, czy oni będą aktorami, czy mogą pójść do szkół teatralnych i filmowych. Jeśli będą mieć talent, to tam dojdą. W naszych filmach, spektaklach grają ludzie, którym odebrano wolność myślenia. Chcę was prosić: oddawajcie im tę wolność – i o tym dyskutujmy* – zaapelowała do wszystkich.

– *Powinniśmy po projekcji filmów – przede wszystkim tych amatorskich – podyskutować z ich autorami na temat sposobów realizacji tych projektów. Poznać lepiej autorów i aktorów, którzy byli obecni podczas prezentacji ich filmów. Tego mi trochę brakowało, a przecież była ku temu idealna okazja* – zwierzyła się **Alicja Schatton** z Katowic.

– *Wszystkie festiwale to projekty całoroczne, które mają jedno zasadnicze hasło: integracja osób niepełnosprawnych z całą resztą społeczeństwa. Realizacja tej imprezy zależy od wielu ludzi, przede wszystkim od tych, którzy decydują o przyznaniu grantów. Niebagatelny wpływ na powodzenie festiwalu mają wolontariusze, zgłaszający się indywidualnie. Wszyscy są zafascynowani osobami, które tu mogą spotkać, czują się tu gospodarzami – a o to nam jakby z założenia chodzi. Rodzi się fenomenalna więź, która owocuje tym, że „zarażamy" tą ideą coraz większą liczbę młodych ludzi. Jest to fantastyczna, nowa wartość, która pojawiła się w tegorocznym festiwalu, nowa wartość duchowa* – podsumowuje Barbara Jaroszyk.

Międzynarodowy konkurs

Z roku na rok coraz więcej filmów zagranicznych bierze udział w festiwalu. W tym roku w konkursie uczestniczyły filmy z Polski, Belgii, Holandii, Izraela, Niemiec, Estonii, Finlandii, Francji, Słowacji, Wielkiej Brytanii i Słowenii.

Jury w składzie: **Michał Jóźwiak** (reżyser filmowy) – przewodniczący, **Marc-Ernest Fourneau** (Francja, filozof, reżyser, aktor), **Bartosz Szpurek** (dziennikarz), **Ryszard Szymanowski** (artysta plastyk), **Bohdan Smoleń** (satyryk), przyznało nagrody:

Grand Prix „Wielki Motyl 2009" za najlepszy film festiwalu przyznano filmowi francuskiemu **„Jak po maśle"**, w reżyserii Jean-Paula Lilenfelda „za oryginalne i żartobliwe ukazanie codzienności osób poruszających się na wózkach";

„Motyla 2009" za najlepszy film fabularny przyznano francusko-belgijskiemu filmowi **„Rumba"**, w reżyserii Dominique Abel, Fiony Gordon oraz Bruno Romy „za dystans i taktowne poczucie humoru w pokazywaniu pokonywania przeciwności losu";

„Motyla 2009" za najlepszy film dokumentalny przyznano brytyjskiemu filmowi **„Ślepy los"**, w reżyserii Lucy Walker „za łamanie stereotypów w postrzeganiu osób niewidomych";

„Motyla 2009" za najlepszy film amatorski przyznano polskiemu filmowi **„Co to jest?"**, firmowanemu przez Stowarzyszenie na Górze „za kre-

atywność, cierpliwość i trud włożony w realizację animacji";
II miejsce w tej kategorii oraz wyróżnienie otrzymał wyreżyserowany przez koszalinianina **Jacka Barzyckiego**, lidera zespołu „Gdzie Cikwiaty" **teledysk „Gorąca linia między nami"**, „za wartości estetyczne i filmową ilustrację materiału muzycznego";
III miejsce otrzymał **tryptyk „Strach. Próba. Komunikacja"**, w reżyserii Sylwii Kargol, „za odwagę w poszukiwaniu nowych form wyrażania emocji".

Ponadto Jury przyznało:
Wyróżnienie – dla filmu Małgorzaty Gryniewicz **„Skarby Ani K."** „za poruszający, ciepły obraz kobiety o ogromnej sile wewnętrznej i miłości do świata, mimo wszystko"; **Nagrodę Specjalną otrzymała bohaterka filmu „Skarby Ani K." „za osobowość, która poruszyła serca wszystkich".**

A mnie poruszyła szczególnie historia chorego lwa, opowiedziana przez twórców z Klubu Integracyjnego Towarzystwa Wspierania Inicjatyw Społecznych ALPI z Białegostoku i piękna opowieść-saga o niezwykłej, niewidomej aktorce i poetce w filmie Alicji Schatton „Podróż do zielonych cieni".

– Na nasz festiwal filmy napływają już niemal z całego świata. To one sprawiają, że integracja w tym miejscu jest tak interesująca. Myślę, że także to, że spotykają się tutaj ludzie szczególnie wrażliwi, których interesują podobne sprawy, mogą na tych samych płaszczyznach intelektualnych i emocjonalnych rozmawiać, a przy tym oczekują oferty kulturalnej na dobrym poziomie. To już naprawdę rzesza ludzi, którzy byli obecni na koszalińskich (przedtem kołobrzeskich) festiwalach filmowych. Coraz śmielej idea integracji idzie w świat. To pokłosie wszystkich festiwali, a dla nas zaszczyt i powód do dumy.

Bez tabu, bez uprzedzeń, bez koturnów

Prezentowane na koszalińskim festiwalu filmy dotykają nierzadko spraw trudnych, a nawet bolesnych, przedstawiają codzienne życie osób niepełnosprawnych w zderzeniu z przeciwnoś-



fot. archiwum EFF

ciami losu, często jednak w sposób żartobliwy i humorystyczny, budząc śmiech i aplauz widowni. Absurdalne sytuacje, nieprzewidziane zwroty akcji, odwrócenie ról – jak w zwycięskim filmie „Jak po maśle" – pozwalają spojrzeć na traumę niepełnosprawności z pewnym dystansem, bardziej kpiarsko i bez uprzedzeń.

W 2009 roku szczególną uwagę widzów przykuła z pewnością dramatyczna historia Fiony i Dorna – dwojga nauczycieli podmiejskiej szkoły tańca, opowiedziana z ogromnym poczuciem humoru w fantastycznej, zaskakującej belgijsko-francuskiej „Rumbie". To całkowicie inne, nowatorskie spojrzenie na problemy osób niepełnosprawnych i zdecydowanie nowa wartość tego Festiwalu.

Zupełnie wyjątkowa atmosfera, kontakt z ludźmi wrażliwymi, pełnymi pasji i afirmacji życia wystawiają bardzo wysoką ocenę artystyczną i społeczną temu unikatowemu wydarzeniu, które dawno już przekroczyło granice Polski, a nawet Europy.

Bartosz Szpurek

Niepełnosprawność z różnej perspektywy

Od kilku lat śledzę i analizuję zaangażowanie różnych instytucji oraz aglomeracji miejskich w sferę propagowania tak problemów, jak i sukcesów osób niepełnosprawnych w Polsce. Urzędnicy czy pracownicy miejskich ośrodków kultury często nie dostrzegają swoich niepełnosprawnych mieszkańców, tym samym nie dając im możliwości uczestniczenia w ciekawych przedsięwzięciach kulturalnych. Nadal brakuje w kraju osób kreatywnych, które chcą pokazywać nie zawsze zrozumiały dla wszystkich, ale magiczny świat osób niepełnosprawnych. Koszalińska Biblioteka Publiczna, wraz z Koszalińskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym organizatorzy Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja – Ty i Ja" jako jedyna w Polsce nie tylko przybliża nam ten świat, ale przede wszystkim buduje i wzmacnia pozytywne relacje z osobami z różną niepełnosprawnością.

VI Festiwal „Integracja Ty i Ja", w którymi miałem zaszczyt uczestniczyć i oceniać zakwalifikowane do konkursu produkcje filmowe, pomógł mi jeszcze lepiej poznać potrzeby, pragnienia i problemy osób niepełnosprawnych w Polsce i w innych krajach Unii Europejskiej. W sali kinowej nie tylko z uwagą analizowałem fabułę poszczególnych produkcji, ale także obserwowałem reakcje i emocje widzów, którzy przyszli tutaj zgłębić wiedzę na temat niepełnosprawności. Niektórzy śmiali się w nieodpowiednich momentach, bez zastanowienia, inni wydawali się znużeni niektórymi filmami, ale najważniejsze jest to, że chcieli tu być, że czuli taką potrzebę.

Koszaliński festiwal jest jedyną w kraju imprezą filmową w całości poświęconą problemom niepełnosprawności pokazywanym z różnej perspektywy, od początku do końca zorganizowaną profesjonalnie. Tutaj spotykają się miłośnicy kinematografii, twórcy, osoby niepełnosprawne i działające na rzecz niepełnosprawnych. To właśnie w sali kinowej Koszalińskiej Biblioteki Publicznej można obejrzeć produkcje, które dotychczas nie były i, być może, nigdy nie zostaną wyemitowane w żadnej z polskich stacji telewizyjnych. Nie wszystkie prezentowane na festiwalu filmy fabularne, dokumentalne i amatorskie zapiszą się na kartach historii kina europejskiego, ale mimo wszystko warto je zobaczyć i podjąć trud analizy problemów w nich ukazanych.

Festiwal, jak sama nazwa wskazuje, ma na celu integrować, zbliżać ludzi do siebie. Myślę, że ten cel został osiągnięty. W Koszalinie przełamywane są wszelkie bariery, nawiązują się nowe przyjaźnie. Tutaj każdy jest mile widziany.

MISCELLANEA



Koszalińskie obchody 20. rocznicy pierwszych wolnych wyborów rozpoczęły się 2 czerwca, od konferencji popularnonaukowej „1989. Narodziny wolności. Wybory czerwcowe w Koszalinie". Konferencja odbyła się Koszalińskiej Bibliotece Publicznej. Poprzedzona została otwarciem w galerii „Region" wystawy o tym samym tytule. Cykl wykładów zakończył panel dyskusyjny z udziałem prelegentów – uczestników i bohaterów wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Wręczono również odznakę Gryfa Zachodniopomorskiego Zarządowi Regionu Koszalińskiego „Pobrzeże" NSZZ „Solidarność". W spotkaniu brał udział prezydent Mirosław Mikietyński.

4 czerwca, w holu na pierwszym piętrze Ratusza, nastąpiło otwarcie Galerii Prezydentów Koszalina, którzy sprawowali urząd po 1945 roku. Rocznicy poświęcona była uroczysta Sesja Rady Miejskiej oraz akcja parateatralna na Rynku Staromiejskim, zatytułowana „Narodziny wolności", zakończona projekcją filmu Rogera Watersa – „The Wall". Częścią akcji z udziałem młodzieży z Centrum Kultury 105 było zburzenie symbolicznego muru.

O konferencji pisze jeden z jej uczestników, doktor Leszek Laskowski z Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Leszek Laskowski

Narodziny wolności

Na zorganizowanej w dwudziestą rocznicę historycznego przełomu sesji popularnonaukowej zatytułowanej „1989. Narodziny wolności: wybory czerwcowe 1989 roku w Koszalińskiem", w sali Koszalińskiej Biblioteki Publicznej spotkali się naukowcy, uczestnicy i świadkowie wydarzeń, mieszkańcy miasta i regionu. Organizatorami sesji i towarzyszącej jej wystawy były: Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie, Archiwum Państwowe w Koszalinie, Muzeum w Koszalinie, Koszalińska Biblioteka Publiczna im. J. Lelewela. Patronat nad imprezą objął Prezydent Koszalina Mirosław Mikietyński. Honorowym gościem spotkania był bp Edward Dajczak, ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej.

Dr Sebastian Ligarski, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie, omówił propagandę w czasie wyborów 1989 r. Zwrócił uwagę, że „Solidarność" miała już wcześniejsze doświadczenia wyborcze – w latach osiemdziesiątych w czasie jednej z kampanii wyborczych do Sejmu PRL przeprowadziła akcje ulotkowo-plakatowe nawołujące do bojkotu. W czerwcu 1989 r. brak dostępu do mediów rekompensowano poprzez działalność podziemnego radia „Solidarność", czy radia „Wolna Europa". Kampania opozycji opierała się na prostym i skutecznym pomyśle. Na plakatach był Lech Wałęsa i poszczególni kandydaci, często w swetrach, nieogoleni, ale naturalni – wrażenie było piorunujące. Powstał mit niepodzielności środowiska opozycyjnego, a przecież było wiadomo, że nie wszyscy akceptują działania L. Wałęsy.

Danuta Szewczyk, z Muzeum w Koszalinie, przedstawiła odnowienie struktur NSZZ „Solidarność" w regionie przed wyborami 4 czerwca 1989 r. Zwróciła uwagę, że w stanie wojennym w regionie koszalińskim działały podziemne struktury Związku: Regionalny Komitet Strajkowy (luty 1982 r. – luty 1983 r.), Komitet Samoobrony NSZZ „Solidarność" Region „Pobrzeże", powstała w sierpniu 1982 r. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność" Region „Pobrzeże". Następna faza ożywienia podziemnej działalności związkowej nastąpiła w 1987 r., wkrótce po pielgrzymce Jana Pawła II do Polski. 22 sierpnia 1987 r. grupa działaczy z regionów koszalińskiego i słupskiego powołała Międzyregionalną Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność" Pomorza Środkowego Koszalin-Słupsk, która 25 lutego 1989 r. przekształciła się w Tymczasowy Zarząd Regionu „Solidarności" Pomorza Środkowego. 11 lutego 1989 r., na za-

proszenie Pawła Michalaka – przewodniczącego Zarządu Regionu „Pobrzeże" NSZZ „Solidarność" z 1981 r., w Katedralnym Domu Parafialnym odbyło się spotkanie, na którym zdecydowano o odnowie struktur Związku, powołując Regionalną Komisję „Solidarności" w Koszalinie. Między dwoma nurtami odradzającego się ruchu trwało napięcie i rywalizacja aż do powołania wspólnej struktury. Kroki umożliwiające zjednoczenie podjęto 6 maja 1989 r. w Szczecinku, na spotkaniu środowisk odradzającego się Związku. Ostatecznie 12 maja1989 r. na zebraniu w Białogardzie utworzono Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" Regionu Koszalińskiego z przewodniczącym Klemensem Bielińskim. Nastąpił kres rozłamu i przełom w odnowieniu lokalnych ogniw ruchu.

Paweł Michalak zarysował działalność Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności" w Koszalinie, którego był wiceprzewodniczącym. Przedstawił konflikt wewnątrz WKO dotyczący wystawienia kandydatów do parlamentu. Wspominał: – *Nie było łatwo – kandydatów należało wyłonić do 10 maja (PZPR liczyła, że się nie dogadamy i nie zorganizujemy). Piętrzyły się trudności z lokalem, kontami bankowymi, pieczątkami. Koncesjonowane były informacje na temat działalności WKO w prasie partyjnej – innej nie było. Dlatego nastawiliśmy się na bezpośrednie kontakty z wyborcami. Jeździliśmy z kandydatami po województwie. Przypomnę ich hasła wyborcze: Gabriela Cwojdzińska – „Wierność Polsce i Kościołowi, wiara w prawdę i sprawiedliwość", Jerzy Madej – „Gospodarki nie można uzdrowić bez zmian systemu politycznego", Franciszek Sak – „Żeby Polska była Polską", Bogusław Pałka – „Zbudujemy nowy dom dla wszystkich". Jak na dzisiejsze warunki kampania była siermiężna i skromna, ale ukuliśmy nośne hasło – „Głosuj tak: Cwojdzińska, Madej, Sak". Pamiętam kilka spotkań z wyborcami, np. Sucha Koszalińska, Tymień – zapełnione sale budynków szkół, entuzjazm, ale i trudne pytania (np. o aborcję). Szczególnie zapamiętałem spotkanie z naszymi kandydatami w wypełnionym po brzegi amfiteatrze koszalińskim. 4 czerwca był dla nas dniem zwycięstwa, a klęską dla PZPR. Był dla nas początkiem Wolnej Polski. Społeczeństwo uchyliło furtkę do aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym nowych sił, nowych ludzi. Zwyciężyła demokracja na 35%.*

Artur Kubaj, z Oddziału IPN w Szczecinie, omówił kampanię wyborczą do parlamentu w 1989 r. w województwie koszalińskim. Ukazał napięcia dotyczące wyłonienia kandydatów opozycji do parlamentu, wynikające z konfliktu pomiędzy dwoma zasadniczymi grupami „solidarnościowymi", ostateczne załagodzenie tego sporu i sposób prowadzenia kampanii przez opozycję. A. Kubaj przedstawił także działania koszalińskiej Służby Bezpieczeństwa wobec



fot. archiwum KBP

osób zaangażowanych w proces wyborczy.

Robert Borucki, z Archiwum Państwowego w Koszalinie, dokonał analizy zasobów AP odzwierciedlających kampanię wyborczą 1989 r. W kwietniu 1989 r. KW PZPR powołał Wojewódzki Sztab Wyborczy pod przewodnictwem I sekretarza KW Eugeniusza Jakubaszka. W jego prezydium znaleźli się wyłącznie członkowie ścisłego kierownictwa KW. Członkowie koalicji zostali z niego wykluczeni. Własne sztaby tworzyły później wszystkie ugrupowania koalicji. W łonie koalicji doszło do ostrego konfliktu co do wystawienia wspólnych kandydatów do Senatu – wbrew naciskom KW PZPR Stronnictwo Demokratyczne zgłosiło dwie osoby do izby wyższej parlamentu. Komitety rejonowe PZPR szczególną niechęć przejawiały w promowaniu bezpartyjnych kandydatów popieranych przez koalicję, co czasami wymagało interwencji sztabu wyborczego KW PZPR. Łącznie w okresie całej kampanii wyborczej koalicja zorganizowała ok. 600 imprez, w których wzięło udział ok. 140 tys. mieszkańców. Każdy z kandydatów na posłów i senatorów ze strony koalicji odbył od 30 do 60 spotkań przedwyborczych. Działania propagandowe prowadzone były na niespotykaną do tej pory skalę. Najbardziej widocznym elementem propagandy wyborczej koalicji były plakaty, afisze, ulotki i inne druki, których łącznie koalicja wydała ponad 750 tys. sztuk. Mimo zdecydowanego zwycięstwa opozycji w pierwszej turze wyborów Koszalińskie znalazło się w grupie siedmiu województw, w których opozycja zdobyła najmniejszy procent głosów, a wszyscy kandydaci z listy krajowej uzyskali powyżej 50% poparcia.

Leszek Laskowski, z Koszalińskiej Biblioteki Publicznej im. J. Lelewela, mówił o przełomie politycznym 1989 r. w lokalnej prasie. Rynek prasy w regionie koszalińskim zdominowany był przez tytuły prasowe służące PZPR i stronie koalicyjno-rządowej jako całości. Jedyny dziennik, „Głos Pomorza", był organem PZPR. Partii również służył wydawany w Słupsku, a adresowany do czytelników całego Pomorza Środkowego, tygodnik społeczno-polityczny „Zbliżenia". Miesięcznik społeczno-kulturalny „Pobrzeże" nie angażował się w meandry bieżącej polityki. W „Głosie Pomorza" i „Zbliżeniach" odbicie znajdowała strategia propagandowa obozu władzy, w ramach której lokomotywą wyborczą był startujący do Senatu Aleksander Kwaśniewski, którego kampanię powiązano z jego działalnością w rządzie i obecnością w centralnych mediach. Poziom „Zbliżeń", balansujących między oceną sytuacji w kraju i regionie a polityką wewnątrzpartyjną, odbiegał in plus od toporności języka organu partyjnego jakim był „Głos Pomorza". Opozycja „solidarnościowa" wydawała wznowione w lutym 1989 r. pismo „Sierpień'80", będące skromną objętościowo i nieregularną kontynuacją wydawanego przed stanem wojennym tygodnika Regionu „Pobrzeże" NSZZ „Solidarność". W końcu maja 1989 r. rozpoczęto oficjalnie wydawać „Gazetę Wyborczą Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego w Koszalinie" – ukazały się dwa numery. Pisma dosięgły ingerencje cenzorskie. Na obszarze Pomorza Środkowego rozprowadzano ukazujące się nieregularnie „Oko", ale dominowała w nim przede wszystkim tematyka regionu słupskiego. W Szczecinku ukazywał się „Wolny Głos". Tuż przed wyborami wydano nr 1 „Tygodnika Wyborczego" – obejmującego swoim zasięgiem województwa elbląskie, gdańskie, słupskie i koszalińskie.

Koszalińską sesję podsumowała dyskusja panelowa z udziałem: Wiesława Romanowskiego – w 1989 r. przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności" w Koszalinie, Pawła Michalaka, Romana Tabisza – w 1989 r. przewodniczącego Klubu Inteligencji Katolickiej i wiceprzewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności", Bogusława Pałki – w 1989 r. wybranego na posła z listy opozycji, Jerzego Madeja i Gabrieli Cwojdzińskiej – wybranych w 1898 r. do Senatu, dr. Marcina Stefaniaka – dyrektora Oddziału IPN w Szczecinie i dr. Sebastiana Ligarskiego.

Leslie Baruch Brent urodził się w przedwojennym – niemieckim więc – Koszalinie. Jego rodzina wojny nie przeżyła. On jeden ocalał z Zagłady, znajdując ratunek w jednym z„kindertransportów" – *Refugee Children Movement*. Dzięki decyzji rządu brytyjskiego i ofiarności brytyjskich obywateli, po „kryształowej nocy" 9 listopada 1938 roku uratowano 10 tysięcy żydowskich dzieci, wywożąc je z Niemiec i krajów włączonych do III Rzeszy.

Wśród nich był prof. Leslie Brent, obywatel Wielkiej Brytanii, członek nagrodzonego nagrodą Nobla zespołu naukowców – immunologów. W swych wydanych w roku 2009 w Wielkiej Brytanii memuarach wspomina on spędzone w Köslin dzieciństwo i obecne swe powroty – już do polskiego Koszalina i tutejszych przyjaciół. Poniższe fragmenty przetłumaczone zostały na język polski specjalnie dla Czytelników „Almanachu".

Leslie Baruch Brent
tłum. Jupi Podlaszewski

W czepku urodzony?

Memuar

(*fragmenty książki wydanej w 2009 roku w Wielkiej Brytanii przez Bank House Books)*

Część pierwsza: Kamień nagrobny

Odkrycie

W lipcu 1999 otrzymałem fax od Zdzisława Pacholskiego, polskiego fotografika mieszkającego w Koszalinie opodal Morza Bałtyckiego. Napisał: „Dziękuję bardzo za list, to naprawdę smutna historia. Mam jednak dla Pana dobrą wiadomość (mam nadzieję). Sądzę, że znalazłem kamień nagrobny pańskiej rodziny. David Baruch, urodzony w 1840, granit, napisy po niemiecku i hebrajsku. Czy może był to pański dziadek?".

Wiadomość ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Przed II Wojną Światową Koszalin nazywał się Köslin; to właśnie tam aż do 1938 roku mieszkała moja rodzina. Nazwisko rodowe mojej rodziny faktycznie brzmiało Baruch. Oprócz jednego wujka i jednego kuzyna cała moja rodzina została zabita przez Niemców podczas wojny. Kiedy odwiedziłem Koszalin po raz pierwszy w 1989 roku, zobaczyłem miasto poważnie przebudowane po rozległych zniszczeniach spowodowanych przez walki oddziałów armii niemieckiej i sowieckiej pod koniec wojny. Niemieckie miasto Köslin stało się całkowicie polskim Koszalinem. Ogromną synagogę naziści spalili do cna podczas pogromów Kryształowej Nocy 9 listopada 1938 r., a „nowy" cmentarz żydowski zajęła Politechnika Koszalińska; na tyle, na ile mogłem się zorientować, w mieście nie pozostał już ani jeden Żyd. A przecież nieoczekiwanie okazało się, że przetrwał był rodzinny relikt.

Szalenie podekscytowany pobiegłem do gabinetu sprawdzić podane nazwisko na drzewie genealogicznym, które mój „amerykański" kuzyn Warren Munroe (wcześniej Wolfgang Münzer) przesłał mi przed laty. Tak, rzeczywiście był tam David Baruch – nie tyle mój dziadek ze strony ojca, co jego młodszy brat, którego nigdy nie poznałem. Natychmiast wysłałem fax do Zdzisława (Zibi w skrócie), by zadać mu wszystkie oczywiste pytania, a szczególnie to, gdzie kamień znaleziono – a także, czy jest na tyle mały, by można go było przewieźć do Londynu w naszym samochodzie!

Okazało się, że Zibi odnalazł kamień w lokalnym muzeum, dokąd trafił znaleziony wcześniej przez przyjaciela Zibiego w płytkim strumieniu płynącym przez niższe partie miasta. Strumieniu, w którym we wczesnym dzieciństwie szukałem cierników. Zastanowiła mnie wielce jedna rzecz. Doskonale pamiętam cmentarz żydowski, małą, ale dobrze utrzymaną enklawę z grobami okolonymi niskimi żywopłotami z bukszpanu, które odwiedzaliśmy okazjonalnie, by opiekować się grobami członków rodziny; jednakże cmentarz ów był na wzgórzu, w sporej odległości od rzeczki!

Z pewnością wandale nie zadaliby sobie tyle

trudu, by przenieść go aż tutaj? Mój kuzyn Warren wkrótce rozwiązał tę zagadkę: chociaż „nowy" cmentarz był na wzgórzu, to stary faktycznie usytuowany był w dolinie opodal strumienia.

Ponieważ kamień nagrobny mojego stryjecznego dziadka okazał się być jedynym żydowskim zabytkiem ocalałym w tym polskim mieście, zasugerowałem Zibiemu możliwość wykorzystania go jako pomnika upamiętniającego społeczność żydowską, wraz ze stosowną tablicą, być może w pobliżu miejsca po synagodze. Uczyniłem to w pewnym zatrwożeniu wiedząc o antysemityzmie, jaki cechował życie polskie przed wojną; ponadto, nie sądziłem, że Zibi uzna pomysł za wykonalny. Jednakowoż zaoferowałem pomoc i udział w kosztach wzniesienia takiego pomnika. Zibi odpowiedział natychmiast: podobna myśl przyszła i jemu do głowy i postanowił przedyskutować ją w gronie „pewnych przyjaciół" z miasta. I rzeczywiście, kilka lat później kamień powrócił na miejsce swojego pierwotnego spoczynku (Epilog, str. 287).

Pierwsza wizyta w Koszalinie

Podczas mojej pierwszej wizyty w Koszalinie w 1989 roku wraz z moją poprzednią żoną Joanne zapukaliśmy do drzwi tego mieszkania na trzecim piętrze w budynku, który przetrwał wojnę zaledwie draśnięty tu i ówdzie. Nawet ceramiczne kafelki w holu wejściowym, każdy z wizerunkiem muszli lub innego stworzenia morskiego, były nietknięte. Byliśmy uzbrojeni w notkę, w języku polskim sporządzoną przez kogoś w naszym hotelu. Zawierała wyjaśnienie mówiące, że mieszkałem tutaj przed wojną oraz prośbę do obecnych lokatorów o łaskawe zezwolenie na obejrzenie mieszkania ku czci starych czasów. Andrzej i Małgorzata Michałkowie nie mówili ani po angielsku, ani po niemiecku, jednak zdołali jakoś przekazać nam, że woleliby, byśmy powrócili nazajutrz po południu, co uczyniliśmy. Małgorzata czekała z upieczonym przez siebie pysznym ciastem i dzbankiem kawy. Komunizm w Polsce miał się ku końcowi i warunki były surowe – wiedzieliśmy, że wykonano w naszą stronę szczególny gest. Wszedłem do mieszkania z bijącym sercem i mieszanymi uczuciami. Tak! – na końcu pokoju stołowego stał wciąż ten sam kaflowy piec, przy którym siadywaliśmy grzejąc plecy i miał nawet zagłębienie, w którym piekliśmy jabłka. I drugie tak – na zewnątrz kuchennego okna był ten sam mały balkonik, na którym spędziłem niejedną godzinę żeglując przez morza moim okrętem – może do Anglii? Ułamkami niemieckiego i angielskiego, za pomocą słownika i dramatycznych gestów udało się nam wytłumaczyć naszym gospodarzom powód tej raczej nadzwyczajnej wizyty. Od tamtej pory posyłamy sobie kartki świąteczne. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Rok po naszej wizycie Andrzej i Małgorzata opuścili mieszkanie i przeprowadzili się do domu zbudowanego przez siebie na skraju miasta; tam właśnie okazało się, że są sąsiadami Zibiego. Opowiedzieli Zibiemu (Małgorzata ze łzami w oczach) i jego żonie Janinie o mnie, przez co w pośredni sposób zostali wplątani w historię z kamieniem nagrobnym.

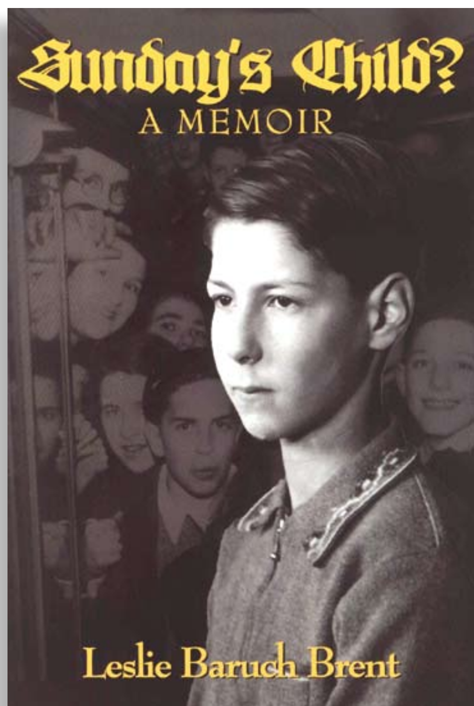
O ile moja pierwsza wizyta w Koszalinie wraz z żoną Joanne oraz synem Simonem była bolesna i miała wymiar katharsis, o tyle późniejsze podróże, w których towarzyszyła mi moja druga żona Carol, okazały się być przyjemne i ekscytujące, gdyż miałem tam już zawsze czekających na mnie przyjaciół.

Zibi jest człowiekiem wszechstronnym, z sercem na właściwym miejscu, a jego fotografie prezentowane były zarówno w Niemczech jak i w Polsce. W roku 2000 opublikował fotograficzną historię Koszalina i poprosił mnie, bym napisał do niej komentarz, co z chęcią uczyniłem. Tekst ten był wysoce pochlebny, ale także wykazywał, że pomimo zawartych w albumie scen z przedwojennego Koszalina, nie było w nim bezpośrednich odniesień do faktu, że przed II wojną światową Koszalin był typowym niemieckim miastem targowym; tu wyraziłem pogląd, że Koszalin z czasów nazizmu byłby również wart omówienia. Czy to pominięcie było umyślne i miało oszczędzić uczucia polskich

czytelników? (Tekst w książce był trójjęzyczny: polski, niemiecki i angielski).

Do Koszalina powracałem trzy razy, każdorazowo w towarzystwie Carol. Wizyta w 2001 była całkowicie prywatna; moi koszalińscy przyjaciele sprawili, że była przeżyciem wdzięcznym, przyjemnym i radosnym. Przyjechawszy tym razem samochodem mieliśmy możliwość swobodnej eksploracji miasta i okolic, o wiele efektywniej niż to było możliwe w roku 1989; wreszcie zacząłem rozumieć nowy układ miasta i rozpoznawać pozostałości z minionej epoki. Odchodził ból powrotu do miasta, w którym spędziłem dzieciństwo; jego miejsce zajmowała teraz coraz bardziej przyjaźń i empatia Zibiego i jego żony Niny oraz Małgorzaty i Andrzeja.

Wizyta w roku 2005 była rezultatem oficjalnego zaproszenia Prezydenta i Rady Miasta, dzięki czemu spędziłem nadzwyczajny tydzień, honorowany na wiele sposobów; tydzień, który okazał się być jednym z najwspanialszych w moim życiu. Jego zwięzły opis znajduje się w Epilogu. Z szeregu oddzielnych wypadków utworzył ciąg zdarzeń, który ma swoją kontynuację – zdarzeń, które, jak sądzę, mają coś wspólnego z potrzebą uznania nie zawsze strawnej przeszłości Polaków w stosunku do ich żydowskich sąsiadów; przy pomocy silnego dążenia niektórych ludzi w Koszalinie, głównie Zibiego i Henryka Romanika – katolickiego księdza, przejawia się to w zachęcaniu społeczności do działań na rzecz pojednania. Postrzegam moją rolę w tym wszystkim jako katalityczną i emblematyczną. Nasza wizyta w Koszalinie w 2006 roku, tym razem na zaproszenie Politechniki Koszalińskiej, była równie doniosła. Także i tę wizytę ująłem w Epilogu. Wydaje się, że zostałem „zaadoptowany" przez miasto w dziwny i ciepły dla serca sposób i że zawsze będę tam mile widziany – cóż za nadzwyczajny zwrot w stosunku do zdarzeń z 1938 roku, kiedy byłem zmuszony opuścić niemieckie miasto moich urodzin w kompletnym chaosie i pod jakże złowrogim przymusem.



Epilog /…/

Oficjalne zaproszenie od Miasta Koszalin

Rozpocząłem niniejsze wspomnienia od wydarzenia w Köslin (Koszalin), stąd nie będzie niewłaściwym, by zakończyć je podsumowaniem niektórych z ostatnich bardziej poruszających zdarzeń, jakie miały miejsce w mieście moich urodzin.

Oto absolutnie największe koło, które wykonało swój pełny obrót. W czerwcu 2005 Carol i ja spędziliśmy w Koszalinie tydzień, tym razem jako honorowi goście Prezydenta i Rady Miasta. Ewidentnie, Zdzisław (Zibi) Pacholski, fotograf, który się ze mną zaprzyjaźnił, opowiedział Prezydentowi moją osobistą historię, a także o moim wkładzie w nagrodę Nobla dla Sir Petera Medawara, dzięki czemu zdecydowano się nie tylko zaprosić mnie, ale także zorganizować pewne nadzwyczajne zdarzenia wokół mojej wizyty. Ponieważ opisałem je w Magazynie Stowarzyszenia Uchodźców Żydowskich, tutaj pomieszczę jedynie zwięzłe podsumowanie.

Carol i ja traktowani byliśmy jak celebryci,

z najwyższym szacunkiem i honorami, gdziekolwiek się pojawialiśmy towarzyszyli nam dziennikarze oraz ekipy z radia i telewizji. Wydarzeniem najwyższej rangi była rewitalizacja starego cmentarza żydowskiego podczas uroczystego nabożeństwa, w którym uczestniczył Prezydent Koszalina, Biskup Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej, katolicki ksiądz Henryk Romanik oraz Żydzi z Koszalina, Warszawy i Gdańska. Cmentarz był absolutnie pusty, oprócz pamiątkowego kamienia i małego cyprysa, ale w intencji było przeniesienie kamienia nagrobnego mojego stryjecznego dziadka z powrotem na cmentarz, z którego tak brutalnie go usunięto w 1938. Stało się to już faktem.

Kolejnym wydarzeniem było odsłonięcie tablicy w trzech językach na budynku, w którym mieszkałem z moją rodziną w latach trzydziestych; od Archiwum Państwowego otrzymałem oprawione w skórę akty urodzenia oraz akty śmierci i ślubów członków mojej rodziny; przyznano mi honorowe członkostwo Regionalnej Izby Lekarskiej; odbył się także wieczór „dialogu" pomiędzy mną i około 120 ludźmi stłoczonymi w małym teatrze (Teatrze Propozycji „Dialog" – dop. red.), którzy zadawali pytania na temat mojego życia; odbyło się sympozjum o transplantacji, a także dedykowany mi koncert chóralny. Nic dziwnego, że podsumowałem ten niezwykle emocjonujący tydzień tytułem: „Jak zacząłem wierzyć w cuda". (Tekst ten był publikowany w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2005" – dop. red.)

W maju 2006 r. zaproszono mnie do Koszalina ponownie. Tym razem byliśmy gośćmi Politechniki Koszalińskiej i tutaj raz jeszcze Zibi Pacholski i ks. Henryk Romanik zadziałali katalitycznie. Głównym powodem tego szlachetnego zaproszenia było odsłonięcie cudownie wyrzeźbionego pomnika w miejscu „nowego" cmentarza żydowskiego, którego teren został zabudowany obiektami Politechniki. Ponownie przeprowadzono ceremonię niezwykle podniośle i godnie i oto tamże, na trawniku przed budynkiem Politechniki, stoi obecnie pomnik ze stosowną tablicą informacyjną. W krótkim przemówieniu, o które mnie poproszono na chwilę przed uroczystością, wyjaśniłem, że w tym miejscu pochowano troje moich dziadków i że dla mnie owo upamiętnienie było niewiarygodnie ogromnym przeżyciem. Podczas tego tygodnia wygłosiłem także wykład z immunologii transplantacyjnej dla studentów i kadry Politechniki. Choć mało zaznajomieni z immunologią, okazali się być uważnymi i wdzięcznymi słuchaczami.

Pytanie, dlaczego Polacy w Koszalinie, którzy nijak nie ponoszą odpowiedzialności za to, co się tu działo przed II wojną światową, poczuwali się do uhonorowania mnie w taki sposób, jest całkiem uzasadnione. Zwraca ono także uwagę na fakt, że miasto miało niewielką, ale aktywną niemiecko-żydowską społeczność przed wojną. Podejrzewam, że to ma związek z potrzebą z ich strony, by skonfrontować własną antysemicką przeszłość i sięgnąć po ducha pojednania. (W ostatnich latach Zibi i Henryk zorganizowali tu procesje ze świecami do miejsc byłych cmentarzy żydowskich, by upamiętnić Kristallnacht – ten akt pamięci jest dla mnie szczególnie dojmujący.)

Dla Carol i dla mnie tygodnie spędzone w Koszalinie są nie do zapomnienia, dla ludzi tam – to był epizod. „Pamiętajmy o przeszłości i odbudujmy mosty" – stąd najwyższa doniosłość. Cieszyłem się, grając emblematyczną rolę w tym wszystkim, nawet jeżeli atencja, jakiej mi udzielano, czasami naprawdę była niezasłużona.

/…/

Niewątpliwie miałem trudne, a czasami bolesne dzieciństwo. Mój ojciec jednak miał rację mawiając, że byłem „w czepku urodzony".

W krytycznych momentach mojego życia miałem ogromne szczęście; udawało mi się budować moje życie na fundamentach miłości moich rodziców. Mam wielki dług wdzięczności wobec nich, zwłaszcza za to, że kiedy było trzeba kazali odejść i wyjechać.

Monika Szumowska-Chrabin

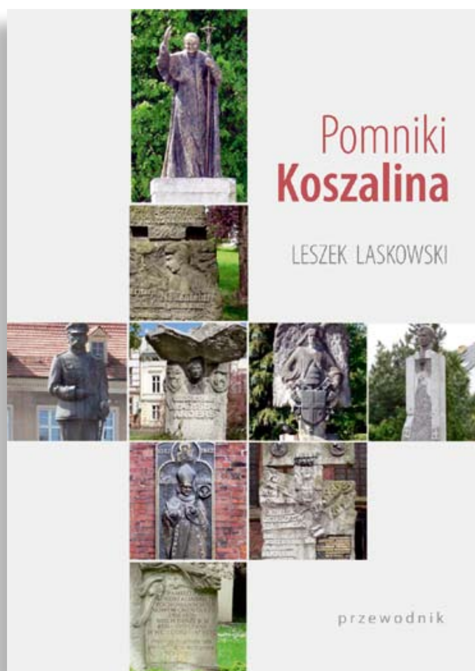
Koszalinianie lubią pomniki...

Gdyby przeprowadzić wśród mieszkańców Koszalina sondę „Ile mamy w mieście pomników?", gwarantowane, że większość indagowanych wymieniłaby raptem kilka: statuę papieża, „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy", może jeszcze Piłsudskiego. Niewielka książeczka dr. Leszka Laskowskiego, w formacie niemal kieszonkowym i z odpowiednim do tegoż skromnym podtytułem „Przewodnik", udowadnia jednak, że miejsc i form upamiętnienia słynnych postaci i ważnych wydarzeń jest w Koszalinie o wiele, wiele więcej.

Autor, doktor historii i pracownik Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, podjął się zadania iście heroicznego: spróbował skatalogować i opisać je wszystkie: od największych i najsłynniejszych po skromne, znane pewnie tylko wąskim grupom koszalinian (mieszkańcom określonych dzielnic, pracownikom pewnych instytucji, parafianom). Gwoli wyjaśnienia: Leszek Laskowski we wstępie do swej książki używa określania „upamiętnienie" i to ono chyba najlepiej określa jej zawartość. Nieśmiertelny „Słownik terminologiczny sztuk pięknych" Stefana Kozakiewicza definiuje pomnik jako „dzieło rzeźbiarskie lub architektoniczno-rzeźbiarskie, wzniesione dla upamiętnienia osoby lub zdarzenia historycznego, najczęściej w postaci posągu lub grupy rzeźbiarskiej, także kolumny, obelisku, budowli, sztucznie usypanego wzgórza (kopiec) czy naturalnego głazu". Jak widać, form jest wiele (Kozakiewicz wymienia także pomnik nagrobny, łuk triumfalny oraz „założenia architektoniczno-przestrzenne, upamiętniające pola walki, obozy koncentracyjne, miejsca straceń"), jednak w pracy Laskowskiego znajdziemy jeszcze inne, w klasycznej definicji pomnika się nie mieszczące, ale pełniące taką samą jak on funkcję: tablice pamiątkowe, drzewa, a nawet szklaną gablotę (z ziemią oraz fragmentami drzew pochodzącymi z miejsc kaźni). Dlatego termin „upamiętnienie", zdecydowanie bardziej pojemny, wydaje się tutaj zasadny.

I pomnikowe formy, bardziej tradycyjne, są jednak w Koszalinie nader liczne. Brakuje chyba tylko pomnika konnego i kopca. Są jednak i posągi (choćby pomniki Jana Pawła II i marszałka Piłsudskiego), i obeliski, i głazy, i – uwaga! – coś na kształt łuku triumfalnego, a mianowicie brama przed wejściem do kościoła pw. Ducha Świętego, upamiętniająca wizytę papieża w tej świątyni. Nawiasem mówiąc, który z parafian zastanawia się nad tym, że co niedzielę przechodzi pod pomnikiem (przez pomnik?)? A kto wie, ile w ogóle mamy w Koszalinie upamiętnień Jana Pawła II? Każdy wymieni monument przed katedrą, ale kto zna obelisk na terenie Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej albo „Anioła Pokoju", który witał dostojnego gościa podczas jego wizyty w seminarium duchownym? Oto niewątpliwa wartość książki Leszka Laskowskiego: jest ona przewodnikiem nie tylko dla gości Koszalina, ale i dla jego mieszkańców, którzy po lekturze być może uważniej rozejrzą się wokół, zauważając znaki pamięci o ludziach i wydarzeniach. Co stwierdzą podczas tych obserwacji? Cóż, może niektórzy powtórzą za Gałczyńskim „My, Polacy, lubim pomniki" – bo rzeczywiście, ich liczba zaskakuje. Widać, że jest to ulubiona przez nasz naród forma ucieleśnienia (jeśli tak można rzec) pamięci. Koszalińskie pomniki przypominają bowiem czasami o wydarzeniach krótkotrwałych i ważnych przede wszystkim dla małej grupy fun-

datorów – jak wspomniany obelisk na terenie „straży granicznej", postawiony po króciutkiej wizycie papieża, który miał w tym miejscu przesiadkę podczas koszalińskiej pielgrzymki. Obok budynku Politechniki Koszalińskiej przy ul. Śniadeckich spoczął głaz upamiętniający 40-lecie uczelni i towarzyszące mu posiedzenie rektorów polskich uczelni. Swoje pamiątkowe głazy mają też np. budowniczowie kościoła pw. św. Józefa Rzemieślnika, Polski Czerwony Krzyż oraz cały szereg osób ważnych dla dziejów Koszalina (w Alei Dębów Pamięci). Pomnik w kształcie kotwicy otrzymali mieszkańcy osiedla „Morskie" (fundatorem było Polskie Towarzystwo Nautologiczne). Złote czasy języka esperanto przypomina m.in. „Dąb Pokoju", który nie wyróżniałby się wśród innych drzew na jednym ze skwerów, gdyby nie posadowiony obok kamień ze stosowną inskrypcją. Jeszcze większa jest obfitość pamiątkowych tablic, poświęconych osobom i wydarzeniom zarówno o znaczeniu ogólnopolskim (Józef Piłsudski), jak i lokalnym (Leslie Baruch Brent, profesorowie Politechniki Koszalińskiej). Z drugiej strony taka drobiazgowość w odnotowywaniu ważnych wydarzeń jest cenna – i dla ich uczestników, i dla potomnych. Dotyczy ona nie tylko historii najświeższej, ale i tej odleglejszej, znanej niewielu, a niewątpliwie istotnej dla budowania tego, co zwiemy tożsamością lokalną. Oto pomnik-głaz „Drogi do wolności", poświęcony polskim więźniom, którzy budowali drogę z Koszalina do Sianowa. Oto Głaz Pamięci Gminy Żydowskiej, posadowiony w miejscu, w którym stała synagoga (spalona podczas „Nocy kryształowej"), głaz upamiętniający miejsce pochówków żydowskich z XVIII-XIX w., kamienny pomnik na terenie tzw. nowego cmentarza żydowskiego. Są to lekcje historii dla współczesnych mieszkańców, swoiste drogowskazy na drodze do świadomości „bycia koszalinianinem". Upamiętnienia „dopowiadają" także tożsamość budynków, wciąż pełniących przeznaczoną sobie funkcję, jak choćby szpitala wojewódzkiego, na terenie którego znajdują się: pomnik prowadzącego ów szpital przed



Leszek Laskowski, Pomniki Koszalina. Przewodnik, wyd. Koszalińska Biblioteka Publiczna, Koszalin 2009.

wojną ewangelickiego zgromadzenia „Salem" oraz obelisk Gustava von Eisenhardt-Rothe, starosty koszalińskiego, który budowę szpitala zainicjował i sfinansował. Skrupulatny autor odnotował nawet takie formy upamiętnienia, jak umieszczone w koszalińskich szkołach tablice poświęcone ich patronom.

Koszalińskie pomniki to także bardzo wyraziste znaki zmieniających się epok i ustrojów. To nie tylko pomniki papieża, ale także kontrowersyjny monument „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy" przed ratuszem albo pomnik „Zwycięskiej Armii Radzieckiej", czule zwany przez koszalinian „kidnaperem", który, choć ustąpił miejsca na placu Zwycięstwa pomnikowi Marszałka, bynajmniej nie został rozebrany, lecz przeniesiony na cmentarz wojenny, gdzie pozostaje znakiem swoich czasów i – bodaj najbardziej wyrazistym – przykładem sztuki socrealistycznej w mieście.

Osobnym tematem jest artystyczna forma skatalogowanych w książce dzieł. I tu można by poprzestać na ogólnikowym stwierdzeniu, że koszalinianie są w swych artystycznych gustach zachowawczy, że lubią realizm i klasyczną, jeśli tak można rzec, symbolikę pomnikową. Postać/popiersie/twarz bohatera upamiętnienia plus cytat z tegoż plus symbole religijne albo/i patriotyczne – oto schemat, wedle którego sporządzana jest większość miejscowych (ale chyba w ogóle polskich) pomników. Jednak nie byłaby to precyzyjna definicja, bowiem zdarzają się i dzieła o formach abstrakcyjnych, jak choćby wspomniany już obelisk na terenie COSSG. Bywają też prace zaskakujące nie tyle formą, co samym pomysłem, jak słupy graniczne (przed wojną wyznaczające granicę polsko-niemiecką w okolicy Chojnic oraz granicę polsko-rumuńską), ustawione przy wejściu do głównej siedziby Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej. Dziełem zupełnie osobnym są „Płonące ptaki" – jak zwykło się nazywać pomnik autorstwa Władysława Hasiora (mało kto pamięta, że jego tytuł brzmi: „Tym, którzy walczyli o polskość i wolność Pomorza"). Osobnym ze względu i na rangę autora (prawda, dziś różnie ocenianego, jednak o sławie ponadlokalnej), i na swą formę albo raczej formułę, która z ustawionych w pewnym porządku stalowych rzeźb czyni ożywione ogniem widowisko. Może dlatego wiele osób w ogóle nie przypisuje temu obiektowi charakteru upamiętniającego, traktując go li tylko jako wytwór sztuki współczesnej. „Ptaki" nie wszystkim się podobają, ale nikt nie zaprzeczy, że stały się jednym z symboli Koszalina – podobnie jak nie mniej kontrowersyjny pomnik przed ratuszem.

Każdy ze stu dwóch przedstawionych w książce obiektów opisany został w krótkiej notce, zwykle opatrzonej zdjęciem (na końcu znajdziemy informacje o mniejszych dziełach, bez zdjęć). Styl tych opisów jest, zgodnie z podtytułem, przewodnikowy: prosty, oszczędny i obiektywny. Leszek Laskowski przedstawia lokalizację monumentu, datę odsłonięcia, nazwiska fundatorów, daje też szczegółowy opis. Czasami rozwija wątek okoliczności ufundowania pomnika – próżno jednak szukać tu jakichś smakowitych anegdot, autor konsekwentnie trzyma się formuły przewodnika. Nie jest to zatem lektura z cyklu historycznych gawęd, a rzetelna informacja o koszalińskich upamiętnieniach, źródło wiedzy dla turystów i dla lokalnych wielbicieli historii, dla nauczycieli realizujących programy edukacji regionalnej i dla studentów, którzy pragną poświęcić Koszalinowi swoją pracę licencjacką lub magisterską. Ten ostatni trop wydaje mi się szczególnie ciekawy: nie wiem, czy takowe prace już powstały lub powstają, ale myślę sobie, że hasło „koszalińskie pomniki" to arcybogate źródło tematów. Można zastanawiać się nad ikonografią, nad formami plastycznymi, treścią inskrypcji, można skupić się na autorach, bohaterach albo chronologii, wreszcie – potraktować upamiętnienia jako „znaki czasu" na szerszym tle historycznym, spróbować określić ich odbiór społeczny w momencie powstania i współcześnie. Możliwości jest wiele – kto by pomyślał, że znajdzie się ich tyle w mieście uchodzącym za „niezabytkowe"?

Tove Smidth urodziła się w 1923 roku. W latach 1963-1989 pracowała w Duńskim Radiu. Przez kilka kadencji samorządu (w latach 1966-1983) zasiadała w radzie miejskiej Gladsaxe, z ramienia Duńskiej Partii Socjaldemokratycznej. Zaangażowana była w prace międzynarodowych stowarzyszeń organizujących obozy dla dzieci. W latach 1970-1974 była wiceburmistrzem i przewodniczącą komitetu do spraw socjalnych. Od 1974 do 1983 roku była burmistrzem Gladsaxe. Już w 1967 roku nawiązała kontakty partnerskie z miastem spoza „żelaznej kurtyny". W latach następnych organizowała wymianę młodzieży, a w okresie stanu wojennego (1981-1982) – transporty z zaopatrzeniem dla Koszalina. Umożliwiła też wyjazd setkom młodych ludzi na Zachód.

Jupi Podlaszewski

Zimna wojna, żelazna kurtyna, stan wojenny...

Naszym celem była przyjaźń

Z Tove Smidth, która 22 września 2009, podczas sesji Rady Miejskiej, otrzymała Medal za Zasługi dla Koszalina, rozmawia Jupi Podlaszewski.

Jupi Podlaszewski: Tym razem przyjechała pani do Polski w celu diametralnie odmiennym od tego, który przyświecał chyba wszystkim poprzednim pani wizytom w Polsce?

Tove Smidth: Dwa lata temu gościliśmy w Gladsaxe delegację bliźniaczego miasta z Polski, z Koszalina. Jako ex-burmistrz uczestniczyłam w tym wydarzeniu. Ponownie spotkałam się wtedy z obecnym prezydentem Mirosławem Mikietyńskim, którego poznałam wcześniej pomagając przy adopcji dziecka, o co z kolei prosiła mnie para przyszłych rodziców z Gladsaxe. Pomagał nam w tym lekarz z koszalińskiego szpitala. Udało się adoptować chłopca.

J.P.: Pani działania na rzecz zbliżenia, a później także niesienia szeroko pojętej pomocy humanitarnej, sięgają wczesnych lat sześćdziesiątych...

T.S.: Jestem już bardzo leciwa (uśmiech)... Nie istniały wówczas, po okresie „zimnej wojny", żadne kontakty poprzez „żelazną kurtynę". A nam zależało na wychowywaniu dzieci i ludzi młodych bez jakichkolwiek uprzedzeń. Kiedy więc zetknęłam się z zachodnią organizacją zajmującą się organizowaniem międzynarodowych obozów dla dzieci i młodzieży, zrozumiałam, że była to Brama nr 1 wiodąca do celu. Miałam szczęście uczestniczyć w konferencji w Warszawie, gdzie poznałam wielu przyjaznych ludzi, m.in. z ZHP. Okazali się bardzo pomocni, gdy zwróciłam się z prośbą o pomoc w organizacji wymiany. Bramą nr 2 okazało się radio. Jestem dziennikarką, więc zasugerowałam robienie programów z Polski i o Polsce. Zrobiłam szereg takowych, co przysporzyło mi jeszcze więcej znajomych i przyjaciół. W 1966 roku zostałam członkiem Rady Miasta Gladsaxe, i zdałam sobie wówczas sprawę, że mamy mnóstwo bliźniaczych miast, ale wszystkie na Zachodzie. Postanowiłam pójść do Ambasady Polskiej. Na spotkaniu z ówczesnym ambasadorem, który zdecydował się pomóc, na jego pytanie: gdzie w Polsce, padła nasza odpowiedź: północna Polska. Ostatecznie mieliśmy wybierać między Ustką i Koszalinem. Padło na Koszalin.

Co było dalej? W 1967 roku Rada Miasta Gladsaxe przyjechała do Koszalina, gdzie podpisaliśmy oficjalną umowę o miastach bliźniaczych. Wówczas pozwalało to jedynie na wymianę grup bokserów (!) i zespołów folklorystycznych, niemniej jednak mogliśmy się zaprzyjaźniać



Tove Smidth podejmował wraz z rajcami miejskimi prezydent Mirosław Mikietyński. fot. Ilona Łukjaniuk

z ludźmi – a to było naszym celem. Ambasada Polska była tutaj bardzo pomocna.

J.P.: W 1974 roku została pani burmistrzem miasta...

T.S.: ...i od tego momentu wszystkie kontakty przechodziły przez moje ręce. W 1981 roku odwiedził mnie w moim biurze nowy Ambasador Polski. Od niego dowiedziałam się o drastycznym pogorszeniu się sytuacji w Polsce. Postanowiliśmy zorganizować pomoc, w którą spontanicznie zaangażowali się mieszkańcy Gladsaxe. Do szpitala w Koszalinie w mroźną i śnieżną noc 1981 roku wyruszył konwój ciężarówek załadowanych wszystkim tym, co zdołaliśmy zebrać. „Gladsaxe helps Koszalin" – głosiły napisy na ciężarówkach. Nigdy nie zapomnę przybycia do szpitala w zimową, mroźną noc – o piątej rano. Niezależnie od akcji pomocowych w naszym kraju odbywały się liczne protesty przeciw wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce.

Nie, nie żałuję niczego. Miałam z naszych działań tak wiele satysfakcji. Miałam szczęście być, uczestniczyć w tak intensywnej działalności i nie uważam się bynajmniej za bohaterkę. Satysfakcja była moją nagrodą. I możliwość bycia we właściwym miejscu o właściwym czasie. Jestem szczęśliwa, że mogłam być w środku tych działań i zdarzeń!

Nagrody Prezydenta

II Gala Koszalińskiej Kultury

Po raz drugi w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym uroczyście wręczono doroczne Nagrody Prezydenta w dziedzinie kultury i twórczości artystycznej. Kapituła pod przewodnictwem Krystyny Kościńskiej, złożona z przedstawicieli Komisji Kultury, Rady Kultury przy Prezencie Koszalina oraz Wydziału Kultury i Spraw Społecznych rozpatrzyła 109 wniosków. 38 spośród nich zyskało aprobatę. Łącznie pula nagród finansowych zamknęła się w kwocie 55 tys. zł. Twórcy i animatorzy kultury, nagrodzeni za zasługi indywidualne i za pracę zespołową, odebrali przyznane im gratyfikacje 12 marca.

Nagrody za tworzenie, upowszechnianie i ochronę kultury:

1. dr Marlena Zimna – założycielka Prywatnego Muzeum Włodzimierza Wysockiego, (rozmowa z Marleną Zimną w rozdziale „Jubileusze" – dop. red.).

2. Dorota Waligóra – Związek Polskich Artystów Plastyków, Oddział Koszalińsko-Słupski.

3. Zbigniew Ciechanowski – prezes koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" (o 40-leciu polonijnej chóralistyki w Koszalinie piszemy w rozdziale „Muzyka" – dop. red.).

4. Maria Ulicka – prezes STP „Dialog", red. naczelna Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

5. Ewa Turowska – instruktorka Mini Studia Poezji i Piosenki w CK 105.

6. Halina Bogucka i Tadeusz Zawadzki – członkowie zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich.

7. Jerzy Musiał – filatelista, mający szczególne osiągnięcia w pracy z młodzieżą.

Nagrody za osiągnięcia w dziedzinie kultury:

1. Akademicki Klub Tańca Politechniki Koszalińskiej.

2. Maciej Czubak i Artur Szewczyk, czyli Sound Players, duet koszalińskich DJ-ów, znani producenci i prezenterzy radiowi.

3. Wojciech Szwej, fotografik.

4. Anna i Marcin Dubrownikowie – szefowie Szkoły Tańca TOP-TOYS.

5. dr Piotr Potomski – autor biografii „Generał Broni Stanisław Władysław Maczek".

Nagrody z okazji jubileuszu twórczego:

1. Zygmunt Wujek, 50-lecie pracy artystycznej. Od 1965 r. związany z Koszalinem. Rzeźbiarz, autor medali, pomników – wykonał ich ponad 200 na Pomorzu, pedagog. Uczestnik sympozjów i plenerów. Wykładowca Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, autor i uczestnik licznych wystaw, kronikarz koszalińskich wydarzeń, legenda koszalińskiej bohemy. Wytrwale i konsekwentnie utrwala pamiątki koszalińskiej przeszłości.



Zygmunt Wujek. fot. Ilona Łukjaniuk

Z jego m.in. inicjatywy na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym powstało Lapidarium, upamiętniające przedwojennych mieszkańców Koszalina. Był wieloletnim radnym, obecnie kolejny rok zasiada w Radzie Kultury przy Prezydencie Miasta. Warto też wspomnieć, że w jego niezwykłym domu i pracowni nigdy nie brakuje młodych, utalentowanych, wrażliwych ludzi, dla których Zygmunt Wujek jest mistrzem nie tylko w kwestiach sztuki, ale i życia.



Bożena Hanna Giedych. fot. Ilona Łukjaniuk

2. Bożena Hanna Giedych, 40-lecie pracy artystycznej. Aktywnie działa w Związku Nauczycielstwa Polskiego, Polskim Stowarzyszeniu Edukacji Plastycznej oraz Związku Polskich Artystów Plastyków. Uprawia malarstwo, rysunek i grafikę oraz tkaninę unikatową. Miała ponad 40 wystaw indywidualnych w kraju i zagranicą, m.in. w Finlandii, Niemczech, Ukrainie, Rosji, Słowacji oraz na EXPO 2000 w Hanowerze. Prace jej znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum na Majdanku w Lublinie, Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej w rodzinnym Rypinie, Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie oraz w Muzeum w Lupce na Ukrainie, w Watykanie, w Berlinie, w Považskiej Bystricy na Słowacji, a także w wielu galeriach i prywatnych zbiorach. Przez 10 lat była komisarzem Międzynarodowych Plenerów Malarskich „Czas i miejsce dla sztuki" w Osiekach.

3. dr Ewa Miśkiewicz-Żebrowska, 30-lecie pracy twórczej. Od 25 lat związana jest z Koszalinem. Jest członkiem ZPAP, a w latach 1996-2006 była prezesem ZPAP Okręgu Koszalin-Słupsk, obecnie jest wiceprezesem. Od 1998 r. jest organizatorem i komisarzem artystycznym Plenerów Malarskich w Osiekach, którym nadała nazwę „Czas i miejsce dla sztuki". W 1997 r. była pomysłodawcą dorocznego przeglądu środowiska twórczego Koszalina – członków ZPAP pn. „Postawy Roku". Od 2002 r. jest adiunktem w Katedrze Projektowania Architektury Krajobrazu w Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym w Szczecinie i nauczycielem dyplomowanym przedmiotów artystycznych w Zespole Szkół Plastycznych w Koszalinie. Uprawia grafikę artystyczną, malarstwo sztalugowe, rysunek, rzeźbę i fotografię. Posiada w swoim dorobku około 30 wystaw indywidualnych, ok. 100 wystaw zbiorowych międzynarodowych i ogólnopolskich.



Ewa Miśkiewicz-Żebrowska. fot. Ilona Łukjaniuk

4. ksiądz Henryk Antoni Romanik, 25-lecie pracy twórczej. Od ukończenia Seminarium Duchownego w 1985 r. związany jest z Koszalinem Jest au-



ks. Henryk Antoni Romanik. fot. Katarzyna Dąbrowska

torem wielu książek o tematyce religijnej, w tym „Modlitewnik za wstawiennictwem Jana Pawła II", który zajął 6 miejsce w rankingu tygodnika „Polityka" na książkę 2007 r. Jest autorem kilkunastu książek, wielu publikacji prasowych, także tomików poetyckich, inicjatorem wydarzeń społeczno-kulturalnych w naszym mieście, w tym przedsięwzięć dotyczących upowszechniania wiedzy o przeszłości Koszalina i jego mieszkańcach. Za twórczość artystyczną i literacką został nagrodzony m.in. nagrodą Nike-Alianz w dziedzinie kultury.

5. Ireneusz Świątczak – kierownik Kapeli Koszalińskiej, która w ubiegłym roku obchodziła jubileusz 25-lecia działalności. Kapela często uczestniczy w różnych miejskich imprezach i koncertach, występuje podczas akcji charytatywnych, Dni Koszalina, Polonijnego Lata i letnich koncertów w Parku Różanym, zawsze wprowadza słuchaczy w radosny nastrój, bawi i pozostawia miłe wrażenie.

6. Grupa Jazzowa Dixieland, grupa w 2009 r. świętowała 15-lecie istnienia. Koncertuje i uczestniczy w różnego rodzaju imprezach. Ten męski septet specjalizuje się w interpretacjach standardów jazzowych. Niezwykle popularne są „Zaduszki jazzowe", podczas których od lat „Dixieland" jest gwiazdą wieczoru.

Dzieci i młodzież: nagrody II stopnia (nagrody indywidualne)

1. Bogna Jaśkiewicz – CK 105 – I miejsce w X Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Super mikrofon radia Jard" w Białymstoku i III miejsce w VIII Międzynarodowym Festiwalu „Uśmiechy morza" w Bułgarii. Podopieczna Ewy Turowskiej.

2. Daria Zawiałow – CK 105 – finalistka „Szansy na sukces". Laureatka I miejsca w XIII Ogólnopolskim Przeglądzie Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej „Rozśpiewany Wawer" w Warszawie. Podopieczna Ewy Turowskiej.

3. Sylwia Gajdemska – CK105 – II miejsce w VII Międzynarodowym Dziecięco-Młodzieżowym Festiwalu Piosenki „O Bursztynową Nutkę" w Trzebiatowie, III miejsce w Międzynarodowym Festiwalu „Uśmiechy morza" w Bułgarii. Podopieczna Ewy Turowskiej.

4. Błażej Teliński – Zespół Szkół Plastycznych– „młody projektant mody", uzyskał certyfikat w Międzynarodowym Konkursie dla Projektantów i Entuzjastów Mody OFF FASHION w Kielcach. Uczeń Ewy Miśkiewicz-Żebrowskiej.

5. Katarzyna Gołofit – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych – zdobywczyni m.in. I miejsca w VII Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym w Piotrkowie Trybunalskim. Na zaproszenie Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci wystąpiła w koncercie „Młodzi Muzycy w Łazienkach Królewskich" w Warszawie. Uczennica Jolanty Reszelskiej.

6. Rafał Skorek – Klubu „Przylesie" – zdobył m.in. medal pozłacany na Międzynarodowej Wystawie Filatelistycznej na Białorusi. Wiedzę filatelistyczną zdobywa pod okiem swego taty Andrzeja Skorka.

7. Jagoda Kosowska – Gimnazjum nr 11 – laureatka wielu konkursów fotograficznych m.in. międzynarodowego konkursu „Muzealne Spotkania z Fotografią". Jej prace zakwalifikowano na Wystawę Fotografii Dzieci i Młodzieży w Białymstoku, uzyskała wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Fotografii w Łodzi. Podopieczna Grażyny Brożyńskiej.

8. Weronika Antczak, Mateusz Ochrymiuk – Szkoła Tańca ASTRA – zdobywcy m.in. dwóch I miejsc w XXX Międzynarodowym Turnieju Tań-

ca Towarzyskiego w Suchym Lesie k/ Poznania i I miejsca w Międzynarodowym Turnieju Sportowego Tańca Towarzyskiego w Międzyzdrojach, uzyskali awans do tanecznej klasy „B". Podopieczni Marleny Krawczyk.

9. Klaudia Antczak, Piotr Krochmal – Szkoła Tańca ASTRA – dwa I miejsca na Międzynarodowym Turnieju Tańca Sportowego Amber Dance Cup w Kołobrzegu. Awansowali do tanecznej klasy „B". Podopieczni Marleny Krawczyk.

10. Zespół Wokalny „NUTELKI" – CK105 – I miejsce w X Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Super mikrofon Radia Jard" w Białymstoku. Podopieczni Ewy Turowskiej.

11. Zespół Tańca Ludowego „Bałtyk" – CK 105 – I miejsce w kat. dziecięcych zespołów folklorystycznych w IX Pucharze Tańca w Loecknitz w Niemczech. Podopieczni Bernardy Durbacz.

12. Formacja Top-Toys & „DMC CREW" – klub „Bałtyk" KSM „Na Skarpie", wicemistrzowie Polski w kat. Hip-Hop miniformacji, półfinaliści II edycji programu „Mam talent", finaliści Just Debout w Pradze. Podopieczni Anny i Marcina Dubrowników.

13. Formacja „Balans" – przy Klubie „Bałtyk" KSM „Na Skarpie", działają od 2000 r. – I m. w kat. miniformacje młodzieży na Hip-Hop International w Poznaniu, półfinaliści II edycji programu „Mam talent". Pracują pod kierunkiem Anny i Marcina Dubrowników.

14. Kwintet gitarowy – Pałac Młodzieży – zdobywcy I miejsca w XII Ogólnopolskim Konkursie Gitarowym „Bliżej gitary" w Chodzieży. Podopieczni Zbigniewa Dubielli.

15. Grupa Taneczna „EFEKT" – Studio Tańca „Pasja" – m.in. I miejsce podczas XXVI Międzynarodowego Festiwalu Tańca Nowoczesnego w Wasilkowie, II miejsce w VIII Międzynarodowym Festiwalu Tańca w Bułgarii. Podopieczni Agnieszki Bil.

Dzieci i młodzież:
nagrody I stopnia (nagrody indywidualne)

1. Anna Bugajska – ZPSMuz., I miejsce w Mię-



Laureaci Nagrody Prezydenta. Od lewej: Jerzy Musiał, Zbigniew Ciechanowski, Dorota Waligóra, Maria Ulicka, Helena Bogucka, Tadeusz Zawadzki i Ewa Turowska.

fot. Ilona Łukjaniuk

dzynarodowym Konkursie Pianistycznym pod patronatem Ministerstwa Kultury Francji. Uczennica Ewy Gajdzis.

2. Joanna Krupa – ZPSMuz., złoty medal oraz nagroda specjalna w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym w Wiedniu Uczennica Aleksandra Murawskiego.

3. Sebastian Potyrała – Szkoła Tańca Top-Toys, wicemistrz świata w kat. break dance solo w Mistrzostwach Świata w Kaliszu. Podopieczny Anny i Marcina Dubrowników.

(zespoły)

4. Orkiestra „KAMERTON" – ZPSMuz., działa od 1998 r. uczestniczyła m.in. w Partnerskim Projekcie „Comenius – Europejskie Drzewo Przyjaźni", wraz z młodzieżą z Czech i Słowacji. Realizowała projekt Międzynarodowe Spotkanie Muzyczno-Poetyckie „Europa w słowach i dźwiękach" z młodzieżą z Koszalina, Ostrawy i Kanianki. Orkiestrą kieruje Małgorzata Kobierska.

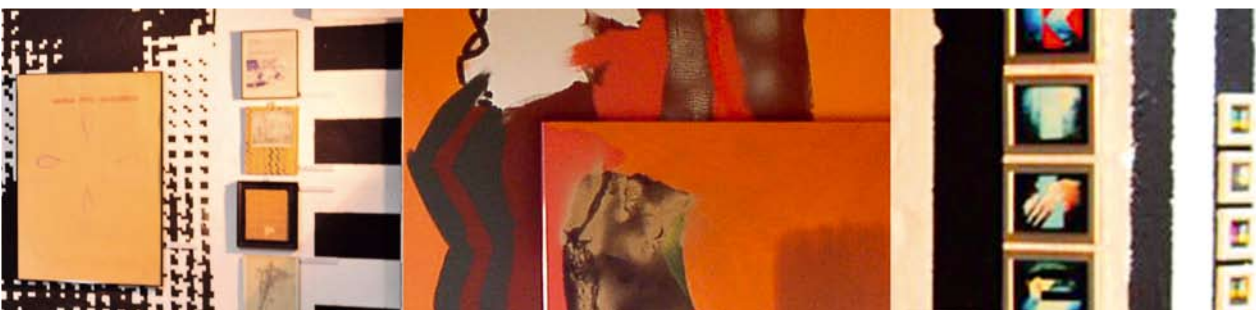
Nagroda Specjalna za wybitne osiągnięcia artystyczne i twórcze Młody Artysta Roku:

ADAM WOCH – uczeń Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych. (o sukcesach Adama Wocha i jego nauczycielu Zbigniewie Dubielli piszemy w rozdziale „Nasi w świecie").

Wydarzenie Kulturalne Roku 2009

VI Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja".

JUBILEUSZE



Irena Górska-Damięcka

Dom żarliwych serc. 55-lecie BTD

16 stycznia 1954 roku w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym odbyła się pierwsza premiera. Były to wyreżyserowane przez pierwszego dyrektora koszalińskiej sceny Irenę Górską-Damięcką „Śluby panieńskie" Aleksandra Fredry.

BTD zrezygnował z jubileuszowej fety na swoje 55-lecie. Almanach „Kultura Koszalińska" nie może jednak w rocznym resumée pominąć tak ważnej rocznicy. Odnotowując ją przywołajmy wspomnienia Ireny Górskiej-Damieckiej, związane z początkami koszalińskiej sceny.

„Dom żarliwych serc"

styczeń 1953 – listopad 1955

Piękna przygoda. Trwała dwa lata i dziesięć miesięcy. Znowu zaczynam wszystko od początku! Choroba moja zmogłaby silniejszych ode mnie. (porażenie nerwu twarzowego – dop. red.) Pozostałość po niej ograniczyła poważnie moje możliwości aktorskie, co z kolei dopingowało do pracy i pchnęło do dalszych śmiałych decyzji. Okazało się jednak, że mam w sobie kolosalne zapasy energii i siły. Zostaję kierownikiem artystycznym najmłodszej polskiej sceny na Ziemiach Odzyskanych – w Koszalinie. Teatr – bez sceny, bez widowni, bez miejsca na próby, bez mieszkań dla aktorów, bez jakichkolwiek środków lokomocji. Od razu zaczęła się walka z „czynnikami". Próbowano zniszczyć nam teatr w imię... rozpowszechniania kultury, aby torować drogę amatorskim zespołom. Czułam, że łatwiej by mi było, gdybym była „towarzyszką". Walczyliśmy, bo upoważniała nas do tego atmosfera zainteresowania, życzliwości, jaka dosłownie buchała z widowni. Publiczność godzinami czekała w nieogrzanych remizach, kiedy wreszcie dobrniemy do celu, wśród zamieci, mrozu czy mgły. Widzowie z wypiekami na twarzach znosili nasze toboły, stawiali kulisy, chłonęli przedstawienie, razem z nami śmiali się i płakali.

W tym trudnym okresie udzieliłam wywiadu prasie szczecińskiej: *(...) I co dalej? – nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. My istniejemy na przekór wszystkim i wszystkiemu. Jesteśmy bardzo niewygodnym lokatorem, który ciągle czegoś żąda. Chce na przykład normalnie mieszkać, normalnie pracować, normalnie jeździć z miasta do miasta, normalnie odbywać próby, grać w czystych domach kultury, ubierać się w ciepłych garderobach. Jesteśmy lokatorem istotnie kłopotliwym. (...)"*

I coś ruszyło! Salą teatralną stał się WDK! Administracja znalazła kąt w Zarządzie Ligi Kobiet, tu również odbywały się pierwsze próby. Wykonanie dekoracji i kostiumów przyjęły warsztaty Teatru Wybrzeże.

Szesnastego stycznia 1953 roku teatr rozpoczął właściwą działalność. Zwyciężyliśmy! Razem z nami rodziły ten teatr miejscowe władze, prasa i publiczność. Wtedy już sprawy załatwiało się od ręki, ze zrozumieniem i przyjaźnią, ze spontaniczną wolą pomocy. Nieprawda, cudów nie ma! Zdobyliśmy przytulisko dla aktorów w prywatnych domach, zdobyliśmy starą, zdezelowaną ciężarówkę. Sukces nie do opisania!

(...) Garstka zapaleńców, trochę jak Armia Zbawienia, bez etatów, dyplomów, doświadczeń, garstka ludzi spragnionych wiedzy o teatrze, ciekawych tylu sekretów! Nadzieja paliła im się w oczach. (...) Ten szumnie i dumnie zwany Bałtyckim Teatr Dramatyczny (!) objeżdża-

jący sześć województw, zawodowych aktorów miał tylko trzech! Reszta to amatorzy, których dopiero trzeba było uczyć, przygotować do egzaminu, jakże gorących w pracy! Była więc to moja szkoła teatralna!

Kochany, uroczy, niezapomniany Henio Kleps – najstarszy w zespole. Z niezrównanym wdziękiem grał Radosta w tych naszych pierwszych „Ślubach panieńskich" – ślubach wierności scenie i teatrowi! Klepsio już na zawsze pozostał „stryjaszkiem – stryjciem" dla całego zespołu. Elżbieta Skalska grała panią Dobrójską, Olgierd Hanusz – Gucia, Anielę i Klarę – Wanda Werdyńska, klasycznej urody dziewczyna, i Zuzanna Helska, prześmieszne, rozchichrane stworzonko. Albina – Włodek Saar i Jana wreszcie – Hilary Kleczkowski, za młody wprawdzie, ale dał sobie radę, przyklejając wąsy. (...) Scenografię robił Felek Krasowski..

(...) Kiedyś mój malutki Dudek (starszy syn Damian – dop. red.), zapytany, co będzie robił, jak dorośnie, odpowiedział:

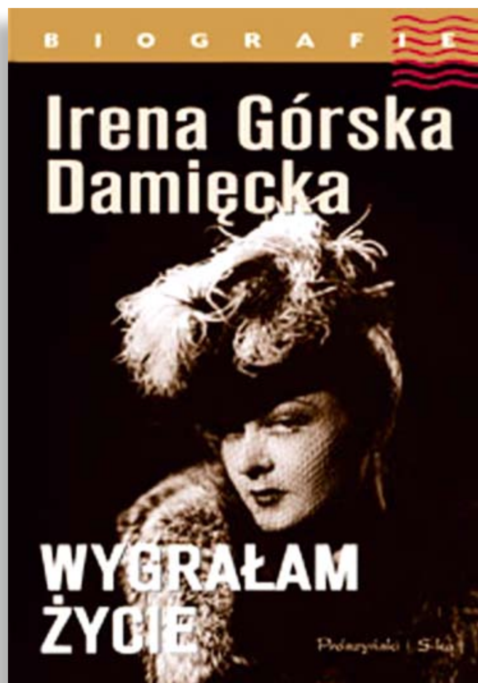
- Będę dostawał do klamki.

Cóż to była za radość, gdy w szybkim tempie dorastaliśmy, aby dostać do tej upragnionej klamki. Nacisnęliśmy ją i otworzyliśmy po raz pierwszy drzwi. Stanął w nich stary Fredro... jakiś młody. „Śluby" graliśmy 87 razy!

Następnie poszła premiera „Okna w lesie" Rachmanowa i Ryssa, w reżyserii i z gościnnymi występami Stanisław Jasiukiewicza. „Takie czasy" Jurandota w mojej reżyserii; grałam jednocześnie Dorotę. „Szelmowstwa Skapena" Moliera reżyserował także Jasiukiewicz. „Żabusia" Zapolskiej w mojej reżyserii i moją rolą główną. Graliśmy ją sto osiemnaście razy! „Mąż i żona" Fredry również w mojej reżyserii – grałam Elwirę. „Żołnierz i bohater" Shawa; reżyserował Przemysław Zieliński w ramach debiutu reżyserskiego. „Lekkomyślną siostrę" Perzyńskiego reżyserowałam, grając wespół z Helenką Krauzową Adę. „Pieją koguty" Baltuszisa w mojej reżyserii z gościnnymi występami Władysławy Swarskiej, tym razem w roli Rukiene – była jak zawsze autentyczna i znakomita!

(...) Podsumowując okres koszaliński, muszę stwierdzić, że tak odczułam biologiczną potrzebę otrząśnięcia się z klęsk, potrzebę ratowania się, wyzwolenia naturalnej energii. Myślę, że Dobiesław (zmarły w 1951 r. – dop. red.) byłby zadowolony z tej odmiany jego Żabusi. Poniesione przez nas w pierwszym okresie trudy nie poszły na marne. Zaczęto remont gmachu teatru. Mam w tym także swój udział. No i młodzi aktorzy nauczyli się warsztatu, władania wierszem lekko i z wdziękiem. Kilkoro z nich doprowadziłam do egzaminu eksternistycznego. To wszystko napawa dumą i radością. – To trzecie dziecko – mówiono – Teatr ludzi żarliwych. Złoty Krzyż Zasługi był nagrodą za mój upór! (str. 220-224)

Kolejny raz BTD pojawia się w zapiskach z roku 1974 r.:



Irena Górska-Damięcka, Wygrałam życie,
Prószyński i S-ka, Warszawa 1997.

W domu czekało już na mnie zaproszenie od dyrektora Jarosława Kuszewskiego do Koszalina na jubileusz dwudziestolecia teatru. Pojechałam. Przyjmowana byłam z niezwykłymi honorami. Samochód do dyspozycji, atencje ze strony WRN, odznaka honorowa, ofiarowane wczasy w Kołobrzegu, wizyty u przyjaciół Jadwigi Ślipińskiej i Henryka Klepsa – przylot samolotem, hotel. Odlot. Po powrocie napisałam list z podziękowaniem do „Gazety Koszalińskiej". (chodzi o „Głos Koszaliński" – dop. red.)

Mniej idylliczny, ale zwieńczony happy endem jest zapis z roku 1975 r.:

„I znów pełne ręce roboty! „Ballada o tamtych dniach" nie jest sztuką łatwą. Reportażowe niemal ujęcie scen. (...) Była to ogromna robota. Nie mówiąc już o pracy z aktorami – młodymi, bez doświadczenia. (...) Złamała mnie grypa. Nie mogłam przerwać pracy nad dwiema sztukami, jednej w przygotowaniu, drugiej już w realizacji w związku z nagraniem muzyki w radiu w Warszawie, bo przecież orkiestry żywej w Koszalinie nie było. (Irena Górska-Damięcka myli się, bowiem działała przecież Filharmonia Koszalińska, ale widocznie teatr nie współpracował z miejscową orkiestrą symfoniczną – dop. red.) Ustawiczne wiec jazdy do Warszawy i z Warszawy. Zaparłam się – musiałam dać wszystkiemu radę (...)

I nieprzewidziana zupełnie awaria! Konflikt, spowodowany niesubordynacją aktorów, niezupełnie zdających sobie sprawę z obowiązków aktora i tego czym jest teatr! Często to się zdarza na prowincji właśnie. (...) Zagroziłam zerwaniem umowy, obciążeniem wszelkimi kosztami i opuszczeniem Koszalina. (...) I nagle zmobilizowali się wszyscy aktorzy. A także zespół techniczny i nawet pracownicy administracji, żeby, broń Boże mnie nie wypuścić. (...) Zwyciężyłam. (...) Pierwsza generalna! I tu sukces już (...) Przebaczyłam, oczywiście, i wszystko zapomniałam. Zawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. (...) Dziewiątego marca odbyła się premiera. Była to jedna z moich ulubionych premier! Aktorzy na scenie, wszyscy co do jednego, złożyli mi swoje kwiaty. Było to wzruszające i piękne. Potem uroczysty bankiet. (...) Już trzeci raz Koszalin, mój Koszalin, nie zawiódł.

Czas i ludzie, czyli trochę informacji i garść refleksji na okoliczność 45-lecia Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Maria Idziak

Ludziom poprzez ludzi

Po raz pierwszy z KTSK i ze Stefanem Napierałą spotkałam się wiele lat temu, przed moimi „czasami koszalińskimi", na zjeździe Szczecińskiego Towarzystwa Kultury.

Zafascynowała mnie Jego Osoba, zjednał też uśmiech towarzyszącej Mu Krysi Przeworskiej. Toteż, gdy zamieszkałam w Koszalinie, pierwsze kroki skierowałam do tzw. „Kalinki" – siedziby TPPR (Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej – dop. red.), gdzie mieściły się także biura KTSK. Niezwykła atmosfera tego miejsca, na którego ścianach wisiało tyle dobrej „sztuki", oraz przychodzący tam ludzie pełni pasji, pomysłów, inicjatyw, zarażający swoją energią – wszystko to sprawiło, że zostałam z KTSK do dziś.

Pan Stefan i jego syrenka

Od 1984 roku współpracując z Towarzystwem, zajmowałam się organizacją imprez, wystaw i plenerów. Wraz z panem Stefanem, jego słynną syrenką przemierzaliśmy dawne województwo koszalińskie odwiedzając kluby i oddziały KTSK w terenie, zakładaliśmy nowe, pomagaliśmy organizować imprezy.

Odwiedzaliśmy pracownie koszalińskich plastyków, uzupełniając kolekcję sztuki o nowe prace. Jakże piękne były „negocjacje cenowe" z Bolesławem Kurzawińskim! Oczywiście zawsze obowiązkowo kończyły się „naleweczką"...

Organizowaliśmy Spotkania Ludzi Społecznie Zaangażowanych, spotkania z literatami w ramach Dni Książki Regionalnej oraz koncerty Zespołu Muzyki Kameralnej „Kamerton".

Obrazy z naszych zbiorów wędrowały po wiejskich klubach i domach kultury. Towarzyszyły im spotkania z twórcami. Co roku w Szczecinku, pod kierunkiem Adama Giedrysa, znanego miłośnika astronomii uwiecznionego w filmie „Planeta Krawiec", odbywały się obozy Młodych Astronomów. Skupieni w Klubie Esperantystów sprzymierzeńcy idei Ludwika Zamenhofa organizowali Nadbałtycką Wiosnę Esperancką. Prężnie działało, korzystające z gościnnych pomieszczeń KTSK, Towarzystwo Pamiętnikarskie oraz Klub Byłych Nauczycieli Tajnego Nauczania pod wodzą Marii Hudymowej. W KTSK spotykali się również członkowie Towarzystwa Fotograficznego.

Wydawnictwa

Prężnie działała również Sekcja Wydawnicza KTSK. Przy współpracy ze Związkiem Literatów Polskich ukazało się drukiem wiele różnorodnych publikacji. Były to między innymi powieści Gracjana Bojara Fijałkowskiego, Zbysława Góreckiego, Jerzego Żelaznego, Czesława Kuriaty, felietony i reportaże Andrzeja Rzymkowskiego, debiutanckie tomiki poezji, prace naukowe, opracowania historyczne, monografie miast, pamiętniki. Wszystkie maszynopisy i rękopisy zdeponowane są dla potomnych w archiwum. W latach 1964-65 ukazywały się nakładem KTSK „Zapiski Koszalińskie", w latach 1974-1982 wydane zostało 10 tomów „Profili Kultury", drukowano periodyki: Wojewódzki Informator Kulturalny „Bałtyk" i „Pobrzeże." Do dziś ukazało się nakładem KTSK 108 pozycji wydawniczych.

KTSK opiekowało się też młodymi poetami organizując dla nich Warsztaty Literackie w Świdwinie i nad jeziorem Hajka oraz wydając

debiutanckie tomiki poezji. W malutkiej salce kinowej w „Kalince" działał Dyskusyjny Klub Filmowy Młodych prowadzony przez Krysię Przeworską. Prezentowane filmy nie należały do łatwych, a dyskusje do... najspokojniejszych.

Plenery

Kolejny obszar działań KTSK to organizacja plenerów plastycznych. Na pierwszym miejscu wspomnieć tu należy o wielkim zaangażowaniu Towarzystwa w organizację „Plenerów Osieckich", czyli słynnych Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki. Przez wiele lat KTSK prowadziło biuro „Osiek", a pan Stefan był ich głównym komisarzem organizacyjnym. Dzięki Jego staraniom każdy artysta otrzymywał materiały zapewniające komfort twórczy. Trzeba tu dodać, że „załatwienie" owych materiałów nie było w tamtych czasach zadaniem łatwym. Także w tym przypadku kluczową rolę odgrywała niezawodna syrenka. Dzięki skrupulatności Pana Stefana zachowała się kompletna dokumentacja plenerów, którą przekazaliśmy w depozyt do Muzeum w Koszalinie.

Lata siedemdziesiąte to także plenery ceramiczne w Polanowie i w Złocieńcu oraz plenery „Plastyka Wokół Nas" i akcje plastyczno-estetyzacyjne Grupy „Wiosna".

W latach osiemdziesiątych pojawiły się nowe inicjatywy, takie jak plener „Zapraszam do pracy" odbywający się w Karlinie i w Darłowie, a także plenery łączące artystów profesjonalnych z uzdolnioną artystycznie młodzieżą i plenery dla miłośników malowania w Bobolicach i w Czaplinku.

Dla dopełnienia gamy różnorodnych działań KTSK wspomnieć jeszcze trzeba o prowadzonych pod egidą Towarzystwa badaniach archeologicznych, o Klubie Kolekcjonera oraz o współpracy ze stowarzyszeniem „Kulturbund" z Neubrandenburga.

Może o czymś jeszcze... ale pamięć jest ulotna.

Ludzie

W KTSK bywali chyba wszyscy związani z Koszalinem ludzie sztuki, dziennikarze, tzw. działacze kultury, naukowcy. Część z nich odeszła już do „lepszego świata". Na pogawędki przychodził profesor **Andrzej Rzymkowski**, który przynosił swoje szkice i wspomnienia z licznych podróży, docent **Jerzy Smoleński** (pierwszy rektor Wyższej Szkoły Inżynierskiej, obec-



Klub „Tunel", Bobolice. fot. archiwum

nej Politechniki Koszalińskiej – dop. red.), artyści **Stanisław Bekasenas**, **Jerzy Niesiołowski**, **Ola Sieńkowska**, **Ryszard Lech**, wcześniej, niezwykle szarmancki, **Ryszard Siennicki**. Z rzadka pojawiał się, postukując z wdziękiem laseczką, **Bolesław Kurzawiński**. Często zaglądali młodzi artyści, nieustannie cierpiący na niedostatek gotówki, z nadzieją, że Pan Stefan coś od nich nabędzie.

Przyjeżdżał z Darłowa dostojny **Zbysław Górecki**, rękopisy przynosił **Gracjan Bojar Fijałkowski.** Na stałe z sekcją wydawniczą współpracowali znani dziennikarze: **Eugeniusz Buczak**, **Józef Narkowicz**, **Andrzej Czechowicz**.

Przez cały czas trwania KTSK jego założeniem było, aby nie zastępować swoimi działaniami placówek kultury, ale wypełniać luki w sferze społecznej i kulturalnej, poszukując nowych, niekonwencjonalnych rozwiązań. Piękne to były czasy. Istniejące od 1964 roku KTSK w taki właśnie sposób wypełniało misję zapisaną w statucie. Wspierało ludzi twórczych, aktywnych, było mecenasem sztuki.

Władze ówczesne troszczyły się o to, aby Koszalin był centrum kulturalnym całego regionu, żeby był też widoczny na mapie kulturalnej kraju. I nie szczędziły pieniędzy. Wszystkie inicjatywy działaczy KTSK były finansowane, jeśli nie w całości, to w części przez Urząd Wojewódzki. Co roku Towarzystwo dostawało środki na finansowanie stypendiów twórczych dla młodych artystów, na debiutanckie wydawnictwa, na powiększanie galerii, na imprezy i plenery. Finansowany był wynajem pomieszczeń w siedzibie TPPR. Dotacja obejmowała też płace dla zatrudnianej kadry (4-5) osób.

Kryzys

Tak było, aż przyszły trudne dla stowarzyszeń lata dziewięćdziesiąte. Reforma administracyjna spowodowała, że KTSK pozbawione zostało jakichkolwiek dotacji. Urząd Miasta finansował swoje, miejskie organizacje, a Urząd Wojewódzki nie widział potrzeby ani możliwości dotowania jakiejś organizacji regionalnej w Koszalinie. Nie mówiło się jeszcze wtedy o kapitale społecznym, o budowaniu społeczeństwa obywatelskiego, o współpracy samorządów z organizacjami pozarządowymi. Nie było jeszcze tego określenia! Nie było też wielu innych słów, które dziś zakorzeniły się w „nowomowie" działaczy: ngosy, trzeci sektor, granty itp.

Zarząd KTSK z trudem usiłował odnaleźć się w nowych realiach. Nie było pieniędzy na działalność, opłaty podstawowe, na wydawnictwa. Zaczęły się włamania do prawie opuszczonego budynku przy ul. Zwycięstwa. TPPR był w podobnej sytuacji finansowej, budynek miał więc zostać sprzedany. Nie wiadomo było, co zrobić ze zbiorami malarstwa. W rezultacie, po negocjacjach z Muzeum w Koszalinie i w Darłowie, przekazane zostały one w depozyt i znajdują się na Zamku w Darłowie pod fachową opieką **Konstantego Kontowskiego**.

KTSK – reaktywacja

Obserwując, jak z roku na rok zamiera legenda KTSK, postanowiłam w 2001 roku reaktywować Towarzystwo. Poprosiłam wszystkich chętnych, którzy chcieli na nowo zaangażować się w działania społeczno-kulturalne, o spotkanie. Opracowany został nowy statut, wybrane nowe władze, zaplanowane działania. Pan Stefan Napierała został Honorowym Prezesem KTSK. Siedzibę w „Kalince" musieliśmy opuścić. Wszystko to, co zostało przez lata zgromadzone, a należało zachować, przyjęło Biuro Archiwalno- Depozytowe „Dokument", prowadzone przez Elżbietę Szafarz, związaną od lat z KTSK. Przestaliśmy myśleć o nowej siedzibie.

Zaczęliśmy organizować spotkania i wystawy korzystając z życzliwości Radia Koszalin, powróciliśmy do współpracy z Neubrandenburgiem, organizowaliśmy plenery, wróciliśmy do wieloletniej tradycji współpracy ze środowiskami wiejskimi, pomagając zakładać na wsi stowarzyszenia. Udało nam się wydać kilka publikacji. Prowadzone były dalej badania archeologiczne. Oczywiście, nadal borykaliśmy się z trudnościami finansowymi. Z rzadka udawało nam się po-

zyskać środki od donatorów.

Tak naprawdę nasza działalność nabrała rozmachu, gdy pojawiło się nowe słowo-klucz, a raczej „złoty kluczyk do skarbonki" – PROJEKT. Możliwość starania się o środki na realizację ciekawych inicjatyw, dzięki którym KTSK może realizować swoją misję, spowodowała pojawienie się nowych osób ze świeżymi pomysłami, takich jak **Barbara Jaroszyk** – dziś wiceprezes KTSK. Poszerzyliśmy zakres działalności o pracę na rzecz osób niepełnosprawnych oraz na rzecz ochrony środowiska i rozwoju obszarów wiejskich.

Festiwal filmowy i wioski tematyczne

W ciągu ostatnich ośmiu lat udało nam się pozyskać środki i zrealizować kilkanaście projektów. Prawie wszystkie były zauważone i nagradzane na szczeblu lokalnym, wojewódzkim, ogólnopolskim a także międzynarodowym.

Obecnie działania KTSK prowadzone są w dwóch kierunkach. Pierwszy z nich, to znany w kraju i za granicą Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". Prace nad festiwalem skupiają wszystkie środowiska osób niepełnosprawnych z Koszalina i okolic. Na festiwal przybywają osoby niepełnosprawne z kraju i z zagranicy. Z całego świata nadsyłane są filmy konkursowe. We Francji powstało Stowarzyszenie Przyjaciół EFF „Integracja Ty i Ja", CINTEG. Podczas ostatniej Gali Koszalińskiej Kultury festiwal został uhonorowany jako Impreza Roku 2009.

Drugi główny nurt działalności KTSK to praca na rzecz rozwoju wsi i aktywizacji jej mieszkańców. Tu wymienić możemy projekty adresowane do młodzieży wiejskiej, realizowane ze środków programu Unii Europejskiej MŁODZIEŻ, warsztaty artystyczne w Luboradzy i w Podgórkach, dla uzdolnionych plastycznie dzieci wiejskich (dotąd odbyło się 16 warsztatów). W latach 2002-2004 prowadziliśmy działania mające na celu zaszczepienie na gruncie polskim idei wsi tematycznych i specjalizacji szkół. Przedsięwzięcie to zajęło pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie Liga Inicjatyw Powiatowych. Otrzymana nagroda finansowa pozwoliła nam za realizację następnych projektów. Największym z nich był projekt tworzenia wsi tematycznych, finansowany przez Inicjatywę Wspólnotową EQUAL. Dzięki jego realizacji powstała w naszym województwie sieć pięciu wsi (Sierakowo Sławieńskie, Iwięcin, Dąbrowa, Podgórki, Paproty – dop. red.) , których mieszkańcy zarabiają na edukacji i turystyce.

Pomysł nasz stał się modelowym rozwiązaniem i wszedł do kanonu dobrych praktyk rozwoju lokalnego. Nagrodzony on został także nagrodą Ministerstwa Rozwoju Regionalnego „Jaskółka Rynku Pracy" dla najbardziej perspektywicznych innowacji społecznych na rynku pracy. W uznaniu zasług na polu krzewienia demokracji KTSK otrzymało w 2009 r. główną nagrodę w konkursie Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej za osiągnięcia w rozwijaniu demokracji lokalnej w Polsce. Projekt nasz został również wytypowany, jako jeden z dwóch z Polski, do zaprezentowania w Lizbonie podczas konferencji „Powering a new future", podsumowującej realizację Programu EQUAL w Europie.

Wsie, z którymi pracujemy, otrzymały nagrody i wyróżnienia w konkursach na Produkt Turystyczny Roku na szczeblu lokalnym i wojewódzkim. Przyjeżdżają do nas mieszkańcy wsi z całego kraju szukać inspiracji i porady, jak wykorzystać do rozwoju swoich miejscowości posiadane zasoby, szczególnie te ze sfery kultury, jak i gdzie szukać nowych pomysłów na rozwój. W roku 2009 byliśmy głównym organizatorem I Zachodniopomorskiego Kongresu Odnowy Wsi. Wzięło w nim udział około 400 osób. Obecnie przygotowujemy się do organizacji Ogólnopolskiego Zlotu Wiosek Tematycznych.

Plenery – kontynuacja

Nie zaniedbujemy również organizacji plenerów malarskich. Staramy się, aby co roku odbywały się co najmniej dwa spotkania twórcze. Współpracujemy z firmami i osobami prywatnymi – miłośnikami malarstwa, którzy chcą, w zamian za zapewnienie artystom dobrych

warunków do pracy, stworzyć lub uzupełnić swoje kolekcje obrazów.

Ile plenerów KTSK zorganizowało przez lata swojej działalności? Usiłowaliśmy kiedyś, wspólnie z **Andrzejem Słowikiem**, wieloletnim członkiem KTSK i współorganizatorem plenerów, policzyć wszystkie. Nie jest to łatwe, wydaje się nam, że było ich około siedemdziesięciu. Plenery organizowaliśmy w takich miejscowościach, jak: Osieki, Polanów, Złocieniec, Czaplinek, Bobolice, Białogard, Karlino, Górzno, Luboradza, Połczyn Zdrój, Sarbinowo, Stare Resko, Sianożęty, obecnie Złotów i Ramlewo. Ilu to artystów, ile obrazów, ile kolekcji, aż trudno sobie wyobrazić! A to przecież też dorobek KTSK.

Ludziom poprzez ludzi

Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne ma ponad 45 lat. W tym czasie kilkakrotnie zmieniał się świat, zmieniały się warunki, w jakich przyszło realizować zadania wyznaczone przez założycieli stowarzyszenia w roku 1964.

Jak każda organizacja także i my przeżywaliśmy gorsze i lepsze chwile. Wiele musieliśmy się nauczyć, by sprostać nowym wyzwaniom. Towarzyszyła nam jednak ciągle idea wyznawana przez Pana Stefana Napierałę: „Ludziom poprzez ludzi".

Henryk Janocha

Historia w wielkim skrócie

Lata sześćdziesiąte były czasem budowania i utrwalania tożsamości polskiej na Ziemiach Odzyskanych. Podkreślano wielką rolę kultury w tym względzie. I tak, w 1964 roku, dzięki społecznemu zapotrzebowaniu i wyjątkowo dużemu poparciu ówczesnych władz województwa koszalińskiego, powstało Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.

Inicjatorami powołania nowego towarzystwa była grupa około 19 osób reprezentujących władze, pracowników kultury, działaczy i artystów. Tu wymienić można takie postacie jak: Aleksander Majorek, Henryk Jaroszyk, Marian Sikora, Hieronim Rybicki, Feliks Ptaszyński, Jerzy Fedorowicz, Andrzej Cwojdziński, Andrzej Czechowicz, Henryk Semmler – późniejszy długoletni prezes Towarzystwa, oraz Henryk Janocha (piszący te słowa).

Nowo powstałe Towarzystwo od początku założyło sobie bardzo ambitny i bogaty program działania, szczególnie w zakresie popularyzacji i upowszechniania wiedzy historycznej, działalności kulturalnej, społeczno-gospodarczej, wydawniczej i wszelkiej problematyki związanej z regionem. Do zarządu, oprócz działaczy społecznych i kulturalnych, wchodzili także przedstawiciele władz województwa. I tak pierwszym prezesem KSTK został ówczesny przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, Zdzisław Tomal. Oczywiście z czasem członkowie zarządu, prezesi i sekretarze zmieniali się, a w jego skład wchodzili nowi działacze społeczni i przedstawiciele tworzącego się środowiska naukowego, jak np. Andrzej Czarnik , późniejszy profesor i rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej (dzisiejszej Akademii Pomorskiej) w Słupsku, czy profesor Zdzisław Zdrojewski, dyrektor wyrosłego na bazie KTSK Koszalińskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego. Sekretarzami Towarzystwa byli między innymi Jerzy Szwej, Jerzy Rudzik, Józef Narkowicz, najdłużej – Stefan Napierała.

Dla realizacji swoich bogatych założeń i zadań statutowych utworzone zostały odziały terenowe we wszystkich miastach powiatowych, a także w mniejszych ośrodkach, takich jak Darłowo, Karlino, Bobolice. Utworzono także sekcje problemowe, były to mianowicie: Sekcja Badań Naukowych, Sekcja Wydawnicza, Sekcja Kultury i Sztuki.

W 1967 roku powstała Pracownia Historyczna kierowana przez Tadeusza Gasztolda, mają-

ca duży dorobek w zakresie historii najnowszej, następnie Pracownia Socjologiczna kierowana przez Bożenę Chmielewską i Pracownia Geograficzna kierowana przez Zdzisława Zdrojewskiego. W 1972, na bazie tych właśnie pracowni, utworzony został Koszaliński Ośrodek Naukowo-Badawczy.

Przy KTSK działała i działa do dziś prężnie Sekcja Archeologiczna, kierowana przeze mnie. Szczególnie jednak ważną rolę spełniała Sekcja Wydawnicza. Udało się opublikować szereg monografii miast i powiatów, wydać kilka znaczących opracowań naukowych i popularnonaukowych, jak np. „Zamki Pomorza Środkowego", czy „Góra Chełmska".

W działalności kulturalnej szczególne miejsce znaleźli plastycy. W miarę posiadanych funduszy Towarzystwo ich wspierało. Efektem tego było utworzenie Galerii Sztuki Współczesnej oraz współudział w organizacji Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

Swe miejsce w KTSK znaleźli literaci koszalińscy, powstał też pierwszy w kraju Klub Byłych Nauczycieli Tajnego Nauczania. KTSK ma też ogromny dorobek w zakresie współpracy z instytucjami i innymi stowarzyszeniami, oraz udział w organizacji takich imprez jak Festiwal Organowy, a nawet Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.

KTSK, obecnie pod nowym kierownictwem, odpowiada na potrzeby nowych czasów.

Barbara Jaroszyk

Gdybym nie spotkała tych wszystkich ludzi...

Marię Idziak, prezesa KTSK, spotkałam na swojej drodze w roku 2003. Był to dla mnie rok dramatyczny. Po ciężkiej chorobie zmarł mój mąż Piotr Jaroszyk, a uczelnia, w której byliśmy



Fragment wystawy KTSK.

fot. Ilona Łukjaniuk

zatrudnieni, upadła. Wydawało się, że to koniec świata – zostałam sama z dziesięcioletnią córką bez ukochanej osoby i pracy.

Wcześniej wspólnie z Piotrem wypracowaliśmy formułę nowego, nigdzie na świecie nie organizowanego festiwalu filmowego poruszającego problematykę osób niepełnosprawnych. Nazwaliśmy go – Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". Dwa pierwsze festiwale odbyły się w Kołobrzegu, a w roku 2004 współorganizatorem było już Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. I tak się zaczęło...

Wspólnie z Marią postanowiłyśmy przenieść imprezę do naszego miasta. Przychylność i docenienie idei Festiwalu „Integracja Ty i Ja" przez ludzi kultury z Ratusza i dyrektora Koszalińskiej Biblioteki Publicznej umożliwiły jego organizację w Koszalinie. W tym także czasie z ogromną satysfakcją przyjęłam funkcję wiceprezesa KTSK i znalazłam swoje miejsce wśród wielu wspaniałych osób.

Festiwal na stałe wpisał się w kalendarz imprez kulturalnych Koszalina, zdobywając uznanie i aprobatę. W roku 2008 od redakcji Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik" otrzymaliśmy Koszalińskie Drzewko Sukcesu 2008. Rok 2009 natomiast przyniósł naszemu festiwalowi tytuł „Wydarzenie Kulturalne roku 2009" i Nagrodę Prezydenta Miasta Koszalina.

Pracując nad siódmym już festiwalem niejednokrotnie zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym na swojej drodze nie spotkała tych wszystkich fantastycznych ludzi...

Dariusz Pawlikowski

Było, jest i będzie!

Zajrzałem niedawno ze wzruszeniem do pracy magisterskiej poświęconej działalności Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (jego historia zaczęła się dokładnie 15 marca 1964 roku). Tak, tak powstała takowa... sam ją zresztą popełniłem. Wspomniane wzruszenie nie wynikało wcale ani z marności pracy (dystans wiekowy co prawda potęguje krytycyzm), ani tym bardziej z wiary w jej wiekopomność. Przypomniałem sobie przede wszystkim motywację do jej napisania i prawdziwe „wsiąkanie", przy okazji, w koszalińskie środowisko kulturalne.

A wszystko zaczęło się od poszukiwania miejsca wakacyjnej praktyki zawodowej dla studenta politologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dzięki splotowi układów rodzinno-towarzyskich, popartemu sporą już wtedy zachłannością na kulturę, trafiłem pod skrzydła ówczesnego dyrektora KTSK Stefana Napierały. Człowiek – instytucja o niezwykle otwartej głowie, dobrych oczach i przyjacielskim usposobieniu, zaakceptował mnie dość szybko i tak się złożyło, że praktyki odbywałem w KTSK także w następnych latach. Pouczające i piękne były spotkania z Nim, przysłuchiwanie się Jego rozmowom i obserwowanie Jego starań o to, by nie burczało z głodu w brzuchach i nie zasychało w gardłach będącym często w potrzebie koszalińskim artystom.

Z Panem Stefanem często rozmawiam, gdy regularnie palę świeczki na Jego grobie. Jestem przekonany, że nie ma mi za złe, iż zawsze z tej okazji jest mi trochę i do śmiechu. Wspominam nie tylko Jego wieczną walkę z wiatrem, który rozwiewał mu włosową „pożyczkę" na głowie, ale też horror jazdy z Nim Jego syrenką bez tylnych siedzeń, ale za to na kosie, bo Dyrektor przy każdej okazji zbierał trawę dla swoich królików... Pan Stefan Napierała... świetna postać koszalińskiej kultury, z której odejściem nastąpiła zmiana pokoleniowa.

W KTSK spotkałem obecną szefową stowarzyszenia Marię Idziak. To ona zabierała mnie na pierwsze plenery i wprowadzała w świat sztuki. Zresztą nigdzie nie trzeba było chodzić, ponieważ wszystkie ściany biura i korytarze nad pamiętną „Kalinką" były pełne prac samych malarskich znakomitości: Lecha, Kurzawińskiego, Słowika, Bekasenasa itd. Osobnym tematem

była przyjemność obcowania z Marią Hudymową, zajmującą się byłymi nauczycielami tajnego nauczania.

I tak, dzięki rodzinnej atmosferze, znakomitym postaciom, codziennemu obcowaniu ze sztuką i przyglądaniu się oraz uczestniczeniu w działaniach kulturalnych, jestem w KTSK od ponad 25 lat. I nie wyobrażam sobie, by mimo różnych, niegroźnych historycznych zawirowań organizacyjno-personalnych, dotykających zgoła wszystkie organizacje i stowarzyszenia, być poza KTSK. Tym bardziej, że jako szef programowy pochłonięty jestem bez reszty wraz z Barbarą Jaroszyk rokroczną i całoroczną pracą przy Europejskim Festiwalu Filmowym „Integracja Ty i Ja". To jedna z nowszych aktywności naszego stowarzyszenia i pewnie nie ostatnia.

Choć może to zabrzmieć patetycznie śmiem twierdzić, że KTSK „było, jest i będzie" – w odróżnieniu od usytuowanego przez ratuszem pomnika, którego dni, na przekór wyrytemu hasłu, są policzone.

Konstanty Kontowski

Galeria u nas żyje...

W życiu bywa często tak, że o ważnych sprawach decyduje przypadek. Dziesięć lat temu do Darłowa trafiło blisko trzysta prac plastycznych najznakomitszych twórców koszalińsko-słupskiego okręgu ZPAP. Wówczas jeszcze nic nie zapowiadało powstania w tutejszym Zamku Książąt Pomorskich – Muzeum okazałej Galerii Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Pod koniec 1999 roku darłowskie Muzeum poinformowano, że siedziba KTSK, mieszcząca się w urokliwym pałacyku przy ul. Zwycięstwa w Koszalinie, wymaga niezwłocznie remontu kapitalnego. Pojawił się wówczas nie lada kłopot, wszak wypełnione po brzegi obrazami, rysunkami, rzeźbami oraz przebogatym księgozbiorem pomieszczenia należało natychmiast opróżnić. Coś trzeba było szybko z tym całym dorobkiem zrobić. Gdzieś ulokować. Tylko gdzie? W czyje „dobre ręce" oddać, by nie został on rozproszony, a nawet bezpowrotnie utracony?

Zarząd Towarzystwa rozpaczliwie szukał w regionie odpowiedniej instytucji kultury, skłonnej do współpracy lub choćby służącej pomieszczeniami magazynowymi. Uznał, że darłowskie Muzeum będzie doskonałym miejscem. Muzeum przystało na propozycję i wystąpiło (w lutym 2000 r.) z wnioskiem do Zarządu Głównego KTSK o przekazanie całej kolekcji sztuki. Celem, czy może raczej naszą motywacją była chęć zorganizowania w darłowskiej siedzibie Książąt Pomorskich stałej ekspozycji sztuki współczesnej, jakiej Muzeum jeszcze wówczas nie posiadało. Prezentacja miała być czynnikiem nie tylko promującym współczesne Pomorze, ale również kulturotwórczym zaczynem dla całego regionu.

Zarząd Główny KTSK, biorąc pod uwagę powyższe argumenty, przychylnie ustosunkował się do prośby Muzeum i przekazał w depozyt na czas nieokreślony całość zasobów. Dzięki temu w zbiorach darłowskich mogliśmy zaewidencjonować aż 292 prace 37 artystów okręgu koszalińsko-słupskiego. W tej liczbie 67 obrazów olejnych, akwarel i rysunków **Bolesława Kurzawińskiego**, 44 prace **Ryszarda Siennickiego** – głównie obrazy olejne i rysunki tuszem. Po około 30 prac przejęto z bogatego dorobku **Wojciecha Sawilskiego, Bogdana Niesiołowskiego i Andrzeja Słowika. Niewiele mniej pozycji to obrazy Jerzego Niesiołowskiego** i **Stanisława Bekasenasa**. Całość galerii dopełniają prace, by wymienić wszystkich: **Marka Wawryna, Andrzeja Szoki, Marka Łęgowskiego, Andrzeja Baryżewskiego, Witolda Lubinieckiego, Marii Idziak, Macieja Drygasa, Edwarda Rokosza, Mariana Dąbrowskiego, Krzysztofa Urbanowicza, Melchiora Zapolnika oraz Wacława Rytlewskiego.**

Część z przekazanych prac była, niestety, poważnie uszkodzona i nie nadawała się do eksponowania. Zniszczeń dokonała grupa młodych ludzi, którzy na krótko przed przekazaniem kolekcji, włamali się do siedziby KTSK w nadziei pozyskania gotówki. Po otwarciu sejfu i znalezieniu w nim jedynie kilku urzędowych pieczątek zemsta opryszków była sroga – zniszczyli wiele obrazów i poważnie uszkodzili m.in. „Egipcjankę" – rzeźbę M. Zapolnika. Kiedy jednak prace wreszcie dotarły do Darłowa rzeźbę zrekonstruowaliśmy, naprawiliśmy też uszkodzone obrazy i z dużym animuszem przystąpiliśmy do organizowania pierwszej ekspozycji czasowej.

Prezentacja zatytułowana „Znani – nieznani" pokazywała jedynie fragment olbrzymiej kolekcji, pomimo, że zaprezentowaliśmy wówczas 76 prac tych artystów, których dzieła trafiły do Darłowa. Można było ją oglądać od początku września do końca listopada 2000 roku. Od pierwszego do ostatniego dnia ekspozycja cieszyła się dużym zainteresowaniem zwiedzających ją nie tylko mieszkańców Darłowa. Dlatego tuż po jej zamknięciu została wypożyczona do Sławieńskiego Domu Kultury, gdzie zwiedzać ją można było do połowy następnego roku. W sezonie letnim 2001 roku wystawa ta pokazywana była w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Miastku, w roku następnym gościła w Regionalnej Rozgłośni Radia Koszalin oraz w Starostwie Powiatowym w Sławnie. Zainteresowanie współczesną plastyką Pomorza Środkowego przejawiało także Muzeum Regionalne w Szczecinku, które zapragnęło zorganizować wystawę monograficzną dzieł Bolesława Kurzawińskiego.

Od początku 2003 roku w Muzeum w Darłowie trwały przygotowania do udostępnienia zwiedzającym stałej ekspozycji obrazów ze zbiorów KTSK, by wreszcie 26 listopada tegoż roku otworzyć wystawę malarstwa, rysunku i rzeźby 13 artystów. Wystawie towarzyszył katalog. Ekspozycja dawała możliwość wymiany dzieł poszczególnych twórców. Planowano też wydanie kolejnych katalogów. Każdy katalog miał być poświęcony jednemu twórcy, którego dzieła były wystawiane. W oparciu o niniejszą ekspozycję z powodzeniem przeprowadzono szereg lekcji muzealnych z udziałem dzieci i młodzieży nie tylko z darłowskich szkół.

Prezentację poszczególnych twórców rozpoczęła ekspozycja malarstwa zatytułowana „Ojciec i syn – malarstwo Jerzego i Bogdana Niesiołowskich". Ekspozycji towarzyszyła składanka – informator, w którym zamieszczone zostały noty biograficzne artystów, krótka charakterystyka ich twórczości oraz wykaz prezentowanych prac.

Jesienią ubiegłego roku zwrócił się do nas burmistrz Sianowa z prośbą o wypożyczenie prac Bolesława Kurzawińskiego na okolicznościową ekspozycję poświęconą artyście (w ramach obchodów Europejskich Dni Dziedzictwa). Ekspozycji towarzyszyła uroczystość nadania Kurzawińskiemu tytułu honorowego obywatela Sianowa.

Czwartą z kolei wystawę pochodzącą z Galerii KTSK w siedzibie darłowskiego Muzeum otwarto 6 lutego 2009 roku. Ekspozycja miała na celu przybliżenie odbiorcom wybranych, najbardziej reprezentatywnych prac malarskich, graficznych oraz rzeźbiarskich poszczególnych artystów. Miała także zapoznać z różnorodnymi kierunkami i tendencjami w sztuce, jakie prezentują ci twórcy. Na wystawie wyeksponowano również prace tych artystów, których wcześniej nie zdołano pokazać. „Przegląd" otworzyły ekspresyjne linoryty Wojciecha Sawilskiego. W komunikatywnym malarstwie Bolesława Kurzawińskiego można było podziwiać fascynację przyrodą. Ryszard Siennicki i Jerzy Niesiołowski – dwaj wytrawni koloryści, w swoich pracach pokazali jak bardzo kochają pejzaż i tematykę związaną z życiem cyrku i teatru. W następnej kolejności ujrzeć można było rozpoznawalne „migdałowe" portrety dziewczęcych główek Stanisława Bekasenasa. Zwiedzający mogli podziwiać także „Czarne skrzynki" Andrzeja Słowika, barwne, nastrojowe ogrody Kazimierza Rajkowskiego, zwiewne „Osty" Jerzego Ściesińskiego, ruchome wydmy Marii Idziak czy „geo-

metryczne" portrety miast Ryszarda Lecha. Po raz pierwszy zaprezentowano urokliwe, sielankowe obrazy Aleksandry Sieńkowskiej, wielkoformatowe malarstwo Edwarda Rokosza, delikatne morskie akwarele Elżbiety Sokołowskiej, rysunki Andrzeja Szoki, a także grafiki Andrzeja Ciesielskiego i Marka Wawryna.

W 2010 roku, w związku z naszym muzealnym jubileuszem, pragniemy zaprezentować zwiedzającym kolejną odsłonę Galerii. Z całą mocą zapewniam, że będzie to wydarzenie dużego formatu. Galeria u nas żyje i żyć będzie!

Marek Wawryn

KTSK – pro memoriam

Dwie sytuacje w moim życiu artystycznym, że tak mogę nieskromnie określić swoją działalność, zawdzięczam KTSK: pierwsza, to propozycja zorganizowania tak zwanych objazdowych wystaw moich w tak zwanych gminnych lub wiejskich domach kultury, albo wręcz w wiejskich klubokawiarniach – tak, tak – istniało coś takiego, gdzie nie sprzedawało się piwa na krechę – jak dzisiaj, lecz podawało się kawę z ekspresu. Strzekęcin, Tychowo, Karlino, Stowięcino i gdzieś tam, 20 kilometrów za Kołobrzegiem, gdzie pocieszałem zasmuconą panią kierowniczkę: proszę pani, to nic, że ktoś ukradł moją grafikę, bo to znaczy, że tak bardzo ją chciał mieć!

Druga sytuacja, gdy KTSK uwierzyło we mnie i pomogło zorganizować plenery ceramiczne w Polanowie i Złocieńcu. Pięknie jest, gdy można niekomercyjnie, studialnie i bezinteresownie próbować różnych technik, sposobów lepienia w glinie a do tego jeszcze pogadać z ludźmi, tymi – na miejscu i wysłuchać ich przedziwnych opowieści.

Sporo lat zostawiłem w KTSK i nie żałuję. Do dziś nie mogę się nadziwić, że mimo ostrych dyskusji, wręcz kłótni ze Stefanem Napierałą, wtedy Dyrektorem Biura, miałem Jego poparcie w swoich pomysłach. Był to czas działania grupy „Wiosna", o której może innym razem, ale też wspartej organizacyjnie przez KTSK. Pamiętam też pierwsze zakupy moich obrazków, do zbiorów KTSK, w swojej próżności cieszę się, że tymi bocznymi drzwiami wdepnąłem do historii, być może to ośmieliło również Muzeum do zakupu moich prac. Przede wszystkim współpraca z KTSK nauczyła mnie sztuki negocjacji, kompromisu i działania wśród ludzi niekoniecznie snobujących się na sztukę, czy też tworzących towarzystwo wzajemnej adoracji.

Oddzielnym tematem, wymagającym specjalnej troski, były piękne kobiety KTSK. Wydaje mi się, że wiele sukcesów organizacyjnych, merytorycznych jak i popularyzacyjnych KTSK zawdzięczało obecności i działalności atrakcyjnych zarówno urodą jak i intelektem pań: to Pani Maria, Pani Krystyna, Pani Olga, Pani Ania i Pani Maria Idziak, która obecnie kieruje tą, tak bliską memu sercu Firmą.

Plączą mi się po głowie różne anegdotyczne sytuacje, które zdarzały się podczas mojego, blisko dziesięcioletniego czasu współpracy z KTSK, lecz sądzę, że jest to temat na zupełnie inną uroczystość. Niech żyje KTSK póki my żyjemy!

Anna Mosiewicz

„...słowik nie narzeka, że nie śpi nocą."

wystawa w 40-lecie pracy twórczej Andrzeja Słowika

Charakterystyczna sylwetka tego artysty, niekonwencjonalny styl bycia i tubalny głos sprawiają, że jest on rozpoznawalny w wielu środowiskach Koszalina, nie tylko wśród tych „artystycznych", znany jest przede wszystkim z tego, co stworzył przez ostatnie czterdzieści lat. Bo właśnie taki jubileusz został przez Galerię „Na Piętrze" Jadwigi Kabacińskiej uhonorowany otwarciem wystawy obrazów Andrzeja Słowika, stworzonych w ciągu poprzedzających ją kilkunastu tygodni. Artysta nie ukrywał, że tematyka płócien, refleksyjna i zawierająca pewien ładunek nostalgii, powstała pod wpływem wierszy księdza Jana Twardowskiego. W kilkunastu dużych płótnach znajdujemy kwintesencję tego, co zawsze było fascynujące w malarstwie Słowika – rozmach, dużą gamę kolorystyczną, symbolizm i abstrakcję.

Artysta ten – jak zawsze – przemawia bogactwem koloru, z wielkim wyczuciem zestawiając barwy ciepłe z zimnymi, tworząc kolorystyczne, niefiguratywne kompozycje. Gama kolorystyczna, jaką niezmiennie stosuje w swych obrazach Słowik, sprawia wrażenie jakby zaczerpnięta została z rekwizytów jarmarcznych, nawet plebejskich i nawiązuje do barw strojów ludowych i malarstwa na szkle. Wrażenie to wzmocniło się wówczas, gdy artysta zaczął narzucać na swe obrazy „złote siatki", które stały się z czasem swoistą „sygnaturą", jemu tylko przypisaną. Był też w jego malarstwie okres, w którym na prawie każdym obrazie umieszczał złote słońce, aby teraz, po wielu latach, zamienić je na fragmenty koronek, stanowiących nie tylko dekorację...

Barwy palety tego malarza w sposób niezauważalny ewoluują od cynobru, różu indyjskiego, poprzez brązy, ugry, złocienie do kobaltu i błękitu paryskiego. Jednakże widać, że ulubionymi kolorami Słowika są te dwa najważniejsze – czerwień we wszystkich odcieniach i złoto, wywodzące się z dawnej symboliki królewskiej i solarnej, magicznej i ludowej, religijnej i pogańskiej. To malarstwo jest emocjonalne, wyraża nastroje i uczucia, a poprzez swą dekoracyjność dostępne jest wszystkim, niezależnie od stopnia abstrakcji i niefiguratywności.

Andrzej Słowik zawsze kochał malarstwo – nie bez kozery studiował tę dziedzinę sztuki w gdańskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, robiąc w 1969 roku dyplom w pracowni prof. Krystyny Łady-Studnickiej. On, gdy stał się znanym *bon vivantem* nazywającym siebie sybarytą, chętnie korzystającym z uroków życia, malował duże obrazy, z rozmachem, szerokim pędzlem, soczystymi barwami, odzwierciedlając na swych płótnach radość i zadowolenie z tego, co jest dookoła. Jedno z takich płócien, pokazujących biesiadę przy stole, zakupiło do swych zbiorów sztuki współczesnej Muzeum w Koszalinie. Lecz niespokojny duch Słowika kazał mu na jakiś czas zarzucić malarstwo i poszukiwać coraz to nowych form wyrazu artystycznego, co zaważyło na dalszych jego losach.

W połowie lat siedemdziesiątych nastała moda na upiększanie dość brzydkich architek-

tonicznie osiedli, zlecano wówczas projekty i ich realizację młodym artystom, skupionym w Związku Polskich Artystów Plastyków. Tak powstały sgraffitta na ścianach nie tylko koszalińskich budynków, robione przez Słowika wspólnie z Andrzejem Ciesielskim i Edwardem Rokoszem. Przede wszystkim ocieplanie ścian budynków unicestwiły te interesujące realizacje, z których żadna do dzisiaj się nie zachowała, a ich – trącące już myszką piękno – można zobaczyć tylko na zachowanych, nielicznych fotografiach. Sgraffitta były dla Słowika wyzwaniem – przecież jego specjalność to także malarstwo architektoniczne.

W beznadziei i szarzyźnie stanu wojennego powstał pomysł na „kaszty", zecerskie szuflady, w które artysta „wpisywał" symboliczne czerwone pajęczyny, wypalone zapałki, złote marzycielskie nici, metalowe kolce (cenzura) i wiele innych symboli. Kaszty to lapidarny efekt emocji, skrót myślowy, który był swego rodzaju drogowskazem wiodącym do „czarnych skrzynek", zawierających – tak jak te pomarańczowe ze statków i samolotów – trwałą pamięć o przeszłości. Skrzynki były bardzo intymnym, osobistym zapisem, a wmontowane w nie przedmioty stawały się strażnikami pamięci, materialnym wyobrażeniem zarówno osobistych przeżyć, jak i wydarzeń, po których artysta chciał zostawić ślad. Na dłużej w pamięci została, wyróżniająca się spośród wielu innych, *Madonna z Magadanu 1944-1954,* haftowana na dalekiej Syberii przez matkę artysty, którą odzyskał i poznał mając już jedenaście lat...

Trzecim rekwizytem, który, jak kaszty i skrzynki stanowił ramę okalającą artystyczne treści, stały się okna, którym, uratowanym z ruin i śmietników, Słowik nadawał nową funkcję i treść. Na kolejnych wystawach spoglądało się przez te okna na świat, ale już nie rzeczywisty, lecz ten inny, wyobrażony. Także i w oknach był *typowy Słowik,* który na barwne płaszczyzny na-



Jubileusz 40-lecia pracy twórczej Andrzeja Słowika w galerii „Na Piętrze". fot. Ilona Łukjaniuk

rzucał złote siatki, czerwone słońca i kobaltowe nieba, a ich ramy ozłacał specjalną folią. Było wielu naśladowców, którzy dość nieudolnie usiłowali wmontowywać w okienne ramy swoje wyobrażenia o malarstwie, lecz okazało się, że tylko Słowik miał swoisty patent na owe „okna na sztukę".

W artystycznej biografii tego niespokojnego duchem artysty były inne rekwizyty – krzesła, w oparcia których wpisywał swoje kolorowe wizje. Była to swego rodzaju zabawa, do każdego bowiem stylu czy też formy mebla dostosowywał swoje kolorowe, abstrakcyjne kompozycje. Ale to też była efemeryda, krótko trwająca; niestały w uczuciach Słowik porzucił „meble" i zajął się... starymi mapami, których stonowane tło stało się dla niego kolejnym wyzwaniem. Owe mapy, nieaktualne już, zdobyte w jakiejś centrali zaopatrzenia szkół, na których malował swe „obrazy", miały – tak jak kaszty, skrzynki i okna – podobny ładunek emocjonalny i nawiązanie do przeszłości. Malarz znowu na krótko wrócił do płócien, eksperymentując z kolorami, starając się przekazać symbolami odczucia i wrażenia, aby po jakimś czasie rzucić się entuzjastycznie w zupełnie inną dziedzinę sztuk pięknych – w ceramikę. Wydawało się, że odnalazł w niej świetne tworzywo dla swej kolejnej pasji, tworząc w swych niezbyt małych dłoniach ozdoby choinkowe, niewielkie ptaszki *słowiki,* drobne formy ozdabiane – jak saskie figurki – koronkami. Lecz ta zbyt „damska" dziedzina i męski temperament spowodowały, że porzucił przygodę z ceramiką i, niczym syn marnotrawny, wrócił do malarstwa, w którym jest wszystko, co odpowiada jego temperamentowi – feeria koloru, symbolika, rozmach, swoboda, niczym nie ograniczone możliwości.

Andrzej Słowik lubi swoje ornitologiczne nazwisko – wykorzystuje je więc w swej sztuce, malując rozmaite słowiki w kapeluszach, cylindrach, tworzył je także w ceramice, ozdabiał ich sylwetkami drzewa i krzewy wokół domu, zapraszając w tak oryginalny sposób na imprezy zatytułowane „Słowik w plenerze". Zabawny kontrast dużego artysty i niewielkiego słowika, a także pewna nuta kokieterii, związana z potrzebą bycia w centrum uwagi sprawiły, że ów ptasi, bardzo zresztą sympatyczny symbol stał się, jak wcześniej *złote siatki,* znakiem właśnie tego malarza. Trudno się więc dziwić, że cytat z poezji Twardowskiego *„...słowik nie narzeka, że nie śpi nocą."* stał się tytułem i zarazem treścią jednego z obrazów jubileuszowej wystawy.

Czterdziestolecie pracy twórczej Andrzeja Słowika zgromadziło w Galerii „Na Piętrze" szerokie grono koneserów sztuki i środowisko artystyczne, a władze miasta uhonorowały jubilata specjalną nagrodą.

Warto spojrzeć na świat poprzez pryzmat sztuki Andrzeja Słowika – może wyda nam się lepszy, cieplejszy, barwny i nad wyraz przyjazny...

Dana Jurszewicz

Mieszkam kątem u Wysockiego

To muzeum jest ewenementem, a wieść o nim zatacza coraz szersze kręgi. Włodzimierz Wysocki, legendarny już za życia rosyjski pieśniarz, poeta, aktor – dla miłośników jego sztuki wciąż żyje. Świadczą o tym nie tylko trzy pomniki w samej Moskwie, ale i coraz ściślejsze kontakty ludzi nim zafascynowanych, a odnajdujących się za pośrednictwem Internetu na całym świecie. Także muzeum koszalińskie staje się coraz bardziej znane, a skrzynka mailowa jest wciąż pełna. I pewnie dlatego podczas Wiosny Baletowej 2010 w Koszalinie, para z Baletu Konserwatorium Praskiego, wiedząc o jego istnieniu specjalnie przygotowała taniec do pieśni Wysockiego „Kapryśne konie".

Ta sama fascynacja sprawiła, że 15 lat temu Marlena Zimna postanowiła założyć w Koszalinie muzeum poświęcone pamięci Wysockiego. Całkowicie prywatne, w wydzielonej części własnego mieszkania przy ulicy Drzymały, jakie wówczas wraz z mamą zajmowała. Jak do tego doszło?

- *Miłość do Wysockiego to miłość od ...drugiego wejrzenia* – mówi dr Marlena Zimna – *Pierwsze zdarzyło się, gdy miałam 11 lat. Był to rok 1980, rok śmierci Wysockiego. Często słuchałyśmy z mamą radiowej audycji „Muzyka nocą". Zapowiedziano występ Włodzimierza Wysockiego. Zdziwiłam się usłyszawszy język rosyjski. Były to „Kapryśne konie" i zrobiły na mnie takie wrażenie, że tę chwilę pamiętam do dziś. Drugie wejrzenie miało miejsce cztery lata później, także dzięki mamie. Przyniosła październikowy numer „Literatury na Świecie" zatytułowany „Wysocki i inni". Wydrukowano tam 22 wiersze poety. Zaczęłam je czytać, siedząc wygodnie w fotelu. Do dziś pamiętam tamto uniesienie, poczucie spotkania się z czymś niezwykłym i zarazem tak mi bliskim. Doznałam olśnienia, że to jest mój poeta. Szybko poczułam, że mi mało tych 22 wierszy, że muszę szukać, zwłaszcza, iż w nocie biograficznej napisano, że był autorem ponad 1000 utworów. Byłam wówczas uczennicą II klasy LO im. Dubois.*

Pilna uczennica poszła prosto do koszalińskiej biblioteki. Najpierw szukała w polskich publikacjach, czasopismach i znalazła sporo. Były to czasy, gdy w bibliotekach było mnóstwo prasy radzieckiej. Liczyła, że tam dopiero znajdzie rarytasy! Niestety, w żadnej z gazet literackich, teatralnych czy muzycznych nic nie było. Znalazła jeden utwór w gazecie dla turystów, jako propozycję piosenki do śpiewania z gitarą w plenerze.

Szybko zorientowała się w rodzaju popularności barda z Moskwy, ale, jak dziś wspomina: „w swej młodzieńczej naiwności zaczęłam pisać do różnych instytucji, redakcji i organizacji oraz urzędów państwowych w ZSRR. Prosiłam o nagrania, płyty lub kasety czy też tomiki wierszy, zdjęcia. O dziwo, niemal wszyscy mi odpowiadali i nawet zapewniali o ogromnym szacunku dla Wysockiego. A z Ministerstwa Kultury ZSRR przysłano mi kasetę, 60-minutową, z zapisem półlegalnego koncertu w Moskwie, z piosenkami nigdzie oficjalnie nie publikowanymi. Mam ją do dziś."

Zainteresowanie życiem Wysockiego i jego twórczością wpłynęło na wybór dalszej drogi Marleny Zimnej. Ukończyła rusycystykę, a w domu powiększała się kolekcja pamiątek, wycinków, publikacji... I wtedy „Sztandar Młodych" opublikował tekst wspomnieniowy w rocznicę śmierci Wysockiego, pełen tylu błędów, że pani Marlena nie wytrzymała. Napisa-

ła sprostowanie, które opublikowano. Kiedy zaś wróciła z Moskwy po uzyskaniu doktoratu – postanowiła założyć muzeum, by wiedza o niezwykłym człowieku dotarła do każdego, kto będzie zainteresowany, nie zaginęła w pomyłkach, braku dokumentacji, powielanych legendach i anegdotach. W dniu otwarcia muzeum, w maju 1994 roku, 14 lat po śmierci barda przygotowała pokaz ok. 300 eksponatów. Dzisiaj ma ponad 16 tysięcy pozycji. Po roku nastąpiło drugie otwarcie – w obecnym lokalu przy ul. Andersa. Z I piętra w kamienicy usytuowanej w nieciekawej okolicy zwanej „trójkątem Bermudzkim" Marlena Zimna, jej mama Ingrid i Wysocki przenieśli się do mieszkania na parterze bloku w centrum miasta, z dobrym dojazdem i większym metrażem. Trochę im tylko żal tamtych wysokich pokoi. Wysocki zaś i tak szybko zagarnął niemal wszystkie zakamarki. – *Mieszkamy kątem u Wysockiego* – mówi pani Marlena z uśmiechem. – *A zbiorów przybywa*.

Dziś nie trzeba już biegać po bibliotekach, słać listy poszukiwanych utworów w świat. Dziś pani Marlena za pomocą Internetu sama szpera w bibliotekach i archiwach całego świata. Za niektóre eksponaty trzeba płacić, np. za filmowe materiały archiwalne wyszukane w zbiorach telewizyjnych. Stawki bywają duże. – *Za 13,41 minut filmu z Francji trzeba było zapłacić 1850 euro. Ale to i tak cena specjalna, dla placówek naukowych i muzeów* – mówi dr Marlena i przypomina inną sytuację – *Na aukcji pojawił się kapelusz, który Wysocki nosił w filmie „Czarny kot", wyceniony na 1 mln dolarów*!

Marlena Zimna szuka jednak nie środków na kapelusz. Ma swoje marzenia i nadzieje. Posiada już trochę rękopisów Wysockiego, ale wciąż szuka na przykład tekstu scenariusza filmowego „Zielony furgon", który Wysocki zamierzał realizować. O jego cenę będzie wówczas się martwić, kiedy się odnajdzie. A może być zawrotna. Od kilku lat szuka też filmu serbskiego reżysera Radko Ilića, autora 50-minutowej relacji ze spektaklu „Hamlet", w którym Wysocki wystąpił w Belgradzie na festiwalu teatralnym „Bitef" w 1976 roku. Niepokorny reżyser zmarł, a jego filmy kasowano w archiwach telewizji. – *Wciąż liczę na to, że ktoś się zlitował* – mówi Marlena – *i zrobił kopię tego filmu. I że ta kopia się odnajdzie. Inne filmy Ilića ocalały, może i ten gdzieś jest*.

Muzeum otrzymuje nieustannie przesyłki z eksponatami z całego świata. Artyści wykonujący utwory Wysockiego przysyłają nagrania, naukowcy książki i artykuły, tłumacze przekłady. Opera Narodowa z Pragi przysłała całą dokumentację spektaklu „Solo na trzech – Wysocki, Brel, Kryl". Przedtem prosili o ikonografię do opracowania kampanii medialnej. Z Finlandii co kilka tygodni przychodzi kolejny śpiewnik lub płyta zawierające „Pieśń o przyjacielu", która tam jest niemal kanonem każdego zbioru i w repertuarze każdego chóru.

W ten sposób muzeum w Koszalinie staje się centrum dokumentacji związanej z dru-



Marlena Zimna. fot. Ilona Łukjaniuk

gim życiem dorobku Wysockiego – „życiem po życiu". Korzystają ze zbiorów naukowcy, studenci piszący prace magisterskie, a kiedyś pewien Szwed zwrócił się z pytaniem, jakie przekłady piosenek Wysockiego na szwedzki muzeum może mu polecić. – *To nic nadzwyczajnego* – mówi Marlena Zimna – *prowadzimy działalność naukową, wydawniczą, popularyzatorską, jak każde inne muzeum, choć pracują tu tylko dwie osoby – ja i mama, a do dyspozycji mam jeden komputer... – Od siebie dodam, że z niemal zabytkowym monitorem.*

Każdego roku przewijają się tu 3-4 tysiące osób. Problemem jest przepustowość. Podczas poprzednich „Nocy Muzeów" był kłopot, bo nie wszyscy chętni się mieścili. Dlatego następne „Noce" będą raczej wyjazdowe. Muzeum coraz częściej organizuje takie wystawy. Wybrany zestaw eksponatów jest prezentowany w różnych miejscach kraju i nie tylko. W kwietniu 2010 r. na Festiwalu Słowa w Elblągu odbyła się taka multimedialna wystawa pokazująca Wysockiego. – *W ramach różnych imprez odwiedzamy z Wysockim wiele miast w Polsce* – cieszy się pani Marlena – *Już od dawna nie muszę o to zabiegać, mam mnóstwo propozycji.*

To prawda, zbiory są stłoczone na malutkiej powierzchni, nie ma warunków do poznania nagrań, przejrzenia książek czy prac naukowych. Nie ma archiwum, bo brak miejsca. Ale choć pani Marlenie marzy się większa powierzchnia, salka multimedialna czy czytelnia, nadal uważa, że muzeum takiego człowieka, jakim był Wysocki właśnie w mieszkaniu, jest „na właściwym miejscu", bo, jak mówi: „odzwierciedla jego charakter i styl działalności pieśniarskiej". To prawda, wiemy przecież, że znaczną część swoich koncertów wykonał właśnie w mieszkaniach przyjaciół i wielbicieli.

Za najcenniejszy eksponat w swoim muzeum pani Marlena uważa gitarę, na której na pewno grał Wysocki. Takich gitar, z poświadczeniem autentyczności, jest może kilka, choć wiele osób utrzymuje, że ma instrument, na którym grał pieśniarz. Wysocki grywał na różnych gitarach, przechowywano je dla niego w domach, w których koncertował. Na tej zaś grał koncert w 1976 roku w Casablance. Potem podarował ją dziennikarzowi marokańskiemu, wypisując na pudle dedykację w języku rosyjskim. Obdarowanemu dopiero Marlena Zimna objaśniła jej treść. W efekcie długich zabiegów muzeum koszalińskie wypożyczyło instrument na wystawę w 2002 roku. Po pół roku instrument wrócił do Maroka. W 2005 roku, w Moskwie, podczas uroczystości 25-lecia śmierci Wysockiego, pani Marlena niespodziewanie została posiadaczką gitary, Hasan El-Saied uznał, bowiem że w Koszalinie będzie jej najlepiej i bezpiecznie. Ale w muzeum są też, wydawałoby się, niepoważne eksponaty – kubki z podobizną poety, znaczki, pudełka zapałek, pocztówki, reklamówki. Są też rosyjskie „matrioszki", z których każda, coraz mniejsza to... Wysocki, a może raczej Wysocka. – *Choć Włodzimierz Wysocki jest przedstawicielem kultury elitarnej* – tłumaczy pani Marlena – *jego popularność sprawiła, że stał się także ikoną pop-kultury. Dlatego wszelkie takie gadżety też zbieram.*

Osobną formą pracy muzeum są coroczne międzynarodowe festiwale filmów dokumentalnych „Pasje według świętego Włodzimierza". W ostatnim brali udział „wysockolodzy" z 25 państw.

Marlena Zimna, twórczyni najbardziej znanego i chyba najbardziej niezwykłego muzeum Wysockiego na świecie, nie poznała swojego idola. Nie widziała go na żywo na żadnym koncercie ani spektaklu. – *Minęłam się z nim zaledwie o cztery lata* – mówi zamyślona – *gdybym się wcześniej urodziła, może zobaczyłabym właśnie „Hamleta" lub jakiś koncert. Ale jeśli ktoś kiedyś wymyśli wehikuł czasu, natychmiast przeniosę się w lata 60.,70. i jadę do Moskwy, do teatru na Tagance*.

Maja Ignasiak

Kultura na MAX-a

Na stronie internetowej www.beta.tkk.net.pl czytamy: >Telewizja „Max" funkcjonuje od 1998 roku. 3 października po raz pierwszy wyemitowaliśmy „Wydarzenia" – lokalny program informacyjny. Do dziś można je oglądać codziennie od poniedziałku do soboty zawsze o 17.15 (powtórki co godzinę). Oprócz programów cyklicznych, takich jak „Filmax", „Klub", „Jestem Vipem?" czy „Na sygnale" dziennikarze TV MAX przygotowują relacje z ciekawych imprez, starają się być wszędzie tam, gdzie dzieje się coś interesującego. Jeździmy z kamerą do szkół, klubów osiedlowych i instytucji kultury. Rozmawiamy z politykami, samorządowcami i artystami<.

TV „Max" znalazła się wśród zdobywców statuetek „Gazela Biznesu" w 2006 i 2008 roku, czyli na prestiżowej liście przedsiębiorstw, które osiągają bardzo dobre wyniki finansowe, dynamicznie się rozwijają oraz są rzetelnymi partnerami biznesowymi. Konkurs jest organizowany przez redakcję dziennika „Puls Biznesu" i wywiadownię gospodarczą Coface Poland.

W 2009 roku Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o. otrzymała też „Diamenty Forbesa", w kategorii firm o poziomie przychodów 5-50 mln zł w województwie zachodniopomorskim. Lista „Diamentów Forbesa" opracowana jest na podstawie szwajcarskiej metody wyceny wartości firm, uwzględniającej zarówno wyniki finansowe jak i wartość majątku. Metoda ta umożliwia zmierzenie potencjału przedsiębiorstw, przy uwzględnieniu wielkości realizowanych inwestycji oraz zdolności do powiększania sprzedaży i zysków. z o.o.

O miejscu kultury w TKK „Max" rozmawiają Monika Kuzio-Czapka i Maja Ignasiak.

Maja Ignasiak: – Jako redaktor naczelna telewizji kablowej decydujesz o doborze tematów; miejsc, wydarzeń i ludzi, wartych pokazania. Czym przede wszystkim kierujesz się, podejmując decyzje o zawartości programu.

Monika Kuzio-Czapka: – Jako telewizja lokalna skupiamy się przede wszystkim na nagłaśnianiu i promowaniu tych wydarzeń i osób, które funkcjonują, działają i tworzą w naszym mieście. Ten lokalny patriotyzm wpisany jest w pracę naszych dziennikarzy. Codziennie tworzy się historia Koszalina, w której czynnie uczestniczymy. Ważne rzeczy dzieją się nie tylko w ratuszu i salach konferencyjnych, ale także w szkołach, klubach osiedlowych i na naszych podwórkach. Przekazujemy naszym widzom przekrój różnych informacji.

Znaczną cześć ramówki poświęcamy kulturze. Powiem może nieskromnie, że wkład Telewizji Max w promowanie lokalnej kultury jest bardzo duży. W Koszalinie i regionie nie brakuje artystów – zarówno osób z ogromnym dorobkiem artystycznym, jak i tworzących tylko na własne potrzeby w domach czy klubach osiedlowych. I jednym, i drugim poświęcamy czas antenowy. Mamy w Koszalinie instytucje kultury, obok których nie można przejść obojętnie. Bałtycki Teatr Dramatyczny, Filharmonia Koszalińska, Muzeum pracują na wysokim poziomie. Ciekawe imprezy serwują nam: Centrum Kultury 105, Koszalińska Biblioteka Publiczna czy galerie sztuki. Koszalin naprawdę nie ma się czego wstydzić! Dzięki takiej różnorodności kulturalnych tematów nam nie brakuje.

M.I.: – Podejmując współpracę z TV MAX jako m.in. autorka magazynu kulturalnego miałam i cały czas mam dylemat, jak rozkładać proporcje. Z jednej strony wypada odnotowywać koncerty, spektakle i wernisaże w przybytkach sztuki profesjonalnej. Z drugiej – za swoistą misję uważam odkrywanie ciekawych zjawisk w sztuce amatorskiej, początkującej, niepewnej swego bytu; docieranie do uzdol-

nionych studentów i uczniów szkół artystycznych. Czuję satysfakcję, gdy w telewizji MAX po raz pierwszy pokazują się publicznie utalentowani młodzi ludzie. Satysfakcja jest, oczywiście, większa, kiedy to nie oni sami zabiegają o nagłośnienie swych sukcesów.

Uważam, że należy pokazywać występy znanych gwiazd na scenie amfiteatru czy filharmonii oraz spektakle innych teatrów, prezentowane na scenach koszalińskich. Ale większe zadowolenie daje mi prezentacja w telewizji lokalnych zjawisk kulturalnych, a zwłaszcza, kiedy po emisji słyszę głosy zdumienia widzów: „O, my to mamy w mieście?".

Oglądając Telewizję Max mam wrażenie, że szeroko pojęta kultura jest tu pokazywana z kilku perspektyw: dyrektorzy miejskich instytucji kulturalnych mówią o inwestycjach, finansach itp. w takich programach, jak „Jestem VIP-em?" czy „Przegląd tygodnia". Ruchy amatorskie regularnie prezentują swoje dokonania, głównie muzyczne, w „Klubie". Sylwetki artystów rozmaitych dziedzin sztuki prezentujemy w „Pełnej kulturze". Do tego ciekawe zjawiska z nurtu zainteresowań młodzieży mamy w „Atrapie" i „Telebloidzie".

Czy decydując o zawartości programowej, bierzesz pod uwagę konkretne grupy odbiorców?

M.K-C.: – Tego wszystkiego, co dzieje się w sferze kultury, nie sposób zamknąć w jednym przekazie. Tego jest po prostu za dużo i jest to zbyt różnorodne. Stąd oferta programowa, która uwzględnia wiele aspektów spojrzenia na sztukę. Widzowie telewizji Max są w różnym wieku i mogą wybierać spośród programów odpowiadających ich dojrzałości, zainteresowaniom i oczekiwaniom.

Zależy mi na tym, by telewizja Max była nie tylko przekaźnikiem zjawisk kulturalnych, ale także miejscem dyskusji oraz wymiany doświadczeń i poglądów osób zaangażowanych w rozwój kultury w naszym mieście. Mam nadzieję, że przez te wszystkie lata funkcjonowania staliśmy się wiarygodnym forum dla artystów i animatorów sztuki.

M.I.: – Myślę, że znacznej grupie telewidzów dużą radość sprawia emitowanie w odcinkach interesujących imprez kulturalnych, zarejestrowanych uprzednio przez kilka kamer naraz. Telewizja Max dostarcza nam obszernych fragmentów występów baletowych i koncertów okolicznościowych. Szczególne znaczenie ma to w okresie świąt, gdy więcej czasu spędza się w domu, przy telewizorze. Sama czekam na fragmenty musicalu „Jesus Christ Superstar" w wykonaniu dawnych dyplomantów szkoły muzycznej, które powracają podczas Świąt Wielkiej Nocy. Boże Narodzenie umilały kolędy śpiewane przez dzieci z koszalińskich przedszkoli. Marzy mi się, by takich wydarzeń, wartych rejestracji, a związanych z konkretnymi świętami, było jeszcze więcej.

M.K-C.: – Wydarzenia kulturalne, szczególnie te muzyczne, dostarczają naszym widzom wielu pozytywnych wrażeń. Dlatego te, które odbijają się szerokim echem w mieście, retransmitujemy. Pozytywny odzew miał charytatywny koncert Francesco Malapeny – włoskiego tenora, który przyjechał do Koszalina na zaproszenie Stowarzyszenia Kiwanis. Jego dwa koncerty z koszalińskimi filharmonikami zgromadziły w sali kina „Kryterium" tłumy słuchaczy. W całości emitowaliśmy też koncert pochodzącej z Wysp Karaibskich Izaline Calister. Ta wokalistka i kompozytorka tworzy niepowtarzalny własny styl muzyczny, łącząc egzotyczne rytmy z jazzem. Jej występ w Studiu Koncertowym Radia Koszalin zrobił ogromne wrażenie na publiczności, a później na widzach Telewizji Max, czego wyrazem były prośby o powtórną emisję koncertu. Takich przykładów można by przytaczać wiele. Kultura zajmowała, zajmuje i będzie zajmować zaszczytne miejsce w naszej ramówce. A tematów nam nie zabraknie, bo przecież kultura jest tam, gdzie są ludzie...

*

Monika Kuzio-Czapka – od 1998 roku dziennikarka Telewizji Max, a od 2006 roku jej redaktor naczelna.

Maja Ignasiak – od 2009 roku autorka programu „Pełna kultura", emitowanego co tydzień w Telewizji Max.

Stanisław Wolski

Dla eksperymentu

5- lecie Galerii „SCENA"

Galeria „SCENA dla eksperymentów" powstała na początku 2005 roku. Jej powołanie poprzedził konkurs ogłoszony w 2004 r. przez Prezydenta Miasta, w wyniku którego kierownikiem galerii został artysta i animator kultury Robert Knuth, znany z organizacji wielu projektów artystycznych, m.in. *Diffusion Ansambl*e (RFN), galerii *Delikatessen* (Gdańsk), *Steam Gustloff trio*, Skann etc. Knuth zaproponował też nazwę galerii. „...chcę, by scena była dla eksperymentów... zarówno miejscem dialogu i dyskusji, wejściem do świata fascynujących poszukiwań, by swoim programem przeciwstawiała się banalizacji... Od miasta otrzymaliśmy miejsce o bogatym znaczeniu pierwotnym, w trwających tutaj obrazach i dźwiękach zawarta jest historia trzech stuleci" – wyjaśniał.

Knuth zaproponował współpracę merytoryczną Ryszardowi Ziarkiewiczowi, jednemu z najlepszych w Polsce kuratorów, wydawcy „Magazynu Sztuki", pracownikowi Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, dyrektorowi BWA w Sopocie, organizatorowi takich ważnych wystaw jak „Ekspresja lat 80", „Abstrakcja konkretna" czy prezentacja sztuki polskiej w Wuppertalu.

Celem galerii „SCENA" od początku jej istnienia było pokazywanie najnowszych trendów w sztuce polskiej, oraz wyszukiwaniu talentów, m.in. spośród studentów Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej (gdzie przez pewien czas Robert Knuth był zatrudniony) i w innych wyższych szkołach artystycznych. Do współpracy zachęcał też wszystkich zainteresowanych szeroko pojętymi multimediami. Galeria miała działać jako przestrzeń do zagospodarowania przez artystów, z szerokim spektrum; od klasycznie pojętej plastyki poprzez różne formy muzyczne, teatralne, literackie, także film, wideo etc. Innym nurtem były warsztaty dla wszystkich zainteresowanych szeroko pojmowaną działalnością artystyczną.

Swoje miejsce galeria znalazła w pomieszczeniach po nieczynnej kotłowni Koszalińskiej Biblioteki Publicznej, przy placu Polonii 1. Miejsce, chociaż zaniedbane i zdewastowane, okazało się doskonałym MIEJSCEM SZTUKI – nadawało galerii klimat, prowokujący do silnej ingerencji w strukturę pomieszczenia poprzez wszelkiego rodzaju formy aktywności twórczej, nie tylko czysto plastyczne.

Specyfiką „SCENY" stało się ilustrowanie wystąpień i wystaw wszelkiego rodzaju formami muzycznymi, często przeradzających się w długotrwałe „jam sessions". Tego typu działalność galerii sprowadziła poszukujących studentów Instytutu Wzornictwa PK, m.in. Andrzeja Golca, Grzegorza Ciamciacha (wspominam tych, którzy zrobili już krajową karierę), grupę KABUUM, grupę „Totrimejk", Igę Chełmińską, świetnego rzeźbiarza (nie związanego z wzornictwem) Tomasza Rogalińskiego oraz zespoły „Silly boyz in the streetz" czy „Billy, Billy Bang".

Inną formą prezentacji sztuki są spotkania i prezentacje uznanych artystów. W „SCENIE" prezentował swój dorobek najgłośniejszy obecnie polski artysta Mirosław Bałka (prezentacja dokumentacji), pokazano filmy Katarzyny Kozyry, koncertowali Mazzoll – jeden z najwybitniejszych polskich klarnecistów oraz znakomity perkusista Arszyn, który również prowadził

warsztaty. Ciekawie wypadły projekcje „WRO in tour" – przegląd form filmowych jednego z najważniejszych festiwali filmu eksperymentalnego we Wrocławiu oraz „Art in Cinema" z Krakowa, podczas którego pokazano filmy m.in. Wilhelma Sasnala. Bardzo ciekawym wydarzeniem był wykład Roberta Rumasa, artysty i animatora kultury „Dlaczego moja sztuka jest dla mnie ważna i co w innych artystach jest wyjątkowe". Dużym wydarzeniem była wystawa Agaty Michowskiej, jednej z najciekawszych polskich rzeźbiarek, pt. „Lullaby" („Kołysanka").

Wystawą problemową, chyba niedocenioną, była wystawa „Dwie kolekcje", na którą złożyły się prace wybitnych polskich artystów z prywatnych zbiorów Andrzeja Ciesielskiego i Ryszarda Ziarkiewicza. Kolekcje stanowią zbiór prac artystów prezentujących różne aspekty sztuki polskiej, czasem bardzo odległe od siebie, ale w całości dające w miarę pełny obraz sztuki od lat 70. ubiegłego wieku po dziś. Najgłośniejszą jednak prezentacją w „SCENIE" była wystawa Petera Fussa „Jesus Christ King of Poland", zakończona skandalem i zamknięciem (na szczęście krótkotrwałym) galerii. Autor, twórca street artu porównywany często do Brytyjczyka Banksy'ego, umieścił plakat „Żydzi, won z katolickiego kraju", niesłusznie odczytany jako manifestacja antysemityzmu, gdy tymczasem, wg zamierzeń autora, miał to być protest przeciwko polskiemu antysemityzmowi, a hasła zostały wzięte z antysemickich forów internetowych.

Wystąpienie Fussa odbiło się echem w prasie koszalińskiej i krajowej, podobnie jak akcja „Kocham Koszalin", która w założeniach miała być artystyczną impresją na temat miasta. Pierwsze prace w formie billboardów były prezentowane na gmachu koszalińskiego Muzeum. Niestety, po trzech prezentacjach akcja została zawieszona, gdyż władze miasta spodziewały się działań wpisujących się raczej w nurt działań promocyjnych zgodnie z zasadami Public Rela-



Galeria SCENA. fot. archiwum galerii

tions. Obecnie akcję z powodzeniem kontynuuje Łódź, pod nazwą „I love Łódź".

Galeria „SCENA" włączyła się również w nurt publicznej dyskusji nt. sztuki w przestrzeni publicznej, zainicjowanej przez kolegium redakcyjne almanachu „Kultura Koszalińska". Pretekstem do pierwszego panelu, poświęconego sztuce w przestrzeni publicznej i m.in. cenzurze w sztuce, było zawieszenie akcji „Kocham Koszalin" oraz billboard Petera Fussa. Druga wspólna debata, poświęcona zagadnieniu zawartemu w pytaniu: „Czy w Koszalinie jest miejsce dla sztuki współczesnej", była pokłosiem toczącej się na łamach prasy dyskusji, czy należy przekazać gmach po kinie „Muza" na rzecz Centrum Sztuki Współczesnej i czy w Koszalinie jest zapotrzebowanie na tego typu działalność. (relacja z tej debaty jest zamieszczona w niniejszym almanachu – dop. red.).

Ostatnią formą działalności „SCENY", kto wie, czy nie najważniejszą, są zajęcia warsztatowe dla dzieci i młodzieży (choć nie tylko). Dotąd odbyły się warsztaty „Oswajanie sztuki", „Artystyczne wakacje", „Teoria i praktyka reklamy", „Malujmy razem" (udział wzięli twórcy koszalińscy i uczniowie Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego z Warnina i Koszalina), „Podziel się przestrzenią", „Wspólne malowanie", „Ja i moje miasto – mapa mojego miasta". Jeżeli dodamy do tego wspólne przedsięwzięcia z Fundacją Młodego Kina, będziemy mieli prawie pełny obraz działalności galerii.

W październiku 2008 wystawą „Raj na ziemi" z galerią rozstał się jej dotychczasowy kierownik Robert Knuth. Jego miejsce zajął Ryszard Ziarkiewicz.

www.galeriascena.pl

Kalendarium (wybrane wystawy)

2005-2006

1. „Casting" – 18 grudnia – 1 lutego.
2. Scena „5 cm" wystawa fotografii, kwiecień.
3. „Patrzysz na mnie", wystawa, październik.
4. „Hałasy" prezentacja.
5. Golc, Czaja, Czekaj – wystawa i koncert.
6. Arszyn – koncert i warsztat. 16 października.
7. Bogna Świątkowska, wykład. Październik 2006.
8. „Nowy dizajn miejski", 30 października.
9. Marek Wołodźko, „Ciało, transcendencja i ja", wykład, 15 grudnia.

2007

1. Peter Fuss, „Jesus Christ King of Poland" – akcja i wystawa, 25 stycznia.
2. Malina Tomaszewska, „Glosariusz", 28 lutego.
3. Mazzoll, „Dźwięk dla Koszalina", koncert, 21 marca.
4. Początek akcji „Kocham Koszalin", lipiec. Autorem I edycji był Robert Knuth, który zaprosił do współpracy znanego koszalińskiego fotoreportera Kamila Jurkowskiego.
5. Spotkania multimedialne Lubiszewo 2007 – wystawa w Muzeum w Koszalinie i „Scenie". Sierpień.
6. Andrzej Ciesielski, Stanisław Wolski, „Benefis", akcja. 18 października.
7. „Wielkie Euroshorts", wystąpienia. 6 grudnia.

2008

1. „Śpiewające kury", akcja. 20 stycznia.
2. Sztuka w przestrzeni miejskiej, debata (wspólnie z kolegium red. „Almanachu", relacja w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007" – dop. red.). 25 lutego.
3. Ewa Zarzycka, wystawa, 12 marca.
4. „Suma – różnica", wystawa studentów z pracowni rzeźby prof. Marcina Berdyszaka w Instytucie Wzornictwa PK, 30 kwietnia.
5. „Piękna Polska", wystawa prac studentów poznańskiej ASP (Filip Chrobak, Jagoda Glińska, Marzena Mikita, Borys Włoczkowski, Filip Ziarkiewicz, 23 czerwca.
6. „Projekt", wystawa Marii Stafyniak i Pawła Kuli, 10 września.
7. „Cień", koncert przyjaciół „Sceny", 30 października.
8. Pożegnanie Roberta Knutha z Koszalinem. Wystawa, koncert i projekcja filmu „Raj na ziemi". 31 października.

2009

1. Kamil Jurkowski, „Wszyscy jesteśmy z Koszalina", wystawa. 23 stycznia.
2. „Oswajanie sztuki", warsztat Marii Stafyniak i Pawła Kuli.
3. „Art. of Cinema", projekcje filmowe (wspólnie

z Fundacją Młodego Kina), 21-22 lutego.
4. Grupa Sędzia Główny – Aleksandra Kubiak, Karolina Wiktor – performance. 24 kwietnia.
5. Zbigniew Taszycki, „Posen", instalacja, 15 maja.
6. Marcin Berdyszak, instalacja, maj.
7. Tomasz Rogaliński, rzeźba, 19 maja.
8. Pokaz filmów Katarzyny Kozyry, 21 maja.
9. Projekt „Ciało", monodramy, 9 czerwca.
10. Zdzisław Pacholski, „Heroizm widzenia", wystawa, 18 czerwca.
11. „Artystyczne wakacje", warsztat, 27 lipca – 13 sierpnia.
12. „Kolekcja do kwadratu", wystawa, 16 lipca.
13. Basia Wymsyk, Iga Chełmińska, „Chcę ci powiedzieć coś ważnego", instalacja multimedialna, 13 sierpnia.
14. „Schyłek wszystkiego", wystawa, Tomasz Rogaliński, Sebastian Krupiński, Iga Chełmińska, Paweł Krawczugo, Borys Włoczkowski, Tomasz Rusewicz, 20 października.
15. Robert Rumas, „Dlaczego moja sztuka jest dla mnie ważna i co w innych artystach jest wyjątkowe" – wykład.
16. Agata Michowska, „Lullaby", instalacja, 25 października.
17. „Czy w Koszalinie jest miejsce dla sztuki współczesnej", debata, 25 października.
18. Malujemy razem. Warsztat, listopad.
19. „Zagęszczona atmosfera", – Jakub Łączny, Diana Ronnberg, Michal Tatarkiewicz, Weronika Teplicka, Agnieszka Ewa Wielgosz, Bartek Zygmunt, wystawa, 10 grudnia.





Projekt „Ciało" autorstwa: Kasi Szadkowskiej, Darii Kwapniewskiej, Sandry Łukasik, Igi Chełmińskiej i Basi Wysmyk, zrealizowane pod kierunkiem prof. Marcina Berdyszaka. Zdjęcia powstały w studiu fotograficznym Miłosza Wozaczyńskiego. Są to prace mówiące o dawaniu i braniu, o cielesności, o ofierze, o tworzeniu, trawieniu, przetwarzaniu i odrodzeniu.

fot. archiwum galerii

Jadwiga Koprowska

W fotografii nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa

Rozmowa z Edwardem Grzegorzem Funke, założycielem Autorskiej Galerii Fotografii „Portret Świata" w pięciolecie jej utworzenia.

Edward Grzegorz Funke, doktor nauk technicznych, a zarazem członek Stowarzyszenia Twórców Fotoklub RP, para się fotografią od ponad 40 lat. W czasie studiów współpracował, jako fotoreporter, z ilustrowanym magazynem studentów Politechniki Gdańskiej „Politechnik", „itd.", „Kroniką Studencką", grupą fotograficzną „Homo" i kołem naukowym fotografii i filmu Politechniki Gdańskiej. Był organizatorem Studenckiego Salonu Fotografii w klubie „Artem". Uczestniczył w kilkudziesięciu wystawach i konkursach krajowych i zagranicznych w dziedzinie fotografii. Mieszka w Koszalinie od 1951 r. Od 1 maja 2004 r. wraz z żoną Krystyną prowadzi Autorską Galerię Fotografii „Portret świata".

Jadwiga Koprowska: Tłumnie obchodziliście piątą rocznicę działalności galerii, bo pierwszy raz w tym miejscu zorganizowana została wystawa zbiorowa... Byłam tym trochę zdziwiona , gdyż wydawało mi się, iż programowo pokazujecie wystawy indywidualne?

Edward Funke: Nie! Nigdy nie zakładaliśmy, że będziemy przedstawiać tylko indywidualne „portrety świata". Ale tak się złożyło, że po pięciu latach mamy już tyle kontaktów i tak sprecyzowany profil galerii, że był to dobry moment, aby pokusić się o wystawę zbiorową, oczywiście dostosowaną do założeń programowych galerii. Zatytułowaliśmy wystawę „Portret świata czarno-biały i kolorowy"; chodziło nam raczej o sposób widzenia świata, aniżeli o rodzaj fotografii. Do udziału w niej zaprosiliśmy wszystkich fotografików, którzy u nas wystawiali oraz troje debiutantów: Kasię Gauer, Aleksandra Kocieniewskiego i Dorotę Funke. Okazało się, że gdyby nie podpisy, widzowie mieliby kłopot z rozróżnieniem, kto tu jest uznanym fotografikiem, a kto debiutantem; mało tego – te prace przyniosły nam niezwykłe przesłanie, że świat nie jest ani czarno-biały, ani kolorowy... Najprawdziwszy jest ten, który jest mieszaniną jednego i drugiego. Wystawie towarzyszy katalog, dzięki któremu debiutanci poczuli się docenieni. Jestem dumny, że jednym z efektów naszej ekspozycji zbiorowej jest między innymi indywidualna wystawa Aleksandra Kocieniewskiego w Pałacu Młodzieży, czyli kolejny raz ktoś przez nas „wyłowiony" rozwija skrzydła.

J.K.: A jak to się zaczęło? Co spowodowało, że spełniony w życiu zawodowym biznesmen, a w wolnych chwilach znakomity fotografik, podróżnik i kochający życie człowiek – stał się twórcą galerii?

E.F.: Od dawna jeżdżąc po świecie fotografuję, starając się uchwycić w obiektywie jego fascynujące oblicze. Już wiele lat temu stworzyliśmy z Krystyną projekt fotograficzny, który nazwaliśmy„Portret świata". Zostaliśmy zaproszeni do pokazania naszych zdjęć w prowadzonym przez ciebie Klubie Obieżyświata w Koszalinie, potem dostaliśmy zaproszenie do Klubu Obieżyświata w Słupsku. Posypały się zaproszenia do zorganizowania wystaw fotografii w przeróżnych miejscach naszego regionu: najpierw na Zamku w Darłowie, potem w muzeach w Słupsku i Kosza-



Edward Grzegorz Funke. fot. Ilona Łukjaniuk

linie, ale ciągle czegoś nam brakowało... Poczuliśmy adrenalinę, jaką daje każda wystawa i kontakt z widzem, no, i chcieliśmy mieć tego więcej niż kilka razy do roku. Postanowiliśmy stworzyć miejsce, w którym mielibyśmy wpływ na to kogo, kiedy i jak wystawiamy. Od początku założyliśmy, że będzie to Galeria Fotografii i że nazywać się będzie „Portret Świata", czyli rozszerzyliśmy nasz dawny projekt portretowania różnych miejsc na świecie. Do jego realizacji zaprosiliśmy naszych przyjaciół fotografików oraz nowych ludzi, o których ktoś nam powiedział, że w tej dziedzinie mają coś do powiedzenia. Nagle nasza pasja podróżowania i dzielenia się wrażeniami ze świata nabrała innej barwy. Podkreślam NASZA, bo moja żona jest moją muzą, przewodniczką, a w galerii najsprawniejszym organizatorem. Bez niej nie byłoby tych wypraw, precyzyjnie wybranych i „obczytanych" miejsc na świecie, czasami tylko dzięki niej uchwyconych kadrów.

J.K.: Kto stworzył założenia programowe galerii?

E.F.: Oczywiście, że zrobiliśmy to wspólnie z żoną! Założyliśmy, że będziemy pokazywać zarówno młodych jak i doświadczonych fotografików, a jedynym wyznacznikiem zaproszenia do galerii będzie oryginalność spojrzenia na świat. Po pięciu latach mogę powiedzieć, że chyba mamy dobrą rękę do wyławiania ciekawych osobowości fotograficznych, bo wśród zaproszonych byli tak znakomici fotograficy jak: Robert Gauer – mistrz w fotografowaniu morza, Radek Nykiel – autor fantastycznych zdjęć przyrody widzianej tuż za oknem. Kasia Sikora-Felcyn i Erazm Felcyn z Gdańska utrwalają w fotografii swoje niezwykłe Mazury, Arek Węgłowski fotografuje krajobrazy widziane z lotni, Błażej Mikuła i jego przejmujące zdjęcia z Sudanu – jedno z nich zostało okładką miesiąca magazynu „Foto" i otrzymało wyróżnienie na ogólnopolskim konkursie wszystkich polskich okładek

magazynowych. Magazyn „FOTO" jest zresztą patronem naszej galerii, zawsze zamieszcza recenzje z naszych wystaw, przez pięć lat w sumie poświęcił nam 60 stron.

Z biegiem czasu galeria stała się sławna, nawiązaliśmy kontakty z Agencją ZEGART i Jerzym Zegarlińskim i dzięki niemu możemy pokazywać fotografików z innych miast Polski , jak np. szczecinianina Artura Magdziarza i jego niesamowite Włochy.

J.K.: Jakie macie plany artystyczne na następne pięciolecie?

E.F.: Czuję się koszalinianinem, mieszkam tu, z przerwami, prawie 60 lat. Kiedy otwieraliśmy galerię chcieliśmy być potrzebni temu miastu. Dziś, kiedy po pięciu latach działalności na nasze wernisaże przychodzą tłumy, serce mi skacze z radości. Mam poczucie, że jestem tu potrzebny. Ludzie wiedzą, że można tu przyjść, że nie trzeba biletów kupować, że służymy radą i pomocą. Jedną z moich większych satysfakcji jest wystawa – już dziesiąta – w koszalińskim Areszcie Śledczym, w tamtejszej „Galerii w kratkę". A kiedy osadzeni, którzy opuszczą areszt, przychodzą do naszej galerii przy ul. Mieszka I, oglądają i dyskutują o fotografii, to mam poczucie, że po trosze przywracam ich do życia. Niedawno wraz z kolegami reaktywowaliśmy Bałtyckie Towarzystwo Fotograficzne, które będzie miało spotkania właśnie u nas w Galerii, co za tym idzie chcemy powrócić do stałej organizacji Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego „Złota Muszla" i nasza galeria aktywnie włączy się w prace nad tym konkursem. No, i na koniec powiem jeszcze o naszym najnowszym pomyśle zrealizowanym też w galerii: Bałtyckiej Szkole Fotografii. Pierwszy kurs właśnie się kończy, będziemy organizować następny z plenerami i warsztatami. Chcemy organizować kursy przygotowawcze na wydział fotografii wyższych uczelni artystycznych. Jestem już po rozmowie z Andrzejem Świetlikiem – uznanym warszawskim artystą fotografikiem, jednym z twórców Galerii Bezdomnej wędrującej po całym świecie. Jest nadzieja, że i w Koszalinie zobaczymy wystawę zorganizowaną w tej konwencji. Jednak do tego potrzebni są młodzi, chętni do działania ludzie i duży obiekt. Ja na pewno pomogę!

J.K.: Widzę, że nie zanosi się na fotograficzną emeryturę!

E.F.: Żeby tylko zdrowie dopisało! Czuję, że w dziedzinie fotografii nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.



Toskański pejzaż
Artura Magdziarza.

Maria Słowik-Tworke

W służbie innym oraz sztuce

Srebrny jubileusz pracy artystycznej Bogdana Narlocha

W roku 2009 otrzymał dyplom Stowarzyszenia „Służymy Innym" im. ks. dr. Bolesława Domańskiego w Pile. Jak na dwudziestopięcioletniego jubilata przystało ma już delikatne srebro na głowie, ale to dodaje mu szczególnego uroku i czyni interesującym mężczyzną. Jest zawsze uśmiechnięty, życzliwy i pełen optymizmu.

Jest człowiekiem wyjątkowym, pełnym osobistego uroku. To jego pogodne usposobienie zjednuje mu wielu przyjaciół. Organista-wirtuoz, pedagog, kameralista, organolog – dr Bogdan Narloch jest adiunktem w Instytucie Muzyki, Akademii Pomorskiej w Słupsku oraz nauczycielem w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, gdzie prowadzi klasę organów.

Współpracuje z Filharmonią Koszalińską w charakterze solisty, kameralisty i akompaniatora. Od wielu lat pełni funkcję dyrektora artystycznego Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie. Jest członkiem Diecezjalnej Komisji Śpiewu, Muzyki Kościelnej i Instrumentów Muzycznych, w której jako ekspert zajmuje się sprawami organów diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Nadzoruje rekonstrukcje, prace remontowe i konserwatorskie organów w kościołach naszej diecezji.

Od roku 1994 wspólnie z prof. Markiem Toporowskim (organistą, klawesynistą) organizuje Ogólnopolskie Kursy Interpretacji Muzyki Organowej, odbywające się pod patronatem Ministra Kultury. Zajęcia z młodzieżą dotąd prowadziło wielu wybitnych organistów, m.in. Christopher Stembridge, Klaus Eichron, Vincent Warnier, Jaroslav Tuma, Wolfgang Seifen, Peter van Dijk, Christoph Grohmann, Aude Heurtematte, Desmond Hunter.

W roku 2009 założył „Środkowopomorskie Towarzystwo Organowe", skupiające sympatyków muzyki organowej, reprezentujących różne zawody i środowiska, którym nie są obojętne losy zabytkowych instrumentów oraz ich jakość. Jest członkiem Rady Kultury na lata 2009/2010.

Urodził się 2 lutego 1958 roku w Krasinie na Kaszubach. Jako dwunastoletni chłopiec zamieszkał u wujka, proboszcza garnizonowego kościoła w Chełmie nad Wisłą, żołnierza generała Maczka. To właśnie tam, w mieście pełnym zabytkowych budowli sakralnych, Bogdan Narloch zainteresował się organami. Średnią szkołę muzyczną ukończył w Gdańsku – Wrzeszczu, a później odbył studia w Gdańskiej Akademii Muzycznej w klasie organów prof. Leona Batora. Swoje umiejętności gry na instrumencie doskonalił także na wielu kursach mistrzowskich u znakomitych wirtuozów, m.in. u Milana Slechty w Pradze, Guy Boveta, U. Spang-Hansena. W czasie studiów pełnił funkcję demonstratora organów Archikatedry w Oliwie.

W roku 1982 przyjechał do Koszalina, z którym związał swoje rodzinne oraz zawodowe życie. Tu, dzięki założonej przez pracowników szkoły muzycznej spółdzielni mieszkaniowej „Muzyk", wybudował własny dom. Tutaj też, 8 sierpnia 1984 r., występem podczas Międzynarodowego Festiwalu Organowego w Koszalinie, zainaugurował swoją wirtuozowską działalność koncertową. Jego pierwszy recital wypełnił ambitny program. Zagrał wówczas utwory: Tadeusza Pacior-

kiewicza – Postludium, Dietricha Buxtehudego – Preludium i fugę e-moll, Jana Sebastiana Bacha – Preludium chorałowe „Vater unser im Himmelreich" BWV 552 oraz Feliksa Mendelssohna – Bartholdy'ego I Sonatę f – moll op.65.

Odtąd artysta z powodzeniem, regularnie koncertuje w kraju i zagranicą, m.in. na liczących się festiwalach i uroczystych koncertach. Wielokrotnie występował w Niemczech, Finlandii, Szwajcarii, Szwecji, Słowacji, Norwegii, a także we Włoszech, Rumunii i Francji.

Przeciętnie wykonuje od dwudziestu do trzydziestu koncertów i recitali rocznie. Chętnie występuje ze śpiewakami oraz innymi instrumentalistami, a także z zespołem „Camerata Pomerania". Do szczególnie interesujących występów, które dostarczyły Bogdanowi Narlochowi wyjątkowych artystycznych doświadczeń i satysfakcji, należą koncerty na historycznych organach m.in.: we Freibergu, gdzie jest instrument Silbermanna z czasów Bacha, w kościele Mariackim w Stralsundzie, gdzie znajdują się organy zbudowane w latach 1653-1659 przez Friedricha Stellwagena z Lubeki, jednego z najwybitniejszych niemieckich budowniczych organów doby baroku, w Lemna Di Faggeto Lario Organo Ermolli na organach włoskich z XIX w., oraz na historycznych organach polskich w Leżajsku, Jędrzejowie, Oliwie i Fromborku.

Repertuar artysty jest bardzo rozległy i różnorodny, obejmuje dzieła dawnych mistrzów poprzez utwory klasyków, romantyków aż do współczesnych kompozytorów.

„Jest to konieczne – mówi artysta – bo każde organy są inne, dostosowane do konkretnego wnętrza, do akustyki. Ciągle więc trzeba poszerzać również i repertuar, by móc dopasować go do warunków, jakie zastaniemy, czy to w budowlach sakralnych, czy w salach koncertowych. Nie ma dwóch takich samych instrumentów. Organy stawiają przed muzykiem szczególne wymagania. Ten sam utwór na różnych instrumentach trzeba inaczej opracować pod względem artykulacyjnym, agogicznym, dynamicznym itd. Trzeba być elastycznym".



Bogdan Narloch. fot. Ilona Łukjaniuk

Bogdanowi Narlochowi muzykowanie sprawia ogromną radość, być może dlatego, że najczęściej gra w pięknych, zabytkowych budowlach sakralnych, gdzie jest dużo pozytywnej energii, no, i zazwyczaj wysoko na chórze, a więc bliżej nieba.

Recenzje po jego występach krajowych i zagranicznych są pełne najlepszych ocen oraz wrażeń. W jednej z nich czytamy m.in: „...Artysta zachwycił nas piękną, barwną interpretacją muzyki inspirowanej kulturą muzyczną Wschodu. Wydobył odmienny charakter każdej wariacji, zachowując przy tym ciągłość formy i doprowadzając do imponującej kulminacji w ogniwie finałowym. Interesująco zabrzmiał skomponowany na bazie rozszerzonej tonalności, skomplikowany pod względem harmonicznym „Chant triste" op.36 Mieczysława Surzyńskiego. Utwór w interpretacji Bogdana Narlocha okazał się subtelną i liryczną impresją wprowadzającą w nastrój zadumy... Bogdan Narloch ujawnił ciekawą osobowość artystyczną. Zagrał z du-

żym wyczuciem, poruszając się swobodnie po rozmaitych obszarach stylistycznych" – pisał ks. Janusz Drewniak. O jego wirtuozowskiej technice, stylowych interpretacjach i szczególnym propagowaniu muzyki polskich twórców, czytamy także w wielu recenzjach po koncertach w Szwecji, Danii, Szwajcarii, Niemczech.

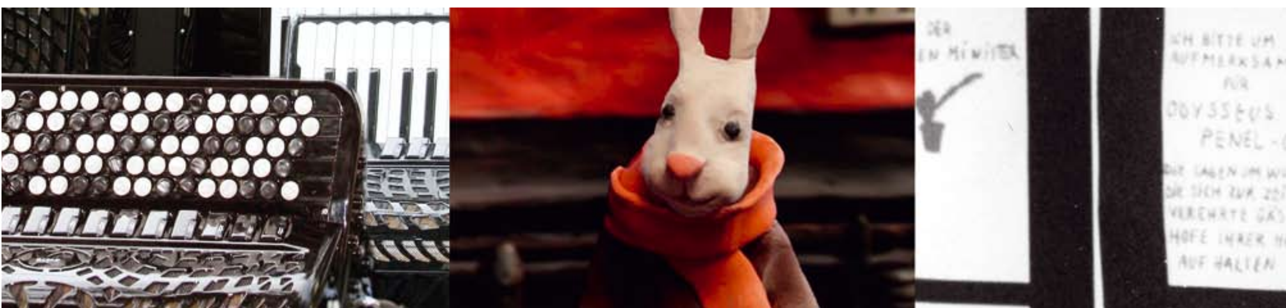
Bogdan Narloch w swoim dorobku artystycznym ma nagrania radiowe, telewizyjne oraz płytowe. W sierpniu 2007 roku ukazał się album zatytułowany „Organy i muzyka organowa na Pomorzu". (Wydawnictwo Muzyczne Acte Prealable). Wspomniana płyta jest szczególnie cennym dokumentem, posiada wartość poznawczą i historyczną. Zawiera bowiem po raz pierwszy nagrane na organach w kościołach w Koszalinie, Darłowie i Białogardzie, utwory kompozytorów związanych z Pomorzem. „...Jednym z ważnych powodów powstania tej płyty – powiedział w wywiadzie Bogdan Narloch – był brak wydawnictw fonograficznych, prezentujących walory brzmieniowe organów, na których odbywają się koncerty festiwalowe. Ma to też związek z moimi zainteresowaniami historią Pomorza... Wiedza dotycząca tej tematyki, zwłaszcza okresu przed 1945 rokiem, jest niewielka. Okazało się, że twórczość takich kompozytorów jak: Teofil Andreas Volckmar, Wilhelm Rudnick, Carl Adolf Lorenz, Jan Janca, Eberhard Wenzel czy Max Reger, jest bardzo cenna pod względem warsztatu kompozytorskiego i artystycznego. Moim pragnieniem było także udokumentowanie części dorobku współczesnych kompozytorów związanych z naszym regionem: Andrzeja Cwojdzińskiego, Kazimierza Rozbickiego i Leszka Kułakowskiego."

Bogdan Narloch jest chyba jedynym organistą w Polsce, który posiada w domu klasyczne organy piszczałkowe. W roku 2005 dzięki pomocy szwajcarskiego organisty Konrada Zwicky'ego, a także przyjaciół z innych krajów Europy, udało się artyście zakupić świetny niemiecki instrument Streichera, zbudowany w roku 1979 w Getyndze. Organy w muzycznym pokoju Jubilata prezentują się imponująco. Instrument posiada dwie klawiatury ręczne, klawiaturę nożną, dwanaście brzmiących głosów, piszczałki z miękkiej blachy cynowej, oraz skomplikowany mechanizm.

Wymarzone organy artysta sam zmontował, nastroił i wyregulował, bo wiadomo powszechnie, że jest znawcą budowy organów. Wiele swoich wakacji poświęcił na terminowanie w firmie organmistrzowskiej Józefa Molina w miejscowości Odry. Dzięki tej praktyce posiadł bardzo przydatną wiedzę z zakresu budowy, rekonstrukcji, konserwacji i strojenia organów. To rzadka umiejętność wśród organistów, a w życiu koncertowym bardzo przydatna, bo każde organy są inne, a zdarzają się różne niespodzianki. „Posiadanie organów w domu – podkreślał wirtuoz – to sytuacja, która stwarza doskonałe możliwości pracy nad repertuarem oraz doskonalenia umiejętności gry na tym instrumencie".

Pamiętam, jak bardzo, po zainstalowaniu organów w domu, artysta był szczęśliwy, z jak wielką radością demonstrował instrument, grając muzykę mistrza Jana Sebastiana, a także „Taniec na linie", który tworzą niezwykle piękne, wesołe melodyjki. Wówczas całe zacisze domowe wypełniło się muzyką, ożyło i radowało się ze słuchającymi. Nawet herbata i ciasteczka smakowały muzycznie. Zacisze domowe, kochająca się rodzina (żona i dwie córki wykształcone muzycznie) są wspaniałą ostoją dla bardzo aktywnie i wszechstronnie działającego artysty, dla jego pracy naukowej, koncertowej i społecznej. Może dlatego też lubi czasami „dyrygować" w kuchni, by potem zaserwować zgłodniałym domownikom lub gościom spaghetti, fasolkę po bretońsku, a także wykwintny sernik. Po takiej uczcie przy stole rodzina chętnie zasiada przy instrumentach, by poddać się duchowym i muzycznym uniesieniom.

NASI W ŚWIECIE



Anna Marcinek-Drozdalska

Kultura jest dla każdego

Tak właśnie zatytułowany program, realizowany przez Koszalińską Bibliotekę Publiczną, przyniósł jej w roku 2009 drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie Samorządowy Lider Zarządzania. Jak czytamy w jego regulaminie: „Celem konkursu, organizowanego corocznie (od 2007 roku – dop. red.) przez Związek Miast Polskich, Związek Gmin Wiejskich RP, Związek Powiatów Polskich i Norweski Związek Władz Lokalnych i Regionalnych, jest wybranie i upowszechnianie dobrych praktyk." W roku 2009 rywalizacja dotyczyła usług społecznych w zakresie kultury, pomocy społecznej i oświaty. Nagrodzona koszalińska oferta, zatytułowana właśnie „KULTURA JEST DLA KAŻDEGO", polega na włączeniu osób niepełnosprawnych w życie kulturalne miasta poprzez ich udział w imprezach i zajęciach artystyczno-terapeutycznych organizowanych przez bibliotekę.

Już wiele lat temu Koszalińska Biblioteka Publiczna zwróciła uwagę na fakt niedostrzegania osób niepełnosprawnych jako potencjalnych odbiorców kultury i sztuki. Inicjatywa stworzenia specjalnej oferty wyszła od pracowników biblioteki już w roku 1990. Dokonane wówczas analizy środowiska osób niepełnosprawnych w Koszalinie, systemu szkolnictwa i zajęć terapeutycznych, pozwoliły zdiagnozować potrzeby kulturalne tego środowiska i określić możliwości ich zaspokajania przez bibliotekę, w efekcie zaś opracować ofertę kulturalną skierowaną do organizacji i stowarzyszeń zrzeszających osoby niepełnosprawne i ich rodziny.

Pierwsze kroki w działalności na rzecz osób niepełnosprawnych były bardzo skromne. Pierwszą grupą, do której biblioteka skierowała ofertę, były osoby niedowidzące i niewidome. Działalność dla tych odbiorców rozpoczęto od upowszechniania literatury podczas sporadycznych spotkań poświęconych zbiorom „książki mówionej". Z czasem przybrały one formę systematycznych, cotygodniowych spotkań z pisarzami, fotografikami, twórcami w różnych dziedzinach sztuki. Upływają one w klubowej atmosferze, towarzyszy im zawsze poczęstunek, co wpływa na postrzeganie biblioteki jako miejsca przyjaznego, kojarzonego nie tylko z książką, ale miło i twórczo spędzonym czasem.

Z biegiem lat powstała spójna, długofalowa oferta kulturalna, adresowana do osób o różnym stopniu i rodzaju niepełnosprawności, oparta na zbiorach własnych, realizowana przez pracowników biblioteki przy współpracy z artystami, terapeutami, nauczycielami, organizacjami pozarządowymi oraz koszalińskimi instytucjami kultury i szkołami. Warto podkreślić, że do działalności na rzecz osób niepełnosprawnych w bibliotece udało się włączyć wielu koszalińskich ludzi kultury – artystów zawodowych i amatorów oraz placówki kulturalne. Stopniowo poszerzano ofertę o nowe dziedziny kultury i grupy odbiorców. W 2000 roku została zawarta umowa dotycząca współpracy pomiędzy Koszalińską Biblioteką Publiczną a Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym w Koszalinie. W oparciu o autorski program, opracowany przez nauczyciela Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, przygotowano założenia wspólnych działań, mających na celu zapoznanie dzieci upośledzonych umysłowo ze światem literatury, muzyki i plastyki. Te działania skierowano do uczniów z koszalińskiego Zespołu Szkół nr 12 oraz do młodzieży z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Warninie. W na-

stępnym roku nawiązano współpracę z Polskim Stowarzyszeniem na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym, pod którego egidą działają Warsztaty Terapii Zajęciowej. Na zajęciach z podopiecznymi stowarzyszenia kładziony jest szczególny nacisk na wykorzystanie muzyki oraz różnych form działań plastycznych.

W dalszej kolejności z oferty biblioteki skorzystali dorośli z problemami psychicznymi ze Środowiskowych Domów Samopomocy. Uczestniczą oni w prowadzonych przez bibliotekarzy zajęciach, podczas których poznają różne gatunki muzyki, instrumenty, wykonawców i kompozytorów. Kolejną grupą, która skorzystała z zajęć plastycznych, muzycznych i literackich w bibliotece, są dzieci pod opieką Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Dzieci Niepełnosprawnych „Integracja" .

Konsekwencją wdrażania kolejnych etapów programu był znaczny wzrost w latach 2006-2008 liczby osób niepełnosprawnych korzystających z oferty kulturalnej biblioteki. Praktyka została rozszerzona o nowe formy działań dla tej grupy odbiorców – codzienne spotkania w bibliotece z literaturą, plastyką i muzyką, oraz okazjonalne z teatrem, filmem i fotografią. Od kilku lat, podczas uroczystego zakończenia cyklu zajęć na koniec roku szkolnego, niepełnosprawni uczestnicy oraz zaproszeni uczniowie szkół publicznych mają możliwość zaprezentowania własnych przedstawień teatralnych, muzycznych, tanecznych.

Nową propozycją, zrealizowaną w roku 2008, był cykl spotkań i audycji pod nazwą „Szum starej płyty", z udziałem dziennikarzy muzycznych Radia „Koszalin" i z wykorzystaniem płyt analogowych ze zbiorów własnych biblioteki, w którym uczestniczyli czytelnicy biblioteki, w tym osoby niewidome i niedowidzące. Cykl „Smaki świata", także wprowadzony w 2008 r., zakładał realizację ośmiu spotkań i miał na celu prezentację kultury – muzyki, architektury, literatury, obyczajowości różnych państw świata. Proponowana jest także degustacja potraw regionalnych. W ubiegłym roku zrealizowano spotkania, poświęcone Grecji, Francji i Polsce. Projekt ten adresowany jest m.in.



Z-ca prezydenta Przemysław Krzyżanowski (z prawej) i dyrektor KBP Andrzej Ziemiński. fot. archiwum KBP

do osób niewidomych i niedowidzących, także starszych, dla których podróże, z powodu ich niepełnosprawności, są niemożliwe.

W tym samym 2008 roku nawiązano też współpracę ze środowiskiem osób niesłyszących; sześciu pracowników biblioteki, którzy mają bezpośredni kontakt z czytelnikami, ukończyło kurs języka migowego, otrzymując tytuł Asystenta Osoby Niesłyszącej.

Od roku 2006 KBP organizuje wraz z Koszalińskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym coroczny Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja" . Włączenie się biblioteki w organizację tego festiwalu było naturalną konsekwencją wieloletnich działań na rzecz środowisk osób niepełnosprawnych, festiwal bowiem poświęcony jest tematyce niepełnosprawności i upowszechnia ideę integracji. Skupia filmowców i ich dzieła mówiące o ludziach niepełnosprawnych, a także artystów – malarzy, fotografików, pisarzy, których twórczość powstaje wbrew, czy na przekór ograniczeniom fizycznym autorów; można ją podziwiać podczas imprez towarzyszących festiwalowi.

Od lat obiekty biblioteki są systematycznie dostosowywane do potrzeb osób niepełnosprawnych. Gmach główny przystosowany jest w całości, natomiast wśród dziesięciu działających w mieście filii bibliotecznych w pięciu stworzono udogodnienia dla niepełnosprawnych czytelników, w tym podjazdy.

Osoby upośledzone intelektualnie i fizycznie mają kontakt z książką, muzyką, plastyką, filmem. Są motywowane do podejmowania własnej twórczości artystycznej. Poznają bibliotekę jako przyjazną im instytucję kultury. Mają możliwość uczestniczenia w przedsięwzięciach kulturalnych w innych placówkach, uczą się korzystać z oferty biblioteki oraz poruszać po świecie poza szkołą czy ośrodkiem opiekuńczym. Prace powstałe podczas zajęć są eksponowane na wystawach, co dla ich autorów jest bezcennym źródłem poczucia własnej wartości. Zajęcia dla osób upośledzonych intelektualnie prowadzone są wspólnie z nauczycielami nauczania specjalnego i instruktorami warsztatów terapii zajęciowej. Łączą w sobie elementy arteterapii, muzykoterapii i biblioterapii; dostosowane są każdorazowo do specyfiki grupy i jej możliwości percepcji.

Efekty społeczne i terapeutyczne uczestnictwa w kulturze osób niepełnosprawnych są nie do przecenienia. Wzmocnienie poczucia własnej wartości osób niepełnosprawnych, uwrażliwienie ich na sztukę, udział w życiu kulturalnym miasta, uspołecznienie, przełamanie izolacji – są to wartości trudne do oszacowania. Skutkują również zmianą mentalności mieszkańców, poczuciem integracji społecznej wynikającym z przełamywania barier, wreszcie kształtowaniem wizerunku Koszalina jako miasta przyjaznego osobom niepełnosprawnym.

W konkursie „Lider zarządzania" istotny jest element powtarzalności projektu, możliwość jego realizowania przez inne placówki kultury i na innym terenie. Projekt Koszalińskiej Biblioteki Publicznej odpowiada w pełni tym wymogom. Dzięki zaangażowaniu pracowników, nawiązaniu kontaktów ze stowarzyszeniami grupującymi osoby niepełnosprawne i ich rodziny, analizie potrzeb i stanu faktycznego tych środowisk w odniesieniu do ich uczestnictwa w kulturze można było stworzyć spójny i wieloletni plan działań na rzecz uczestnictwa w kulturze środowisk osób zagrożonych wykluczeniem społecznym, realizować go ku obustronnej satysfakcji, mając na uwadze hasło „integracja" i dosłowność sformułowania „kultura jest dla każdego".

Drugim wielkim sukcesem biblioteki jest zdobycie głównej nagrody w ogólnopolskim konkursie POLSKA BEZ BARIER, organizowanym przez Stowarzyszenie Przyjaciół Integracji pod patronatem Marszałka Sejmu RP. Koszalińska Biblioteka Publiczna pokonała w kategorii Edukacja 57 konkurentów zgłoszonych do nagrody. Doceniono starania przy likwidacji barier architektonicznych w budynku głównym oraz pięciu filiach biblioteki, a także bogatą ofertę kulturalną, edukacyjną i terapeutyczną skierowaną do osób niepełnosprawnych.

Aleksandra Jach

Bohaterowie zaczęli umierać...

„Moje Archiwum" Andrzeja Ciesielskiego

Artysta piszący historię sztuki może być dla wielu osób jakimś wybrykiem. Dla tych, którzy przedkładają podziały, definicje i nazwy nad rozwój tkwiący w ruchu, sytuacja przejęcia pola zawodowego jest nieznośna. Systemowa edukacja jest przygotowywaniem do pełnienia określonej roli w społeczeństwie, więc bycie przydatnym i bycie specjalistą czy ekspertem – to dwie zasady, które pomagają w jego organizacji. Tradycjonaliści uważają, że nie ma nic gorszego niż osoba, która nie posiada kompetencji, a pozwala sobie na wypowiedź. Nie do przyjęcia jest więc, aby literaturoznawcy mówili o muzyce, a filmoznawcy o historii.

Jedną z przyczyn tej zapobiegawczości wobec „nieproszonych gości" jest strach przed utratą aury wyjątkowości, wydobywającej z kontekstu masy. Silnie jest to widoczne w środowisku artystycznym, w którym bardzo dba się o zakreślenie odpowiednich granic działalności. Powoduje to ciekawe i paradoksalne sytuacje, kiedy twórcy – artyści, krytycy, kuratorzy zapożyczają narzędzia, tematy, rodzaje aktywności z pól nieartystycznych, jednocześnie zaś bronią własnego zawodowego statusu, wyznaczając granice tego, co absolutnie jest sztuką, a co nią (absolutnie) nie jest. Ten stary temat, jak bumerang, powraca przy okazji dyskusji nad istotą twórczości. Przedefiniowywanie roli artysty, jego pracy i granic, które stwarzają instytucje kultury, kuratorzy i krytyka, zazębia się z ogromnym wysiłkiem środowiska, dążącego do kontroli nad dystrybucją wiedzy – ograniczonym dostępem do materiałów wizualnych, audialnych, limitowane edycje, brak zgody na kopiowanie itd. itd.

Jak ma się do tego działalność Andrzeja Ciesielskiego i jego praca nad „Moim Archiwum"? Przede wszystkim jest on przykładem osoby, która sytuuje się pomiędzy definicjami. Artysta ten duży wysiłek wkłada także w edukowanie; nie tylko pracował jako wykładowca, ale także od wielu lat tworzy archiwum poświęcone interesującym polskim twórcom. Jego kolekcja była prezentowana już w wielu miastach i stanowi wyjątkowy zupełnie przypadek metodycznego zbierania wszystkich niemal informacji dotyczących wybranych twórców, które jest tak naprawdę prywatnym pisaniem historii sztuki.

Andrzej Ciesielski nigdy jednak nie ograniczał się do prowadzenia dokumentacji o innych artystach, ale zajmował się także własną twórczością, organizował wystawy, warsztaty, spotkania, przygotowywał wydawnictwa. Jego działalność związana jest od lat 70. z Koszalinem, gdzie przeprowadził się po ukończeniu studiów na Wydziale Sztuk Pięknych w Toruniu na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. W mieście tym mieszka do dziś, a potencjał jego działalności artystycznej i edukacyjnej powinno się rozważać także w kontekście ogólnopolskim. Andrzej Ciesielski w latach 1980-81 współorganizował legendarne już Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach, które, jak pisze Ryszard Ziarkiewicz w książce „Awangarda w plenerze: Osieki i Łazy 1963-1981" były jednym z najważniejszych spotkań artystycznych w Polsce po 1945 roku: „ważnym forum artystycznym i teoretycznym polskiej awangardy – miejscem manifestacji nowych kierunków, tendencji, teorii, obszarem działania buntow-

niczych i „destrukcyjnych" grup artystycznych oraz wydarzeń przekraczających granice kraju". Dwa spotkania, współorganizowane przez Ciesielskiego, okazały się być ostatnimi i choć podejmowano próby reanimowania Osiek w połowie lat 80. – nie były już później tak udane. W jakimś sensie ich kontynuacją były „Europejskie Spotkania Artystów" w Bornem Sulinowie, odbywające się w latach 1996-2001.

Ciesielski od 2001 roku współorganizuje, wraz ze Stanisławem Wolskim, Spotkania Multimedialne w Lubieszewie. Poza tym w latach 1986-1990 prowadził galerię „Na Plebani", przy Kościele pw. Ducha Świętego, zaproszony przez proboszcza Kazimierza Bednarskiego. Tam gościli artyści, których twórczość w ogóle nie kojarzyła się z instytucją Kościoła, ale była z jego perspektywy ciekawa. Podobne galerie prowadzili Jerzy Ryba we Wrocławiu i Janusz Zagrodzki z Jaromirem Jedlińskim w Łodzi. Lata 80. były według Józefa Robakowskiego okresem, kiedy: „ludzie zachłysnęli się wolnością i masowo zaczęły powstawać miejsca zupełnie niezależne, alternatywne, tworzone z dnia na dzień w prywatnych mieszkaniach. To był zupełnie nowy ruch". Środowisko było bardzo aktywne, ludzie jeździli do siebie. >Bardzo dużo ludzi przyjeżdżało z zewnątrz – z Warszawy, Krakowa, Lublina, Wrocławia, Koszalina... W momencie wprowadzenia stanu wojennego te kontakty bynajmniej nie ustały, tylko się jeszcze wzmocniły. Organizowaliśmy wówczas wiele spotkań – „Pielgrzymki artystyczne", „Kolędy", „Nieme Kino"<. Andrzej Ciesielski brał aktywny udział w tych wydarzeniach, a także przygotowywał cykle wystaw „Po Roku" (1981-1988), organizował plenery „Zapraszam do pracy – Spichrz" (1987-1989). „Po Roku" odbywały się w prywatnych mieszkaniach, gdzie artyści prezentowali swoje ostatnie dokonania; było to substytutem życia artystycznego sprzed stanu wojennego.

Wyjątkowym przedsięwzięciem, które pod koniec lat 80. Andrzej Ciesielski zainicjował razem z Józefem Robakowskim, był także magazyn „Uwaga", wydawany przez galerię „Na Plebani". Jego główną ideą było skupienie całej „uwagi" na jednym artyście/twórcy, a bohater miał za zadanie przygotować zawartość kolejnego wydania magazynu. W ciągu 2-3 lat powstało tylko 6 numerów, ale są one bezcennym wkładem w polską historię sztuki. Kolejne numery poświęcone były: Zbigniewowi Warpechowskiemu, Lucynie Skąpskiej, Józefowi Robakowskiemu, Jerzemu Buszy i Pawłowi Kwiekowi.

Kontynuacją galerii „Na Plebani" było „Moje Archiwum". Ciesielski założył tę galerię w 1990 roku i była to inicjatywa całkowicie prywatna. Miasto od czasu do czasu pomagało mu finansowo, ale w większości działalność galerii była opłacana z własnych środków artysty. A. Ciesielski kontynuował tu tę samą myśl, z jakiej zrodziły się „Osieki", dokąd zapraszano bardzo różnych twórców, często nie związanych z Koszalinem; Ciesielski przede wszystkim chciał zaktywizować tutejsze środowisko, zainspirować je postawami innymi, niż te już znane. Do 1993 roku galeria nie posiadała swojego lokalu, organizowane przez Ciesielskiego wydarzenia odbywały się różnych miejscach, m.in. w galerii BWA, klubie MPiK, galerii „Na Piętrze" Jadwigi Kabacińskiej, Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, w „Arsenale" w Białymstoku. W 1993 roku galeria „Moje Archiwum" ulokowała się w kamienicy przy ulicy Grunwaldzkiej 20 i poza organizacją wystaw zajmowała się dokumentowaniem działalności wybranych artystów. W 1990 r. ukazał się zbiór tekstów artysty łódzkiego Józefa Robakowskiego „Dekada 1980-1990. Sztuka poszukiwania decyzji". W 1995 r. opracowane i wydane zostały „Teksty interwencyjne 1970-1995" tego samego artysty.

Krótka charakterystyka działalności Andrzeja Ciesielskiego pozwala nam wyobrazić sobie jak wiele działo się dzięki niemu w Koszalinie na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Od samego początku była to aktywność kogoś, kto ma ambicję prezentowania w tym mieście najciekawszej sztuki danego okresu, a także działania poza oficjalnym obiegiem. Nie był to wynik bezpośrednio wyrażonej krytyki instytucjonalnej, ale ra-

Andrzej Ciesielski. fot. archiwum

czej krytyki systemu, który cenzurował działania twórcze. Osieki były w końcu imprezą organizowaną przez ZPAP, pomimo tego stały się one jednym z symboli sztuki awangardowej lat 70. Natomiast „Pielgrzymki", „Kolędy", czy galeria „Na Plebani" były inicjatywami prywatnymi, które stały się później swojego rodzaju podbudową dla środowiska artystycznego, zanim zaczęło się ono instytucjonalizować na początku lat 90. Mniej więcej w tym okresie zaczęto porządkować historię polskiej sztuki, poczynając od lat 80. Wystawy takie jak „Raj Utracony" (1989, kurator: Ryszard Ziarkiewicz) lub „Cóż po artyście w czasie marnym. Sztuka niezależna lat 80." (Zachęta, 1990, kurator: Tadeusz Boruta) są przykładami przepracowania sztuki wcześniejszej dekady.

Po dwudziestu latach, kiedy historia tamtego okresu została już opisana przez różnych autorów, bardzo cenne wydają się takie strategie, jak Ciesielskiego kolekcja „Mojego Archiwum". U jej początków stało podążanie za ulubionymi artystami, śledzenie ich drogi twórczej. Postacie, które go interesowały, zajmują się tak bardzo różnymi obszarami sztuk wizualnych, że nie można mówić precyzyjnie o jakichkolwiek ograniczeniach, jakie stawiałby sobie autor archiwum. Lista obecnych w „Moim Archiwum" artystów zawiera takie nazwiska jak: Janusz Bałdyga, Jerzy Bereś, Cezary Bodzianowski, Włodzimierz Borowski, Witosław M. Czerwonka, Danuta Dąbrowska, Andrzej Dłużniewski, Jupp Ernst, Leszek Golec, Andrea Gregson, Jerzy Grzegorski, Izabella Gustowska, Andrzej Janaszewski, Marek Janiak, Elżbieta Kalinowska, Władysław Kaźmierczak, Adam Klimczak, Wojciech Kowalczyk, Paweł Kwaśniewski, Zdzisław Kwiatkowski, Paweł Kwiek, Andrzej Lachowicz, Natalia LL, Edward Łazikowski, Antoni Mikołajczyk, Zdzisław Pacholski, Andrzej Partum, Maria Pinińska-Bereś, Anna Płotnicka, Józef Robakowski, Zyg-

munt Rytka, Andrzej Słowik, Mikołaj Smoczyński, Jan Świdziński, Zbigniew Taszycki, Brunon Tode, Ryszard Tokarczyk, Andrzej Truszkowski, Zbigniew Warpechowski, Waldemar Wojciechowski, Krzysztof Zarębski, Wojciech Zamiara, Ewa Zarzycka oraz formacje artystyczne, jak np. Łódź Kaliska, galeria Arsenał w Białymstoku, galeria Wschodnia w Łodzi, galeria „Na Ostrowie" we Wrocławiu, galeria Amfilada w Szczecinie, Spotkania Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach.

Wzrastające zainteresowanie archiwami w ogóle, ale także i w Polsce może wynikać z chęci organizowania, strukturyzowania, dokumentowania i odkrywania historii sztuki i twórczości artystów, którzy uczestniczyli także w przemianie politycznej; po 1989 roku to, co prywatne, często ukrywane, mogło wyjść na zewnątrz, zostać zobaczone, opowiedziane i przemyślane jeszcze raz. Bardzo różnorodna sztuka tamtych czasów nie da się zamknąć w formułę archiwum. Jeżeli jednak myślę o jakichś przyjaznych archiwach, to właśnie to stworzone przez Andrzeja Ciesielskiego wydaje mi się najbardziej odpowiednie. Jest osobistą przygodą ze światem sztuki. Nie jest częścią systemu, a więc nie poddaje się tak silnej ideologizacji. Ma w sobie autentyzm jednostkowego wyboru.

Kiedy Ciesielski zaczynał zbierać swoje archiwum obiecał sobie, że będzie prowadzić dokumentację poświęconą tylko żyjącym artystom. Jego działalność jednak trwa już tak długo, że niektórzy jego bohaterowie zaczęli umierać. Wtedy uświadomił sobie, że nie może nagle przestać, że jego archiwum będzie trwać pomimo tego.

Muzeum Narodowe w Szczecinie

Wystawa indywidualna Andrzeja Ciesielskiego czynna była do 8 marca 2009. Pokazane zostały zarówno prace znane, pochodzące z najważniejszych cyklów, m.in. „Malarstwo i rysunek", „Szukam Indywidualności", „Piszęcosłyszę", jak i dzieła nowe, przygotowane specjalnie z okazji szczecińskiej ekspozycji. Niesłychanie istotny element działalności artysty stanowi prowadzenie autorskiej galerii „Moje Archiwum", w ramach której na wystawie zostali zaprezentowani: Ewa Zarzycka, Zbigniew Taszycki, Brunon Tode, Paweł Kula i Maria Stafyniak. **12 lutego 2009 odbył się** wykład Anny Saciuk-Gąsowskiej „Słowa do (p)o(d)glądania" o twórczości Andrzeja Ciesielskiego. Wykład dotyczył zagadnień poezji wizualnej oraz nurtu zwanego poezją konkretną i związkami z tym właśnie nurtem twórczości Andrzeja Ciesielskiego. Ponadto był próbą przybliżenia artysty i jego pasji dokumentalisty ukazanej poprzez zbiory „Moje Archiwum".

Muzeum Sztuki w Łodzi

Festiwal Sztuka i Dokumentacja, wystawa „Moje Archiwum Andrzeja Ciesielskiego". 26 marca – 10 kwietnia 2009.
„Tę niezwykle oryginalną kolekcję, powstałą w latach osiemdziesiątych, tworzą książki, druki ulotne, fotografie, zapisy wideo, prace plastyczne i wydawnictwa własne".

Galeria „Scena" Koszalin

„Kolekcja do kwadratu"
16 lipca – 6 sierpnia 2009.

Maria Słowik-Tworke
Beata Górecka-Młyńczak

Mistrz gitary...

Zbigniew Dubiella – pedagog, gitarzysta, publicysta, kolekcjoner, wybitny znawca i popularyzator muzyki gitarowej. „Miłość niejedno ma imię" – tak można powiedzieć o wielu pięknych pasjach artysty, który od najmłodszych lat związany jest z Koszalinem.

Tu ukończył Państwową Szkołę Muzyczną im. Grażyny Bacewicz, w klasie śpiewu solowego (1974) i Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Broniewskiego. W roku 1978 ukończył studia na Wydziale Wychowania Muzycznego Akademii Muzycznej w Gdańsku. Rok później, jako eksternista, otrzymał też dyplom ukończenia PSM II stopnia w Gdańsku-Wrzeszczu w klasie gitary. W roku 1983 zaś ukończył studia na wydziale instrumentalnym w gdańskiej AM w klasie gitary prof. Jana Paterka.

Zbigniew Dubiella urodził się w 1949 r. w Stargardzie Gdańskim. Rok później z rodzicami przeniósł się do Koszalina. Jako chłopiec interesował się techniką i modelarstwem, później z powodzeniem śpiewał i grał w zespołach „Pegaz" i „Efekt". Prowadził też żeński zespół wokalno-instrumentalny „O Świcie".

Pracę pedagogiczną rozpoczął w roku 1973 w Społecznym Ognisku Muzycznym, a następnie w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych, gdzie pracuje do dziś. Uczy też grać na gitarze w Młodzieżowym Domu Kultury (obecnym Pałacu Młodzieży). W latach 80. był też wykładowcą w koszalińskim Punkcie Konsultacyjnym Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Zbigniew Dubiella był pierwszym w pełni wykształconym nauczycielem gitary klasycznej w Koszalinie. – *W naszym mieście byłem pionierem tego instrumentu* – mówi artysta. – *Gitara późno zyskała akceptację ministerstwa. Nauczanie gry na niej zostało też późno wprowadzone do szkół. Gitarę przez długi okres traktowano jak coś takiego, czego się słucha wyłącznie na towarzyskich imprezach. W Polsce jest ona instrumentem bardzo młodym. Dość powiedzieć, że w okresie międzywojennym nie było u nas ani jednego recitalu gitarowego.*

Dzięki jego ożywionej działalności nastąpił prawdziwy renesans gitary klasycznej w Koszalinie. Swoją miłość do tego instrumentu potrafił zaszczepić wielu młodym ludziom, którzy o swym pedagogu mówią z ogromną wdzięcznością. Ale też praca pedagogiczna sprawia mu wiele satysfakcji. Zajęcia z dziećmi i młodzieżą prowadzi z wielkim zaangażowaniem, nie licząc godzin pracy. Jako nauczyciel dyplomowany opracował też dla szkoły muzycznej II stopnia specjalny program autorski nauki gry na gitarze. Przez wiele lat sam także był organizatorem koszalińskiego Ogólnopolskiego Konkursu Gitary Klasycznej dla uczniów szkół muzycznych II stopnia. Jako opiekun – wychowawca zachęca młodzież do poszerzania horyzontów artystycznych poprzez czytanie fachowej prasy oraz uczestnictwo w imprezach muzycznych. Owocem tej pracy są sukcesy jego uczniów, którzy, jako soliści czy też grający w zespołach kameralnych, każdego roku zdobywają najwyższe laury na ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach.

Zbigniew Dubiella jest jednym z animatorów życia muzycznego w Koszalinie, zwłaszcza gitarowego. Ze znawstwem i swadą prowadzi wiele koncertów poświęconych muzyce gitarowej z udziałem wybitnych wirtuozów m.in. koncerty pt. „Mistrzowie Gitary" w Radiu Koszalin, czy w cyklu „Gryfy i rify" w Centrum Kultury 105. Przez kilkanaście lat organizował w Koszalinie



Zbigniew Dubiella. fot. archiwum

wspaniały festiwal pod hasłem „Spotkania z Muzyką Gitarową", podczas którego prezentowana była światowa literatura gitarowa w wykonaniu m.in. tak wybitnych gitarzystów jak: Jorge Cardoso, Nicola Hall, Jorge Morel, Frank Bungarten, Simon Diningan, Wolfgang Lendle, Andrzej Mokry, Vladislav Blacha, Simon Dinnigan, Krzysztof Pełech, Waldemar Gromolak. W czasie „Spotkań" odbywały się także lekcje mistrzowskie oraz seminaria dla nauczycieli i uczniów.

Zbigniew Dubiella niestrudzenie uczestniczy we wszystkich liczących się konkursach, festiwalach i warsztatach gitarowych. O gitarze, gitarzystach i literaturze gitarowej wie wszystko. Posiada niezwykle bogatą kolekcję nagrań płytowych i audiowizualnych (jedną z najbogatszych w Europie), a także ogromne zbiory utworów na gitarę klasyczną. – *Za najcenniejsze w swoich zbiorach uważam dwie płyty gitarzystów zupełnie nieznanych w Polsce. Przysłał mi je kolekcjoner z byłej Jugosławii. Są to płyty Pepe Torresa i Martina Torresa, Indian grających ludową muzykę z Andów w sposób tak przejmujący, tak piękny! To mój największy skarb!* – mówi artysta.

Jako wybitny znawca muzyki gitarowej zapraszany jest do pracy w jury wielu polskich i międzynarodowych przeglądów i konkursów. Podczas tych imprez prowadzi lekcje mistrzowskie, a także bardzo interesujące wykłady z wykorzystaniem filmów i unikatowych nagrań muzycznych. „Żaden festiwal gitarowy w Polsce nie mógłby się odbyć bez obecności Zbigniewa Dubielli. Ten człowiek kocha gitarę bardziej niż my wszyscy... A my wszyscy kochamy Jego" – tak pisał dyrektor artystyczny Łukasz Kuropaczewski w programie Polskiej Akademii Gitary (Poznań – Żerków 2008). Dzięki swej pasji, pracowitości i ogromnej aktywności Zbigniew Dubiella posiada rozległe kontakty z wieloma wspaniałymi artystami i interesującymi ludźmi na całym świecie. Bogatym nurtem jego działalności jest także praca publicystyczna. Na co dzień pisze do czasopism i radia: recenzje, artykuły, wywiady, informacje, relacje, komentarze.

Od 1982 roku jest polskim korespondentem angielskiego miesięcznika „Classical Guitar", od 1992 roku jest redaktorem polskiego dwumiesięcznika „Gitara i Bas", wieloletnim zastępcą redaktora naczelnego magazynu „Świat Gitary", autorem „Leksykonu Polskich Gitarzystów" i współtwórcą największego katalogu nagrań gitarowych świata, którego autorem jest Kanadyjczyk Jacques Chain. Pisał także artykuły o życiu gitarowym w „Poradniku Muzycznym" i „Gitarre & Laute". W uznaniu zasług został honorowym członkiem amerykańskiego stowarzyszenia „Guitar Foundation of America", skąd otrzymuje aktualne materiały dotyczące światowego życia gitarowego. Aktywnie uczestniczy też w Sesjach Naukowych Artystycznej Gitary Polskiej. Za swoją twórczą pracę otrzymał dziesiątki dyplomów, gratulacji, nagród, odznaczeń, wyróżnień, a co najważniejsze – podziękowań od uczniów i rodziców. Z uczniami jest

związany bardzo emocjonalnie, śledzi ich losy, ciszy się z każdego ich sukcesu i wszystko bardzo skrzętnie odnotowuje w swoich obszernych kronikach.

Kolejną wielką miłością Zbigniewa Dubielli jest czytanie, od którego jest wręcz uzależniony. Mimo wielu obowiązków po prostu musi codziennie przeczytać choćby kilka rozdziałów. O domowej obszernej bibliotece, w której można znaleźć wiele interesujących tomów, mówi z dumą i satysfakcją: *– Myślę, że jeżeli coś się bardzo lubi, to wtedy przychodzi to samo, jak np. u Kraszewskiego, który napisał tyle ksiąg i prowadził obfitą korespondencję. Było w nim coś takiego, że widocznie robić to musiał. Mnie też nikt nie goni. Lubię być na wszystkich imprezach gitarowych, słuchać koncertów, zbierać informacje...*

Uważam, że dzięki gitarze miałem i mam ciekawe życie.

...i jego uczeń

Jednym z najbardziej utalentowanych wychowanków Zbigniewa Dubielli jest gitarzysta **Adam Woch,** który od 12 lat podąża śladami swojego mistrza. W marcu 2010 r. został laureatem nagrody Prezydenta Koszalina i otrzymał statuetkę „Młody Muzyk Roku 2009". Miniony rok był też dla niego bardzo udany, o czym sam mówi: – *Nie mogę narzekać na ten rok. Najważniejszymi wydarzeniami były międzynarodowe prestiżowe konkursy, które odbywały się w czasie wakacji. Najpierw w Hiszpanii, w Almerii zdobyłem pierwsze miejsce na Konkursie Gitarowym Julien Arcas, a nieco później odniosłem zwycięstwo na konkursie w Olsztynie.*

Maria Słowik-Tworke: Grudzień, mimo chłodu, był także bardzo gorący?

Adam Woch: – Tak, byłem w Warszawie, gdzie odbywał się najpierw półfinał, a później finał ogólnopolskiego konkursu Młody Muzyk Roku 2009. To były eliminacje do konkursu Eurowizja dla Młodych Muzyków, który odbywa się zawsze w Wiedniu.

B.Górecka-Młyńczak: Podobno w czasie tej imprezy uczono was także jak zadbać o swój wizerunek – jak zachować się na scenie czy podczas udzielania wywiadów, jaki wybrać strój itd. To chyba bardzo cenne doświadczenie?

A.W.: Jeżeli chodzi o zachowanie na scenie, to takie zajęcia odbyły się przed samym finałem, a prowadziła je Krystyna Janda. Wcześniej stylistki wybadały nasze gusta, temperamenty, byliśmy też przygotowani do profesjonalnej sesji fotograficznej. Fotograf moim zdaniem był super profesjonalistą, szybko łapał z nami kontakt i był tak bezpośredni, że zaraz poczułem się wręcz jego kolegą, nie było problemu, aby pozować na tzw. „luzie". Pamiętam, że podczas robienia zdjęć staliśmy wszyscy na trampolinie, żeby mieć luźniejsze ciało, żebyśmy nie czuli się spięci... To było naprawdę ciekawe.

M.S-T.: Wspomniałeś o sukcesach w Hiszpanii i Olsztynie, ale to nie jedyne bardzo ważne konkursy w twoim życiorysie artystycznym.

A.W.: Na pewno bardzo istotny był też dla mnie konkurs „Forum Gitarre" w Wiedniu w 2006 roku, a także to, że zostałem laureatem „Tygodnia Talentów" w Kąśnej Dolnej. Dzięki temu mogłem tam później wystąpić z koncertem.

B.G-M.: A czy pamiętasz swój pierwszy konkurs?

A.W.: Pamiętam, ale nie tak dokładnie. Podobno jest nawet jakieś nagranie. To był konkurs w Mrzeżynie miałem wtedy chyba 8 lat.

M.S-T.: Wiadomo, że przed każdym występem jest napięcie, emocje. Jak sobie radzisz z tremą?

A.W.: To jest dosyć trudny temat. Właściwie mojej tremy nie rozumiem. Potrafi mnie zaskoczyć przy pięciu osobach, a na dużej sali mogę czuć się dość swobodnie. Towarzyszy mi przed



Adam Woch fot. archiwum Adama Wocha

każdym występem, ale to chyba dobrze, że nie jestem takim zimnym człowiekiem.

B.G-M.: Czy biorąc udział w konkursie myślisz o tym, żeby zdobyć pierwsze miejsce, czy po prostu chcesz zagrać jak najlepiej? Jak do tego podchodzisz?

A.W.: Z jednej strony oczywiście chcę zagrać jak najlepiej. Miło kiedy jest się dostrzeżonym i zdobywa nagrodę, ale myślę, że satysfakcja jest ważniejsza. Zazwyczaj też rywalizuje się ze swoimi znajomymi, często z bardzo dobrymi kolegami, a nawet przyjaciółmi. Konkurs nigdy nie jest tak do końca wyznacznikiem, kto jak gra.

M.S-T.: Jesteś stypendystą Ministra Kultury i Narodowego Funduszu na Rzecz Dzieci. Co to stypendium daje w praktyce?

A.W.: Te stypendia nie tylko mnie, ale wszystkim półfinalistom Konkursu Młody Muzyk Roku dały możliwość udziału w imprezie. Zostaliśmy dobrani na podstawie naszych wcześniejszych osiągnięć, a wybierano z listy stypendystów Krajowego Funduszu. Ministerstwo Kultury wspomaga nas finansowo, jest to raz wydawana kwota – jeśli dostaje się stypendium. Natomiast Fundusz na Rzecz Dzieci zaprasza nas na koncerty w bardzo fajnych miejscach typu Łazienki albo Zamek Królewski w Warszawie, czy na kursy mistrzowskie w czasie wakacji.

B.G-M.: Obecnie masz dwóch pedagogów: prof. Zbigniewa Dubiellę, u którego uczysz się od samego początku, i prof. Ryszarda Bałałuszkę w Warszawie. To chyba bardzo dużo daje?

A.W.: Oczywiście. Myślę, że to jest wyjątkowe w mojej obecnej sytuacji. Ja nie przychodzę do klasy, by zaliczać lekcje. Z panem Dubiellą spotykamy się u niego w domu, gramy i dyskutujemy na różne tematy. Podobnie jest u profesora Bałałuszki, u którego mieszkam będąc przez kilka dni w Warszawie.

Zbigniew Dubiella: Ja bym tutaj dodał, że Adam nie tylko ma już w tej chwili dwóch pedagogów, ale przede wszystkim jest niezmiernie aktywny jeśli chodzi o przeróżne dodatkowe lekcje i właściwie z wszystkimi polskimi ważniejszymi gitarzystami miał spotkania i będzie jeszcze miał. Brał udział także w wielu lekcjach mistrzowskich u gitarzystów zagranicznych, tak więc edukuje się bardzo szeroko.

A.W.: Od września starałem się mniej więcej co miesiąc wyjechać na taką dodatkową lekcję i we wrześniu był to Ricardo Gallen z Hiszpanii, w październiku Marcin Dylla, świetny gitarzysta i dla mnie wzór. Z kolei w listopadzie byłem u Łukasza Kuropaczewskiego. Te lekcje ogromnie dużo mi dają, później oczywiście trzeba zastanowić się i brać to, co jest mi faktycznie potrzebne, ale te spotkania są niesamowicie mobilizujące do pracy i można się bardzo dużo nauczyć.

M.S-T.: Ile godzin dziennie ćwiczysz?

A.W.: Jestem zadowolony, że ostatnio ćwiczę regularnie, bo nie należę do ludzi najbardziej pracowitych. W tym roku szkolnym, w związku z tym, że trzeba zrobić duży nowy repertuar, ćwiczę dwie, trzy godziny dziennie, w zależności od tego ile mam zajęć w szkole.

B.G-M.: Podobno wyjeżdżasz na interesujące cię koncerty do innych miast, także za granicę. Nie jesteś „zaślepiony" – tylko gitara i nic więcej?

A.W.: Staram się być otwarty na muzykę w ogóle. Instrument odgrywa istotną rolę, ale nie najważniejszą. Uwielbiam słuchać fortepianu, skrzypiec czy wiolonczeli. Staram się być na koncertach największych mistrzów, czy to w Warszawie, czy w Berlinie.

M.S-T.: Lubisz także muzykę kameralną, bo często grasz z innymi instrumentalistami w różnych formacjach.

A.W.: Tak, chociaż ostatnio jakoś to zeszło na drugi plan. Na pewno z moim kolegą pianistą, z którym tworzymy duet, zabierzemy się ponownie do pracy, bo mamy zaplanowany koncert w Świdnicy, gdzie w ubiegłym roku wygraliśmy konkurs zespołów kameralnych.

M.S-T.: Na jakiej grasz gitarze i czy jesteś z niej zadowolony?

A.W.: Jest to gitara zrobiona dla mnie przez lutnika Gernota Wagnera z Frankfurtu. Kupiłem ją dzięki stypendium Młoda Polska. Jest to bardzo dobry instrument, typ nowoczesny, bardzo głośny, ze specyficznym brzmieniem. Lubię takie instrumenty, ale chciałbym mieć też bardzo dobrą gitarę tradycyjną hiszpańską albo francuską.
Może jakiegoś Daniela Friedrycha albo Dominique'a Fielda – to są dwaj najlepsi francuscy lutnicy, tylko dzisiaj to jest bardzo trudne do załatwienia. Daniel Friedrych ma osiemdziesiąt kilka lat, nie robi już w ogóle gitar, a jeśli – to tylko dla znajomych. Można więc kupić wyłącznie używane instrumenty. Natomiast u Fielda w kolejce trzeba czekać 17 lat, więc nie wygląda to dobrze.

B.G-M.: Ile masz gitar obecnie?

A.W.: Przypuszczam, że siedem, ale gram tylko na dwóch.

Zbigniew Dubiella: Adam imponuje mi swoim podejściem do muzyki w ogóle. Inni uczniowie słysząc, że za dwa dni jest koncert, pytają, czy muszą iść. Czegoś takiego z ust Adama nigdy nie usłyszałem, on po prostu idzie z przyjemnością. Mam wielką kolekcję nagrań gitarowych oraz książek – i znowu ta sama sytuacja. Adaś jest moim najczęstszym „klientem" – to słowo oczywiście nie jest adekwatne, ale on już tak dobrze zna moją kolekcję nagrań, że sam potrafi szybciej znaleźć konkretną płytę niż ja sam. Poza tym czyta wiele książek, które mu pożyczam. Ostatnio jesteśmy zafascynowani wspomnieniami Artura Rubinsteina. Wymieniamy sobie różne wesołe uwagi o tej książce. Takich uczniów, niestety, nie ma się aż tak wielu...

Przed młodym artystą stoją kolejne wielkie wyzwania: matura, recital dyplomowy, koncert z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Koszalińskiej, a później studia i kolejne konkursy gitarowe. Życzymy dalszych wspaniałych sukcesów.

Małgorzata Kołowska

Chińska podróż koszalińskich akordeonistów

Działalność koszalińskiej formacji „Fantini Akord Kwintet" i rozkwitające wokół zespołu artystyczne przedsięwzięcia propagujące muzykę akordeonową są przykładem tego, jak inspirująca, wyzwalająca twórcze siły – zaraźliwa w najlepszym tego słowa znaczeniu – może być fascynacja jednego człowieka. Bo przecież gdyby nie miłość Artura Zajkowskiego do akordeonu, nie byłoby ani jego orkiestry akordeonowej, ani kwintetu, ani też corocznych festiwali muzyki akordeonowej. Nie byłoby też powodu do współpracy z czołową firmą produkującą akordeony, czyli włoskim „Fantini", który wyposażył koszalińskich muzyków w instrumenty najwyższej jakości i sprawuje pieczę nad przedsięwzięciami propagującymi muzykę akordeonową w Koszalinie i nie tylko.

Wszystko zaczęło się w roku 1996 roku, kiedy do Koszalina powrócił po studiach w Akademii Muzycznej Artur Zajkowski, absolwent koszalińskiego Zespołu Szkół Muzycznych. Z jego inicjatywy przy ówczesnym Miejskim Ośrodku Kultury zaczął działać dziecięco-młodzieżowy zespół „Akord". Pięć lat później odbył się pierwszy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej, obecnie zajmujący już stałe miejsce w koszalińskim kalendarzu imprez o zasięgu międzynarodowym. Działalność Artura Zajkowskiego i jego muzycznych formacji kontynuowana jest pod szyldem Centrum Kultury 105, w jakie przekształcił się dawny MOK.

Działalność Artura Zajkowskiego, organizowane też z jego inicjatywy koncerty akordeonowe rychło przekonały miłośników muzyki, że akordeon jest pełnoprawnym instrumentem o wielkich możliwościach koncertowych, pozwalającym wykonywać zarówno muzykę popularną, jak i poważną i osiągać wirtuozowski poziom wykonawczy. Przekonywały o tym koncerty jego podopiecznych, festiwalowe wydarzenia z udziałem akordeonowej młodzieży oraz takich znakomitości, jak choćby słynny zespół „Motion Trio". Wspólne koncerty z tą właśnie formacją były zarazem nobilitacją dla młodych akordeonistów z Koszalina i potwierdzeniem osiągniętego przez nich mistrzostwa.

2009 rok przyniósł wiele istotnych wydarzeń z udziałem „Fantini Akord Kwintetu". Była to majowa trasa koncertowa po Francji, w której „Akord" towarzyszył muzykom z „Motion Trio", w lipcu natomiast podopieczni Artura Zajkowskiego wzięli udział w V Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży w Tianjinie w Chinach, który trwał od 25 do 31 lipca, i XV Międzynarodowym Festiwalu Akordeonowym w Palandze na Litwie.

Zarówno z uwagi na prestiż jak i egzotykę azjatyckiej podróży „Akordu", jej właśnie poświęćmy więcej uwagi. O wyjeździe koszalińskiej młodzieży do Chin przesądziła warszawska ambasada tego kraju oraz nasze Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Decyzja ta miała tym większe znaczenie, że koszaliński kwintet akordeonowy był jedyną polską grupą zaproszoną na festiwal. Spotkanie zorganizowane zostało pod hasłem „Pokój, przyjaźń, przyszłość". Goście z Polski w liczącym 10 mln mieszkańców Tianjin (oddalonym 60 km od Pekinu) powitani zostali przez gospodarzy Mazurkiem Dąbrowskiego. W programie ich pobytu były cztery koncerty, m.in. w Operze Narodowej w Pekinie.

Oto jak chińską przygodę zrelacjonował Artur Zajkowski w sporządzonym po powrocie sprawozdaniu: „Z Koszalina do Warszawy wyruszyliśmy 21 lipca w nocy, dwoma osobowymi samochodami. Do Chin lecieliśmy z przesiadką w Moskwie. W Chinach uczestniczyliśmy w Światowym Festiwalu Dzieci i Młodzieży. Oprócz nas wystąpiły zespoły z 60 krajów. Było dla nas wielką dumą reprezentowanie Koszalina i Polski. Polsko-Chińska Fundacja Kultury „Dong Feng" zorganizowała nam wycieczki, podczas których z przewodnikiem zwiedzaliśmy m.in. Zakazane Miasto, Świątynię Słońca, Plac Niebiańskiego Spokoju czy Chiński Mur. Zagraliśmy cztery koncerty w ogromnych salach koncertowych. W każdej z nich byliśmy gorąco oklaskiwani przez publiczność liczącą kilkaset osób".

Chińska podróż podopiecznych Artura Zajkowskiego została sfinansowana przez Urząd Miejski oraz firmę Jespersen. „Fantini Akord Kwintet" tworzą: Monika Pietrzak, Sebastian Krzewiński, Wojciech Jaśkiewicz, Agnieszka Wróbel i Aneta Sobolewska.



Fantini Akord Kwintet.

fot. archiwum zespołu

Jadwiga Koprowska

Chcę robić dobre filmy

4 grudnia 2009 roku na ekrany polskich kin wszedł film dokumentalny Bartka Konopki i Piotra Rosołowskiego „Królik po berlińsku", który znalazł się na liście filmów mających szansę na nominację do Oskara. (Nominację tę na początku roku 2010 uzyskał – dop. red.) W kinach pokazywany jest wraz z prawie półgodzinnym filmem animowanym „Esterhazy", autorstwa pochodzącej z Koszalina reżyserki Izabelli Plucińskiej. Od kilku lat mieszka ona i pracuje w Niemczech.

Jadwiga Koprowska: Czy już w Koszalinie marzyła Pani o animacji?

Izabella Plucińska: Nie, ale faktycznie wiele rysowałam, często chodziłam do Ogniska Plastycznego, gdzie moją nauczycielką była Gabrysia Kapela. Od niej wszystko się zaczęło, ona popchnęła mnie do Liceum Plastycznego w Koszalinie, więc zamieniłam Szkołę Sportową nr 1 na koszaliński „Plastyk", a stamtąd startowałam do Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, no i udało się...

J.K.: Za pierwszym podejściem się udało?

I.P.: Tak, ale to był fuks, bo system szkolnictwa artystycznego w Polsce jest taki, że chętniej do wyższych uczelni przyjmuje się absolwentów liceów ogólnokształcących, niezmanierowanych jeszcze. Od początku byłam trochę rozczarowana ASP, bo świadomie wybrałam Łódź i wydział tkaniny, z myślą o przemyśle włókienniczym. Tak się złożyło, że wówczas wszystkie fabryki włókiennicze w Łodzi były pozamykane, zajęcia odbywały się jedynie na uczelni, w bardzo archaicznym systemie. Postanowiłam więc zdobyć drugi zawód i będąc na III roku ASP rozpoczęłam studia w łódzkiej „Filmówce", na Wydziale Operatorskim – dział animacji. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, czy potrafię robić filmy, opowiadać jakieś historie. Moje pierwsze nieśmiałe próby zyskały jednak aprobatę; zrobiłam pierwszą animację malując palcem w oleju pod okiem kamery, był to rodzaj reliefu. Od tego się zaczęło.

J.K.: Do wizji plastycznej doszedł problem opowiadania za pomocą kamery, zupełnie nowe środki wyrazu, skomplikowana technika. Co było najtrudniejsze ?

I.P.: Animacja to rzeczywiście nie tylko pomysł plastyczny, ale także dźwięk, montaż, światło – wiele rzeczy składa się na jeden ruchomy obraz. Wszystkiego musiałam się mozolnie uczyć. Z jednej strony mieliśmy w szkole pomoc, z drugiej – problemy związane z tym, że uczyliśmy się na bardzo starym sprzęcie, kręciliśmy na „trzydziestce piątce", pamiętam kamery z lat 30., które trudno było uruchomić, a tu trzeba było w krótkim czasie zrealizować film. Pomimo wiecznie psującego się sprzętu jakoś udawało się każdego roku zrealizować film.W 2002 roku wyjechałam na stypendium do Niemiec, bo chciałam wzbogacić moje doświadczenie w animacji poklatkowej o umiejętność pracy z aparaturą cyfrową, wówczas dość rzadko spotykaną; np. w Łodzi nie mieliśmy wówczas żadnego aparatu cyfrowego. W szkole filmowej w Babelsbergu pod Berlinem zetknęłam się z zupełnie inną formą kształcenia. Nową, cyfrową metodą zrealizowałam tam film „Jam Session". Tak na marginesie: bardzo polecam młodym ludziom szukanie możliwości wyjazdu na stypendium, to szalenie rozwija i poszerza horyzonty. A my w Polsce jesteśmy jacyś tacy pozamykani w swoich światach. Niewielu ludzi aspiruje do stypendiów artystycznych, bo boją się, że np. nie poradzą sobie z językiem. Ja nie mówię, że tam jest lepiej, ale jest inaczej, na co innego kładzie się nacisk.

J.K.: Co było największym zaskoczeniem

w pierwszych tygodniach studiów w Babelsbergu? Przypomnijmy, że jest to najstarsze studio filmowe na świecie z Uniwersytetem Filmu i Telewizji.

I.P.: Wiele rzeczy mnie zaskakiwało, np. to, że można wejść do szkoły o każdej porze dnia i nocy, bo każdy ma swoją kartę studencką, która otwiera każde drzwi – bo szkoła jest dla nas. W związku z tym i biblioteka jest na nasze potrzeby, czyli czynna prawie na okrągło, a w dodatku możesz wypożyczyć jednorazowo kilkadziesiąt książek i filmów. Wszystko jest dostępne, każdy ma swoje miejsce, swoje biurko do rysowania i profesora, który jest dla ciebie, a nie odwrotnie. Nie było przepaści pomiędzy uczącymi a studentami i stresów z tym związanych. Szkoła w Babelsbergu jest nastawiona na to, żeby nauczyć nas świetnie animować, więc uczyli nas ludzie, którzy są mistrzami animacji. Poza tym stamtąd każdego roku jeździliśmy na festiwale; każdy student już po I roku ma obowiązek pojechać na największy i najstarszy festiwal animacji w Europie, czyli do Annency, aby wiedział, co aktualnie jest modne w animacji, jakie są trendy artystyczne w najnowszych produkcjach. Zresztą ten festiwal ma niesamowitą atmosferę, więc po pierwszym razie wszyscy tam wracają.

Co jeszcze różni łódzką „Filmówkę" od szkoły w Babelsbergu? W Niemczech musimy zrobić przez cztery lata dwa filmy, w Łodzi trzeba co roku zaliczyć jeden film. To tempo nie służy dobrze rzetelnemu rzemiosłu. Za to w Polsce studiuje się w tradycji największych twórców, artystów tej miary co Alfred Lenica czy Witold Giersz, a to szalenie otwiera, zmusza do pomysłowości. Czuję się starannie przygotowana do zawodu dzięki połączeniu wiedzy i umiejętności zdobytych w łódzkiej „Filmówce" i na uniwersytecie w Babelsbergu. Z tą ostatnią uczelnią przez cały czas nie tracę kontaktu, a w przyszłym roku będę także na niej wykładać. Cenię sobie te wykłady tym bardziej, że w Niemczech, żeby dostać kontrakt, trzeba przejść przez gęste sito, a na wybór profesora mają wpływ także studenci.

J.K.: Właśnie wchodzi na ekrany Pani najnowszy film „Esterhazy", który otwierał m.in. XXV Warszawski Festiwal Filmowy. Film ten będziemy mogli oglądać w tandemie z osławionym już polskim dokumentem startującym do Oskara – „Królik po berlińsku" Bartka Konopki.

I.P.: Bardzo się cieszę, że Stefan Laudyn zaprosił mnie na festiwal, zaproponował również zrobienie animacji – pilota XXV WFF. „Esterhazy" to opowieść o Berlinie w 1989 r., tuż przed zburzeniem muru berlińskiego. Pewnego dnia, w poszukiwaniu dorodnej żony, do Berlina przyjeżdża króliczek ze starego rodu wiedeńskiego, skarlałego przez złą dietę. Po licznych przygodach dostaje się pomiędzy mur berliński, w miejscu wymarzonym dla króliczej rodziny. Znajduje tam słusznych rozmiarów



Izabella Plucińska. fot. archiwum autorki

żonę, z którą może zadbać o przedłużenie rodu.

Jest to przewrotna opowieść o wolności i zniewoleniu; to moja propozycja spojrzenia na podział Niemiec i próba odpowiedzi na pytanie: co komu daje wolność. Pomysł na dystrybucję, by pokazywać go razem z „Królikiem po berlińsku", bardzo mnie cieszy, bo film Bartka Konopki jest świetny i dostał już główną nagrodę na krakowskim festiwalu. Moim zdaniem będzie to gratka dla widza zobaczyć obok siebie film dokumentalny i animację filmową.

J.K.: Niektórzy krytycy twierdzą, że przy Pani talencie, niemieckich możliwościach i po Srebrnym Niedźwiedziu na berlińskim festiwalu w 2005 roku za „Jam Session" ma Pani otwartą drogę do Oskara. Czym chciałaby Pani rzucić na kolana widzów i krytykę?

I.P.: Ja tak nie myślę. Chcę robić dobre filmy, które spodobają się publiczności, ale nie szukam czegoś wystrzałowego, bo chyba zwariowałabym. Przyznaję jednak, że mam bardzo skonkretyzowane już plany i zaczynam zabiegać o pieniądze na kolejny film. Co to będzie? Chcę nakręcić film animowany na podstawie komiksu „Marzi" Marzeny Sowy. Jest to historia ośmio-, dziewięcioletniej dziewczynki, mieszkającej w blokowisku w Stalowej Woli w latach 80. To czas mojego dzieciństwa, czas, który dobrze znam – szary, posępny czas w polskiej rzeczywistości. Mnóstwo będzie aluzji do ówczesnej polityki, śmiesznych sytuacji i zarządzeń, kłopotów dnia codziennego. Z drugiej strony zapamiętałam ten okres jako czas bliskości miedzy ludźmi, dobrze pojętej solidarności i wręcz zażyłości; w tym filmie będzie więc także wiele wzruszających momentów. Budżet na produkcję jest ogromny, jeżeli go zdobędziemy, to za pięć, może siedem lat będzie można się pochwalić tym filmem.



Esterhazy. fot. kadr z filmu

Nominacja dla koszalińskiego historyka

W roku 2009 wśród dziesięciu tytułów nominowanych do nagrody „Książki Historycznej Roku" znalazła się pozycja autorstwa koszalińskiego historyka Piotra Potomskiego. Mimo, że nie znalazł się on wśród trojga nagrodzonych autorów, to sam fakt nominacji potwierdza wysoką wartość tej biografii. Poniżej przytaczamy fragmenty recenzji, jakie ukazały się na stronach internetowych.

12 marca 2009 r. w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej odbyła się promocja książki, odnotowana na stronie Gimnazjum Gminnego w Sianowie, w którym Piotr Potomski jest nauczycielem historii: „ (...) Przedstawiciel wydawcy – red. Szymon Morawski wysoko ocenia publikację. Książka bardzo dobrze się sprzedaje, a jednocześnie cieszy się już dużym zainteresowaniem czytelników. W grudniu 2008 roku otrzymała tytuł książki miesiąca w prestiżowych rankingach rynku wydawnictw historycznych.

Sala konferencyjna koszalińskiej biblioteki wypełniona była po brzegi. Wśród gości obecni byli m.in. Burmistrz Gminy i Miasta Sianów Ryszard Wątroba, Przewodnicząca Rady Miejskiej Sianowa Kazimiera Janowicz i Dyrektor Gimnazjum Gminnego w Sianowie Krzysztof Sosnowski. Burmistrz Sianowa przypomniał o osiągnięciach miasta na niwie działalności publicystyczno-naukowej, w którą znakomicie wpisuje się dzieło Piotra Potomskiego.

Spotkanie z autorem biografii gen. Maczka było bardzo ciekawe i przebiegało w niezwykle miłej atmosferze, na którą bez wątpienia wpłynął koncert zespołu kameralnego zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie pod opieką pani Jolanty Libickiej oraz prowadzona z lekkością i humorem konferansjerka ppłka dra Wojciecha Grobelskiego".

„Na bieg dziejów wpływają przeważnie osoby będące wybitnymi politykami bądź wojskowymi. Stanisław Maczek pełnił obydwie te funkcje, najpierw jako żołnierz, a potem jedna z najważniejszych postaci polskiej emigracji. Piotr Potomski postanowił w swej pracy opisać dzieje tego niezwykłego człowieka od dnia jego narodzin aż do śmierci".

„Prezentowana książka to pierwsza pełna biografia gen. Stanisława Maczka, ukazująca sylwetkę i kształtowanie się jego osobowości na tle epoki i środowiska. Pokazuje także jego wpływ i osiągnięcia w tworzeniu nowego w warunkach polskich rodzaju broni oraz wynikające z tego następstwa. Służba Ojczyźnie została wyeksponowana na tle niemal wszystkich najważniejszych wydarzeń z dziejów Polski XX wieku. Biografia bohatera obejmuje bowiem kilka wielkich okresów w dziejach naszego narodu – dzieciństwo i wczesna młodość przypadły na schyłek zaborów, lata dojrzałe na dwudziestolecie międzywojenne i okres II wojny światowej, a jesień życia na powojenną emigrację. W książce nie pominięto także wątków z życia rodzinnego Generała, stanowiących cenne uzupełnienie do charakterystyki tej postaci. Generał Stanisław Maczek jest jednym z kilku wybitnych oficerów, walczących podczas II wojny światowej, którzy nie doczekali się obszernej biografii. Omawiana książka jest próbą takiego opisu. Piotr Potomski, doktor nauk humanistycznych, współautor kilku książek o tematyce dotyczącej II wojny, opisał dzieje niezwykłego człowieka od momentu jego urodzenia aż do śmierci".

„Długość życia generała (102 lata!), daje możliwość spojrzenia, podczas czytania książki, na dzieje Polski w całym XX wieku – od czasów zaborów, I wojnę, poprzez tworzenie się wolnej Polski, wojnę polsko-bolszewicką, II RP, II wojnę światową, okres emigracji i rządów komunistycznych w Polsce... Wszystkie te wydarzenia znacząco wpłynęły zarówno na dzieje bohatera

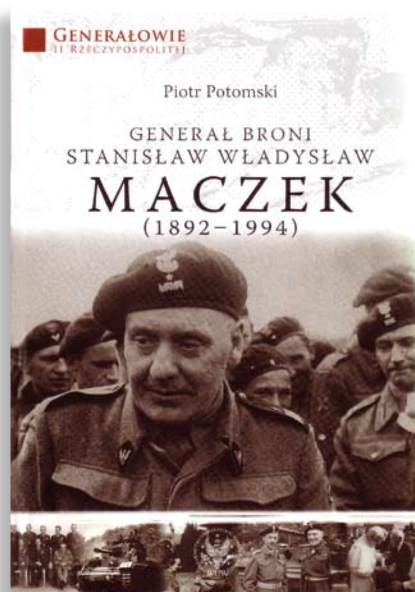
omawianej pozycji, jak i na życie kilku pokoleń Polaków. Generałowi Maczkowi jako jedynemu ze znaczących polskich generałów dane było doczekać wolnej Polski".

„Napisanie czyjegoś życiorysu jest jednym z trudniejszych zadań stojących przed pisarzem. Piotr Potomski w omawianej pozycji, która jest wydaniem doktoratu, obronionego przez autora w 2007 roku, zdecydował się na opisanie całości życia generała w jednej pracy, nie skupiając się na poszczególnych wątkach czy okresach życia bohatera na danym tle historycznym. Książka ma więc charakter chronologiczny.

Książka składa się z sześciu rozdziałów, cztery z nich poświęcone są stricte działaniom i służbie w Wojsku Polskim. Pierwszy i ostatni są próbą opisu życia prywatnego. Pierwszy dotyczy jeszcze czasów zaboru austriackiego, lat młodzieńczych spędzonych na terenie Galicji, kształtowania się postawy i niezłomnego charakteru generała, który był widoczny podczas jego walk w czasie II wojny. Ostatni, moim zdaniem najciekawszy i najwięcej wnoszący do polskich badań historycznych, poświęcony jest życiu emigracyjnemu generała, który nadal żywo zainteresowany był sprawami kraju będącego pod rządami komunistów. Zainteresowanie to spotkało się z różnymi zabiegami służb bezpieczeństwa PRL, w stosunku do emigracji polskiej, w szczególności dotyczącymi samego gen. Maczka.

Za duży atut omawianej pozycji należy uznać szeroki opis akcji zbrojnych, w których brał udział generał. Dzięki temu Czytelnik ma okazję zapoznać się z ciekawą i zwięzłą oceną walk w szeregach armii austriackiej, podczas wojny polsko-bolszewickiej w sztabie II armii podczas wyprawy kijowskiej oraz walk 1 Dywizji Pancernej w latach 1944-45. Autor opisał jej zaangażowanie m.in. w słynnej bitwie pod Falaise, nie szczędząc merytorycznej krytyki zarówno Aliantom, jak i niektórym polskim oficerom, z Maczkiem włącznie. Całość pracy ozdobiona jest 31 ilustracjami oraz 27 mapami, wykresami i tabelami.

Książka, mimo że skierowana głównie do historyków, w szczególności tych zajmujących się wojskowością, jest napisana w na tyle przystępny sposób, że może być czytana przez osoby mające z historią niewiele wspólnego. Z tego powodu jedynym minusem pracy wydają się nadmiernie rozbudowane rozdziały poświęcone działaniom wojennym, aczkolwiek dla historyków ten zarzut z pewnością będzie nieuzasadniony.



Piotr Potomski, Generał Broni Stanisław Maczek, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2008.

Podsumowując, książka Piotra Potomskiego jest pozycją, którą na swojej półce winien jest mieć każdy, komu bliska jest historia i dzieje polskiej wojskowości ostatniego stulecia. Czas, który opisuje życie generała, pozwala także na szersze zrozumienie, tak trudnej i złożonej, historii Polski w XX wieku. Dzieje jednego z najwybitniejszych polskich dowódców są przy tym przedstawione w zwięzły, choć ciekawy sposób. Na merytoryczność i ogrom pracy autora wskazuje zaś obfita bibliografia (ponad 800 pozycji). Książka znalazła się wśród 10 nominowanych do Nagrody Książki Historycznej Roku 2009".

POŻEGNANIA







Krzysztof Ziembiński (1935-2009)

Krzysztof Ziembiński urodził się 29 lipca w 1935 w Warszawie. W 1957 roku ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną (dziś Akademię Teatralną) im. Zelwerowicza w Warszawie. Debiutował w 1958 roku w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Jak wielu innym aktorom tak i Jemu przyszło drogę życia przemierzać na wozie Tespisa; był aktorem Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, Teatru im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku, Teatru Juliusza Osterwy w Lublinie, teatrów „Nowego" i „Polskiego" w Poznaniu, Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze, „Polskiego" w Szczecinie, „Jaracza" w Olsztynie, Słupskiego Teatru Dramatycznego, a od 1992 roku – Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie, który okazał się ostatnim teatrem Krzysztofa Ziembińskiego. Choć nie ostatnim życiowym wyzwaniem.

Nie tylko aktorstwo było Jego przeznaczeniem. Z powodzeniem kierował teatrami i organizował życie teatralne: w latach 1984-1990 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru im. Jaracza w Olsztynie, w latach 1990-1992 – kierownikiem literackim Słupskiego Teatru Dramatycznego. W połowie lat 70. razem z Krzysztofem Rauem zakładał białostocką filię warszawskiej PWST.

W 1997 roku wraz z żoną Haliną – także aktorką – założył Studio Artystyczne Poezji i Piosenki przy Miejskim Ośrodku Kultury w Koszalinie (dziś Centrum Kultury 105), które w ciągu 12 lat swej działalności wykształciło blisko 50 „absolwentów". Wielu z nich jest dziś aktorami scen dramatycznych i muzycznych, dziennikarzami, animatorami kultury w kraju i za granicą. Choć Studio nie było formalnie placówką edukacyjną, wydającą dyplomy potwierdzające gotowość do wykonywania zawodu aktora, to jednak Krzysztofowi i Halinie Ziembińskim udało się nadać klasę, ton i rangę prowadzonym przez siebie zajęciom – znacznie większą, aniżeli to się zdarza kółkom teatralnym przy ośrodkach kultury. Choć żartem młodzież nazywała Krzysztofa Rektorem, to jednak nie było żartu w zwracaniu się do Niego „Panie Profesorze" – był bowiem niekwestionowanym autorytetem, mistrzem, strażnikiem najlepszych wzorców edukacji teatralnej i teatralnego obyczaju, wiernym testamentowi własnych mistrzów, Aleksandra Zelwerowicza i Zofii Małynicz. Zwłaszcza na autorytet Zelwerowicza powoływał się często. Okazało się, że ów przedwojenny etos teatru i aktorstwa niezmiennie uwodził młodzież, która potrafiła docenić wartość pracy pod kierunkiem Haliny i Krzysztofa. Umiejętności ich podopiecznych wielokrotnie nagradzali jurorzy konkursów recytatorskich i poezji śpiewanej – nie tylko podczas koszalińskich turniejów od dawna było wiadomo, że „stajnia Ziembińskich" bierze niemal wszystko. Halina bywała też matką – pocieszycielką, powierniczką nastoletnich sekretów. Krzysztof natomiast, uwielbiany przez młodzież Pan Profesor, pozostawał dla nich przede wszystkim Mistrzem.

Obojgu udała się rzecz nadzwyczajna i rzadka: wychowali kontynuatorów swojego dzieła. Obecnie Artystyczne Studio Poezji i Piosenki, które nosi Ich imiona, prowadzi Ewa Czapik-Kowalewska, artystyczna „córka" Ziembińskich, wraz ze swym mężem, utalentowanym muzykiem Rafałem Kowalewskim. Ta kontynuacja, podobnie jak losy innych podopiecznych, pokazują, jak rzetelną wiedzę o sztuce teatru i tajnikach aktorstwa Krzysztof Ziembiński umiał przekazać, jak zarazem oboje z Haliną by-

li dyskretnymi przewodnikami, pozwalającymi na wewnętrzną wolność i samodzielność decyzji tak życiowych jak artystycznych. Bo dzisiejsze Studio nie jest takim samym, jak za czasów Ziembińskich, choć wciąż tym samym – wiernym swym Mistrzom i Założycielom. Bo o Krzysztofie trudno mówić nie wspominając Haliny. Także nie wspominając Ich domu w gotyckiej kamieniczce w Koszalinie, gdzie niewielką przestrzeń teatralnego mieszkanka dzielili z niezliczonymi książkami, przyjazną wobec świata airdale-terierką i kawką Kasią.

Osobiście Krzysztofa poznałam w 1992 roku, kiedy z grupą innych aktorów walczył o zachowanie słupskiej sceny. To się nie udało, ale co tu dużo mówić: Koszalin na tym skorzystał, tutejszy zespół bowiem zasilili wówczas Krzysztof Ziembiński, a także Romuald Michalewski oraz Wojciech Rogowski, o którym śmiało można powiedzieć, że jest filarem zespołu BTD. Przede wszystkim jednak zyskała koszalińska młodzież, utalentowana aktorsko i wokalnie. Początki Studia to Bractwo Artystyczne „Strych" w Centrum Rozrywki „Na Pięterku", któremu to właśnie Ziembińscy nadali blasku. To Oni też, dzięki swym niewątpliwym pedagogicznym talentom, blasku szlifowanych diamentów przydali wielu swym podopiecznym.

Ale Krzysztof był nade wszystko aktorem – z tych, co to potrafili odpowiedni dać kształt słowom, a swą obecnością na scenie elektryzowali, zwłaszcza w repertuarze klasycznym. Jego najważniejsze role, to, w repertuarze romantycznym kolejno: Kordian, Gustaw/Konrad, Fantazy, i w wielkiej klasyce: Antenor w „Odprawie posłów greckich" Jana Kochanowskiego, Orestes w „Elektrze" Sofoklesa (w reż. Izabelli Cywińskiej – Teatr Nowy w Poznaniu), tytułowa postać we „Fryderyku Wielkim" Nowaczyńskiego, Poeta w „Weselu" Wyspiańskiego. W Koszalinie oglądaliśmy Go w roli Gerwazego w „Panu Tadeuszu" Mickiewicza w reż. Józefa Skwarka, Ojca Katarzyny w „Poskromieniu złośnicy" Szekspira w reż. Adama Orzechowskiego, Michała Anioła w „Michale Aniele Buonarottim" w reż. Romualda Michalewskiego, Cześnika w „Zemście" Fredry w reż. Andrzeja Hrydzewicza, Ojca w „Weselu" w reż. Bogusława Semotiuka – była to Jego ostatnia rola teatralna.

W 1966 r. otrzymał nagrodę aktorską za rolę „Gustawa/Konrada w „Dziadach" Mickiewicza w Teatrze im. Węgierki w Białymstoku podczas VIII Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu – nagrodę za rolę, w roku 1969 „Złotą Chryzantemę" – nagrodę w plebiscycie ZSP i „Expresu Poznańskiego" za rolę Barona Sakalyi w „Sonacie Belzebuba" Witkiewicza w Teatrze Polskim w Poznaniu.

Krzysztof z powodzeniem także reżyserował przedstawienia. Najważniejsze z nich, to: „Jan Maciej Karol Wścieklica" Witkacego w Lubuskim Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze, „Ożenek" Gogola w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie, „Szalbierz" Spiro w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie, „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej, „Betlejem Polskie" Rydla w BTD, które przez kilka sezonów z powodzeniem wracało na afisz w okołobożonarodzeniowym czasie, „Tango" Mrożka – Teatr w Kaliningradzie.

Krzysztof Ziembiński zmarł 4 stycznia w Olsztynie, dokąd powrócił po jakże niespodziewanej i przedwczesnej śmierci Haliny w grudniu 2006 roku.

Przeżył Ją o dwa ledwie lata. Bo... jednak nie można żyć bez powietrza.

Małgorzata Kołowska
fot. archiwum BTD



Henryk Sobolewski (1939-2009)

Prezydent Henryk Sobolewski mieszkał w Koszalinie od 1961 roku. Prezydentem miasta był trzykrotnie; ostatnio w latach 1998-2002. Wcześniej pełnił obowiązki prezydenta Koszalina od 1 marca 1981 r. do 21 kwietnia 1981 oraz od października 1994 do lutego 1995. Był też wieloletnim wiceprezydentem miasta w latach 1976-1986 oraz 1994-1995. Ostatnie dni spędził w koszalińskim szpitalu. Zmarł po ciężkiej chorobie w niedzielę wieczorem w koszalińskim szpitalu. Miał 70 lat.

Henryk Sobolewski ukończył poznańskie Technikum Geodezyjne, ale pracę zawodową jako geodeta rozpoczął w Gdańsku. Ukończył studia na Politechnice Szczecińskiej na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym o specjalności ekonomika inwestycji. Już w Koszalinie, w latach 1966-75 był dyrektorem przedsiębiorstw budowlanych i inwestycyjnych. W 1975 roku pełnił funkcję zastępcy dyrektora w Zakładzie Badań i Wdrożeń przy Wojewódzkim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Opracował kompleksową dokumentację organizacyjną przekształcenia komunalnych jednostek budżetowych w samodzielne przedsiębiorstwa. W roku 1986 został dyrektorem Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami w Urzędzie Wojewódzkim i głównym geodetę województwa koszalińskiego.

Od 1979 r. czynnie uprawiał żeglarstwo morskie. Był wicekomandorem Klubu Morskiego „Tramp" oraz prezesem Klubu Sportowego „Bałtyk" w latach 1977-1981.

Jako przedstawiciel miejskiego samorządu chętnie bywał na imprezach kulturalnych i artystycznych, często deklarując wolę wpierania rozwoju koszalińskiej kultury. Tak między innymi było podczas uroczystości jubileuszowych Filharmonii Koszalińskiej, kiedy to w hali Liceum im. Dubois wystąpiło trzech polskich tenorów zapowiadanych przez Bogusława Kaczyńskiego, ówczesny zaś dyrektor Filharmonii Józefa Solecka odebrała z rąk prezydenta Sobolewskiego list intencyjny zapewniający o rychłym rozpoczęciu budowy sali koncertowej. Ten zacny zamiar teraz dopiero doczekał się konkretyzacji, ale wówczas przekazany znak dobrej woli włodarza miasta przyjęty został z aplauzem. Pamiętna jest też obecność Henryka Sobolewskiego podczas zamknięcia jednego z plenerów malarskich „Czas i miejsce dla sztuki", jakie w Dworku Osieckim od 1998 roku organizuje koszalińsko-słupski oddział Związku Polskich Artystów Plastyków. W swoim wystąpieniu zawarł sugestię, co do ewentualnego zastanowienia się nad formułą kolejnych plenerów. „Wiem jednak, że doradzać artystom jest równie niebezpieczne, co zaglądać lwu w podogonie" – tą konkluzją wywołał szczere rozbawienie wśród uczestników i gości wernisażu. Ta żywa obecność w życiu artystycznym każe wspomnieć Henryka Sobolewskiego jako przyjaciela KULTURY I SZTUKI, choć sam artystą nie był. Swoimi bon motami jednak zjednywał środowisko zarówno twórców jak i dziennikarzy, którzy chętnie cytowali wypowiedzi Pana Prezydenta, znajdując w nich celne puenty dla materiałów dziennikarskich poświęconych różnym dziedzinom życia społecznego – także kulturze, o czym zaświadcza niżej podpisana.

Od 1994 r. do końca życia był radnym koszalińskim. W latach Od 1995-1998 – w II kadencji samorządu – przewodniczył Komisji Planowania Przestrzennego i Gospodarki Gruntami oraz był członkiem Komisji Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 24 kwietnia 2009 r. na koszalińskim Cmentarzu Komunalnym. „Odszedł Człowiek, dla którego Koszalin był sensem życia” – w nekrologu napisali Prezydent Koszalina Mirosław Mikietyński i Przewodniczący Rady Miejskiej Tomasz Czuczak.

Małgorzata Kołowska
fot. Włodzimierz Piątek / AG



Aleksandra Sieńkowska (1933-2009)

Przyjechała do Koszalina w1960 r. tuż po studiach artystycznych, które ukończyła w Gdańsku. Wkrótce stała się jedną z najbardziej popularnych osób w naszym mieście, wpisując się znacząco w jego życie kulturalne. Stworzyła w znanej wówczas kawiarni „Ratuszowa” miejsce dla sztuki, aranżując tam kameralne pokazy prac współczesnych artystów z całej Polski Prowadziła tę galerie przez prawie 12 lat, w czasie których przedstawiła koszalińskiej publiczności ponad 100 artystów.

Działalność tę zakończyła, kiedy została szefową Biura Wystaw Artystycznych. Pomimo krótkiej swej kadencji nadała nowy, profesjonalny ton wystawom w Salonie, który od tego czasu stał się głównym miejscem dla sztuki współczesnej w Koszalinie. Z tego okresu pamiętam świetne wystawy prac znakomitej Urszuli Plewki-Schmidt, Antoniego Zydronia, Marii Antoszkiewicz (Anto).

Ale Ola miała również swój prywatny, towarzyski „Salon”. Ponieważ uwielbiała atmosferę wydarzenia artystycznego połączonego z atmosferą domową, często zapraszała gości wernisażowych do swego uroczego, ale niewielkiego mieszkania, w którym toczyło się przecież i życie rodzinne (mąż, dwie córeczki, czasem jakieś zwierzątko). Były to przesympatyczne chwile spędzone przy dużym stole malowniczo nakrytym, przy świecach, przy muzyce i ciekawych rozmowach zarówno o sztuce, jak i o życiu, zawsze z domieszką humoru, okraszone śmiechem Oli.

Wtedy była naprawdę szczęśliwa...

Była w swoim żywiole mogąc uczestniczyć w różnych plenerach, a zwłaszcza w tym kultowym – organizowanym od1963 roku w Osiekach k. Koszalina i gromadzącym elitę artystyczna lat 60. i 70. Należała do tej grupki artystów koszalińskich, którzy towarzyszyli narodzinom tej wspanialej imprezy. Była również współorganizatorką pleneru OSIEKI ‘79.

Brała udział we wszystkich znaczących prezentacjach koszalińskiego okręgu ZPAP, w latach 1973-2009 miała kilkanaście wystaw indywidualnych, w tym jubileuszową wystawę z okazji 40-lecia pracy twórczej (w 2000 r.) w Muzeum w Koszalinie. Była to wystawa skromna (wiele prac Oli rozeszło się po świecie), ale obrazująca Jej drogę twórczą i Jej różnorodne zainteresowania, od papierowych collages i malarstwa do tak charakterystycznej dla Niej tkaniny, wykonywanej różnymi technikami mieszanymi, gdzie collages spotyka się z haftem, plisowaniem, patchworkiem, aplikacją...

Aleksandra wypracowała ten oryginalny warsztat twórczy konsekwentnie rozwijając swo-

je kompozycje wykonywane na bazie papieru; od wczesnych „Szopek” (z lat 60.) po bardziej wyrafinowane i skomplikowane prace z lat 70., w których pojawiają się również tkaniny.

To tkaniny właśnie stały się w końcu Jej wizytówką na różnych wystawach ogólnopolskich współczesnej tkaniny artystycznej, jak np. prestiżowe wystawy tkaniny unikatowej w Łodzi (w latach 1979, 1985, 1988).

To właśnie w tych pracach wyraża się najpełniej charakter Oli, ponieważ łączą się tu dwa światy: świat przepysznej i różnorodnej materii oraz świat duchowy, każda bowiem z prac odnosi się do Kogoś lub do Czegoś i zawiera w sobie przesłanie pobrzmiewające jak „Memento mori.”

Materiały zbierane po różnych bazarach, sklepach, a nawet przywożone często z jakichś podróży nie były przypadkowe. „Jestem malarką, ale moją paletą (...) są wszelkie materiały tekstylne, a także przedmioty z nich wytworzone: hafty, firanki, stare obicia a także części odzieży. Przepych materiałów, ich szorstkość lub jedwabista gładkość, matowość welurów, miękkość aksamitów, stwarzają nieskończone możliwości twórcze, poza tym mówią o czasie, w którym powstały i o modzie, która minęła... Toteż poszukuję ich wszędzie, gdziekolwiek jestem, ratując od unicestwienia”.

(słowa Autorki zawarte we wstępie katalogu TKANINY – wyd. w 2000 r.)

Często bywały to pamiątki rodzinne, czasem pamiątki od przyjaciół lub związane z jakąś szczególną postacią (jak np. Danuta Walas-Kobylińska).

Sukienka ciążowa Marysi M., bluzka Dzidzi K., marynarka Andrzeja C., obrus kuchenny rodziców, sukienka starej nauczycielki muzyki, no i wspaniały fartuch malarski Tadeusza Brzozowskiego. To wszystko nadal żyje w tkaninach Oli, jak relikwie!

Ale przede wszystkim prace te zachwycają nas swoją bujną – ale jakże wysmakowaną kolorystyką, finezyjną formą złożoną z klarownie przemyślanych fragmentów różnorodnych materii. Ich skonstruowanie wymagało wielu godzin namysłu wielu godzin żmudnej pracy, cierpliwości i precyzji. Ale tak właśnie wypracowała sobie własny, oryginalny styl, technikę własną...

Aleksandra Sieńkowska zajmowała się nie tylko swoją twórczością.

Zajmowała się również przez wiele lat pracą pedagogiczna, ucząc dzieci i młodzież w ówczesnym Wojewódzkim Domu Kultury, w Ognisku Plastycznym i w Liceum Plastycznym. Pracowała też z twórcami-amatorami, prowadząc różne kursy i plenery, będąc nie tyle ich nauczycielką, co raczej życzliwym doradcą i przyjacielem.

Była nie tylko Artystą z wykształcenia, ale i „z urodzenia”. Pewna prostota i naiwność Jej sztuki, swoboda w posługiwaniu się środkami wyrazu, to akt instynktowny, szczery, spontaniczny. Miała wrodzony dar zachwycania się wszystkim, co oryginalne, interesujące. świeże, szczere i... piękne. To określenie, które dla wielu dzisiejszych twórców stało się nieistotne dla oceny dzieła, to jednak dla Aleksandry miało wielką wagę.

Piękno proporcji, harmonia barw, świat stylizowanych form, dekoracyjność – to cechy, których szukała również wokół siebie, w przedmiotach, którymi się otaczała.

Zachwycała się starą ikoną, XVIII- wiecznym zegarem czy secesyjną cukiernicą, ale również, jak rzadko kto, potrafiła docenić wspaniałość starych, zapomnianych, skromnych ale jakże malowniczych puszek do kawy czy herbaty! Można powiedzieć, że potrafiła zobaczyć przejaw piękna nawet w najmniejszym i bardzo pospolitym przedmiocie.

Ola, która sama była piękną kobietą, potrafiła jednak pogodzić się z tym, że czas i choroba, z którą walczyła przez wiele lat, zrobiły swoje. Z pokorą i pogodą ducha znosiła kolejne dawki lekarstw i serie zabiegów. Pracowała nad kolejnymi projektami, prowadziła dom dla męża i córek. (Agnieszki i Ani), które – podobnie jak mama – ukończyły studia artystyczne. Była wspaniałą babcią dla swoich czworga wnucząt.

Do ostatnich niemal chwil uczestniczyła w życiu artystycznym Koszalina.

W 1993 roku otrzymała Złotą Odznakę ZPAP, a w 2000 r. medal „Za zasługi dla miasta Koszalina".

W kolekcji Działu Sztuki Współczesnej Muzeum w Koszalinie znajduje się kolekcja prac Aleksandry Sieńkowskiej, które stanowić mogą małą monografię Jej twórczości od wczesnych prac z lat 60. po dzieła z lat 80. Mam nadzieję, że zostanie ona jeszcze wzbogacona o kolejne prace i że przynajmniej kilka z nich ujrzy światło dzienne choćby w postaci pocztówek, które z pewnością byłyby atrakcją dla zwiedzających.

Aleksandra Sieńkowska zmarła w Koszalinie 28 kwietnia 2009 r.

W roku 2010 obchodziłaby jubileusz 50-lecia pracy twórczej.

Walentyna Orłowska
fot. Ilona Łukjaniuk



Józef Narkowicz (1936-2009)

Na stronie tytułowej swej ostatniej książki „W poszukiwaniu korzeni" napisał dedykację: „Wytrawnemu prozaikowi Jerzemu Żelaznemu z serdecznością – Józef Narkowicz". Darujmy sobie grzecznościowe „wytrawnemu prozaikowi", istotniejsze jest słowo „z serdecznością". Bo ono wyraża relacje między nami – były one właśnie serdeczne, wzajemnie serdeczne. Owszem, zdarzały się chwile, kiedy ta serdeczność nieco przygasła wskutek różnicy zdań na niektóre kwestie, jak to czasem bywa, gdy się podejmuje wspólne działania, ale szybko wracały do stanu poprzedniego. Był koleżeński, lubił relacje przyjacielskie, wyświadczał swoim znajomym i przyjaciołom bezinteresownie przysługi, pomagał innym. Takim Go zapamiętałem. Mnie również wspomagał w kłopotach, na które się natknąłem.

Wiedziałem od Jego znajomych, że choruje. Potem od Niego samego, gdyśmy spotkali się ostatni raz. A było to w maju ubiegłego roku podczas oceny prac nadesłanych na ogólnopolski konkurs literacki, organizowany przez koszaliński oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jak co roku pieczołowicie analizował nadesłane utwory, by nagrodzić te najlepsze. Później kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Zapraszałem go na swój benefis, który miał się odbyć w grudniu. Obiecał przyjechać i podzielić się swymi refleksjami na temat mojej twórczości. O ile zdrowie mi na to pozwoli, zastrzegł. Ostatni raz zadzwoniłem do Niego na początku grudnia ubiegłego roku. Nawet wówczas nie przypuszczałem, że wkrótce odejdzie. Bezpowrotnie odejdzie. Nie mogę nie zacytować w tym miejscu początkowych wersów znanego wiersza ks. Jana Twardowskiego:

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko
odchodzą
Zostaną po nich buty i telefon głuchy

To prawda, nie usłyszę już w telefonie głosu Ziutka. (Tak Go nazywali ci, którzy byli z Nim zaprzyjaźnieni). Nie spotkam Go na koszalińskiej ulicy, nie odwiedzi mnie, nie uściśniemy sobie rąk, nie wypijemy wspólnie kawy albo po kieliszku, nie opowiem Mu nad czym pracuję, a zawsze był tego ciekaw.

Mówi się o tym, co odszedł – pozostała po Nim pustka. Czy rzeczywiście pustka? Wypełniają ją pozostawione przez Niego książki, reportaże, opowiadania, artykuły, recenzje, wywiady, sztuki teatralne... I podjęte oraz urzeczywistniane inicjatywy, które wzbogaciły dorobek kulturalny regionu. Zwłaszcza w dziedzinie literatury. Z Jego inicjatywy i pod Jego pieczą w czasie, gdy pełnił funkcję prezesa koszalińskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, regularnie odbywały się regionalne konkursy literackie, które niejednemu twórcy ułatwiły zaistnienie w świecie literackim nie tylko w naszym regionie, ale również w innych, w kraju. Należę do tych, którzy skorzystali z inicjatyw Józefa Narkowicza. Potem, po roku 1989, gdy nam, pisarzom z prowincji, coraz trudniej było wydać książkę w wydawnictwie ogólnopolskim, podjął zamysł wydawania tomików wierzy i prozy siłami własnymi. Była to cenna inicjatywa, dzięki niej do czytelników dotarło wiele wartościowych książek. Był też inicjatorem wielu innych imprez literackich, których celem było upowszechnianie dorobku twórców mieszkających w regionie.

Mówił o sobie, że jest przede wszystkim dziennikarzem. Był wszechstronny, uprawiał wszystkie formy tego trudnego rzemiosła. Jedną z głównych dziedzin dziennikarskich zainteresowań było morze, jego gospodarcze znaczenie dla regionu, dla Polski. Pisał wiele o pracy ludzi morza, osnute na tym tle powstały najcenniejsze reportaże, które zyskały rangę literatury pięknej. To dzięki nim stał się pisarzem.

Przez całe swe aktywne życie, poza krótkim okresem pracy na Wybrzeżu, był związany z Koszalinem. Tu pracował w koszalińskich dziennikach, w koszalińskiej rozgłośni radiowej, redagował jeden z ciekawszych miesięczników, jakim było „Pobrzeże". I zajmował się pracą organizatorską w dziedzinie pomnażania dorobku kulturalnego regionu. Do Koszalina wędrował mozolnie z litewskiej wsi w powiecie oszmiańskim, niedaleko Wilna. Po zajęciu Wileńszczyzny przez Związek Radziecki Jego rodzinie groziło zesłanie na Syberię lub w inne nieprzyjazne rejony ZSRR. Przed wywózką obronił Narkowiczów najstarszy brat Józefa, który został przymusowo wcielony do Armii Czerwonej. Zdecydowali się na repatriację do Polski, osiedlili się na wsi w Olsztyńskiem, w powiecie bartoszyckim. Tam Józef uczęszczał do szkoły podstawowej, natomiast do średniej w Bartoszycach. Potem był Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie studiował polonistykę. Po jej ukończeniu trochę przypadkowo znalazł się w Koszalinie, został dziennikarzem. Pozostał tu do końca dni swoich, Ziemia Koszalińska przyjęła Jego doczesne prochy.

W tydzień po tym, jak pożegnaliśmy Józefa Narkowicza, ukazała się moja książka pt. „Za wcześnie do nieba". Ten tytuł, który wymyśliłem latem ubiegłego roku, jakże współgrał z tym, co się wydarzyło zimą. Tak, Ziutek odszedł za wcześnie. Był pełen sił twórczych; gdyby nie powaliła go okrutna choroba, mógłby jeszcze wiele napisać, wiele zdziałać, służyć swoją radą i doświadczeniem innym. Niestety, los bywa nieprzyjazny, obszedł się z Nim okrutnie.

W tej ostatniej mojej publikacji Józef Narkowicz jest obecny – cytuję w niej, obok innych autorów, Jego recenzje, artykuły informacyjne o moich książkach. A napisał ich sporo, nie pominął żadnej mojej publikacji, pisał o nich wnikliwie i sumiennie, za co byłem Mu wdzięczny. Nawet za cierpkie słowa, chociaż publicznie unikał ostrych uwag krytycznych, wolał swe wątpliwości wyrazić w bezpośredniej rozmowie. W tym przejawiał się jego takt, dbałość o to, żeby nikogo nie urazić.

Na zakończenie niniejszego wspomnienia chcę wrócić do wcześniej cytowanego wiersza Jana Twardowskiego:

... potem cisza normalna więc całkiem
nieznośna jak czystość urodzona najprościej
z rozpaczy kiedy myślimy o kimś zostając bez
niego.

Jerzy Żelazny
fot. Katarzyna Dąbrowska

Kalendarium
wybranych wydarzeń kulturalnych w Koszalinie w 2009 roku

MUZYKA

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

8-9 stycznia Noworoczna gala straussowska; Tomasz Tokarczyk – dyrygent, Katarzyna Oleś-Blacha – sopran koloraturowy
15-16 stycznia Franz Lehár, „Kraina uśmiechu" – operetka w 3 aktach; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela Silva – sopran, Janusz Ratajczak – tenor, Monika Rajewska – sopran, Marcin Naruszewicz – tenor
29-30 stycznia koncert karnawałowy; Sławomir Chrzanowski – dyrygent, Alicja Majewska – śpiew, Włodzimierz Korcz – fortepian
6 lutego koncert karnawałowy; Bohdan Jarmołowicz – dyrygent, Maria Nowak – skrzypce, Filip Wojciechowski – fortepian, Wiesław Prządka – bandoneon, akordeon, Amy Bennett i Robert Rowiński ze Studia Tańca „Pasja"
13 lutego koncert karnawałowy; Zbigniew Górny – dyrygent, Olga Bończyk i Bogusław Mec – śpiew
27 lutego koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Maksym Dondalski – skrzypce
6 marca koncert symfoniczny; David Handel – dyrygent, Jerzy Kotyczka i Arkadiusz Krupa – obój
13 marca Pamięci Mieczysława Karłowicza w setną rocznicę śmierci; Ruben Silva – dyrygent, Janusz Wawrowski – skrzypce
20 marca Magia włoskiej opery; Andrea Rossi – dyrygent, Francesca Pedaci – sopran
3 kwietnia Romantyzm w muzyce; Adam Klocek – dyrygent, Natan Dondalski – skrzypce
5 kwietnia Jan Sebastian Bach, „Pasja wg św. Jana"; Hermann Kreutz – dyrygent, Barbara Christina Steude – sopran, Ursula Thurmaier – alt, Christian Ebersberger – tenor, Gerrit Miehlke i Clemens Heidrich – bas, Chór Kameralny z Münster
17 kwietnia Goście z Azerbejdżanu; Ayyub Guliyev – dyrygent, Ramiz Guliyev – tar
24 kwietnia koncert symfoniczny; Mirosław Jacek Błaszczyk – dyrygent, Agnieszka Tobik – skrzypce, Grigori Zhislin – altówka
8 maja koncert z okazji 190. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki; Mieczysław Nowakowski – dyrygent, Adam Vogelsinger – skrzypce, Grażyna Janus – harfa
22 maja koncert symfoniczny; Ruben Silva – dyrygent, Marcin Zdunik – wiolonczela
29 maja koncert uczniów ZPSM w Koszalinie; Bogdan Olędzki – dyrygent
5 czerwca zakończenie sezonu 2008/2009; Ruben Silva – dyrygent, Jakub Jakowicz – skrzypce
3 lipca Georges Bizet, „Carmen" – opera w 4 aktach; Ruben Silva – dyrygent, Małgorzata Ratajczak – mezzosopran, Janusz Ratajczak i Marcin Naruszewicz – tenor, Marta Wyłomańska i Aleksandra Pliszka – sopran, Leszek Skrla, Wojciech Dyngosz i Dominik Sierzputowski – baryton, Dorota Sobczak – alt, Bartłomiej Tomaka – bas, Chór Opery Nova w Bydgoszczy
11 lipca Lato z Filharmonią: „Miłość i namiętność"; Marzena Diakun – dyrygent, Aleksandra Pliszka – sopran
18 lipca Lato z Filharmonią: „Wiedeń moich marzeń"; Ruben Silva – dyrygent, Małgorzata Ratajczak – sopran, Janusz Ratajczak – tenor
22 lipca Lato z Filharmonią: „Chóry polonijne"; Przemysław Pałka – dyrygent
25 lipca Lato z Filharmonią: „Lekko, zwiewnie"; Przemysław Fiugajski – dyrygent, Marcin Naruszewicz – tenor
1 sierpnia Lato z Filharmonią: „Kochaj, śpiewaj, tańcz"; Winfred Wojtan – dyrygent
2 października inauguracja sezonu artystycznego 2009-2010 – koncert z okazji 200. rocznicy śmierci Josepha Haydna; Ruben Silva – dyrygent, Barbara Karaśkiewicz – fortepian, Igor Cecocho – trąbka
9 października Skandynawski wieczór; Jerzy Kosek – dyrygent, Adam Wodnicki – fortepian
30 października Rodzinne muzykowanie; Jerzy Salwarowski – dyrygent, Hubert Salwarowski – fortepian
3 listopada Koszalinianie swojemu prezydentowi; Maciej Niesiołowski – dyrygent, Anita Maszczyk – sopran
13 listopada Festiwal Muzyki Polskiej w 100. rocznicę śmierci Zygmunta Noskowskiego; Monika Wolińska – dyrygent, Tomasz Kamieniak – fortepian
20 listopada Festiwal Muzyki Polskiej; Piotr Sułkowski – dyrygent, Andrzej Gębski – skrzypce
27 listopada Festiwal Muzyki Polskiej; Janusz Powolny – dyrygent, Agata Kielar – flet, Łukasz Długosz – flet
4 grudnia koncert symfoniczny; Czesław Grabowski – dyrygent, Beata Bilińska – fortepian
11 grudnia Gala operowa; Andrzej Knap – dyrygent, Elżbieta Kaczmarzyk – mezzosopran

43. Międzynarodowy Festiwal Organowy

27 czerwca inauguracja; Desmond Hunter (Anglia) – organy, zespoły muzyki dawnej „Subtilior Ensemble"

i „Concerto Polacco"

3 lipca Andrzej Mielewczyk (Niemcy) – organy, Hans Peter Günther (Niemcy) – dyrygent, Maria Sokol – sopran, Ina Altripp – alt, Hyoung-Jun Shin – tenor, Benjamin Saupe – bas, Frank Dittmer – organy, chór katedralny z Greifswaldu

10 lipca Andreas Boltz (Niemcy) – organy, Hermann Kreutz (Niemcy) – dyrygent, Magdalena Witczak – sopran, Maria Wleklińska – mezzosopran, Krzysztof Gasz – tenor, Łukasz Goliński – bas, Kammerchor Münster, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

17 lipca Roman Perucki – organy, Ruben Silva – dyrygent, kwartet dęty blaszany Filharmonii Gdańskiej, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

24 lipca Waldemar Gawiejnowicz – organy, Natan Dondalski – skrzypce, dyrygent, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

31 lipca Hartwig Barte-Hanssen (Niemcy) – organy, Karol Borsuk (Niemcy) – dyrygent, Marcel i Nikodem Legun – śpiew, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej

7 sierpnia Stanislav Šurin (Słowacja) – organy, Andrej Rapant (Słowacja) – dyrygent, Chór „Tirnavia" z Trnavy (Słowacja)

14 sierpnia Albrecht Koch (Niemcy) – organy, Cezariusz Gadzina – dyrygent, The European Saxophone Ensemble

21 sierpnia zakończenie; koncert w ramach obchodów 60. urodzin Piotra Mossa; Kevin Duggan (Dania) – organy, Eugeniusz Kus – dyrygent, Marie Kobayashi – mezzosopran, Chór „Camerata Nova", zespół 8 wiolonczelistów z Filharmonii Koszalińskiej i Szczecińskiej

Polonijne Lato

6-20 lipca Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych
15-25 lipca Polonijne Warsztaty Edukacyjno-Artystyczne dla Dzieci i Młodzieży
15-25 lipca 13. Światowy Festiwal Chórów Polonijnych

Inne

23 stycznia „Inna Bajka", recital Michała Bajora. BTD

8 lutego „Maria Awaria", recital Marii Peszek. Kino „Kryterium"

22 lutego Big Star Jazz: koncert formacji Zbigniew Jakubek Quartet. Kino „Kryterium"

3 marca koncert piosenek patriotycznych, żołnierskich i regionalnych. Domek Kata

11 marca „Pasjans dla dwóch", koncert Andrzeja Sikorowskiego i Grzegorza Turnaua. BTD

16 marca koncert Żanny Biczewskiej. Kino „Kryterium"

26 marca koncert zespołu Ksylofon Kwartet. KBP

29 marca Big Star Jazz: koncert polsko-duńskiego kwintetu jazzowego „Kattorna". Kino „Kryterium"

5 kwietnia recital Edyty Geppert. Kino „Kryterium"

17 kwietnia koncert wrocławskiego tria jazzowego „Ziemia planeta ludzi". Centrala Artystyczna

19 kwietnia Przegląd Muzycznych Zespołów Estradowych i Solistów. Domek Kata

24 kwietnia „Dom za miastem", recital Janusza Radka. BTD

20 maja koncert Andrzeja Rybińskiego. Kino „Kryterium"

23 maja recital Szymona Zychowicza. Centrala Artystyczna

26 maja „Koncert dla Mamy". BTD

28 maja Salon Muzyczny Radia Koszalin: koncert Zespołu Kameralnego „Baltic Kwartet" (T. Diakun, S. Kolińska, T. Pozorski, R. Wiszniowski)

30-31 maja 20. Festiwal Pieśni Religijnej im. Jana Pawła II „Cantate Domino". Kino „Kryterium"

4 czerwca „Wieczór rosyjski – Okudżawa, Wysocki i inni", recital Pawła Orkisza. Teatr Propozycji „Dialog".

6-7 czerwca 34. Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych. BTD

3-4 lipca „Rosyjskie romanse", recital Niny Mieszczanin. BTD

17 lipca koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze". Amfiteatr

28-29 sierpnia 29. Festiwal Rockowy „Generacja 2009"

12 września recital Ewy Lewandowskiej podczas VI EFF „Integracja Ty i Ja". KBP

17 września koncert Cezariusza Gadziny. Radio Koszalin

24-27 września 9. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej. CK 105

7 października „Brecht, Cave, Nohavica i reszta świata", recital Elżbiety Okupskiej, Teatr Propozycji „Dialog".

9 października „Złote ballady o miłości"., recital Pawła Orkisza, Teatr Propozycji „Dialog".

16 października „Polandia", koncert Roberta Haasa. Radio Koszalin

20 października koncert Chóru Aleksandrowa. Amfiteatr

21-24 października 5. Hanza Jazz Festiwal. CK 105

4 listopada „Zaduszki poetyckie" z udziałem Studia Poezji i Piosenki im. Haliny i Krzysztofa Ziembińskich. KBP

8 listopada koncert tenora Francesco Malapeny. Kino „Kryterium"

12 listopada Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Tomasza Kamieniaka w ramach Festiwa-

lu Muzyki Polskiej

19 listopada Salon Muzyczny Radia Koszalin: koncert kameralny; Andrzej Gębski – skrzypce, So-Yeon Lim – fortepian w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej

20 listopada koncert artystów Piwnicy pod Baranami. Teatr Variete Muza

21-22 listopada 15. Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej im. Mariana Hemara. Domek Kata

21-22 listopada 6. Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej „Reflektor 2009". Pałac Młodzieży/BTD

25 listopada koncert Kasi Kowalskiej. Kino „Kryterium"

26 listopada Salon Muzyczny Radia Koszalin: koncert kameralny Poznańskiego Tria Fortepianowego (A. Ziółkowska, D. Musielak, L. Sobolewska) w ramach Festiwalu Muzyki Polskiej

27 listopada „Jesienne refleksje" – wieczór poetycko-muzyczny z okazji 20-lecia Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych „Ikar". KBP

4-6 grudnia Muza Jazz Festival. Teatr Variete Muza

13 grudnia Gryfy i Riffy: Anna Maria Staśkiewicz i Roch Modrzejewski. Kino „Kryterium"

17 grudnia recital Natalii Sikory. „Kredens"

18 grudnia koncert zespołów: Motion Trio i Akord. Kino „Kryterium"

31 grudnia Galowy Koncert Sylwestrowy. BTD

TEATR

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego

10 stycznia J. Papis „Eksportowcy"; reż. Agnieszka Błońska PREMIERA

13-14 stycznia C. Collodi „Pinokio" – gościnnie Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego

26-27 stycznia „Zatruta studnia" – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza

31 stycznia J.-P. Thérond „Dialogi penisa"; reż. Krzysztof Galos

4-6 lutego Ch. Dickens „Opowieść wigilijna"; gościnnie Teatr im. Aleksandra Sewruka z Elbląga

10-11 lutego V. Čtvrtek „Przygody Rozbójnika Rumcajsa"; reż. Kazimierz Mazur

12 lutego A. Long, D. Singer i J. Winfield „Dzieła wszystkie Szekspira"; reż. Piotr Krótki

13-15 lutego A. Pałyga „Wodzirej. Koszalin Kulturkampf"; reż. Piotr Ratajczak

19-20 lutego M. Wojtyszko „Pożarcie królewny Bluetki"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

20-21 lutego „Innamorato Mafiozo, czyli miłość po sycylijsku"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

7-8 marca „Cafe Sax"; reż. Cezary Domagała

14 marca R. Ulicki „Kambek"; reż. Gabriel Gietzky. Monodram K.Ulickiej-Pydy PREMIERA

28 marca W. Shakespeare „Jak wam się podoba"; reż. Jacek Papis PREMIERA

16 kwietnia „Eksportowcy" – benefis Ewy Nawrockiej z okazji 55-lecia pracy twórczej

16-17 kwietnia K. Szymczyk-Majchrzak, „Od czasu do czasu"; reż. Zdzisław Derebecki

19 kwietnia „Być jak Callas"; gościnnie Teatr Muzyczny z Łodzi

25 kwietnia E. Jodłowska „Klimakterium... i już"; gościnnie Teatr Rampa z Warszawy

26 kwietnia R. Ulicki „Kambek"; PREMIERA PRASOWA

27 kwietnia gala baletowa z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca; reż. Walery Niekrasow

9-10 maja P. King „O co biega?"; gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska

20 maja F. Hrubin „Piękna i Bestia"; reż. Czesław Sieńko

21-22 maja G. Urban „Niebieski piesek"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

22-23 maja A. de Angelis „Stworzenia sceniczne"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

27-28 maja H. Ch. Andersen „Czarodziejskie krzesiwo"; gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza

1 czerwca K. Makuszyński „Awantura o Basię"; gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska

3-5 czerwca W. Shakespeare „Wesołe kumoszki z Windsoru"; gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna

13 czerwca E. Vilar „Zazdrość"; reż. Zdzisław Derewecki. PREMIERA

15 września W. Allen „Bóg"; gościnnie Teatr Polonia z Warszawy

26 września „Jesteśmy na wczasach, czyli polska miłość"; reż. Cezary Domagała PREMIERA

17 października S. I. Witkiewicz „Szewcy"; reż. Piotr Ratajczak PREMIERA

18 października P. Valentine „Przyjazne dusze"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

19-20 października „Koci, koci łapci"; gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry

22-23 października „Królewna Śnieżka"; gościnnie Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego z Płocka

27-28 października F.H. Burnett „Tajemniczy ogród"; gościnnie Teatr im. Stefana Jaracza z Olsztyna

10 listopada A. Fredro „Zemsta"; gościnnie Teatr

Współczesny ze Szczecina

17 listopada A. Cwojdziński „Hipnoza"; gościnnie Teatr Bajka z Warszawy

19 listopada S. Parulskis „Cavewoman – kobieta jaskiniowa"; gościnnie Teatr Bajka z Warszawy

29 listopada M. Cooney „Z rączki do rączki"; gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska

4 grudnia Spotkanie ze Słowackim w „Słowackim". Wieczór poświęcony Juliuszowi Słowackiemu poprowadził Maciej Nowak, dyrektor Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie.

5 grudnia „Królewski list"; reż. Zb. Kulwicki. PREMIERA

19 grudnia C. Harasimowicz „Nigdy nie zakocham się"; gościnnie Teatr Capitol z Warszawy

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog" im. Henryki Rodkiewicz

22 stycznia A. Schnitzler, „Traumnovelle"; monodram w wyk. Alberta Osika, gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska

19 lutego S. Kane, „Psychosis"; monodram w wyk. Wioletty Komar, gościnnie Teatr Rondo ze Słupska

19 marca F. Villon „Wielki testament"; reż. Maria Ulicka, spektakl TP „Dialog"

23 kwietnia H. Kajzar, „Gwiazda"; monodram w wyk. Henryka Dąbrowskiego, gościnnie Teatr „Stajnia Pegaza – Scena Off de Bicz" w Sopocie

28 maja J. Tuwim, „Bal w operze"; reż. Maria Ulicka, spektakl TP „Dialog"

25 czerwca T. Kasprowicz, „Polowanie na człowieka"; monodram w wyk. i reż. Arkadiusza Jaskulskiego, gościnnie Teatr „TeArt" z Białogardu

24 września C.K. Norwid, „Stary"; reż. i wyk. Daniel Kalinowski, gościnnie Teatr Teatrezja ze Słupska i Teatr Stop z Koszalina

6-9 października 50-lecie Teatru Propozycji „Dialog":

6 października Słowacki"; scen. i reż. Marek Kołowski. spektakl TP „Dialog", PREMIERA

8 października W. Jerofiejew, „Moskwa – Pietuszki"; monodram w wyk. Jerzego Bokieja.

S. Mrożek „Moniza Clavier"; monodram w wyk. i reż. Edwarda Żentary

19 listopada J. Saramago „Białe na białym", monodram w wyk. Wioletty Komar, gościnnie Teatr „Rondo" ze Słupska

26 listopada R. Ulicki „Zdrówko pana dyrektora"; reż. Maria Ulicka. Spektakl TP „Dialog". PREMIERA

10 grudnia C.K. Norwid, „Rzecz o wolności słowa"; reż. Maria Ulicka, spektakl TP „Dialog"

Literatura

27 stycznia promocja książki Liliany Abraham Zubińskiej „Cisza wie". Domek Kata

29 stycznia promocja III zeszytu „Źródeł do historii Koszalina" i albumu „Koszalin na starych pocztówkach". KBP

7 lutego promocja tomiku wierszy Stanisławy Schreuder „W kropli czasu". Domek Kata

11 lutego promocja książki Rafała Podrazy „Magdalena, córka Kossaka: wspomnienie o Magdalenie Samozwaniec". KBP

12 lutego promocja książki Halszki Olsińskiej „Wiersze zebrane i trochę nowych". Domek Kata

16 lutego wieczór poezji Haliny Poświatowskiej. KBP, Filia nr 4

19 lutego promocja książki Arkadiusza Słabiga „Aparat bezpieczeństwa wobec mniejszości narodowych na Pomorzu Zachodnim w latach 1945-1989". KBP

6 marca spotkanie z Teresą Tomsią, poetką, eseistką i animatorką kultury. Klub Garnizonowy

7 marca promocja książki Teresy Tomsi „Skażona biel". BWSH

12 marca promocja książki Piotra Potomskiego „Generał broni Stanisław Władysław Maczek (1892-1994)". KBP

18 marca promocja tomiku wierszy Stanisławy Schreuder „W kropli czasu". KBP

19 marca „Obudź się do życia" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy

2-3 kwietnia spotkanie z Agnieszką Frączek, autorką wierszy dla dzieci. KBP Filia nr 4, 6

16 kwietnia „Kwiecień – plecień..." – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy

29 kwietnia promocja książki Ihora Iljuszyna „UPA i AK. Konflikt w zachodniej Ukrainie (1939-1945)". KBP

13 maja spotkanie z Magdaleną Wierzbowiecką, autorką książki „Puszysta owca". KBP, Filia nr 9

15 maja finał konkursu poetyckiego „Koszalińska Niezapominajka". KBP

19 maja spotkanie z poetkami Reginą Adamowicz i Krystyną Pilecką. Księgarnia „Świat Książki"

26 maja spotkanie autorskie ze Stanisławem Srokowskim, autorem książek „Lęk" i „Ukraiński kochanek". KBP, Filia nr 8

29 maja finał Wojewódzkiego Konkursu „Literacki Start". KBP

3 czerwca finał 41. Regionalnego Konkursu Recytatorskiego „Ptaki, ptaszki i ptaszęta polne". KBP

13 czerwca promocja książek ks. Henryka Romanika „Rok Świętego Pawła. Podróże", „Przygotowania do beatyfikacji Jana Pawła II" i „Siostra. Wiersze o Edycie Stein". KBP

15 czerwca finał 13. Miejskiego Konkursu Dziecięcej Twórczości Poezji i Prozy. Pałac Młodzieży
18 czerwca „Z wierszem w plenerze" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
25 czerwca promocja publikacji „Kultura koszalińska. Almanach 2008". KBP
18 sierpnia promocja książki „Pionierzy ziemi koszalińskiej i ich wspomnienia". KBP
17 września „No i po wakacjach..." – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
23 września promocja książki „Gorzki smak mleka, czyli nigdy więcej: wspomnienia z Syberii 1941-1946" Danuty Sienkowskiej-Haffke. Domek Kata
7 października finał 8. Powiatowego Konkursu „Wybieramy Mistrza Pięknego Czytania". KBP
15 października spotkanie z Zuzanną Celmer, autorką książek dla młodzieży i dorosłych. KBP Filia nr 8
21-22 października spotkania autorskie z Arkadiuszem Niemirskim, autorem książek dla młodzieży i dorosłych. KBP Filia nr 9, 11
22 października promocja książki Jacka Pawłowicza „Rotmistrz Witold Pilecki 1901-1948". KBP
23 października finał 14. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Buczaka „Istota Człowieka" Klub Garnizonowy
19 listopada „Listopadem malowane" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
20 listopada spotkanie z Andrzejem Klawitterem, autorem książek dla młodzieży i dorosłych. KBP Filia nr 8
1 grudnia promocja książki „Pomniki Koszalina" Leszka Laskowskiego. KBP
5 grudnia Turniej Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida. Domek Kata
9 grudnia promocja książki Ryszarda Ulickiego „Płeć pisarstwa i inne opowiadania". Aula BWSH
13 grudnia „Wieczór metafizyczny" – promocja tomiku wierszy Jana Wyrwasa „Na pustyni miast". Domek Kata
14 grudnia spotkanie autorskie z Hanną Szymanderską. Księgarnia „Świat Książki"
18 grudnia spotkanie z okazji 25. rocznicy śmierci Gracjana Bojara-Fijałkowskiego, autora m.in. legend o ziemi koszalińskiej. KBP

SZTUKA

Muzeum w Koszalinie

6 lutego-9 marca wystawa prac nagrodzonych w 4. konkursie „BZWBK Press Foto 2008"
11 marca-24 maja „Łowicka sztuka ludowa" – ze zbiorów Muzeum w Łowiczu
29 kwietnia-20 czerwca „Leon Wyczółkowski (1852-1936) – malarstwo, rysunek, grafika"
6 maja-20 czerwca „Moja przygoda w muzeum" – wystawa pokonkursowa
24 czerwca-13 września „Stasys i Polityka", rysunki Stasysa Eidrigevičiusa
3 lipca-20 sierpnia „Mur Chiński" wystawa prac Doroty Waligóry"
11-30 września „Pasje kolekcjonerskie..." – wystawa z okazji 55-lecia Oddziału Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Koszalinie
24 września-23 listopada 9. Muzealne Spotkania z Fotografią – wystawa pokonkursowa
5 października-6 listopada wystawa projektów zgłoszonych na konkurs na najlepsze zagospodarowanie Rynku Staromiejskiego
26 października-15 listopada „Architekci krakowscy na świecie" i „50 wież dla Krakowa"
26 listopada-31 grudnia „Wojna po wojnie. Antysowiecki opór zbrojny na Litwie w latach 1944-1953"
8 grudnia-2 lutego 2010 „Magiczne drzewko" – wystawa poświęcona Bożemu Narodzeniu

Bałtycka Galeria Sztuki

do 24 stycznia „Od realizmu do abstrakcji", malarstwo Renaty Semrau-Łaby.
15 stycznia-28 lutego „Dwory i chaty...", malarstwo Henryka Maciejewskiego.
5 lutego-1 marca „Fotografia dzikiej przyrody 2008".
3-31 marca rysunki Agnieszki Bacławskiej.
9 marca-30 kwietnia rzeźby, drzeworyty i monotypie Wojciecha Sęczawy.
31 marca-2 kwietnia „Stop łamaniu praw człowieka na Białorusi" wystawa fotografii.
15-21 kwietnia wystawa prac nadesłanych na konkurs w ramach edukacji plastycznej przedszkolaków.
27 kwietnia-8 maja „W objęciach Wielkiego Brata. Sowieci w Polsce 1944-1993".
4 maja-14 czerwca „Nić Ariadny", malarstwo Waldemara Jerzego Marszałka
11-24 maja I Młodzieżowe Międzynarodowe Triennale Rysunku. Hol kina „Kryterium"
25 maja-5 czerwca wystawa prac uczniów Integracyjnej Szkoły Podstawowej nr 21.
17-21 czerwca „Rafał Olbiński w Koszalinie", wystawa plakatów.
26 czerwca-30 sierpnia wystawa ZPAP okręgu koszalińskiego i słupskiego.
2 lipca-30 sierpnia „Zachodniopomorskie w fotografii".

17-30 lipca „40 lat polonijnej działalności w Koszalinie".
10 września-4 października „Akt", fotografie Wacława Wantucha
9 października-8 listopada 9. Ogólnopolskie Biennale Rysunku i Malarstwa Uczniów Klas Młodszych Szkół Plastycznych
10 października-8 listopada fotografie Koszalińskiego Klubu Wspinaczkowego.
13 listopada-20 grudnia „Byt fikcyjny", Jesienny Salon Młodych Gniewnych „Fala"
24 grudnia-30 stycznia wystawa z okazji 40-lecia pracy twórczej Bożeny Giedych

Galeria „Na Piętrze"

27 lutego-15 kwietnia „Pismo i pamięć", prace Kazimierza Jałowczyka
17 kwietnia-12 maja „Transition/Przejście – rozciąganie, zaginanie, przyciąganie" malarstwo Weroniki Teplickiej
15 maja-23 czerwca „Obrazy spod altany", wystawa z okazji 40-lecia pracy twórczej Andrzeja Słowika
27 czerwca-31 lipca malarstwo Pauliny Maksjan
16 października-6 listopada Agnieszka Rożnowska „Repetycje"

Galeria „Ratusz"

19-23 stycznia „Adwokaci polscy ojczyźnie" – wystawa z okazji 90-lecia Odrodzonej Adwokatury (II p.)
27 stycznia-20 lutego malarstwo Longiny Stańczyk (I p.)
3 lutego-31 marca malarstwo Emilii Sobieraj (II p.)
24 lutego-20 marca „Uroda kwiatów" fotografie Barbary Widło (I p.)
24 marca-20 kwietnia wystawa poplenerowa Zespołu Pracy Twórczej Plastyki (I p.)
1 kwietnia-25 maja malarstwo Andrzeja Sobieraja (II p.)
28 kwietnia-22 maja malarstwo Walerii Modrzyńskiej i Ludmiły Raźniak (I p.)
22 maja-15 czerwca „Co kryją archiwa? Curiosa w zbiorach archiwów państwowych" (III p.)
23 maja-7 lipca „Promieniowanie pontyfikatu Jana Pawła II", wystawa fotografii (I p.)
26 maja-7 lipca malarstwo i rysunek Dariusza Mazura (II p.)
7 lipca-3 sierpnia „Wzornictwo dla Koszalina, czyli kreowanie przestrzeni społecznej" (I p.)
8-25 lipca wystawa prac uczestników Międzynarodowych Plenerów Plastycznych „Czas i miejsce dla sztuki" Osieki 1998-2008 (II p.)
4 sierpnia-5 września „Cztery pory roku", malarstwo Wiesławy Kurowskiej (I p.)
8 września-8 października wystawa z okazji 20-lecia Zespołu Pracy Twórczej Plastyki (I p.)
3-30 października wystawa studentów Wydziału Komunikacji Wizualnej i Wzornictwa Przemysłowego Politechniki Koszalińskiej (III p.)
27 października-18 stycznia 2010 „Wróg" i „przyjaciel" w mieście Koszalin. Obserwacje i sugestie studentów Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej (I p.)
5-30 listopada wystawa poplenerowa „Osieki 2009" (II p.)
11-31 grudnia „Solidarność" koszalińska od powstania do zwycięstwa" (III p.)
16 grudnia-29 stycznia 2010 „W zimowym nastroju", wystawa prac Zofii Szreffel (II p.)

Galeria „Region"

9 stycznia-3 lutego „Notatki z podróży", malarstwo Waldemara Jarosza
5-20 lutego „Pomorze – kraina orłów", wystawa fotografii
23 lutego-2 marca wystawa „Kot w literaturze, malarstwie i fotografii"
2-15 marca „W 90-tą rocznicę Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. Grupa Leszno"
23 marca-24 kwietnia „Frączkowe malowanie" – wystawa pokonkursowa
2-30 czerwca „1989. Narodziny wolności. Wybory czerwcowe w Koszalińskiem"
8-11 września Chris Niedenthal „Listy do syna", Oiko Petersen „Downtown Collection", wystawy w ramach VI EFF „Integracja Ty i Ja":
6-24 października „Juliusz Słowacki 1809-1849"
26 października-9 listopada „Wielcy nieobecni"
18 grudnia-15 stycznia 2010 wystawa pokonkursowa 22. Konkursu Ilustrujemy Legendy Gracjana Bojara-Fijałkowskiego

Galeria >Scena<

8-23 stycznia „Wszyscy jesteśmy z Koszalina" – fotografie Kamila Jurkowskiego
10-11 marca „Oswajanie sztuki II: krajobraz dźwięków"
24 kwietnia spotkanie ze sztuką Karoliny Wiktor i Aleksandry Kubiak, artystek tworzących „Grupę Sędzia Główny". M.in. Performance „Rozdział LXXVII" i film „Performerki".
30 kwietnia-17 maja „Posen..." instalacja malarska

Zbigniewa Taszyckiego
4 maja „Może morze"– instalacja dźwiękowa Marcina Dymitra
19-31 maja „Rzeźba" Tomasza Rogalińskiego
9 czerwca „Projekt Ciało" – monodram w wyk. Michała Karczewskiego z Teatru na Bosaka i „Dobre ciało. Sny" – monodram w wyk. Igi Chełmińskiej
18-30 czerwca „Heroizm widzenia", wystawa prac Zdzisława Pacholskiego
16-27 lipca „Kolekcja do kwadratu"- Andrzej Ciesielski i Ryszard Ziarkiewicz
8-12 września „Chcę Ci powiedzieć coś ważnego..." – instalacja multimedialna Barbary Wysmyk i Igi Chełmińskiej
16 września spotkanie z Robertem Rumasem poświęcone sztuce współczesnej
20-30 października „Schyłek wszystkiego" – prace prezentują młodzi artyści: Iga Chełmińska, Sebastian Krupiński, Tomasz Rogaliński, Borys Włoczkowski, Łukasz Trusewicz, Paweł Krawczugo
25-27 listopada „Lullaby", instalacja przestrzenno-dźwiękowa Agaty Michowskiej
10-20 grudnia „Zagęszczona atmosfera" – prace prezentują: Jakub Łączny, Diana Rönnberg, Michał Tatarkiewicz, Weronika Teplicka, Agnieszka Ewa Wielgosz, Bartek Zygmunt-Siegmund

Inne

13 stycznia 7. Ogólnopolska Wystawa Malarstwa Marynistycznego. Galeria „Centrum"
3 lutego „Czysta przyroda", fotografie Tomasza Kudelskiego Pałac Młodzieży
4-27 lutego „Podaruj światu anioła", wystawa prac podopiecznych sławieńskich placówek oświatowych. Pałac Młodzieży
5-20 lutego „Kurtyna", wystawa plakatów teatralnych Jagody Karłowskiej. BTD
7 kwietnia-5 maja „Nauczyciel i jego uczniowie". Galeria „Centrum"
7-30 kwietnia „Jana Pawła II życie i pontyfikat", fotografie Arturo Mariego. CH „Forum"
9-23 kwietnia „Pejzaże zamglone", malarstwo Jana Rusoka, Centrala Artystyczna
14-30 kwietnia „Z Archiwum X Departamentu". IPN
17 kwietnia fotografie Karola Ślusarczyka. Pałac Młodzieży
24 kwietnia otwarcie Galerii „Alter"
9 maja-31 lipca „...portret świata czarno-biały i kolorowy...". Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata"
11-29 maja „Wokół Praskiej Wiosny. Interwencja w Czechosłowacji w 1968 r.". IPN
25 maja-8 czerwca „Tak się żyje w Koszalinie", pokonkursowa wystawa fotografii KBP
27 maja-9 czerwca „Fuzja – energia przyszłości". Politechnika Koszalińska
30 maja otwarcie Galerii „KOSZ à LIN"
3 czerwca poplenerowa wystawa prac uczniów Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Warninie. Centrala Artystyczna
9-30 czerwca „Więcej-szybciej-lepiej. Współzawodnictwo pracy w Polsce Ludowej". IPN
10 czerwca wystawa fotografii „100 lat polskiego filmu: 1908-2008". Rynek Staromiejski
12 czerwca 8. Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda". Pałac Młodzieży
25 czerwca-16 września wystawa „Rotmistrz Witold Pilecki. Ochotnik do Auschwitz". Rynek Staromiejski
7 lipca-31 sierpnia „Żaglowce świata", repliki Stanisława Iskry. CH „Forum"
3 sierpnia-31 grudnia „1989. Narodziny wolności". IPN
7-18 września „Przeciwko kilku myślom... co nie nowe". IPN
9 września-14 października „Toskania – żyj kolorowo", fotografie Artura Magdziarza Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata"
18 września-2 października „... z widzenia", fotografie Wojciecha Gruszczyńskiego, Centrala Artystyczna
28 września „Wrzesień '39. Ziemia koszalińska i słupska w przededniu II wojny światowej". Archiwum Państwowe
12 października-7 listopada fotografie Ola Skoczylasa prezentujące kolekcję prêt-à-porter Mateusza Tomczyka. Pałac Młodzieży
17 października prace Ryszarda Lecha. Galeria „Alter"
9-30 listopada „Cinque Terre i inne takie tam rowery" – fotografie Aleksandra Kocieniewskiego, Pałac Młodzieży
10 listopada wystawa twórczości Borysa Kisielewskiego oraz członków jego rodziny z Ukrainy. Galeria „N"
2 grudnia „Akt",. Katarzyna Gerlaczyńska-Waszkiewicz Centrala Artystyczna
7 grudnia-10 stycznia 2010 „Magia koloru" – prace wychowanków Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego. Pałac Młodzieży

FILM

17-18 stycznia 7. Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje we-

dług świętego Włodzimierza". Kino „Kryterium"
18 lutego przegląd polskiej sztuki video „Art in Cinema". Kino „Kryterium"
19-21 lutego przegląd filmów 17. Europejskiego Festiwalu Fabuły, Dokumentu i Reklamy Euroshorts 2008". Kino „Kryterium"
29 kwietnia Festiwal Polskich Filmów Krótkometrażowych Short Waves. Centrala Artystyczna
16-20 czerwca 28. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film"
8-12 września 6. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". KBP
13-19 listopada 3. Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską". Kino „Kryterium"

INNE WYDARZENIA

26-28 lutego 14. Festiwal Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Średnich. Domek Kata
25 kwietnia Prezentacje Amatorskich Zespołów Teatralnych. Domek Kata
16 maja Noc Muzeów
24 maja Święto Wody. Park Książąt Pomorskich
29 maja Jubileusz 15-lecia Muzeum Włodzimierza Wysockiego. Klub Garnizonowy
11 lipca 4. Spotkanie Czterech Kultur. Plac przed amfiteatrem
25 lipca 15. Festiwal Kabaretu „Telewizja kabaretowa". Amfiteatr
3 października-15 listopada 17. Koszalińskie Dni Kultury Chrześcijańskiej
13 listopada otwarcie Teatru Variete Muza
25 listopada „Czy w Koszalinie jest miejsce dla sztuki nowoczesnej?", debata, KBP

Opracowała: Anna Kowal

NIEGDYSIEJSZE ŚNIEGI
SUPLEMENT



Katarzyna Myćka

Wyidealizowane zrywy serca

Dni Muzyki Perkusyjnej

Koszalińskie Dni Muzyki Perkusyjnej zajmują specjalne miejsce wśród moich wspomnień, nie tylko ze względu na osobiste powiązania, lecz przede wszystkim na pozytywną energię, która pozwalała jego uczestnikom i organizatorom poczuć się jedną perkusyjną rodziną i absolutnym... pępkiem świata.

Dyrektor artystyczny festiwalu – Wojciech Bałdys jest pasjonatem perkusji, zafascynowany tym instrumentarium, gotowy poświęcić prywatny czas, zdrowie i energię dla magii tej niepowtarzalnej grupy instrumentów. Wyróżnia się jednak nieczęsto spotykaną umiejętnością – potrafi spełniać marzenia i doprowadzać pomysły do realizacji. Jego niespożytemu zaangażowaniu Koszalin zawdzięcza 19 edycji Dni Muzyki Perkusyjnej, które począwszy od roku 1985 zajęły ważne miejsce w grafiku kulturalnym miasta i okolic, choćby ze względu na to, że pan Wojtek świetnie potrafi zaszczepić swoją fascynację rzeszom młodych perkusistów, jak również miłośnikom muzyki oraz – co bardzo istotne – lokalnym mediom.

Festiwal odbywał się pod patronatem Centrum Edukacji Artystycznej w Warszawie i opiekuńczymi skrzydłami Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz z panią dyrektor Małgorzatą Wozaczyńską na czele.

Ministerstwo Kultury i Prezydent Miasta Koszalina, doceniając wartość edukacyjną i wychowawczą Dni Muzyki Perkusyjnej, również objęli patronatem festiwal. Nie do przecenienia było także zaangażowanie prywatnych pasjonatów i przyjaciół perkusji, ludzi zarażonych pozytywną energią dyrektora artystycznego. Nie sposób wyliczyć tu wszystkich zaangażowanych osób, niech za przykład posłuży sekretarz festiwalu – Anna Załucka, która od 1999 roku prowadziła całą międzynarodową korespondencję z artystami, firmami i mediami, mając swój udział w powstawaniu bardzo profesjonalnych, dwujęzycznych programów festiwalowych i – co bardzo istotne w przypadku tak wielkiego przedsięwzięcia – potrafiła w czarujący sposób łagodzić konflikty i dostosowywać często wygórowane oczekiwania artystów zagranicznych do istniejących możliwości.

Uczniowie i absolwenci klasy perkusji koszalińskiej Szkoły Muzycznej chętnie angażowali się w pomoc przy organizacji i realizacji festiwalu, traktując go jak spotkanie rodzinne. Ich nauczyciel Wojciech Bałdys często podkreślał, że w bezinteresownym działaniu wielu osób leży sukces tego wyjątkowego święta muzyki i to, że każdy, kto pojawił się na festiwalu raz, chciał koniecznie wrócić.

W czasie trwania festiwali codziennie odbywały się koncerty mistrzów, warsztaty instrumentalne oraz lekcje indywidualne prowadzone przez wybitnych artystów.

Bardzo istotne dla rangi Dni Muzyki Perkusyjnej było silne ich powiązanie z orkiestrą Filharmonii Koszalińskiej, która uczestniczyła w corocznym koncercie finałowym, realizując jakże niełatwe zadanie prawykonania utworów, w których instrumenty perkusyjne pełniły niekiedy solistyczną, a zawsze pierwszoplanową rolę. Te koncerty były najlepszym sposobem uświadamiania publiczności koncertowej, że

perkusja nie służy jedynie wzmocnieniu efektów akustycznych i urozmaiceniu barw brzmieniowych orkiestry symfonicznej. Perkusja to absolutnie pełnoprawny gość estrad koncertowych na równi z fortepianem czy skrzypcami.

W latach 1994 i 2004 koncerty symfoniczne odbyły się w Słupsku z udziałem orkiestry Bohdana Jarmołowicza, co było dowodem na to, że festiwal nie jest tylko imprezą regionalną. Również codzienne popołudniowe i wieczorne spotkania w szkolnej sali koncertowej obfitowały w muzyczne rarytasy; były to występy międzynarodowych gwiazd instrumentów perkusyjnych, wśród nich:. Davida Friedmana, Bernarda Maselego, Nebojsy Jovana Zivkovića, Neya Rosauro, Nippy Noyi, Czarka Konrada, (do znakomitych, a często goszczących w Koszalinie gwiazd festiwalu zaliczyć trzeba także wirtuozkę marimby, niżej podpisaną Katarzynę Myćkę – dop. red.). Byli to również młodzi obiecujący perkusiści, którzy mieli szansę zaprezentowania swoich osiągnięć szerokiemu forum kolegów i miłośników muzyki.

W czasie mojej przygody z festiwalem z przyjemnością obserwowałam rosnące zainteresowanie muzycznymi wydarzeniami festiwalu publiczności koszalińskiej. Sala koncertowa ZPSM często nie mogła pomieścić wszystkich zainteresowanych i, mówiąc potocznie, pękała w szwach. O gorącej i pełnej spontaniczności atmosferze tych koncertów niech świadczy taka oto wypowiedź Wojciecha Bałdysa, kierowana do rozemocjonowanej i zniecierpliwionej opóźniającym się koncertem publiczności: „Proszę Państwa, jeżeli myślicie, że jest godzina siedemnasta (a właśnie była!), to jesteście w błędzie – godzina siedemnasta będzie wtedy, kiedy będziemy mogli rozpocząć koncert!". W takich momentach wszystkim obecnym wydawało się, że jest to NASZ czas, którego bieg jest podporządkowany rytmowi naszych perkusyjnych serc.

Na tych codziennych koncertach można było usłyszeć wiele utworów „z pierwszej ręki", które, zaprezentowane i omówione przez kompozytorów (Fink, Rosauro, Zivković), po festiwalu na stałe wchodziły do repertuaru jego uczestników. Ponieważ literatura perkusyjna jest stosunkowo młoda – jej dynamiczny rozwój przypadł na drugą połowę XX wieku – każdy z nas jest bardzo zainteresowany nowinkami. Każdy też wyjeżdżał z Koszalina naładowany teoretycznymi wiadomościami, z nowymi pomysłami muzycznymi i poszerzonym repertuarem.

W 1996 roku miałam przyjemność związać się z Dniami Muzyki Perkusyjnej. Jako koordynator artystyczny festiwalu mogę powiedzieć, że staraliśmy się stworzyć warunki prezentacji możliwie wielu młodych artystów, którzy cza-



Katarzyna Myćka. fot. archiwum autorki

sem zgodnie z oczekiwaniami, a nierzadko zaskakująco, przyprawiali publiczność o przyśpieszone bicie serca. Lista gości festiwalowych jest bardzo długa, gdybym zechciała wymienić wszystkich – zajęłoby to zbyt dużo miejsca, dlatego odsyłam zainteresowanych na stronę, na której można znaleźć szczegółowe informacje – www.swing.pl/festiwal. Wydaje mi się jednak szczególnie istotne zwrócenie uwagi na debiut – nie perkusyjny, ale dyrygencki. W 2002 roku absolwentka ZPSM w Koszalinie – Marzena Diakun – poprowadziła znakomicie koncert symfoniczny festiwalu, rozpoczynając tym krokiem międzynarodową karierę dyrygencką.

Imprezie udało się nadać rangę międzynarodową. Nie tylko polska publiczność miała okazję podziwiać artystów z wielu krajów (m.in. Niemiec, Holandii, Danii, USA, Indonezji, Rosji, Kanady, Szwecji czy Chin). Również zagraniczni goście wyjeżdżali zafascynowani sztuką m.in. Bernarda Maselego, Piotra Biskupskiego czy Czarka Konrada. Wielkim osiągnięciem Wojciecha Bałdysa było również połączenie zainteresowań zupełnie różnych grup słuchaczy; poza tzw. muzyką klasyczną na najwyższym poziomie, miłośnicy jazzu mieli niepowtarzalną okazję usłyszenia takich sław jak Trio Nahornego, Globetrotters, Silesian Jazz Trio, The Simple Acoustic Trio.

Można było nie tylko posłuchać ich gry, ale także porozmawiać z Nippy Noyą czy Jose Torresem, by przekonać się, że to nie tylko wspaniali muzycy, ale także niezwykle sympatyczni i otwarci ludzie. Gwiazdy wielkiego formatu chętnie dawały się zarazić rodzinną atmosferą festiwalu i kontynuowały rozmowy z uczestnikami w szkolnej stołówce przy pospiesznie połykanych obiadach – żeby nie tracić ani kawałka festiwalowego programu.

Mile wspominam obecność koszalińskich mediów w sprawozdaniach, wywiadach i transmisjach perkusyjnych perełek; m.in. „Głos Koszaliński", „Głos Pomorza", „Goniec Pomorski", „Gazeta Wyborcza", Radio Koszalin, Telewizja Polska – Oddział w Szczecinie, nieistniejącą już dziś lokalną Telewizję Kablową „BRYZA" oraz redaktor Małgorzatę Kołowską.

Mimo wielkiego zaangażowania organizatorów i miłośników festiwalu oraz bardzo pozytywnego rezonansu wśród mediów i publiczności w 2001 roku Dni Muzyki Perkusyjnej nie odbyły się ze względu na brak wystarczających środków finansowych. Rok później udało się festiwal wznowić, jednak po trzech kolejnych edycjach, od 2005 roku ostatecznie przestał się odbywać.

Kto ma kontakt z młodzieżą ten wie, że w natłoku „tanich" propozycji spędzania czasu coraz trudniej znaleźć czas na wyidealizowane zrywy serca, do których definitywnie zaliczam koszaliński festiwal. Podczas Dni Muzyki Perkusyjnej czuło się Sztukę przez duże „S" i jest to niewątpliwa zasługa Wojciecha Bałdysa i grupy współpracujących z nim pasjonatów.

Międzynarodowe Dni Muzyki Perkusyjnej „Perkusja solo i w zespole" był to największy i najstarszy w Polsce festiwal perkusyjny. Organizowany był corocznie od 1985 roku, zawsze od wtorku do piątku po Świętach Wielkanocnych.

Marek Wawryn

Pamiątka po Leonardzie

Biuro Wystaw Artystycznych za Leonarda Kabacińskiego

Szukam kartek, przeglądam kawałki dawnych gazet: odczytuję teksty Szweja, Michty, Trzcińskiej, o! jest i moje obszczekiwanie Kabata – jak się wtedy mówiło, niezłośliwie. Chyba z dziesięć lat jak i nie więcej sąsiadowałem z Leonardem przez szerokość biurka, stołu lub przez stale otwarte drzwi, kiedy pełniłem funkcję sekretarza w Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Zapamiętałem Go jako człowieka świętej cierpliwości wobec kaprysów i humorów Jego damskiego personelu, przebywającego codziennie w otoczeniu tyleż pięknych, co chimerycznych pań biurowych i nie tylko.

Był chyba jedynym człowiekiem w Koszalinie tamtych lat, którego moja znakomita koleżanka Dzidzia nie była w stanie wyprowadzić z równowagi swoimi inteligentnymi, irytującymi komentarzami. Zwykle, rozpoczynał rozmowę: – *I cóż tam, mój drogi przyjacielu artysto?* Zwykle odpowiadałem: – *Posucha, panie dyrektorze, posucha. Odpowiadał: mam rozumieć, że dzisiaj nie będzie kolegi Andrzejka?*

Potem odbywaliśmy zajęcia z analizy polityki kulturalnej, realizowanej przez bardzo wysokich urzędników wojewódzkich, próbując odnaleźć się w tej grotesce. Zebrania związkowe nie były tajne, więc Leonard orientował się w naszych problemach socjalnych i często ratował nas z opresji. My, ze swojej strony, też trochę ucieraliśmy Go tak, by nie obijał się boleśnie o narożniki sztuki ówczesnej. Tak, nie wiadomo kiedy przeKABACIliśmy Go na naszą stronę: Leonard stał się buforem, a może raczej – amortyzatorem naszym w kontaktach z ówczesnymi zarządcami kultury, często łagodził i rozcieńczał nasze zacietrzewienie. Należał do tych nielicznych ludzi, których nie trzeba długo przekonywać. To dzisiaj także bardzo rzadko spotykana cecha.

Musiał mieć poczucie naszego poparcia, skoro umożliwił Jerzemu Beresiowi rozpalenie na środku salonu BWA ogniska sztuki, a innemu młodemu artyście przeczołganie się po podłodze galerii z twarzą zanurzoną w drobno posiekanej surowej cebulce.

Leonard Kabaciński zawsze był w przelocie, w „międzyczasie". BWA, którym kierował, było w połowie drogi między Komitetami, Zarządami, Urzędami. Tutaj, na tym małym skrzyżowaniu spotykały się prośby, żądania, rozkazy, polecenia. Było to także miejsce na trasie pomiędzy Warszawą, Kołobrzegiem, Osiekami.

Leonard szamotał się z powodzeniem między tymi instytucjami. Do tego miał, prócz żony i córek, dwie Ule trudne w charakterze (kto pamięta, ten wie) i poetę niecierpliwego w towarzystwie bardzo stanowczej kobiety płci żeńskiej. Nie wiem, jak to wszystko mieścił w swoim codziennym notatniku.

Był historykiem i to powodowało Jego dystans do rzeczywistości i to, że otwierając wystawy nie próbował udawać krytyka sztuki i nie recenzował niczyjej twórczości.

Można było przypuszczać, że z racji pełnionej funkcji będzie stał w rozkroku po obu stronach barykady w chwili prawdy, lecz nie. Postąpił tak, że nie musiał połykać legitymacji.



Leonard Kabaciński. fot. Piotr Żerdzicki

Próbuję odtworzyć sytuację sprzed lat: siedzę w kawiarni, inna muzyka, inne ubrania, inne obrazy, inni ludzie. Nie da się. *To se ne wrati soudruhu direktore*. Można powiedzieć, że chociaż pozostawił po sobie buty i ścieżkę, nie ma nikogo, kto by mógł wsunąć w nie swoje nogi i pójść tą ścieżką.

Dawno nie byłem na Piastowskiej i trochę boję się tam pójść: a nuż okaże się, że TAM ktoś sprzedaje ziemniaki.

P.S.

Ziemniaków, co prawda, tam się nie sprzedaje, ale szyld „BeWuA", choć ze zmienioną pisownią, urąga przeszłości. Redakcja Almanachu.

WSPOMNIENIA
SUPLEMENT





Leon Szostak (1914-1984)

25 rocznica śmierci

Orkiestra symfoniczna Filharmonii Koszalińskiej im. Stanisława Moniuszki w Koszalinie powstała w 1956 r., początkowo jako Stowarzyszenie Koszalińska Orkiestra Symfoniczna. Jednym z jej twórców – jako muzyk, a także wieloletni szef administracyjny był zmarły przed ćwierćwieczem Leon Szostak. Pisze o Nim Kazimierz Rozbicki w jubileuszowej monografii „Pięćdziesiąt dźwięcznych lat". Jego też słowami wspomnijmy i my tę szczególną postać w historii koszalińskiej kultury.

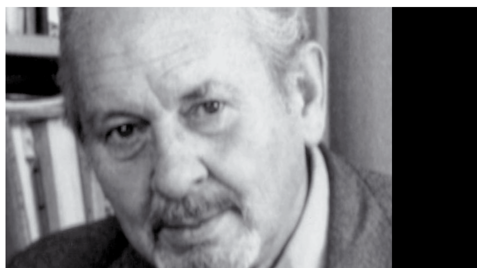
Pośród żyjących koszalinian niewiele jest już osób, które mogą to uczynić, a zachowanie we wdzięcznej pamięci Leona Szostaka winni jesteśmy wszyscy, a zwłaszcza koszalińscy melomani. Za Jego to bowiem wspólnej z Andrzejem Cwojdzińskim dyrekcji, w roku 1971 – przy okazji jubileuszu 15-lecia działalności – KOS zyskała jakże nobilitującą nazwę Filharmonii Koszalińskiej im. Stanisława Moniuszki.

Zanim oddamy głos Kazimierzowi Rozbickiemu, który całe swoje życie zawodowe: jako kompozytor, dyrygent i czołowy krytyk muzyczny Koszalina, związał z tutejszą filharmonią, przypomnijmy, że Leon Szostak objął jej administracyjne kierownictwo w 1966 roku, dwa lata po przyjeździe Andrzeja Cwojdzińskiego, który przez owe pierwsze dwa lata samodzielnie kierował ówczesną Koszalińską Orkiestrą Symfoniczną, jako jej szef naczelny i artystyczny. O tych początkach dyrekcji Andrzeja Cwojdzińskiego, którą Kazimierz Rozbicki słusznie nazywa „długim dystansem", czytamy w jego książce: >Zorganizowano bardzo sprawną pracę administracji, którą z kolei kierował od kwietnia 1966 roku następny dyrektor administracyjny, Leon Szostak, były muzyk orkiestry z pierwszego, pionierskiego okresu.

Człowiek niezwykle rzutki i energiczny, pracę orkiestry uczynił znośniejszą przez „ucywilizowanie" zgrzebnego wnętrza siedziby na Harcerskiej, on też zajmował się dość skutecznie problemami socjalnymi członków orkiestry. Kiedy w 1972 roku rozdzielono funkcję dyrektora i kierownika artystycznego, objął stanowisko dyrektora filharmonii i pozostawał nim do 1978 roku. W życiu muzycznym miasta zaznaczył się bardzo silnie, jako inicjator i organizator Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego (powstało w 1964 roku), następnie jako wieloletni prezes – do końca lat siedemdziesiątych.

W 1967 roku udało mu się nie tylko uzyskać zgodę władz na zorganizowanie w koszalińskiej katedrze, posiadającej znakomite organy, festiwalu organowego, ale także uzyskać na to środki. Festiwal, którego był duszą i ciałem (organizatorem) stał się wielka, cykliczną imprezą w miesiącach wakacyjnych, o bogatym programie – nie tylko organowym – i wysokim poziomie artystycznym. Od początku w tej imprezie Koszalińskiego Towarzystwa Muzycznego, uczestniczyła KOS (później filharmonia). (...) Dodam nawiasem, że KTM zmuszone zostało do samorozwiązania, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych zlikwidowano wszelkie dotacje dla tego rodzaju towarzystw; organizowanie Festiwalu organowego przejęła wtedy całkowicie Filharmonia Koszalińska<.

(opr. mk)



Gracjan Bojar-Fijałkowski (1912-1984)

25 rocznica śmierci

Ten dom, a właściwie niewielkie dwupokojowe mieszkanie, znajduje się naprzeciwko koszalińskiej katedry. Katedralne dzwony wyznaczają tu rytm dnia, porządkują czas, przypominają o ważnych świętach. Tak było przed pięćdziesięcioma trzema laty, gdy w Koszalinie zamieszkał Gracjan Bojar-Fijałkowski z żoną i trójką dzieci. Tak jest i dzisiaj, gdy jedyną lokatorką mieszkania została córka Anna, najbardziej zaangażowana w popularyzowanie twórczości ojca, najlepiej z trojga rodzeństwa tę twórczość znająca. To właśnie pani Anna najczęściej uczestniczy w imprezach i uroczystościach dedykowanych ojcu, takich chociażby jak nadanie jego imienia szkole podstawowej w Malechowie. Ona przyjmuje studentów i magistrantów piszących prace dyplomowe na temat twórczości Gracjana Bojara-Fijałkowskiego. Chodzi do szkół, w których powstają inscenizacje jego baśni, uświetnia promocje wznawianych książek. I strzeże domowego archiwum, w którym zachowało się wiele cennych rękopisów, rodzinnych pamiątek, fotografii.

Malutkie mieszkanie wypełniają przede wszystkim książki: cała biblioteka ojca, wszystkie wydania jego utworów, poczynając od najwcześniejszej książki – „Morze szumi jak dawniej" z 1961 roku, po tę najbardziej osobistą – „Powrót z tamtego brzegu" z 1984 roku.

W młodości Gracjan Bojar-Fijałkowski wybrał karierę wojskową. Był ułanem, oficerem kawalerii, żołnierzem Września, internowanym na Litwie, później partyzantem, więźniem hitlerowskich obozów i uczestnikiem działań wojennych na zachodzie Europy. W partyzantce przyjął pseudonim „Bojar", który z czasem stał się częścią nazwiska.

Po wojnie mógł zostać w Niemczech, ale nie wyobrażał sobie życia poza Polską. Wrócił do kraju w 1947 roku, choć wiedział, jak dalece trudna może być dla niego powojenna rzeczywistość, kiedy trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa, bez możliwości kontynuowania kariery wojskowej. Swoim dzieciom często powtarzał: „Najpierw ojczyzna, a później szczęście własne!". Był patriotą w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Najpierw osiedlił się w Gliwicach, następnie w Pasłęku, później – na resztę życia w Koszalinie. Imał się różnych zajęć i zawodów i dopiero propozycja pracy w koszalińskiej redakcji „Słowa Powszechnego" okazała się najbliższa jego literackim zainteresowaniom.

Twórczość pisarska Gracjana Bojara-Fijałkowskiego potoczyła się dwoma torami: z jednej strony tematyka wojenna i dawanie świadectwa zbrodniom nazizmu, tak jak to sobie obiecali w Auschwitz z Tadeuszem Borowskim; z drugiej – historia Pomorza, opisywanie dawnych dziejów tych ziem i odkrywanie świata baśni, legend, podań.

Pani Anna wzrusza się za każdym razem, gdy dzisiejsze maluchy uczą się ojcowskich baśni albo promują swojskie Julki, a nie, obce naszej tradycji, trolle czy koboldy. I żałuje, że za życia ojca zbyt rzadko interesowała się tym, co pisał i co miał do przekazania. Zwłaszcza, że on sam nader chętnie poświęcał czas całej trójce, miał niewyczerpane pokłady wyrozumiałości i cierpliwości. Jak typowa zodiakalna Waga – rozważny, spokojny, niekonfliktowy – bardzo przeżywał, gdy musiał skarcić któreś z dzieci. Wolał, aby te trudne, dyscyplinujące rozmowy przeprowadzała żona.

Na honorowym miejscu w domu wisi do dzisiaj portret Gracjana Bojara-Fijałkowskiego z nietypowym dla niego wyglądem: długimi włosami i brodą. Starszy syn Zbigniew pamięta, jak namówili ojca na tę zmianę, zgodnie z obowiązującą wówczas hippisowską modą, podczas wakacyjnego pobytu nad jeziorem Lubie, dokąd przez lata jeździli na ryby.

To właśnie synowie Zbigniew i Czesław wprowadzali najwięcej gwaru i zamieszania do ich domowego zacisza. Ale też przysporzyli ojcu wielkiej satysfakcji, wybierając, jak on niegdyś, przyszłość oficerską, tyle że na morzu. Dziś obaj są kapitanami żeglugi wielkiej. Pan Zbigniew Bojar-Fijałkowski doskonale pamięta ten dzień, kiedy mógł ojcu pokazać swój pierwszy statek i wprowadzić go na mostek kapitański.

Pani Annie z kolei łzy z oczu wyciska wspomnienie związane z obroną jej pracy doktorskiej. Ojciec był już ciężko chory, nieprzytomny, ale na przekazaną telefonicznie wiadomość o pozytywnym finale doktoratu ocknął się na chwilę i z dumą powiedział: „No, moja Hania jest już doktorem...". Parę dni później, w Wigilię 1984 roku, zmarł.

Teraz spotkania rodzinne Bojarów-Fijałkowskich zyskały jeszcze jeden adres: w ciepłym, gościnnym domu obecnego seniora rodu – Zbigniewa. Kiedy tylko jest na lądzie, zaprasza do siebie pozostałych członków rodziny i przy okazji takich biesiad zwykle wracają wspomnienia o ojcu.

Jakże zadziwiający traf, przypadek, szczęście, a może przeznaczenie sprawiło, że to nowe miejsce rodzinnych spotkań znajduje się w Koszalinie przy ulicy Gracjana Bojara-Fijałkowskiego.

„Dom pełen wspomnień" – na podstawie audycji zrealizowanej w Radiu Koszalin, w której o swoim ojcu opowiadali Anna Bojar-Fijałkowska i Zbigniew Bojar-Fijałkowski.

Grażyna Preder



Tadeusz Mroczek (1924-2004)

5 rocznica śmierci

„Urodził się we Lwowie. Działalność reżyserską i aktorską rozpoczął „na rozkaz" zastępcy dowódcy 8 pułku piechoty II Armii LWP, który lwowskiemu inteligentowi kazał zrobić w wojsku teatr. Był aktorem i reżyserem teatrów krakowskich: Teatru Lalki i Aktora „Groteska", Teatru im. J. Słowackiego i Teatru Starego. Pracował w Zielonej Górze, Białymstoku i Rzeszowie. Od 1969 roku był aktorem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, najpierw – dwa sezony w Słupsku jako kierownik tej sceny, potem w Koszalinie. Wyreżyserował ponad dziesięć sztuk, w swoim dorobku ma ponad sto ról teatralnych. Najmilej wspominał role w „Burzy" Szekspira (Prospera), „Fantazym" Słowackiego (Respekta), „Horsztyńskim" Słowackiego (tytułową), „Pigmalionie" Shaw'a (pułkownika), „Każdy kocha Opalę" Patricka (profesora), „Nim kur zapieje" Bukovčana (dwie i pół godziny na scenie!). Na czterdziestolecie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego – w 1994 roku – poproszono go o za-

jęcie się sprawami organizacyjnymi. W wychodzącym wówczas w Koszalinie „Gońcu Pomorskim" Małgorzata Kołowska tak wspominała tamte wydarzenia, co warto przypomnieć również dlatego, że minęło kolejnych dziesięć lat i właśnie obchodzimy pięćdziesięciolecie BTD: >I jeszcze wieczór ostatni, w teatrze opuszczonym przez widzów, z którego wyszli już aktorzy, pogaszono światła sceny. Kameralne spotkanie w gronie przyjaciół w dyrektorskim gabinecie, by przy ostatnim toaście, przy kawie i ciasteczkach raz jeszcze na chwilę powrócić do tych dni świątecznych, już przebrzmiałych. Józefa Solecka i Józef Skwark – dyrektorski tandem BTD – przy okrągłym stoliku pełnią rolę gospodarzy spotkania, nad którym unosi się tubalny głos Tadeusza Mroczka, który na czas jubileuszu wziął na siebie niewdzięczną rolę inspicjenta całości, głównodowodzącego. „Był pan naszym katem" – przymila się pani Basia Tałaj, na co dzień królująca w sekretariacie, dziś dbająca o to, by kawy ni herbaty nikomu nie zabrakło.<.

>W BTD Tadeusz Mroczek rok później obchodził pięćdziesięciolecie pracy artystycznej, a na program prowadzony przez Jubilata ze Zbigniewem Kułagowskim złożyła się półtoragodzinna „składanka" z fragmentów różnych spektakli. – wspominała Maria Ulicka na łamach „Miesięcznika".

Tadeusz Mroczek aktywnie działał też na rzecz aktorskiego ruchu teatralnego, poczynając od Towarzystwa Teatrów i Chórów Ludowych. W Rzeszowie był wiceprezesem Zarządu Okręgu Związku Teatrów Amatorskich, w Koszalinie wiele lat działał w Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Kultury Teatralnej jako wiceprezes i członek prezydium. (...) W 1995 roku zaproponował Stowarzyszeniu Teatr Propozycji „Dialog" wznowienie popularnego niegdyś „Teatru przy stoliku". Przygotował kilkadziesiąt premier takiego teatru, poczynając od przyjmującego spektaklu „Skar i Bonka" wg Marie Redonnet, w którym wystąpił wówczas razem z też nieżyjącą, i równie niezapomnianą aktorką BTD Dianą Łozińską.

Tadeusz Mroczek jako pedant i skrupulant był nieocenionym członkiem komisji rewizyjnej Stowarzyszenia Teatr Propozycji „Dialog". Poza teatrem zaś szczególnie umiłował życie w bliskości natury >W latach 1978-1990 był kierownikiem ośrodka wypoczynkowego Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki w Orawce, gdzie zresztą wiele wieczorów moja rodzina spędziła wspólnie z Nim i jego żoną. Z przyjemnością słuchaliśmy wówczas jego teatralnych opowieści, w których pojawiała się cała plejada gwiazd polskiej sceny z Mistrzem Solskim na czele, ale także – interesujące wspomnienia Tadeusza o jego młodzieńczych bojach szermierczych (w 1949 roku zdobył nawet tytuł mistrza Polski w szpadzie), o układaniu przez niego pojedynków scenicznych (na przykład – Tadeusza Łomnickiego z Adamem Hanuszkiewiczem w „Mazepie"), no i oczywiście, o wspaniałych połowach. W 1990 roku Tadeusz przewiózł swój „dykciak" do Drężna.<. – wspominała M. Ulicka, pisząc, że >„tam właśnie „ładuje akumulatory" nad naszymi pięknymi jeziorami przez prawie pół każdego roku, łowiąc ryby, zbierając grzyby i przygotowując przetwory na całą zimę.<.

Od pięciu lat w niebieskich lasach wypatruje grzybów, i tam urządza czytane spektakle ukazujące dramaturgiczną potencję literackich tekstów...

Małgorzata Kołowska

Kto jest kim?
Autorzy Almanachu od A do Z

Aleksandra Barcikowska – dziennikarka tygodnika „Miasto".

Leslie Brent - angielski prof. immunnologii, urodzony w Koszalinie w 1925 r.

Ryszard Hetnarowicz – mieszkający w Słupsku poeta, krytyk literacki, publicysta miesięcznika „Zbiżenia".

Maria Idziak – artystka plastyk, prezes KTSK.

Maja Ignasiak – dziennikarka Telewizji Kablowej MAX.

Aleksandra Jach – historyczka sztuki, krytyczka, kuratorka wielu wystaw. Doktorantka w IHS UJ.

Barbara Jaroszyk – dyrektor Europejskiego Festiwalu Filmowego „Integracja Ty i Ja", wiceprezes KTSK.

Dana Jurszewicz – dziennikarka Dziennika Koszalińskiego „Miasto".

Małgorzata Kołowska – dziennikarka, wykładowca w Instytucie Neofilologii i Komunikacji Społecznej Politechniki Koszalińskiej.

Marek Kołowski – teatrolog.

Jadwiga Koprowska – dziennikarka Radia Koszalin.

Anna Kowal – kustosz bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Iwona Kucharska-Rzebko – polonistka i teatrolog, od 22 lat (od momentu powstania) redaktor miesięcznika „Nasze Sprawy". Magazynu Informacyjnego Osób Niepełnosprawnych.

Ewa Julianna Kwidzińska – sekretarz literacki i rzeczniczka prasowa w Teatrze Lalek „Pleciuga" w Szczecinie; redaktor naczelna gazety teatralnej „Gabit". Współpracowała z Instytutem Teatralnym im. Z. Raszewskiego w Warszawie i portalem internetowym e-teatr jako recenzentka Nowej Siły Krytycznej.

Leszek Laskowski – doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Pracownik Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Anna Maria Marcinek-Drozdalska – specjalista do spraw wydawnictw w KBP.

Anna Mosiewicz – etnograf, publicystka Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

Katarzyna Myćka – mieszkająca w Stuttgarcie wirtuozka Marimby.

Izabela Nowak – dziennikarka, publicystka Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

Walentyna Orłowska – historyk sztuki.

Dariusz Pawlikowski – dziennikarz Radia Koszalin, wiceprezes KTSK.

Sylwester Podgórski – dziennikarz Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Jupi Podlaszewski – mieszkający w Koszalinie twórca teatralny, publicysta.

Grażyna Preder – dziennikarka Radia Koszalin.

Agnieszka Prokopowicz – dziennikarka, współtwórczyni Weekendowego Magazynu Filmowego w TVP.

Kazimierz Rozbicki – mieszkający w Koszalinie kompozytor, dyrygent, pedagog, krytyk muzyczny.

Maria Słowik-Tworke – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin.

Marzena Sutryk – dziennikarka „Głosu Koszalińskiego".

Bartosz Szpurek – dziennikarz radiowy i telewizyjny, na stałe związany z TVN.

Monika Szumowska-Chrabin – historyk sztuki, pracownik Muzeum w Koszalinie.

Marek Wawryn – architekt, artysta malarz i grafik, w latach 80. mieszkający w Koszalinie, obecnie związany z Elblągiem.

Stanisław Wolski – artysta plastyk, mieszkający w Drawsku Pomorskim.

Ryszard Ziarkiewicz – historyk sztuki, krytyk, autor wystaw sztuki najnowszej i tekstów krytycznych, założyciel, wydawca i redaktor naczelny „Magazynu Sztuki" (1993-2006), od 2007 r. związany z Galerią „Scena" w Koszalinie. Laureat m.in. nagrody Jerzego Stajudy (1995).

Jerzy Żelazny – pisarz, publicysta, mieszka w Polanowie.

Spis treści